



Marek Pełka

Buszujący w czasie

**Marek Pełka**

# **Buszujący w czasie**



## Pustynia

Zaczął się wrzesień dwa tysiące dziesiątego roku i Donat bardzo się cieszył z wyjazdu na urlop. (Nosił to dziwne imię po ojcu, jego rodzina uczciła w ten sposób poległego kuzyna pochowanego na Cmentarzu Orląt Lwowskich i z tego powodu imię to przechodziło z ojca na syna, bądź jako pierwsze, bądź jako drugie). Całkiem niedawno wykupił sobie wczasy i w tej chwili znajdował się właśnie w samolocie lecącym do Tunezji. Kiedy po wylądowaniu wyszedł na płytę lotniska Djerba-Zarzis, ogarnęła go fala gorącego powietrza. Odbiór bagażu, odprawa paszportowa, i wreszcie znalazł się w oczekującym na turystów autobusie, który porozwoził ich do hoteli. Jego czterogwiazdkowy hotel znajdował się bezpośrednio przy piaszczystej plaży, około trzydziestu trzech kilometrów od lotniska, a tylko pięć kilometrów od stolicy wyspy Djerby - Houmet Souk, i nazywał się El Mouradi Djerba Menzel.

Donat dawno już przekroczył pięćdziesiątkę, był średniego wzrostu, lekko przygarbiony, trzymał się jednak jeszcze całkowicie nieźle, mimo że na jego głowie pojawiły się już pierwsze siwe kosmyki, a wzrok i kondycja uległy pogorszeniu. Stronił od towarzystwa, przez co nieliczni znajomi mieli go za dziwaka, ale on się tym nie przejmował. Żył samotnie, a po śmierci rodziców więzi rodzinne z siostrą i z dalszą rodziną uległy jeszcze większemu rozluźnieniu; nikt się o niego nie troszczył, ani nikt o nim nie pamiętał, toteż gdy zarobki już na to pozwoliły, wycieczki do innych krajów stały się jego największą życiową pasją. Urodził się w Warszawie, tutaj spędził dzieciństwo i młodość, w tym mieście uczył się i studiował. W młodości uprawiał różne sporty, ale mimo wszystko najbardziej uwielbiał książki. Miał własne mieszkanie, ale nie dorobił się większego i znaczącego majątku, co też prawdopodobnie wpłynęło na jego kontakty z płcią piękną. Od kilkunastu lat pracował w Głównym Urzędzie Statystycznym, w którym zatrudnił się po rozwiązaniu jego wcześniejszego zakładu pracy. Jako człowiek samotny, nie udzielał się publicznie, lubił za to spacerować po mieście, a czasami w lecie i jesienią wyskakiwał do podmiejskich lasów na grzybobranie. W deszczowe i zimowe dni spędzał nieco czasu w kawiarniach i piwiarniach lub odwiedzał warszawskie kina.

Kolejne dni urlopu w Afryce upływały Donatowi powoli i monotennie. Zajmował jednopokojowe pomieszczenie w bungalowie, codziennie kąpał się w hotelowych basenach - dwa z nich wypełnione były morską wodą - później wyprawiał się na eskapady wzdłuż plaży,

obchodząc wyspę dookoła, czasami zabłądził na bazar lub oglądał wystawiony na straganach towar. Djerba stanowiła jeden z najpiękniejszych i najczęściej odwiedzanych przez turystów kurortów Tunezji; na tej płaskiej i zielonej wyspie rosły gaje palm daktylowych, figowców oraz drzew oliwnych. Mieszkańcy żyli w tradycyjnych, białych domkach, które charakteryzowały się kwadratowymi wieżyczkami, zbudowanymi w każdym narożniku budynku, i małymi oknami. W mieście było bardzo dużo meczetów, lecz Donat nie interesował się religią. Wcześniej wykupił u opiekuna turnusu kilka wycieczek w głąb kraju, jedną do rzymskiej Kartaginy - miasta zbudowanego przez Rzymian już po zniszczeniu punickiej Kartaginy, a także do graniczącej z Tunezją Algierii, toteż teraz oczekiwał z niecierpliwością na wyjazd. Kiedy nadszedł dzień pierwszej eskapady, Donat już z samego rana pojawił się w oczekującym go autobusie, znalazł sobie miejsce przy oknie, torbę i cyfrowy aparat fotograficzny umieścił na kolanach. Autokar po chwili ruszył, zbierając po hotelach pozostałych wycieczkowiczów.

Donat rozmarzył się. To był jego pierwszy pobyt w Tunezji, a Djerba stanowiła świetny punkt wypadowy w głąb Afryki, stąd można było się szybko dostać na piaski Sahary oraz w inne ciekawe miejsca. Donat bardzo chciał zobaczyć tę pustynię, zastanawiał się bowiem, czy będzie ona wyglądała tak jak w opisach książkowych. Zajrzał do przewodnika po Tunezji - jej północną część zajmowały góry, stanowiące wschodnie obrzeże Atlasu Tellskiego i Saharyjskiego, przechodzące w kierunku południowo-zachodnim w bezodpływowe obniżenie i pustynię - Saharę. Na południowym wschodzie kraju rozpościerało się pasmo górskie Nefusa. Także klimat Tunezji był różny: na północy - śródziemnomorski, na pozostałej części kraju - pustynny.

Donat odłożył teraz przewodnik, zamyślając się - pamiętał z przeczytanych książek, że jakieś dziesięć tysięcy lat temu w rejonie szottów w południowo-środkowej części tego kraju rozlewało się otwarte morze, zwane Tritonis Wschodnie. Jego odpowiednikiem w depresji w Afryce północno-zachodniej było Tritonis Zachodnie, nazwane przez starożytnych Morzem Saharyjskim, a przez Platona Morzem Atlantyckim w odróżnieniu od Oceanu Atlantyckiego, z którym to morze łączyło się dwiema odnogami, północną i południową, opasując tym samym wielką afrykańską wyspę zwaną Atlantis, która obejmowała ziemie obecnego południowego Maroka, Sahary Zachodniej i północnej Mauretanii. Oba morza istniały przez kilka tysiącleci po to, aby jakieś pięć-sześć tysięcy lat temu przekształcić się w wielkie jeziora, potem po upływie wieków w słone bagna i moczary, aż wreszcie dna byłych

mórz zamieniły się w solniska i pustynię, i stały się częścią Sahary.

Donat przerwał rozmyślania, ponieważ jakiś młody mężczyzna zajął miejsce obok niego i próbował podjąć rozmowę. Donat odpowiadał niechętnie, bardziej był zainteresowany ludźmi widzianymi za oknem autokaru, toteż rozmowa nie kleiła się i po chwili wygasła. Po upływie kilkudziesięciu minut autokar zappełnił się, a kiedy ruszył, pracę podjął przewodnik - młoda dziewczyna mieszkająca w Tunezji, opisując barwnie mijane miejscowości. Autokar przemknął przez arabskie miasta: Medenine, Tataouine, Chenini, aż wreszcie dotarł do miejscowości docelowej: Ksar Ouled Soltane. Turyści opuścili autokar i skupili się przy przewodniczce. Donat pozostał trochę na uboczu, ponieważ nie lubił tłoku, rozglądał się za to ciekawie wokoło. Po chwili przewodniczka poprowadziła wycieczkowiczów w stronę glinianego miasta. Jego zwiedzanie skończyło się po półtorej godziny i nastąpił wyjazd do oazy w Douz, znajdującej się gdzieś na obrzeżach Sahary.

Autokar po przybyciu na miejsce zatrzymał się w punkcie, w którym znajdowało się stanowisko poganiaczy wielbłądów. Ci ożywili się gwałtownie na widok turystów i zaczęli zachwalać swoje zwierzęta i namawiać na przejażdżkę po pustyni. Przewodniczka zdecydowała, że autokar pozostanie w tym miejscu przez cztery godziny i kto ma na to ochotę, może skorzystać z usług wielbłądników lub pobłądzić trochę po skrawku pustyni. Jednocześnie ostrzegła przed skorpionami i żmijami pustynnymi, a także poleciła chronić się przed słońcem. Donat policzył dolary i zdecydował się na taką eskapadę, wybrał młodego poganiacza, zapłacił mu i już po chwili siedział na grzbiecie wielbłąda. Dromader lub - jak to twierdził Wojciech Cejrowski - dromedar zagłębił się wytyczonym codziennymi marszami szlakiem w pustynię. Znaleźli się jednak w odległości kilkuset metrów od pierwszej grupy wielbłądów, ponieważ Donat dość późno zdecydował się na przejażdżkę. Nie chciał jechać uczęszczanym szlakiem za grupą, toteż namówił przewodnika do zmiany trasy; przewodnik zgodził się i sprowadził wielbłąda na pierwszą ścieżkę odbijającą od drogi.

Przejażdżka trwała godzinę, lekki wiatr zasypywał ślady za nimi; później, gdy minął wyliczony czas, Arab zatrzymał zwierzę i zaprosił Donata do przespacerowania się po piaskach pustyni. Sam usiadł przy wielbłądzie i zaczął się posilać, nie zwracając uwagi na swojego podopiecznego. Donat zabrał torbę i aparat fotograficzny, napił się wody z butelki i pomaszerował w kierunku niewysokiej wydmy, chcąc obejrzeć okolicę z wysoka. Po drodze znalazł kilka pustynnych róż, chciał je zabrać, lecz obawiał się, że nie pozwolą mu ich

wywieźć z Tunezji i będzie miał z tego powodu nieprzyjemności przy odprawie celnej. Po dwudziestu minutach powolnego marszu w słońcu znalazł się na szczycie.

Widok z góry nie był ciekawy, wszędzie wydmy oraz rozciągający się wokoło bezkres pustyni; gdzieś tam, w dali, zasłonięte piaskowymi pagórkami skrywało się miejsce, w którym znajdował się punkt wycieczkowy. Donat rozglądał się ciekawie dookoła, ciemne okulary odporne na promieniowanie ultrafioletowe chroniły jego oczy. Uwagę jego przyciągnął widok roztaczający się z drugiej strony wydmy: w odległości piętnastu metrów od jej podnóża pojawiło się jakby ciemniejsze pasemko pożąłkłego piachu z licznymi różami piaskowymi. Wydobył z pokrowca aparat fotograficzny, zrobił zdjęcie tego miejsca z daleka, a później zszedł, aby przyrzeć się bliżej znalezisku. Rzeczywiście, to były pustynne róże, Donat zrobił zdjęcie, później ukucnął i dotknął największej z nich ręką. Była piękna. Oglądał ją dokładnie ze skupieniem, gdy nagle ujrzał poza pasmem sporej wielkości skorpiona; obserwował go przez chwilę, a później podniósł się i ruszył poprzez to ciemne pasmo w jego kierunku. Gdy znalazł się na jego środku, rozstały się nagle pod nim lotne piaski i zanim zdążył krzyknąć, zapadł się gdzieś pod ziemię, wypuszczając z ręki aparat fotograficzny i butelkę z wodą. Leciał tak, a właściwie zsuwał się w strumieniu piachu kilkanaście metrów w dół, aż wreszcie uderzył z impetem w dno tego zapadliska i potoczył gdzieś w głąb korytarza. Na głowę posypał mu się piasek i bryły stwardniałej ziemi, po chwili ogarnął go mrok i stracił świadomość.

Kiedy Donat nie wrócił na czas do wielbłąda, jego arabski poganiacz odczekał jakiś czas, potem zaczął krzyżeć, a wreszcie wsiadł na zwierzę i ruszył po widocznych śladach w kierunku, w który udał się jego klient. Kiedy wjechał na szczyt wydmy i nie dostrzegł nikogo wokoło, zdezorientowany tym wydarzeniem pomyślał, że turysta powrócił do bazy, i przestał się nim przejmować, tym bardziej że zapłatę już otrzymał.

Gdy minął czas powrotu do autokaru, przewodniczka zaczęła się dopytywać o swojego podopiecznego, później rozmawiała z poganiaczami, wreszcie, przerażona, zawiadomiła odpowiednie władze. Jednak poszukiwania nie powiodły się, wiatr zatarł wszelkie ślady i nikt nie był w stanie odnaleźć miejsca, w którym lotne piaski pochłonęły nieostrożnego turystę. Po przerwaniu kilkudniowych poszukiwań zawiadomiono polski konsulat, a później przesłano informację do kraju o zaginięciu w Tunezji Polaka. Coś niecoś na ten temat napisały gazety, wytykając przy tym nieostrożność polskich turystów,

postawiono jakieś zarzuty osobom odpowiedzialnym za organizację wycieczek i wkrótce sprawa ucichła. W następnym roku w Tunezji rozpoczęła się rewolta i nikt już nie chciał się tą sprawą zajmować. Donat przestał istnieć dla tego świata.

## **Chronoskaf i świat przyszłości**

Upłynęło dużo czasu, zanim Donat odzyskał przytomność; po otwarciu oczu nie dostrzegł niczego, ponieważ wokół panowały egipskie ciemności. Przez dłuższą chwilę leżał nieruchomo, później spróbował poruszyć kolejno członkami i doznał wielkiej ulgi, gdy nie odczuł w nich żadnego bólu. Teraz, macając wokół rękami, spróbował się podnieść, a gdy to mu się udało, powolutku wstał, unosząc ręce w ochronie głowy. Po chwili stał już wyprostowany, starając się przebić wzrokiem nieprzeniknione ciemności. Dopiero w tym momencie odczuł trudności w oddychaniu - no tak, w zatęchłym powietrzu wciąż unosił się piaskowy pył, wnikający do gardła i nosa. Donat wyjął ligninową chusteczkę z kieszeni i zakrył nią usta i nos - teraz było łatwiej oddychać. Stojąc, przypominał sobie mozolnie minione wydarzenia i zastanawiał się nad tym, co się właściwie wydarzyło. Jak przez mgłę docierały do niego ostatnie zapamiętane obrazy. Otrząsnął się powoli z doznanego szoku. Rozjaśnić te ciemności - pomyślał sobie. Nie palił papierosów, toteż nie posiadał przy sobie zapalek, pamiętał jednak, że jego telefon komórkowy wyposażony był w latarkę. Sięgnął do torby, którą zawsze nosił przewieszoną przez szyję i ramię, co spowodowało, że się nie zgubiła, i odszukał telefon, obmacał go w ciemnościach - nie wydawał się uszkodzony. Po chwili przesunął suwak latarki.

Wąski snop elektrycznego światła przeszył ciemności, nie rozpraszając jednak panującego mroku i unoszącego się jeszcze w powietrzu pyłu. Donat obracał latarką, kierując promień wąskiego światła wokół siebie. Po krótkiej chwili zorientował się, że stoi w niezbyt wysokim tunelu, za nim znajdowało się piaskowe osypisko, zamykające przejście w tamtym kierunku. Donat podszedł bliżej i obejrzał je dokładnie, jednak mimo dokładnych obserwacji nie udało mu się znaleźć wyjścia na powierzchnię. Rozgoryczony z tego powodu, skierował snop światła w drugą stronę i ku swemu zdziwieniu zorientował się nagle, że przed nim otwiera się długi, mroczny tunel - słabe światło nie docierało do jego końca. Spojrzał na

wyświetlacz telefonu; niestety wskazywał brak zasięgu, a to oznaczało, że nie da się z niego zadzwonić. Pył powoli opadał, jednak zatechłe powietrze nie nadawało się do oddychania. Donat poczuł, że ogrania go niedające się opanować uczucie strachu. Przyłożył rękę do piersi i powoli starał się zapanować nad sobą, lecz dopiero po dłuższej chwili udało mu się otrząsnąć z tego przygnębiającego uczucia.

Podziemny tunel wyglądał na dzieło natury, a nie człowieka. Domyślił się, że wypłukała go prawdopodobnie płynąca kiedyś tędy woda. Na saharyjskiej pustyni istniały solniska, pozostałości po dawnym morzu. Pod wpływem gorąca woda parowała i na powierzchni osadzała się sól. Jeśli piasek przysypał wierzchnią warstwę solniska i wstrzymał proces odparowywania, to w jego głębi jeszcze długo mogła utrzymywać się woda. Donat dotknął ręką ściany; wydawała się krucha, przy dotknięciu sypał się z niej piasek, jednak głębiej była bardziej twarda. Wziął do ust grudkę piachu - była słona, toteż wyjaśniła się sprawa podziemnych korytarzy. Niemniej znowu załapała go fala strachu, że to wszystko się zawali. Należało jednak coś przedsięwziąć, samo stanie w bezruchu nie pomoże mu wydostać się z tego miejsca. Chwila namysłu i już po chwili Donat pomaszerował przed siebie wzdłuż piaskowych ścian w nieznaną, podziemną dal.

Podłoże, po którym kroczył, było suche, strop korytarza wisiał dwa metry nad nim, jego szerokość była zmienna i wahała się od dwóch do czterech i więcej metrów. W piaskowym tunelu pojawiały się tu i ówdzie odgałęzienia, jednak Donat nie zbaczał z trasy. Wędrował tak przez dziesięć minut i wydawało się, że korytarz nie ma końca, jednak rychło okazało się, że jest inaczej. Nagle przed idącym ukazało się piaskowe zawalisko, a przed nim olbrzymia jama w ziemi. Donat zatrzymał się przestraszony, dalsza droga stała się niemożliwa.

Co zrobić? Co zrobić? - zastanawiał się gorączkowo. Bateria już niedługo wyczerpie się i zostanie bez światła w tych ciemnościach. Po chwili namysłu postanowił zawrócić i spenetrować jakieś szersze odgałęzienie korytarza. Szedł teraz powoli, rozglądając się uważnie, aż w końcu wybrał odgałęzienie tunelu, które wydawało mu się najbardziej bezpieczne. Ten korytarz, węższy i niższy od głównego, doprowadził go po piętnastu minutach do większej piaskowej jamy, wypłukanej w przeszłości przez wodę. Donat rozejrzał się i nagle zorientował się, że nie ma z niej innego wyjścia. Stał tak przez dłuższy czas, przygnębiony zaistniałą sytuacją, wreszcie osunął się zrezygnowany na pryzmę piasku i tkwił



tak przez dłuższą chwilę nieruchomo. Po upływie kilku minut ocknął się i zgasił latarkę, oszczędzając baterię. Wsluchiwał się w odgłosy tego piaskowego labiryntu - nic, tylko dzwoniąca w uszach cisza, żadnego życia. Rozłożył się wygodnie na plecach, chcąc zebrać myśli, odetchnął głęboko i przekręcił się na brzuch, aby przywrzeć twarzą do piasku w poszukiwaniu chłodu. Nagle poczuł, że zawadził policzkiem o coś twardego, co nie wyglądało na kamień. Zerwał się i zapalił latarkę, kierując jej światło na pryzmę piachu - rzeczywiście, coś z niej wystawało. Zaciekawiony, zaczął rozgarniać stwardniały piach, aż jego oczom ukazał się but. Rozgarniał teraz dalej piach, pomagając sobie także nogami, aż wreszcie odkrył się przed nim zmumifikowany kształt jakiejś ludzkiej czy też homoidalnej istoty, odzianej w dziwny strój, przypominający ubiór Araba.

Donat patrzył zaskoczony na to dziwne znalezisko - zatem nie tylko jemu przytrafiła się taka przygoda, czy więc czeka go taki sam los? Zrezygnowany, postanowił obszukać zmarłego w nadziei na znalezienie jakiegoś użytecznego narzędzia; ciekawiło go także, z jakiego okresu pochodzi to znalezisko. Ubranie wyglądało na nietknięte zębem czasu, natomiast stan ciała przeciwnie, wskazywał, że spoczywało tu już od dawna.

Jakoś niezręcznie było obszukiwać zwłoki, nawet stare, ale Donat znalazł się w piaskowej pułapce bez wyjścia i środków do życia, i przecież musiał sobie jakoś radzić. Na lewym ręku zmarłego, w rękawie, widniał obiekt przypominający kształtem zegarek, ponadto kieszenie jego ubrania zawierały jakieś inne przedmioty, w tym jeden podobny do wiecznego pióra, znajdowały się tam też jakieś pieniądze, dziwna karta z plastiku lub czegoś do niego podobnego oraz ciemne okulary i nic poza tym.

W jaki sposób zginął ten człowiek? - Donat zastanawiał się i doszedł do wniosku, że prawdopodobnie spadł na niego z sufitu duży głaz, który wystawał z piasku nieopodal jego głowy. Nie było jednak potrzeby zastanawiać się nad tym, temu człowiekowi nic już nie pomoże. Przyjrzał się nieboszczykowi - zwłoki były zmumifikowane, a wysuszona twarz robiła dziwne wrażenie obcości. Także jego ubiór był jakiś dziwny, nigdy czegoś takiego nie widział.

Donat przestał zajmować się umarłym i obejrzał teraz dokładnie w świetle latarki trzymane w ręku przedmioty. Najbardziej zadziwił go ten przypominający zegarek. Właściwie to nie był zegarek, lecz jakiś aparat z małymi przyciskami na obwodzie. Wcisnął

jeden z nich i ze zdziwieniem dostrzegł, że rozświetlił się mały ekran na cyferblacie, a na nim pojawiło się pulsujące czerwone światelko i strzałka wskazująca kierunek. Spojrzał w głąb piaskowej jamy w tę stronę - widać tam było ścianę piasku przypominającą osuwisko. Prawdopodobnie za nim lub pod nim znajdował się jakiś przedmiot, urządzenie lub coś innego, które było namierzone przez ten miniaturowy aparat.

Donat nie miał nic do stracenia, nie było innego sposobu wydostania się z tego miejsca, a ukryty przedmiot nie mógł znajdować się głęboko pod piachem, ponieważ aparat by go nie namierzył. Ogarnęła go ciekawość, a jednocześnie opanowała jakaś podświadoma myśl, że to może być ostatnia i jedyna droga ocalenia. Piasek w osuwisku nie był taki twardy, dał się w miarę łatwo rozgarniać. Po chwili Donat znalazł płaski kamień i wykorzystał go jako łopatę. Praca przy rozgarnianiu piachu zdawała się nie mieć końca, należało przy tym uważać, żeby nie doprowadzić do kolejnego obwałowania i wzniesienia tumanów kurzu.

Przy odkopywaniu ściany Donat pracował dwa dni i dwie noce z rzędu, latarka nie była już mu potrzebna, toteż wyłączył ją, oszczędzając baterie do chwili, kiedy dokopie się do przedmiotu wskazywanego przez aparat. Nie wiedział, co to będzie, jednak podświadomie czuł, że okaże się mu to pomocne do wydostania się z tego miejsca. Stało się to szybciej, niż się spodziewał; był już bardzo zmęczony, czuł silne pragnienie i głód, właściwie pożegnał się już z życiem, gdy nagle po silniejszym uderzeniu obsunęła się ściana piasku. Donat odskoczył do tyłu i w bezpiecznej odległości zapalił latarkę. W wirujących kłębach pyłu dostrzegł przed sobą w zwałach piachu jakąś twardą ścianę, która w niczym nie przypominała skały - była zbyt równa i matowo odbijała światło.

Donat zbliżył się i dotknął jej ręką; rzeczywiście, to nie była skała, lecz jakiś wytwór technicznej cywilizacji. Spojrzał teraz na aparat wskazujący kierunek. Czerwona plama zajmowała cały mały ekran i już nie pulsowała, strzałka zniknęła. Poruszył aparatem i ze zdziwieniem zauważył, że gdy kierował ją wzdłuż ściany, kolor plamy zmienił się z czerwonej na zieloną. W pewnym momencie rozległ się pisk i kolor plamy stał się intensywnie zielony, jednocześnie zaczął się świecić jakiś punkt na ścianie znaleziska. Donat obejrzał to miejsce w świetle latarki, lecz nie zauważył nic szczególnego. Tknięty nieświadomym przecuciem, dotknął „zegarkiem” świecącego punktu i nagle w ścianie pojawiła się mała rysa. Donat skojarzył sobie od razu ten fakt z trzymaną w kieszeni kartą, wyjął ją szybko i dotknął krawędzi rysy, która nagle rozszerzyła się i wessała kartę do środka.

Przez chwilę nic się nie działo, lecz zniemacka pojawił się na ścianie zarys włazu, który nagle rozsunał się, ukazując podświetlone błękitnym światłem kuliste wnętrze jakiegoś pomieszczenia.

Donat pochylił się i dostrzegł wewnątrz fotel i gołe ściany. Po chwili wahania przedostał się przez właz do środka i zajął miejsce w fotelu, który nieoczekiwanie dostosował się do rozmiarów jego ciała i stał się przy tym wyjątkowo wygodny. Poczł także, że jego głowa została unieruchomiona w zagłótku. Z chwilą zajęcia miejsca w fotelu wejście bezszelestnie zamknęło się, a przed nim otworzyła się konsola z piktogramami. Przyglądał się im uważnie, gdy nagle jeden z nich zapłonął czerwonym światłem i w kabinie rozbrzmiała jakaś zapowiedź lub pytanie wypowiedziane w nieznanym mu języku; za moment głos rozległ się ponownie. Donat pochylił się nad pulpitem i bezwiednie dotknął pulsującego światłem piktogramu. W tej samej chwili kolor światła zmienił się na niebieski, a kabinę wypełnił powiew powietrza, który w krótkim czasie uspił pasażera siedzącego w fotelu.

Upłynęło zapewne wiele czasu, zanim siedzący w fotelu Donat obudził się. Sennym wzrokiem rozejrzał się po małej kabinie, powoli docierało do niego, gdzie jest. Spojrzał na pulpit - pulsujący przedtem niebieskim światłem na klawiaturze dotykowej piktogram zgasł, natomiast zaświecił się na zielono inny. Donat przyjrzał się uważnie temu obrazkowi - przedstawiał okno - po chwili wahania dotknął go ręką i nagle ściana przed nim stała się zupełnie przezroczysta.

Widok, który się otworzył przed jego oczami, zaskoczył go zupełnie. Przed nim rozpościerał się pofalowany, pustynny krajobraz z mniejszymi lub większymi piaszczysto-kamienistymi wydmami, nad nim wisiało żółte, zamglone słońce. Ze skupieniem wpatrywał się w przestrzeń przed sobą, starając się uświadomić sobie, gdzie się właściwie znajduje. Później starał się wypatrzyć ślady jakiegokolwiek życia, ale nie zauważył w pobliżu żadnego ruchu. Odczuł jednak niezmierną ulgę, że ta niezwykła kapsuła wyniosła go na powierzchnię. Nagle w kabinie zaczęły rozbrzmiewać niezrozumiałe komunikaty, a na ekranie pulpitu wyświetliły się jakieś symbole i cyfry. Donat nic z tego nie rozumiał. Podniecony i zarazem gnany nieświadomym instynktem, pragnął jak najszybciej wydostać się tego pomieszczenia, tylko absolutnie nie orientował się, jak to zrobić. Spróbował dotknąć ręką piktogramu wyrażającego okno, a w chwili kiedy to uczynił, ściana stała się momentalnie nieprzezroczysta. Coś mu zaczęło świtać w głowie. Popatrzył teraz na kolejne

piktogramy; jeden z nich wydał mu się podejrzany - wyobrażał otwarty romboidalny wąż trapezoidalnej bryły geometrycznej. Zaryzykował i dotknął tego znaku. W tej samej chwili rozsunała się ściana w miejscu, w którym poprzednio dostał się do wnętrza tego pojazdu, jednak do środka nie wdarła się fala powietrza. Nie zastanawiał się dłużej, zabrał szybko wszystko swoje rzeczy i wysunął się z kabiny.

Przez chwilę stał nieruchomo, przyzwyczajając się do zaistniałej sytuacji, później zaczął się rozglądać. Znajdował się obok dziwnego, zbudowanego z lśniącego błękitem metalu pojazdu, przypominającego kształtem dużą, trapezoidalną bryłę. Była ona niższa od Donata, długość jej dolnej kwadratowej podstawy sięgała dwóch metrów, podczas gdy krawędź górnej części tej bryły nie przekraczała półtora metra, jej szerokość nie mogła być większa niż dwa metry. Drzwi pojazdu zamknęły się nagle bez najmniejszego dźwięku i Donat został sam na zewnątrz. Przestraszył się trochę tej nowej sytuacji, później jednak opanował obawy, rozluźnił się i wciągnął powietrze w płuca, rozglądając się przy tym dookoła. Nie odczuwał gorąca, ale powietrze pachniało czymś nieuchwytnym, brakowało mu świeżości i w ogóle było dziwnie. Doznał szoku, kiedy dotarło do niego, że to nie było to samo miejsce, które zapamiętał, zanim przytrafił mu się ten nieszczęśliwy wypadek. W ogóle cała okolica wydawała się jakaś nierealna, dziwiło go też ukształtowanie okolicznego terenu - czyżby ta maszyna, bo już nie miał co do tego wątpliwości, wyniosła go w innym miejscu na powierzchnię ziemi?

Nadal przyglądał się uważnie okolicy, lecz pobliskie piaszczyste wydmy skutecznie zasłaniały mu widok. Donat zebrał się w sobie i wdrapał na najbliższą z nich. Ciągnący się w dal teren był piaszczystą, bezludną pustynią, trudno było na niej o coś zahaczyć zupełnie wzrok; zdezorientowany, sięgnął po telefon i włączył go. Po chwili aparat wyświetlił mu brak zasięgu.

Donat wrócił do pojazdu, otworzył go przy pomocy „zegarka” i karty, i nie wsiadając do niego, rozejrzał się jeszcze raz uważnie po kabinie. Szukał jakiejś wskazówki, która pozwoliłaby mu na zorientowanie się, w czym jeszcze mogłaby mu być pomocna ta kapsuła. Przecież pojazd był pozbawiony kół, jego podstawa była płaska i nie wiadomo też było, w jaki sposób mógł się przemieszczać. No ale przecież w jakiś sposób wyniósł go z podziemnych korytarzy.

Donat dopiero teraz poczuł pragnienie i głód, spojrzawszy odruchowo na zegarek i zorientował się nagle, że od jego wypadku minęły całe cztery dni. O dwa dni za dużo.

Co w tym czasie robił? Jak udało mu się przetrwać tyle dni pod ziemią? Jakoś nie chciało mu się wierzyć, że dwa dni przesiedział w tym pojeździe, a tak by jednak wynikało z rachuby czasu.

Odsunął się od maszyny i jej drzwi zamknęły się ponownie. Donat nie miał tu już nic do roboty. Naciskanie kolejnych symboli na konsoli nie przyniesie mu nic dobrego, może się stać tak, że ponownie znajdzie się w podziemnym korytarzu, a tego za nic by nie chciał, przesunąć w inne miejsce tej bryły także sam nie da rady. W tej sytuacji nie pozostawało mu nic innego, jak pozostawić niezwykły pojazd i udać się na rekonesans; wyjął przewodnik z torby i starał się określić marszrutę. Obrął wreszcie właściwy, jego zdaniem, kierunek i pomaszzerował przed siebie - gdzieś niedaleko powinien znajdować się szlak, z którego zbieżyli. Ciężko mu się szło, nogi grzęzły głęboko w brudnym piachu, a jedną wydymę zastępowała druga. W czasie krótkiego marszu nie dostrzegł żadnych zwierząt, żadnego ruchu, jedynie po niebie przewijały się obłoki, a słońce zdawało się już zachodzić.

Potężny grzmot przeszył nagle ciszę tego pustkowie. Zaskoczony Donat zatrzymał się i odwrócił raptownie; za nim, za wysoką wydymą narastał w górę olbrzymi grzyb dymu. Wyglądało to na detonację ładunku wybuchowego, ale kto lub co go spowodowało? Nagle uświadomił sobie z przerażeniem, że miejsce wybuchu pokrywa się z miejscem pozostawienia niezwykłego pojazdu. Oblał się gorącym potem. Nie odszedł zbyt daleko od niego, przeto postanowił wrócić i sprawdzić, co się faktycznie tam wydarzyło i czy to rzeczywiście związane jest z jego pojazdem. Po dwudziestu minutach szybkiego pół biegu, pół marszu stanął na wydymie górującej nad miejscem, w które wyniosła go tajemnicza kapsuła.

Olbrzymi, rozświetlony jeszcze ognikami płomieni lej w ziemi znajdował się dokładnie w miejscu, w którym pozostawił pojazd. Do Donata dotarł zapach spalenizny i prawdopodobnie smród zdetonowanego materiału wybuchowego.

Co się właściwie stało? Co zniszczyło pojazd, komu na tym zależało? - myślał gorączkowo. Przecież nie wyglądało to na samounicestwienie.

Nagle przebiegła mu przez głowę myśl, że z maszyny został wysłany sygnał radiowy, który został przechwycony przez jakieś urządzenie niszczące. Tknięty nagłą myślą, sięgnął do torby i wyjął telefon komórkowy. Na jego ekranie brak było sygnału o uchwyceniu zasięgu, ale zapewne aparat poszukiwał najbliższej stacji przesyłowej i mimo że emitował słabe pole elektromagnetyczne, to mogło być ono jednak wychwycone przez czułe urządzenia. Przestraszył się nagle i bez chwili namysłu wyłączył komórkę, po czym wyjął z niej baterię i schował wszystko do torby.

Rozejrzał się jeszcze raz uważnie dookoła - no tak, nie miał już tutaj czego szukać. Wpatrywał się przez chwilę w lej i w pewnej chwili jego uwagę zwróciło coś szczególnego w tym miejscu. Gdy wysiadł z maszyny, wydawało mu się, że znalazł się w dzikim miejscu pozbawionym życia, teraz jednak okazało się, że potężny wybuch odsłonił metalowo-betonową konstrukcję jakiejś budowli lub budynku. Po chwili oszołomienia doznanego tym widokiem przemknęła mu przez głowę niedorzeczna myśl, że pustynia zasypała pozostałości jakiegoś miasta. To wszystko było dziwne, ponieważ nie przypominał sobie z czytanego wcześniej przewodnika, aby na tym terenie znajdowały się jakiegokolwiek ruiny.

Obawiając się następnego ataku, Donat szybko odszedł z tego miejsca i po półgodzinie marszu powrócił do punktu, w którym zastał go odgłos detonacji. Słońce już zachodziło i ziemię zaczął ogarniać mrok, a to znaczyło, że trzeba było znaleźć bezpieczne schronienie. W tym kraju mogły przecież żyć jakieś duże i niebezpieczne zwierzęta. Jednak pomimo pilnego wypatrywania miejsca nadającego się na tymczasową kryjówkę, nie udało się Donatowi niczego takiego znaleźć.

No cóż. Przyjdzie zapewne spędzić noc na pustyni - pomyślał sobie.

Jednak po minięciu kolejnej wydmy przed Donatem zarysował się kształt niewysokiej wieży lub czegoś, co ją przypominało. Skierował się w natychmiast w tę stronę i po kilkunastu minutach marszu zatrzymał się przed ruinami okrągłego budynku. Obszedł go dookoła, lecz na wysokości gruntu nie było żadnego wejścia. Wieża nie była wysoka, mierzyła jakieś sześć-siedem metrów, jej średnica wynosiła około piętnastu metrów. Dopiero po dłuższej chwili udało się Donatowi wypatrzyć na poziomie czterech metrów nad ziemią

jakąś szczelinę, do której przy dużej dozie szczęścia może udałoby się wcisnąć. Tylko jak się tam dostać? - zaczął się zastanawiać.

Donat rozejrzył się w najbliższym otoczeniu wieży, szukając czegoś, co pomogłoby mu dostać się do środka. Nie dostrzegł nic takiego oprócz zwalonych brył konstrukcyjnych i gruzu. W pewnym momencie jego wzrok przyciągnął zagrzebany w piasku przedmiot, przypominający kształtem dwumetrowej długości szynę. Postanowił wyrwać go z piachu - gdyby udało się go oprzeć o ścianę, to odległość do zauważonej szczeliny zmniejszyłaby się znacznie. Wygrzebał szynę (okazało się, że choć zrobiona z jakiegoś nieznanego metalu, to wcale nie była ciężka) i dotaszczył ją do ściany, o którą ją oparł. Wtem do uszu jego dotarł jakiś odległy odgłos, przypominający wycie psa. Donat przestraszył się nie na żarty i wdrapał się nie bez trudu na szynę. Rzeczywiście, gdy stanął na jej szczycie, do otworu zabrakło mu jakieś czterdzieści centymetrów. Zerwał torbę z ramienia i trzymając za pasek, wrzucił ją do otworu. W tej chwili wycie zwieloкратно się i stało się głośniejsze; coś zmierzało w jego kierunku. Z trudem opanował panikę i spróbował się podciągnąć na pasku torby. Za pierwszym razem torba się wysunęła, lecz po czwartym wrzuceniu jej w szczelinę zakleszczyła się. To był ratunek dla Donata; jeszcze moment i udało mu się dosięgnąć ręką szczeliny, a po chwili przeciskał się już do wnętrza budynku.

Za nim rozległ się charkot, Donat obejrzał się i ujrzał w dole pod wieżą kilka zwierząt, przypominających z wyglądu bardzo duże psy. Patrzyły w jego kierunku, zastanawiając się, z kim mają do czynienia, ich oczy błyszczały żarem. Nagle jeden z nich dał susa w powietrze, lecz nie udało mu się dosięgnąć szczeliny, odbił się od ściany i spadł na ziemię. Po chwili powtórzył próbę, to samo zrobiły inne psy, ale na szczęście dla Donata ich usiłowania okazywały się bezskuteczne.

Wewnątrz wieży było ciemno i ciasno, toteż Donat wyjął komórkę, włożył w nią po omacku baterię, i po chwili w pomieszczeniu zamigotał wąski strumień światła. Dopiero teraz mógł się zorientować, że znajduje się w wąskim, pionowym korytarzu, a stoi na metalowej, zasypanej pyłem kratownicy. Skierował strumień światła w dół i dostrzegł w kratownicy klapę. Spróbował podnieść ją i o dziwo, udało mu się to. Pod nią otworzyła się czeluść szybu, w ścianie dostrzegł metalowe uchwyty, zastępujące drabinę. Pamiętając o wartujących przed wieżą zwierzętach, Donat postanowił zejść, może uda się odnaleźć jakieś większe i bardziej przyjazne dla człowieka miejsce. Po chwili schodził już po drabinie, pamiętając o

tym, aby zamknąć za sobą klapę.

Niezbyt szeroki szyb doprowadził Donata na poziom sięgający kilku metrów pod ziemię i skończył się większym i przestronniejszym pomieszczeniem. Stąd odchodziły w inne miejsca wąskie korytarze, lecz jak sprawdził, były zasypane i doszczętnie zrujnowane. Dziw, że kratownica podłogi trzymała się w mocowaniach. No cóż, i tak takie miejsce na nocleg jest o wiele lepsze i bezpieczniejsze niż jakiegokolwiek inne na piaskach pustyni.

Donat obejrzał dokładnie pomieszczenie o powierzchni nie większej niż piętnaście metrów kwadratowych. Wyjścia z niego były zablokowane, dostępne było tylko jedno, właśnie to, którym udało mu się dostać na ten poziom, a zatem będzie tutaj bezpieczny. Uspokojony tym faktem, wyszukał sobie teraz miejsce na zasypanej pyłem podłodze, uprzątnął ją jako tako nogą i usiadł, opierając się o ścianę. Odczuwał silny głód i jeszcze silniejsze pragnienie. Nie dziwota, przecież od kilku dni nic nie jadł i nie pił, obrzmiałe wargi dopominały się odrobiny wilgoci, ssało go w żołądku. Zgasił latarkę, oszczędzając baterię, i spróbował zasnąć; przychodziło to jednak z trudem, ponieważ w jego głowie panował zupełny chaos. Był zadowolony, że udało mu się wydostać z piaskowych podziemi, ale nie rozumiał zupełnie, gdzie się obecnie znajduje. To wszystko było jakieś dziwne, niezrozumiałe, a może był to tylko nierealny sen.

W pewnej chwili, gdy wzrok przywykł do ciemności, na przeciwległej ścianie ukazały się plamki błękitnej poświaty. Zastanowiło to Donata i postanowił zbadać tę sprawę; wstał, podszedł bliżej i zapalił latarkę. W jej świetle ujrzał kawałki oczyszczonej z pyłu ściany - to w tych miejscach po zgaszeniu latarki pokazywało się światło. Tknięty nagłą myślą, wyjął z kieszeni ligninową chusteczkę i zaczął wycierać zakurzoną powierzchnię. Obszar błękitnej poświaty powiększył się znacznie. Po kilkunastu minutach takiej pracy w pokoju zrobiło się jaśniej, w poświacie emanowanej przez ścianę Donat bez trudu mógł rozejrzeć się w pomieszczeniu, a w każdym razie poczuł się o wiele różnie. Powrócił teraz na swoje miejsce, usiadł na podłodze i uspokojony, rozglądał się po sali. Widział teraz dokładnie wejście do szybu - tylko z tego miejsca mogło mu zagrażać niebezpieczeństwo. Nic się jednak nie działo, do środka nie docierał żaden dźwięk z zewnątrz, co spowodowało, że Donat zapadł w półsen.

W pewnej chwili zbudził się nagle, oszołomiony. Odruchowo spojrzął na zegarek. Fosforyzujące wskazówki pokazywały godzinę drugą w nocy. Nie wiedział, co go zbudziło -



może to był przenikliwy chłód, a może coś innego, toteż podniecony, wsłuchiwał się w ciszę i obrzucał czujnym wzrokiem pomieszczenie. W pewnej chwili do jego uszu dotarł odgłos kapania, który zelektryzował go - to musiała być woda, tylko gdzie? Zerwał się na równe nogi i wsłuchując się w odgłosy padających kropeł, rozpoczął poszukiwania.

Ciekło z małej rurki, umieszczonej w suficie. Donat wysunął rękę i nałapał kropli w zagłębienie dłoni. Włączył latarkę, a kiedy ujrzał, że ciecz jest w miarę czysta, ostrożnie zbliżył dłoń do ust i dotknął jej językiem.

Tak, to była woda - co prawda o metalicznym posmaku - i kapało jej coraz więcej. Donat nałapał w dłoń płynu i przepłukał ostrożnie spierzchłe usta, następnie wziął kilka łyków - bał się pić więcej, oczekiwał na reakcję organizmu. Zresztą nie miał wody w co nabrać, toteż wykorzystał ją do umycia się, przecież wiedział i czuł, że był niesamowicie brudny. Powoli zdjął ubranie i stanął pod ściekającymi kroplami, ale upłynęło bardzo dużo czasu, zanim jako tako się umył. Teraz zdecydował się i ponownie zaczął pić, aż wreszcie ugasił palące go od dawna pragnienie. Odczuł teraz wielką ulgę, wytrzeptał z kurzu odzież, ubrał się powoli i podszedł do szybu; wspiał się teraz i zatrzymał przed klapą zamykającą szyb. Dotarł do niego nagły powiew chłodu. Szczelina w murze wieży była ciemna, a to znaczyło, że na zewnątrz panują nieprzeniknione ciemności. Nie docierał jednak do niego szmer padającego deszczu, toteż woda w dolnym pomieszczeniu musiała pochodzić z innego źródła, prawdopodobnie na dachu ruiny utworzył się szron. Resztę nocy Donat spędził na dole, jeszcze rankiem na zapas udało mu się zaspokoić pragnienie. Skapującą wodę pił teraz bez obawy, ponieważ ta wcześniej spożyta nie spowodowała u niego żadnych sensacji żołądkowych. Później wdrapał się po drabince w szybie na piętro, na którym ziała w murze budynku szczelina. Stojąc w niej, Donat uważnie obserwował otaczającą wieżę okolicę. Było już zupełnie widno, dawało się też odczuć, że temperatura na zewnątrz wzrastała z każdą chwilą. Pamiętając wczorajsze spotkanie z nieznanymi stworzeniami, Donat nie mógł się od razu zdecydować na zejście z wieży. Nie wiedział, gdzie jest, a na pustyni grasowały hordy dzikich zwierząt, toteż musiał zabezpieczyć sobie możliwość szybkiego powrotu w to miejsce na wypadek niebezpieczeństwa oraz znaleźć jakąś broń.

W pobliżu nie dostrzegł żadnych żywych istot, toteż po długiej chwili wahań przełamał wreszcie obawę i zsunął się ze szczeliny, zawisając na rękach na krawędzi muru. Po chwili zeskoczył na ziemię obok szyny opartej o ścianę. Stał przez dłuższą chwilę,

spokojnie nasłuchując, ale nic szczególnego się nie działo. Odszedł kilkanaście kroków od budynku i rozejrzał się w terenie - było pusto. Donat postanowił zabezpieczyć sobie powrót do bezpiecznego schronienia, i w tym celu zaczął znosić pod mur większe i mniejsze odłamki gruzu, usypując kopiec. Po godzinie pracy kopiec ze sterczącą z niego szyną był wystarczająco wysoki, aby mógł się bez problemu dostać do wieży.

Uspokojony tą sytuacją, ruszył na północny zachód, mając słońce za plecami. Wydmy skończyły się, ale za to przed nim pojawiły się nierówności terenu z mnóstwem kamieni i odłamów skalnych; wyglądało to na pustynię kamienistą. Szło mu się ciężko, ale ku swojemu zadowoleniu dostrzegł przed sobą rachityczne drzewo. Po chwili znalazł się przy nim, wyjął z torby scyzoryk i odpiłował jedną z prostszych gałęzi. Po krótkim czasie dysponował już solidną, zaostrzoną na jednym końcu pałką o długości prawie dwóch metrów. Poczł się teraz nieco bezpieczniejszy, chociaż wiedział, że taka broń jest mizerna w przypadku spotkania jakiegoś większego drapieżnika.

Pałka przydała się już po chwili, ponieważ spod najbliższego kamienia wysunął się wąż. To mogło być jedzenie, toteż Donat odczekał do odpowiedniego momentu i zdzielił gada w okolicy głowy. Jeszcze kilka uderzeń i już po chwili wąż znieruchomiał. Nie był zbyt okazały, mierzył niewiele więcej niż metr. Donat ostrożnie odciął gadowi głowę, zdarł z niego skórę i wypatroszył. Teraz należało go upiec, a do tego potrzebny był ogień i drewno. Donat pogrzebał w torbie i wyjął z niej szkło powiększające, z którym się nigdy nie rozstawał, ponieważ pomagało mu przy czytaniu. Nałamał gałęzi z drzewa, pozbierał strużyny powstałe podczas obrabiania pałki, i to wszystko ułożył w mały stos nieopodal drzewa. Wyjął z torby kartkę i umieścił ją pod wiórami, teraz skupił promienie słońca na papierze i już po chwili zapłonęło małe ognisko. Po przygotowaniu różna i nabiciu na niego mięsa można było przystąpić do pieczenia.

O, jakżeż długo piekło się to mięso, Donat nie mógł się doczekać, kiedy wbije zęby w pieczeń. Kiedy to się stało, łykał duże kawałki, nie przejmując się zbytnio mdłym smakiem jedzenia.

Po tak długotrwałym poście posiłek wspomógł siły wędrowca, toteż Donat po chwili zgasił ognisko i pomaszerował dalej. Wkrótce zrobiło się bardzo gorąco, słońce bezlitośnie obdarowywało spaloną ziemię swoimi promieniami. Donat wyjął z torby okulary

przeciwsłoneczne i założył na nos. Dziwił się coraz bardziej, gdzie się, u licha, podziały drogi, domy, samoloty w przestworzach? Nic, zupełnie nic, jakby się to wszystko rozplynęło w przestrzeni.

Wędrówka trwała kilka godzin i w tym czasie Donat przeszedł wiele kilometrów. Chciało mu się bardzo pić, lecz niestety nigdzie nie natrafił na bodaj najmniejsze źródło wody. Dopiero przed wieczorem, po wdrapaniu się na kamieniste wzgórze, dostrzegł ze szczytu błękit jakiegoś jeziora. Ten widok dodał mu sił, co spowodowało, że tuż przed zachodem słońca znalazł się na jego wysokim i urwistym brzegu. Poszukał miejsca, w którym mógłby zejść, i już po chwili zanurzał ręce w wodzie. Nie wyglądała na zbyt czystą, toteż w pierwszej kolejności Donat umył się, dopiero później poszukał innego miejsca, gdzie mógłby zaczerpnąć wody. Zdjął koszulkę, zawiązał w niej rękaw, a potem nasypał do niego piasku. Teraz nabierał w dłonie wodę i napełniał nią koszulkę; za moment pierwsze krople przeciekły przez piasek i dopiero ten płyn Donat odważył się wziąć do ust. Po chwili jako tako ugasił palące go pragnienie.

Noc spędził w małym skalnym wgłębieniu, które udało mu się odkryć w wysokim brzegu. Nie było tam wygodnie, jednak było to bezpieczne miejsce, gdyż żadne zwierzę nie odważyłoby się zejść ze stromej skały. Rankiem zmarznięty Donat napił się wypróbowanym sposobem wody, potem wypłukał koszulkę i taką mokrą założył na siebie - teraz mógł wyruszyć na rekonesans.

Okazało się, że jezioro powstało w wyniku wcześniejszego osunięcia się ziemi, co spowodowało szczelne zakorkowanie koryta płynącej dołem rzeki. Tak powstała niecka wypełniła się wodą, odprowadzaną w kilku oddalonych od siebie miejscach małymi wodospadami w dawne koryto rzeki. Donat skorzystał z okazji i wykopał się dokładnie pod jednym z takich małych wodospadów, uprał także noszone ubranie, które nosiło widoczne ślady kontaktu z ziemią i kamieniami po upadku do podziemnego korytarza.

Jedna rzecz dziwiła Donata: zwykle nad wodą mieszkało wiele ptactwa, jednak w tej okolicy jak do tej pory nie dostrzegł żadnego ptasiego okazu. Nie próbował już jednak włączyć telefonu komórkowego, zresztą bateria rozładowała się doszczętnie i nie było żadnego sposobu, aby ją naładować.

Donat starał się obejść jezioro dookoła w poszukiwaniu jakiejś osady lub chociażby jakiegokolwiek śladu życia. Okazało się jednak, że brzegi jeziora były strome i niedostępne, jego wody nie zachęcały także do kąpieli. Najdziwniejsze było jednak to, że na posiadanej mapie nie było ani śladu jeziora w bliższej i dalszej okolicy, natomiast w tym miejscu powinny się znajdować pierwsze zabudowania. Co to oznaczało? Czyżby to nie był ten świat? A może udał się w niewłaściwym kierunku? Ale nie, nie mógł się aż tak pomylić.

W ciągu dwóch dni pobytu nad jeziorem Donat dostatecznie się z nim zapoznał. Zauważył także dwukrotnie dość liczne hordy dzikich psów. Na szczęście wiatr wiał w kierunku przeciwnym, przez co uniknął jak na razie wykrycia. Okolica stawała się niebezpieczna, toteż Donat spędzał noce w skalnej grocie, odkrytej w dużej skale, górującej nad jeziorem. Tam też znosił zbierany w okolicy opał, na który składały się najczęściej suche trawy oraz twarde badyle jakiegoś zielska. Ogień rozpałał zwykle pod koniec dnia i podtrzymywał go do nocy. Dwa razy udało mu się schwytać węże, które stanowiły obecnie jego jedyną strawę.

Kolejnego dnia pobytu zawędrował ponownie w okolice wodospadu. Wykąpał się, wypróbowanym wcześniej sposobem ugasił pragnienie i zamierzał powędrować dalej w poszukiwaniu węży. Kiedy wyszedł z wąwozu, ujrzał przed sobą w odległości kilkudziesięciu metrów dużego dzikiego psa; prawdopodobnie był to zwiadowca psiej hordy. Ten widok zaniepokoił Donata, toteż dla bezpieczeństwa postanowił cofnąć się i przejść na drugą stronę koryta rzeki, co też bezzwłocznie uczynił. Daremnie; w chwili kiedy wychodził na brzeg, ujrzał po drugiej stronie małego jaru, który wyźłobiła płynąca woda, sylwetki innych zwierząt. Wiedział, że nie ucieknie, jedyny ratunek w czasie ataku stanowiło dotarcie do jeziora. Po chwili kilka psów usiłowało sforsować rzekę. Aby im to utrudnić, Donat zaczął obrzucać zwierzęta kamieniami. Na chwilę pomogło, jeden nawet oberwał porządnie, nie zniechęciło to jednak psów od polowania. Po prostu odbiegły dalej i próbowały sforsować rzeczkę w miejscu, w którym nie dosięgały ich kamienie. Zrobiło się groźnie, Donat przygotował pałkę do obrony i zbliżył się do brzegu jeziora. Wiedział już, że czekała go walka o życie, wniósł oczy ku niebu, jakby od Boga oczekując pomocy.

Potężny huk wydobywający się spod ziemi rozproszył ciszę dnia. W tej chwili pod stopami Donata zatrzęsł się grunt, a jego samego rzuciło na twardą skałę. Trzęsienie ziemi trwało kilkanaście sekund. Oszołomiony mężczyzna zerwał się na nogi, pamiętając o

atakujących go drapieżnikach, lecz z ulgą spostrzegł, że przerażone psy uciekły, pozostawiając go swojemu losowi.

Ziemia już się uspokoiła, toteż Donata zdziwił wzmagający się szum, działo się coś niezwykłego. Przestraszony, rozglądał się uważnie dookoła, starając się dociec, skąd dochodzi ten odgłos, gdy nagle poczuł ponowne drżenie ziemi pod stopami. Zbliżył się do krawędzi jeziora i spojrzał w dół. Ze zdziwieniem dostrzegł wartki nurt wody, przelewający się w jednym kierunku. Nagle zrozumiał - trzęsienie ziemi musiało odkorkować rzekę i teraz dziesiątki ton wody wlewały się w jej dawne koryto. Odszedł szybko dalej, z obawy, że rwące fale podmyją brzeg, i skierował się na północ, zamierzając dotrzeć do wzniesienia górującego nad jeziorem. Na miejscu znalazł się dopiero po godzinie marszu, wdrapał się na jego szczyt i spojrzał na jezioro.

Upływ wód był ogromny, a olbrzymia fala toczyła się dawnym korytem rzeki, zabierając wszystko ze sobą i rozlewając się błyskawicznie w szerszych miejscach. Poziom wody w jeziorze opadał w oczach i Donat zastanawiał się, jak długo potrwa całkowite osuszenie akwenu, teraz jednak nie miał tu już nic do roboty. Czuł ssanie w żołądku, a jeszcze nie znalazł niczego do jedzenia, gdyż stado psów, a później kataklizm przeszkodziły mu w tym. Zastanawiał się także, czy ta katastrofa nie spowoduje pojawienia się w tej okolicy jakichś służb.

Do końca dnia nic takiego jednak nie nastąpiło. Zniechęcony Donat odszedł w głąb kamienistej pustyni w poszukiwaniu węży, ale dopiero pod wieczór udało mu się upolować jednego. Prawdopodobnie był jadowity, ale Donat wiedział, że po odcięciu głowy gada nic mu nie będzie groziło. Oprawił go na miejscu, nie chcąc robić tego w pobliżu swojej tymczasowej bazy. W zagospodarowanej jaskini znalazł się przed wieczorem, niosąc także zebrane po drodze trawy, badyle i obcięte gałęzie napotkanych krzewów. Rozdmuchał węgle złożone pomiędzy kamieniami i rozpalił małe ognisko, na którym zamierzał upiec węża. Najgorsze było to, że nie miał sposobu, aby dostać się do wody, której poziom w jeziorze opadł już co najmniej o trzydzieści metrów. Uścielił sobie legowisko i trochę spragniony, usnął. Noc upłynęła spokojnie, ale nad ranem zrobiło się bardzo zimno.

Chłód i promienie wschodzącego słońca zbudziły Donata; wstał, załatwił potrzebę i zszedł nad brzeg jeziora. Widok był niezwykły, jezioro znikło, a jego niecka była obecnie

wypełniona błotnistym mułem, przez które przedzierał się mały strumień mętnej wody. Donat patrzył na ten niesamowity krajobraz powstały po trzęsieniu ziemi. Nigdy wcześniej nie było mu dane przeżyć takiego kataklizmu, przez co nie miał możliwości oglądania osobiście takich widoków. No nic, musiał się zatroszczyć o zdobycie wody do picia. Prawdopodobnie dotarcie do niej będzie możliwe z drugiej strony jeziora, tam gdzie wpływał strumień uprzednio je zasilający.

Do właściwego miejsca Donat doszedł dopiero po dwóch godzinach. Okazało się, że jezioro sięgało daleko w głąb górnego koryta rzeki, której brzegi były obecnie niedostępne na przestrzeni kilku kilometrów. Donatowi udało się jednak dotrzeć do wody i zastanawiał się teraz, co ma począć dalej. Nie uśmiechało mu się iść w górę rzeki i pokonywać kolejne wzniesienia, przedostał się zatem na jej drugą stronę i pomaszerował w dół, w stronę byłego jeziora. Nie wiedział, dlaczego tak robi, prawdopodobnie gnała go ciekawość, z drugiej strony miał nadzieję znaleźć w ocalałych stawach jakieś ryby do złowienia.

Po drugiej stronie jeziora droga była trudniejsza do przebycia, toteż powrót do bezwodnej niecki zajął mu dużo czasu. W swojej wędrówce dotarł do miejsca naprzeciwko wzniesienia, w którym założył sobie tymczasową bazę. Było oddalone od niego o jakiś kilometr; powiódł wzrokiem po skałach, szukając swojej jaskini. Znalazł ją niewyobrażalnie wyżej od dna jeziora, które w tym miejscu musiało znajdować się o kilkadziesiąt metrów poniżej dawnej jego powierzchni.

Wpatrując się tak w wyniosłą ścianę odległego brzegu, doznał dziwnego uczucia. Coś mu się tu nie zgadzało - w jednym miejscu, piętnaście metrów nad poziomem błotnistej dna, skalna ściana nie wyglądała na naturalną. Była zbyt regularna, brakowało w niej nierówności. Zaintrygowało go to, gdyż wyglądało na to, że coś się tam kryło, ale czy to było możliwe? Postanowił już dalej nie iść.

Powrót do bazy zajął mu kilka godzin, po drodze nie znalazł żadnego węża, za to przyniósł sporo gałązek i badyli na opał. Do zmroku pozostało jeszcze kilka godzin, toteż postanowił przyjrzeć się bliżej swojemu odkryciu. Nie było to takie proste, ponieważ ze stromego brzegu nie można było niczego zobaczyć, należało spuścić się dużo niżej lub wspiąć się tam z dna jeziora.

Przez kilka dni Donat szukał sposobu, aby się dostać do tajemniczego miejsca; ponieważ zrozumiał, że aby tego dokonać, musi poczekać na jakieś osuszenie się dna jeziora. Mogło to nastąpić w miarę szybko, ponieważ w ciągu kolejnych dni panował upał, wysuszający ziemię. Postanowił poczekać; ze względu na niebezpieczne zwierzęta bał się iść dalej, poza tym nigdzie mu się nie spieszyło. Zatracił już wszelką nadzieję na kontakt z cywilizacją, wyglądało na to, że na tej ziemi nie mieszkali ludzie. Wiedział już, jak może zaspokoić głód i pragnienie, toteż starał się zabezpieczyć sobie jakiś byt. Może go jednak ktoś kiedyś odnajdzie. Przecież przewodnik powinien zgłosić zaginięcie uczestnika wycieczki i powiadomić o tym fakcie także polski konsul w tym kraju.

Na osuszenie się tej części byłego jeziora Donat czekał dwa tygodnie. Przez ten czas szukał jakiegoś sposobu dostania się na dno w wybranym punkcie. Wreszcie okazało się, że przy odrobinie wysiłku i wytrwałości możliwe było zejście w oddalonym o trzysta metrów miejscu.

Po dwóch dniach udało mu się dostać do podnóża brzegu, nad którym górował szczyt, gdzie założył bazę. Tak, tam rzeczywiście były jakieś wrota, i to olbrzymie, ale tak zasmarowane zaschniętym błotem, że trudno było je zobaczyć. Przed dotarciem do nich Donat przyjrzał się dokładnie ścianie. Wdrapanie się na tych kilkanaście metrów w górę nie wydawało się trudne, ponieważ zastygłe grudy błota prawie sformowały stopnie do wrót. Po kilku próbach stanął przy nich. Znajdowały się kilka metrów w głębi skalnej ściany, tak że można było bezpiecznie stanąć na skalnym lub błotnym występie. A więc jednak istniała tu jakaś cywilizacja, tylko kto i po co zbudował te wrota i ukrył je pod wodą? No, nieważne, ale co kryje się za nimi?

Okazało się, że zbudowane są z jakiegoś metalu odpornego na korozję. Kawałek ich powierzchni wyczyszczony z błota był matowy i chropowaty, poza tym zupełnie nie odbijał światła. Przez kilka dni Donat starał się znaleźć jakiś sposób na dostanie się do środka, jak na razie nie było to jednak możliwe. Ta sytuacja powodowała, że niecierpliwił się coraz bardziej - w tym dziwnym świecie takie schronienie rozwiązałyby wszelkie jego problemy. Byłoby bezpieczne, a poza tym może odkryłby tam źródło wody, czy też dałoby się znaleźć jakąś broń lub narzędzia. Ponadto wyjaśniłaby się być może jego sytuacja - chciał przecież wiedzieć, gdzie wyniósł go niezwykły pojazd, który później został wysadzony w powietrze.

Mały wąż w olbrzymich wrotach prowadzący do wewnątrz znajdował się dwa metry powyżej poziomu zamocowania wrót. Prowadziły do niego niewielkie, wysuwane ze ściany szczeble; kiedy Donat je odkrył, zabiło mu mocniej serce. Kilka godzin zajęło mu wysuwanie i oczyszczanie kolejnych stopni, aż wreszcie dotarł do wjazdu, który także oczyścił z błota.

Od dłuższego czasu głowił się, jak dostać się do środka. Na ścianie nie było widać żadnych uchwytów ani zamków. Musiał się także zatroszczyć o siebie, ponieważ stracił wszelką nadzieję, że zostanie odnaleziony. W ciągu kolejnych dni polował na węże i zapuszczał się daleko w górę rzeki, aby zaspokoić pragnienie. Zamienił swoje dotychczasowe miejsce w jaskini na legowisko u podnóża wrót, bo wydawało mu się, że tu jest najbezpieczniej. W dalszym ciągu odczuwał strach przed drapieżnikami, tym bardziej że któregoś dnia z oddali, ukryty za stertą kamieni, obserwował walczące ze sobą dwa stada psich drapieżników. Widziane zwierzęta były ogromne, prawdopodobnie zmodyfikowane genetycznie; pokrótce okazało się, że polowały na siebie, pokonani zostali bowiem pożarci. Innym razem zobaczył zwierzę podobne do kota - przemykało się pomiędzy kamieniami, pewnie polowało na jaszczurki, a może na owady, bo jakieś tam chrząszcze widział. Mało było ptaków na tym obszarze, widocznie znalazły sobie bardziej przyjazne miejsca do żerowania.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że ten świat był wrogi i należało się tu mieć stale na baczności, aby nie stracić życia, bowiem zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że w każdej chwili może się stać zwierzyną łowną.

Którejś nocy ziemia zatrzęsała się ponownie i Donat z trudem utrzymał się na skalnej półce. Obawiał się, że stok zbocza ponownie osunie się w koryto rzeki i ją zatarasuje, co spowoduje z kolei gromadzenie się wody w dawnej niecce jeziora. Na szczęście jego obawy rozproszył rekonesans dokonany rankiem w okolice dawnego osuwiska. Wracając do bazy, Donat obchodził drugi brzeg jeziornej niecki, szukając czegoś do zjedzenia. Udało mu się upolować dwie nieduże jaszczurki oraz zebrać trochę opału. Jaszczurki oprawił na miejscu, nie chcąc wskazywać drapieżnikom swojej chwilowej bazy, później pomaszerował dalej. Nie zauważył nawet, kiedy zatrzymał się na brzegu niecki naprzeciwko wrót. Uniósł głowę i kiedy tak się im przyglądał, dostrzegł ze zdziwieniem, że w pewnym miejscu skała ponad nimi popękała i powstała w niej rozległa szczelina. Domyślił się, że był to na pewno efekt wczorajszego trzęsienia ziemi, ponieważ wcześniej tej szpary nie dostrzegł. To odkrycie tak



go podekscytowało, że postanowił jak najszybciej sprawdzić, co to jest.

Jeszcze tego samego dnia Donat podjął wysiłki, aby się dostać do widzianej uprzednio szczeliny. Okazało się, że nie była widoczna z miejsca pod wrotami. Musiał podjąć się trudnej wspinaczki po skalnej ścianie, co kosztowało go wiele trudu i wysiłku, poza tym podarł na sobie ubranie i pokaleczył ręce, ale udało mu się.

Okazało się, że pęknięcie w masywie góry utworzyło długą szparę, sięgającą kilkudziesięciu metrów w jej głąb; nie była zbyt obszerna, ale jak zauważył, możliwe było dostanie się do wewnątrz zbocza. Mimo że zbliżał się wieczór, Donat zagłębił się w szczelinę; schodziła ona ukośnie w dół i po chwili mężczyzna natknął się na podłogę zbudowaną ludzką ręką. Właściwie nie była to podłoga, lecz sufit pomieszczenia znajdującego się za wrotami. Wciskając się głębiej, dostrzegł, że szczelina kieruje się ukośnie w dół wzdłuż betonowej ściany, i mimo ciemności przedzierał się nią dalej. W dwóch miejscach musiał się czołgać, aż wreszcie poczuł pod ręką poszarpane pęknięcie w ścianie. Zatrzymał się teraz i spróbował przecisnąć się przez szparę w murze. Okazało się, że nie było to możliwe w tym miejscu, trzeba było zejść jeszcze trochę niżej. Po kilku nieudanych próbach przecisnięcia się przez szczelinę Donat znalazł się ostatecznie w pomieszczeniu skrywanym za grubym na dwa metry metaliczno-betonowym murem. Panowała tu nieprzenikniona ciemność i żeby ją choć trochę rozproszyć, wyjął telefon i próbował wykrzesać z niego odrobinę światła. O dziwo, ku jego zaskoczeniu udało mu się to, bateria wysuszona na słońcu złapała jakieś resztki energii i po chwili mrok podziemi rozświetlił nikły promień światła.

Na ile udało mu się zorientować, znajdował się w podziemnym, rozległym korytarzu, którego strop unosił się na wiele metrów ponad nim. Donat skierował się teraz do wrót, chcąc odszukać i otworzyć mały, wbudowany w nie właz. Prowadziła do niego mała drabinka, pod nią znajdował się mały podest, na który się wdrapał. Stojąc przy włączniku, zorientował się, że jego zamki kontrolowało jakieś urządzenie elektroniczne, kiedy się jednak dobrze przyjrzał mechanizmowi, okazało się, że możliwe było otwarcie tego włazu także w trybie awaryjnym - ręcznym. Spróbował, i ku jego zdziwieniu metalowa kłapa odchyliła się bez większego wysiłku na zewnątrz. Po chwili struga dziennego światła rozświetliła korytarz za nim, a Donat mógł wydostać się swobodnie przez powstały otwór i stanąć na ostatnim szczeblu drabinki prowadzącej do skalnej półki pod wrotami.

Na dzisiaj miał już dosyć wrażeń. Pozostawił otwarty właz, zabezpieczając go na wszelki wypadek przed samoistnym zamknięciem, i zszedł. Zapadł właśnie zmrok, toteż Donat dorzucił suchej trawy i rozdmuchał węgle ogniska, a gdy się rozpałiło, przystąpił do upieczenia upolowanych jaszczurek. Odczuwał pragnienie, lecz nie miał już wody, ale świadomość, że udało mu się otworzyć właz, dodawała mu nowych sił. Po skromnym posiłku legł na skalnej półce, wsłuchując się w odgłosy nocy. Długo nie mógł zasnąć, wciąż rozmyślał o tym, co go spotkało, i zastanawiał się, czy kiedykolwiek dotrze do cywilizacji.

Wraz ze świtem Donat przygotował sobie skromne śniadanie z resztek wczorajszej kolacji. Chciało mu się pić, ale sama myśl o kilkukilometrowym marszu odebrała mu siły. Nie miał bowiem żadnego naczynia do przechowywania wody, mimo że usilnie starał się znaleźć jakiś sposób na jej gromadzenie. Popatrzył na niebo - coś się zmieniło w atmosferze, słońce było zamglone i zrywał się wiatr. Niechybnie szykowała się burza i trzeba było poszukać schronienia. Donat zmajstrował sobie z trawy i badyli kilka pochodni, zanurzył koniec jednej z nich w tłącym się żarze ogniska, a gdy zaczęła się palić małym płomykiem, zabrał torbę ze swoimi rzeczami oraz pozostałe pochodnie i wspiął się po drabince do półprzymkniętego włazu. Po chwili znalazł się po drugiej stronie wrót.

Przez otwarty właz sączyło się światło, rozświetlając długi korytarz, znajdujący się za grubymi wrotami. Donat starał się przyzwyczać oczy do panującego mroku, a później, trzymając przed sobą płonąca pochodnię, pomaszerował w głąb. Przeszedł tak około pięćdziesięciu metrów, gdy nagle okazało się, że korytarz skończył się. Donat zaczął w świetle pochodni oglądać ścianę. Sprawiała wrażenie przesuwanej, po chwili odkrył w niej masywne koło z uchwyty. Położył pochodnię na podłodze i spróbował poruszyć kołem. Ani drgnęło. Spróbował pokręcić w drugą stronę, nie przyniosło to spodziewanego efektu. Przyjrzał się uważnie urządzeniu i dostrzegł na nim blokadę, usunął ją i ponowił próby. Po chwili koło drgnęło i zaczęło się powoli obracać w jedną stronę. W tej samej chwili do jego uszu dotarł jakiś chrobot i ściana kończąca korytarz drgnęła. Donat ponowił wysiłki; teraz koło obracało się lżej i po chwili w ścianie pokazała się szczelina, która coraz bardziej się rozszerzała.

Donat zablokował koło i podszedł do szpary; poczuł na sobie powiew chłodnego, stęchłego powietrza. Coraz bardziej zaintrygowany, przecisnął się przez otwór. Uniósł pochodnię, oświetlając większą przestrzeń przed sobą. Pochodnia już się wypalała, przeto

zapalił drugą, rzucając niedopałek pierwszej na podłogę.

Po drugiej stronie ściany także znajdował się korytarz, który wiódł gdzieś dalej w głąb górotworu. Było tu ciemno i Donat obawiał się iść dalej, wiedząc, że nie starczy mu pochodni, i bojąc się niewidzialnych przeszkód lub pułapek. Ściany szerokiego w tym miejscu korytarza były obudowane jakimś nieznanym materiałem, przypominającym granit, a na podłodze obok wąskiej niby-jezdni znajdował się ułożony z dużych płyt chodnik. Donat obejrzał dokładnie ścianę, przegradzającą korytarz, oraz jego obie ściany. W jednej z nich natknął się na jakiś przycisk. Kiedy go nacisnął, otworzyły się małe drzwiczki, za którymi w małej niszy znalazł kolejne przyciski i dźwignię. Na bocznej ścianie niszy widniały piktogramy i niezrozumiałe napisy. Pamiętał swoją przygodę z nieznanym pojazdem, toteż w świetle małego płomienia przyjrzał się uważnie piktogramom. Po chwili, kierując się intuicją, pociągnął za dźwignię i przesunął ją w położenie przeciwstawne.

Przez chwilę nic się nie działo, aż w pewnym momencie w jego najbliższym otoczeniu rozbłysło światło - to zapaliły się małe niewidoczne lampki. Pochodnia nie była już potrzebna, toteż Donat szybko rzucił ją na podłogę; po chwili jej płomień przygasł. Zrobił kilka kroków w ciemność i przed nim zapaliły się kolejne lampy - niebawem zorientował się, że dalsze włączają się na odgłos jego kroków.

Światło nie było silne, ale wystarczające, aby mógł obejrzeć najbliższe sobie otoczenie. Ściany wysokiego korytarza były zakurzone, także na podłodze było pełno białego pyłu. Na przeciwległej do skrzynki z przyciskami ścianie dostrzegł koło podobne do widzianego po drugiej stronie przegrody. Nie miało założonej blokady i prawdopodobnie było odpowiednikiem tamtego za drzwiami. Pokręcił - przekręcało się łatwo - i po chwili drzwi korytarza zamknęły się, pokręcił w drugą stronę i drzwi się ponownie rozchyliły.

Donat zamknął ostatecznie drzwi, obawiając się nieproszonych gości, i pomaszerował w głąb. Światła przed nim rozpałały się, aby po ich minięciu zgasnąć. Korytarz był bardzo długi i męczył go zastanawiając się, dokąd go zaprowadzi, ale prawdę miał dopiero poznać po przejściu około pięciuset kroków. Korytarz kończył się podobną do pierwszej ścianą z kołem. Obawiał się je ruszyć, przecież z drugiej strony mogło się kryć niebezpieczeństwo, ale przemógł obawy i nim pokręcił. Powoli, bardzo powoli ściana zaczęła się rozstępować, otwierając szeroką szczelinę, z której powiało chłodem i stęchlizną.

Donat przedostał się na drugą stronę i poczuł nagły zawrót głowy - zdawało mu się, że przed nim otworzyła się olbrzymia hala, niemająca końca. Cofnął się teraz i spróbował otworzyć przejście na całą szerokość. Gdy to uczynił, światło korytarza, w którym stał, przedarło się przez drzwi. W jego bladych pobłyskach ujrzał na bocznej ścianie taki sam przycisk jak widziany wcześniej. Podeszedł śmiało i nacisnął go, po chwili otworzyła się skrzynka w ścianie i Donat namacał dźwignię, przestawił ją i w tej samej chwili rozbłysły odległe, nieregularne punkciki światła, ujawniając tajemnicę podziemnej budowli.

Stał na podeście, z którego rozpościerał się widok na rozległą, okrągłą halę o średnicy dochodzącej chyba do trzystu metrów. Była bardzo wysoka, ale to będzie można sprawdzić, jeśli zejdzie się z podestu po schodach. Na samym środku tej dziwnej hali, skrywającej się pod kopułą ze srebrzystego metalu, stał na wielu wspornikach osobliwy pojazd, przypominający z tej odległości statek kosmiczny z ledwo wystającymi z kadłuba skrzydłami. Donat stał przez dłuższą chwilę, oniemiały ze zdziwienia, przez głowę przelatywały mu tysiące myśli.

Gdzie się dostałem? Co to za cywilizacja? Czy ktoś pilnuje tego statku?

Po zastanowieniu się doszedł do wniosku, że miejsca tego powinny strzec urządzenia elektroniczne. Kiedy ochłonął, zaczął się rozglądać dookoła, chcąc dostrzec strażników niezwykłego podziemnego schronu, ale mimo że się uważnie rozglądał, nie dostrzegł żadnej żywej istoty ani robota. Obawiał się, że może zostać ostrzelany, napromieniowany lub pochwycony przez ochraniające to miejsce urządzenia. Pamiętał przecież wybuch, który zniszczył jego wehikuł. Przestraszył się bardzo z tego powodu, ale nie miał wyjścia, nie wiedział, co się właściwie stało, do jakiego świata przeniósł go niezwykły pojazd znaleziony w podziemnym korytarzu i czy tu istnieje jakaś przyjazna człowiekowi cywilizacja.

Postanowił działać, nie miał powodu stać i trząść się ze strachu, musiał przecież w jakiś sposób wybrnąć z trudnej sytuacji, w którą wpakował go los. Zszedł po metalowej drabince na dno schronu, a może hali produkcyjnej, i pomaszerował w kierunku niezwykłego statku. Uwagę Donata zwróciła gruba warstwa pyłu czy też kurzu, która zalegała podłogę hali i niektóre przedmioty stojące w niej. Kiedy szedł, pozostawiał za sobą ślady stóp na podłodze. Wyglądało na to, że od wielu lat nikt się nie pojawił w tym miejscu. Po chwili stał już obok

niezwykłego kosmolotu.

Statek był olbrzymi. W półmroku słabo widział, ale był przekonany, że jego długość przekracza zapewne sto pięćdziesiąt metrów. Przy szerokości około sześćdziesięciu metrów i wysokości trzydziestu wyglądał jak budynek, nieco szerszy na końcu, o dziwnym, opływowym kształcie, niestosowanym w budowie obiektów latających w dwudziestym pierwszym wieku. Ta potężna maszyna, bo jakby nazwać inaczej ten gmach, stała na szesnastu wspornikach, które wynurzały się z obu stron z kadłuba i na dole rozszerzały się w kwadratowe platformy, wyglądające jak stalowe, zakurzone płyty. Wsporniki były niesłychanie cienkie, a kadłub statku wisiał jakieś cztery metry nad Donatem, toteż zadrżał w pierwszej chwili, że cały ten olbrzymi gmach zwali mu się na głowę po ich dotknięciu. Musiały być jednak wyprodukowane z jakiegoś niesłychanie twardego i wytrzymałego materiału, jeśli utrzymywały z dziecinną łatwością tak olbrzymi ciężar.

Donat obszedł powoli statek, oglądając jego podbrzusze i burty, pozostawiając za sobą linię śladów w kurzu podłogi. Mimo że się uważnie rozglądał w dość dobrym świetle sączącym się z lamp umieszczonych pod sufitem, nie mógł dostrzec żadnego otworu wejściowego do statku. Wreszcie dotarł do miejsca, z którego wyruszył na oględziny.

- Ale przecież jakieś wejście musi tam być - powiedział do siebie głośno.

Spojrzał w górę. W odległości kilkunastu metrów nad poziomem podłogi znajdowało się coś w rodzaju wysuniętej linijki szerokiej na kilka metrów. Donat dopiero teraz skojarzył sobie, że może to być pomost prowadzący do statku, chociaż od jego skrzydła dzieliło go około pięciu metrów. Postanowił dostać się na ten pomost, ale droga do niego prowadziła przez metalowe schody, które zaczynały się przy wejściu do hali. Musiał tam powrócić, ale nagle spostrzegł, że światła lamp bledną i wygaszają się powoli. Przestraszył się, szybko pobiegł w miejsce, w którym złożył pochodnie, ale nie miał ich jak zapalić. Podczas gorączkowego grzebania w torbie natknął się na okulary, które znalazł wcześniej przy zwłokach pasażera pojazdu zagrzebanego w podziemnym korytarzu na pustyni. Wyjął je odruchowo i chciał ponownie schować, kiedy nagle spostrzegł, że patrząc przez jedno szkło, widzi dokładnie podłogę. Zdumiało go to niezmiernie, wsunął je na nos i ze zdziwieniem spostrzegł, że stanowią one coś w rodzaju noktowizora. To stanowiło rozwiązanie problemu poruszania się w ciemnościach. Dziwił się tylko, że wcześniej nie odkrył właściwości tych

okularów - byłyby mu bardzo pomocne. Po chwili wspinał się już po schodach, aż wreszcie dotarł do pomostu.

To rzeczywiście był pomost - zabezpieczony z obu stron siatką, nie sięgał burt statku. Wisiał w powietrzu, umocowany na kilku niezwykle cienkich linkach. Gdy Donat doszedł do jego krańca, dostrzegł na boku końcowej osłony pomostu wystający prostokątny element z dziwnymi przyciskami. Próbował wciskać kolejne guziki, lecz nie spowodowało to żadnej reakcji - prawdopodobnie zabrakło energii do poruszenia pomostu.

Jak się tam zatem dostać?

Nagle przypomniał sobie, że wcześniej widział wiszącą na ścianie dość długą drabinę. Może uda się ją wykorzystać? To była dobra myśl. Donat zszedł z pomostu i cofnął się do korytarza, chcąc znaleźć poszukiwany sprzęt.

Po półgodzinie powrócił, ciągnąc za sobą drabinę, położył ją na podłodze pomostu i spróbował przesunąć w stronę skrzydła statku. Udało mu się to bez trudu, ponieważ drabina mimo swojej długości była niezwykle lekka i już po chwili jej koniec oparł się o burtę u podnóża skrzydła. Donat sprawdził jej mocowanie, a gdy okazało się stabilne, ukląkł i usiadł na drabinie, która nie była wcale taka szeroka. Powoli przesunął się teraz w stronę skrzydła. Starał się nie patrzeć w dół, aby nie doznać zawrotu głowy - był przecież kilkanaście metrów ponad podłogą hali. Wreszcie dotarł do miejsca, w którym, jego zdaniem, powinno być wejście do statku, na co wskazywało samo umieszczenie pomostu.

Stojąc na ostatnim szczeblu, oparty o burtę, wpatrywał się bezskutecznie w ścianę przed sobą, próbując dostrzec na niej zarys włazu lub chociażby nawet jego ślad. Nie doszukał się niczego takiego, toteż zrezygnowany, postanowił powrócić na pomost. Próbując zmienić pozycję na drabinie, uniósł się nieco na nogach i przesunął trochę dalej. Zrezygnowany, ze złością uderzył ręką w jakąś ciemniejszą plamę, odznaczającą się na ścianie na wysokości jego twarzy, i nagle, ku jego niepomiernemu zdziwieniu, plama ta rozszerzyła się w czerwony kwadrat, na którym rozbłysła na niebiesko rozpostarta dłoń.

Donat stał przez chwilę, zaskoczony, aż nagle uświadomił sobie, że to musi być urządzenie elektroniczne, które powinno działać podobnie jak te widziane w pojeździe, który

przeniósł go do tego świata. Teraz bez wahania przyłożył prawą rękę do miejsca, w którym zaświeciła się na kwadracie dłoń. Przez chwilę nic się nie działo, aż w pewnej chwili na burcie statku zarysowały się i otworzyły drzwi chronione drżąca, nieprzeźroczystą, migotliwą ścianą wyglądającą tak, jakby była zbudowana z przepływających miniaturowych pęcherzyków powietrza. Donat z wahaniem wsunął rękę w tę ścianę, lecz ku jego zdziwieniu nic się nie stało, czuł tylko lekkie mrowienie. Teraz bez obawy przecisnął się przez otwór drzwiowy, który natychmiast zasklepił się za nim, nie pozostawiając żadnego śladu na ścianie.

Stał teraz w niewielkiej grodzi wejściowej, z której nie było wyjścia, oświetlonej sączącym się ze ścian łagodnym światłem. Zdjął okulary, nie były tu już potrzebne. Rozglądając się po pomieszczeniu, dostrzegł zawieszone na przeciwległej ścianie małe pudełko, przypominające telefon komórkowy. Oderwał je - stawiało lekki opór, ale już po chwili znalazło się w jego dłoni. Na aparaciku widniał tylko jeden przycisk, po chwili wahania Donat wcisnął go. W tej samej chwili usłyszał w głowie melodyjny dźwięk, po którym rozbrzmiały słowa wypowiedane miękkim, delikatnym głosem. Donat z zaskoczeniem stwierdził, że mimo iż rozumie treść słów, to w żaden sposób nie może rozpoznać języka, w jakim są wypowiedane. Zamienił się zatem cały w słuch.

- Nieznany przybyszu - witamy cię na pokładzie Zielonego Psa. Nie wiemy, jakim językiem władasz, dlatego przemawiamy do ciebie językiem telepatycznym, zrozumiałym dla każdej inteligentnej istoty.

Chcemy cię poinformować, że jesteś ostatnią myślącą żywą istotą w tym świecie, albowiem jest on wymarły od ponad trzystu lat. Cywilizacja ludzka, która zasiedlała ten glob, została unicestwiona w następujących po sobie wojnach i wywołanych nimi kataklizmach oraz pandemiach. Mimo że nie ma już istot ludzkich, to jednak Ziemia tego świata oraz przyległy do niej kosmos są do tej pory naszpikowane narzędziami zagłady, zdolnymi do unicestwienia każdej żywej istoty.

Obiekt, w którym przyszło ci się znaleźć, został stworzony przez ostatnich mieszkańców tej planety i miał służyć jako ostatnia deska ratunku. Niestety, jego konstruktorzy, rekrutujący się z wybitnych naukowców tej epoki, nie przetrwali, lecz wiedząc, że ktoś jeszcze mógłby przeżyć, przygotowali statek dla tych nieznanых istot.

Zbudowana przez nich konstrukcja została zabezpieczona w podziemnym schronie, którego wejście zalano wodą po zasypaniu koryta rzeki. Jednocześnie, aby uchronić przed niebezpieczeństwem nieznane istoty, które odnajdą schron zostały przez nich zablokowane wszystkie urządzenia ochronne.

Teraz, kiedy znalazłeś się na pokładzie, stałeś się tym samym jedynym i niezaprzeczalnym właścicielem statku, bowiem z chwilą przyłożenia dłoni do urządzenia rejestrującego na burcie dokonany został zapis w centralnym komputerze i od tej pory wszystkie urządzenia oraz roboty będą posłuszne tylko tobie. Dysponując tym statkiem, staniesz się niewątpliwie najpotężniejszą istotą na Ziemi. Mamy nadzieję, że mądrze wykorzystasz posiadaną władzę.

Rozkazuj więc i rządz, nasz dowódco. Abyś mógł bez problemów korzystać ze wszystkich urządzeń znajdujących się na pokładzie, jeden z oczekujących aktywnych cyborgów poprowadzi cię do centrali, aby zapoznać cię z nimi. Jeśli jesteś gotowy na to spotkanie, wciśnij jeszcze raz przycisk na pudełku. Nie lękaj się, na pokładzie Zielonego Psa nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.

Przez kilka chwil Donat stał oniemiały, po chwili wcisnął guzik na płaskim pudełku. W tej samej chwili otworzyły się drzwi w ścianie grodzi i pojawiła się w nich młoda, niezmiernie piękna dziewczyna. Donat przyglądał się jej ze zdziwieniem. W niczym nie przypominała robota, gdyby o tym nie wiedział, bez najmniejszego wahania wziąłby ją za człowieka. Po chwili usłyszał przekaz telepatyczny, to mówiła do niego dziewczyna:

- Jestem robotem, androidem zbudowanym na kształt człowieka, a właściwie jego żeńskim odpowiednikiem posiadającym cechy kobiece, czyli fembotem. Moim imieniem jest właściwie numer produkcyjny, natomiast ty możesz mi nadać imię, jakie tylko zechcesz. Jeśli jesteś gotowy - pójdz za mną.

Donat poszedł za fembotem, który prowadził go korytarzami do wnętrza statku. Co chwila otwierały się przed nimi zupełnie niewidoczne w ścianach automatyczne drzwi, aby zamknąć się w taki sam sposób po ich przekroczeniu. Robot zaprowadził go do windy i posadził na ławeczce, drzwi automatycznie się zamknęły i nie dało się nawet odczuć, że winda ruszyła. Kiedy zatrzymała się na właściwym poziomie, wysiedli i po otwarciu



kolejnych drzwi znaleźli się w dużym pomieszczeniu.

- Znajdujemy się na pokładzie medycznym - dotarł do niego przekaz. Konieczne jest zbadanie twojego ciała i wyeliminowanie wszelkich schorzeń i okaleczeń.

Po tym przekazie automat skierował się ku odległej ścianie, w której nagle otworzył się tunelowy korytarz.

- Rozbierz się teraz - zakomunikował.

Donat zrzucił z siebie brudne ubranie i ułożył je na najbliższym stole.

- To, co widzisz przed sobą, jest urządzeniem medycznym, które spowoduje, że podczas przejścia przez jego tunel nastąpi rozkład żywej istoty na atomy, a jej genom zostanie utrwalony w medycznej bazie danych aparatu. Inne urządzenie medyczne wykorzysta ten zapis do wprowadzenia zmian w twoim DNA i genotypie w celu jego korekty. Zmiany te pozwolą na przywrócenie brakujących członków, ubytków kostnych, a także zębów. Z organizmu zostaną usunięte wszelkie ciała obce, niebezpieczne wirusy i bakterie. Korekta genotypu może przywrócić wzrok, mowę, a także młodość i sprawność organizmu, nie pomniejszając możliwości umysłowych. Wychodząc z tunelu, zachowasz pamięć sprzed procesu odtwarzającego. Czy zgadzasz się na wejście do tunelu?

Donat skinął głową i machinalnie odpowiedział: tak. Zdziwił się, kiedy zobaczył, że fembot zrozumiał go.

- Ile chcesz mieć lat po ukończeniu procesu? - zapytała maszyna.

- Dwadzieścia - odpowiedział bez namysłu.

Fembot przyłożył rękę do ściany, a później palcami dłoni wcisnął jakiś kod i w tym samym momencie wejście do tunelu zostało zakryte ścianą płynu, przypominającego rtęć.

- Wejść - padła komenda.

Donat bez zastanowienia przekroczył srebrną ścianę i ze zdziwieniem spostrzegł, że znajduje się w innym pomieszczeniu, bliźniaczo podobnym do poprzedniego, a przed nim stoi android.

- Co się stało? - zapytał.

- Jesteś już po badaniu, spójrz w lustro i przyjrzyj się sobie.

Na ścianie rozbłysło nagle lustro i Donat mógł spojrzeć na siebie. Oniemiał ze zdziwienia. Przed nim stał młody, wysportowany człowiek z bujną, brązową czupryną. Powiódł językiem po zębach i zdumiał się, nie czując żadnych ubytków, jego wzrok także jakby się wyostrzył. Spojrzał na fembota, a ten, ku jego zdziwieniu, odezwał się do niego poprawną polszczyzną.

- Przeszedłeś badanie i rekonstrukcję. Masz teraz dwadzieścia lat, twój kościec został wzmocniony, a z organizmu usunięto wszystkie toksyny. Jednocześnie została zeskanowana w bazie danych twoja pamięć i doświadczenia, a także języki, jakimi się posługujesz. Komputer, po przeanalizowaniu zasobów twojej pamięci uznał, że najlepiej władasz językiem polskim, i dlatego do wszystkich urządzeń elektronicznych tego statku zostały wprowadzone zapisy w tym właśnie języku. Czy chciałbyś coś zmienić w tej materii?

- Nie - odpowiedział.

- W takim razie udamy się teraz do centrum dowodzenia statkiem. Tam zapoznasz się z jego budową, wyposażeniem i możliwościami. Chodź za mną - zakomenderował fembot i zbliżył się do ściany, dotknął jej ręką i w tej samej chwili stała się ona w jednym miejscu srebrno-matowa. - Posłużymy się korytarzem teleportacyjnym - powiedział automat, zagłębiając się w ścianę.

Donat przeszedł przez drzwi w ślad za maszyną i znalazł się w innym, dość dużym pomieszczeniu, którego centralną część zajmował duży, półokrągły stół, a na głównej ścianie widniał symbol dużego, uśmiechniętego, zielonego psa.

- Znajdujemy się w punkcie dowodzenia - zakomunikował Donatowi android,

zbliżając się do stołu.

Dotknął krawędzi stołu, na którym nagle pojawiła się klawiatura dotykowa z licznymi przyciskami i piktogramami, a ściany pomieszczenia zamieniły się w ekrany emanujące jasnozielonym światłem. Jednocześnie ze stołu wysunął się fotel, zapraszając Donata do zajęcia w nim miejsca. Donat usiadł i teraz fembot wcisnął któryś z piktogramów. W tej samej chwili salę wypełniły słowa wypowiedane w języku polskim melodyjnym kobiecym głosem.

- Nazywam się JANO i jestem centralnym komputerem. W tej chwili znajdujesz się w sali dowodzenia Zielonym Psem, bo tak konstruktorzy nazwali ten obiekt. Łączy on w sobie funkcje łodzi magnetycznej, pojazdu naziemnego, statku powietrznego, okrętu, łodzi podwodnej, a także promu kosmicznego. Ale nie to jest jego główną cechą i przeznaczeniem. Jest to przede wszystkim wehikuł czasu, który może przenieść cię na dowolny poziom czasowy, zarówno w przód, jak i wstecz. Zostałeś teraz jego jedynym dowódcą i wszystkie urządzenia będą ci posłuszne. Statek jest sprawny technicznie i w pełni wyposażony, dysponuje także pełną mocą reaktorów atomowych. Teraz, jeśli sobie tego życzysz, zapoznam cię z budową tej niezwyklej maszyny.

Przez dwie godziny Donat przebywał w sali dowodzenia, słuchając komputera i zadając pytania. Komputer zrelacjonował wszystko w sposób jasny i skrótowy, wyświetlając w trakcie wykładu właściwe obrazy na ścianach sali. Posługiwał się przy tym językiem polskim poprawnie, stosując właściwe zasady gramatyczne i stylistyczne. Na zakończenie seansu zwrócił się do Donata z przesłaniem.

- Pobyt w tym zdegenerowanym świecie nie jest bezpieczny. Kiedy dostałeś się do schronu, uaktywniły się jego urządzenia, przez co miejsce stacjonowania statku może być namierzone przez maszyny bojowe znajdujące się na przyległym obszarze i w kosmosie. Aby uniknąć niebezpieczeństwa, konstruktorzy wehikułu zaprogramowali jego przemieszczenie na bezpieczny poziom czasowy. Statek powinien znaleźć się tam jak najszybciej. Jeśli się zdecydowałeś, wciśnij odpowiedni guzik na pulpicie. Znajduje się on w jego części centralnej.

Donat rozejrzał się i zobaczył wynurzające się ze środka blatu małe pudełko. Uniósł

się z fotela i dotknął palcem piktogramu. Pudełko rozsunęło się natychmiast, ukazując duży, czerwony przycisk. Spojrzał na stojącego w bezruchu obok niego fembota, ten uśmiechnął się do niego przyjaźnie. Donat wcisnął guzik i w tym momencie w sali rozbrzmiał melodyjny, miękki głos:

- Uwaga, uruchomiłeś przycisk inicjujący przeniesienie się na inny poziom czasowy. Pozostań w centrali, w tym czasie wszystkie urządzenia statku podejmą zaprogramowane czynności. Proces przemieszczania się w tunelu czasoprzestrzennym będzie trwał dwie godziny. Po tym czasie korytarz czasowy zamknie się za wehikułem.

Donat siedział w fotelu, gdy w tym czasie na ekranie sali wyświetlały się napisy informujące o gotowości kolejnych urządzeń do startu. Po chwili ekran zgasł i w tym momencie komputer powiadomił dowódcę, że proces przemieszczania się w czasie właśnie się rozpoczął.

Wehikuł zmaterializował się ostatecznie w Afryce na terenie dzisiejszej Tunezji. Chronometr wyświetlił na ekranie przewidywany czas, w którym powinien się znaleźć statek po dokonanej transferze. Okazało się, że było to sto osiemdziesiąt tysięcy lat przed Chrystusem. Kiedy przeskok w korytarzu czasowym ostatecznie się zakończył, rozbrzmiał sygnał dźwiękowy i w tej samej chwili ściany sali stały się nagle przezroczyste, dzięki czemu Donat mógł wejrzeć w otaczający wehikuł krajobraz tego pierwotnego świata.

Widok był dla niego oszałamiający - zniknęły nagle ściany podziemnego schronu, otaczające uprzednio statek - teraz stał on na porośniętej trawą łące, a przed nim rozpościerał się widok na rozległe jezioro. Komputer pokładowy, odpowiedzialny za podróże czasowe, objaśniał wyświetlane obrazy. Okazało się, że widziane jezioro jest pozostałością wcześniejszych - były one rozległe, a powstały jakieś dwieście pięćdziesiąt tysięcy lat temu i rozlewały swe wody na terenach dzisiejszego Egiptu, Sudanu, Libii i Czadu. Największe jezioro zajmowało wtedy powierzchnię około sześćdziesięciu ośmiu tysięcy kilometrów kwadratowych, teraz było jednak zapewne znacznie mniejsze. Na pozostałości jednego z ówczesnych licznych jezior Donat właśnie spoglądał.

Podróż czasową zniósł dobrze i teraz, korzystając z usług fembota, postanowił zapoznać się z urządzeniami oraz wyposażeniem. Z tego powodu przez wiele dni, jako nowy

dowódca statku, nie opuszczał go. W pierwszej kolejności fembot pokazał mu pomieszczenia kuchenne, komnaty do odpoczynku, a także zespoły łazienkowe i inne, służące do odnowy biologicznej. Później, oprowadzany przez niego, zwiedzał pokłady czasolotu: fabryczne, magazynowe, badawcze, rolnicze, w tym także ten najważniejszy, na którym mieściła się siłownia wehikułu. Po zapoznaniu się z wyposażeniem Donat przeskoczył w czasie do okresu bliższego człowiekowi i zmienił miejsce pobytu, przemieszczając się z Afryki na tereny Ameryki Północnej.

## Zielony Pies

Donat siedzący w sterowni statku, lecącego na wysokości pięciu kilometrów nad ziemią, szukał dogodnego do lądowania miejsca. Wystartował rankiem z Afryki, przeleciał nad Atlantykiem i teraz przemierzał kontynent Ameryki Północnej. Kabina, w środku której był zawieszony, przypominała kulę, a jej ściany stanowiły wyświetlane obrazy przesuwającej się wokół przestrzeni, co umożliwiało bezpieczne obserwowanie trasy przelotu. Za plecami pilota i z jego boków nie pojawiał się żaden obraz wewnętrznych urządzeń statku, za to pod maszyną przesuwał się jednostajnie krajobraz, wśród którego dominowała zieleń lasów, błękit wód rzek i jezior, czasami pojawiały się rozległe polany. Widok był fascynujący, a sam lot odbywał się w zupełnej ciszy.

W pewnym momencie przed Zielonym Psem ukazało się małe jezioro ukryte w starym lesie, w sam raz dogodne na lądowisko. Donat skierował tam maszynę i już po chwili zawisła ona nad wybranym miejscem, po czym zaczęła się powoli zniżać. Na monitorze wyświetlił się obraz dna akwenu, a inne czujniki rejestrowały objawy życia w lasach otaczających jezioro; obrazy żywych istot wyświetlane były na drugim ekranie, wraz z danymi ich dotyczącymi. System bezpieczeństwa nie sygnalizował jednak zagrożeń, toteż z podbrzusza statku wysunęły się metalowe wsporniki, które wraz z obniżaniem jego lotu zagłębiły się w jezioro, a gdy ich końcówki dotknęły dna, rozszerzyły się w platformę, tworząc tym samym stabilną i trwałą podstawę dla pojazdu. Długość wsporników dostosowała się automatycznie do ukształtowania dna, co spowodowało, że automaty ustawiły czasolot w idealnej pozycji nad powierzchnią jeziora.

W kabinie sterowniczej wyświetlił się błyskawicznie piktogram oznaczający wylądowanie i wszystkie systemy kierowania maszyną wygasły, a konsola sterująca skryła się w podłodze. Teraz Donat mógł opuścić pomieszczenie ukryte na dziobie statku. Gdy wstał z fotela, ten automatycznie wsunął się w podłogę. Donat podszedł teraz do drugiego monitora i uruchomił stacjonarny system bezpieczeństwa statku. Spowodowało to włączenie się czujników ruchu rozmieszczonych w różnych punktach na burtach, a wspomagające je komputery wyświetlały na monitorze obraz otaczającego terenu lub kierowały go do osobistego urządzenia, będącego na wyposażeniu członków załogi. Donat pozbył się teraz kombinezonu pilota, który zawiesił w ściennej szafie. Gdy zbliżył się do drzwi, te automatycznie rozwarły się, otwierając przed nim drogę na korytarz.

Donat zamierzał przeprowadzić mały rekonesans w terenie, jednak przed wyjściem ze statku musiał się odpowiednio do tego przygotować. Udał się zatem w kierunku jednego z bocznych wyjść czasolotu i tam, w pomieszczeniu wyposażeniowym, przebrał się w strój ekspedycyjny. Przejrzał się teraz w lustrze, sprawdzając swój wygląd. Miał na sobie długie spodnie wchodzące w buty, bluzę z krótkimi rękawami i mnóstwem kieszeni i kieszonek, a na głowie kapelusz z szerokim rondem. Do pasa grawitacyjnego przymocował pojemnik na urządzenie, umożliwiające mu kontakt z systemem komputerowym statku oraz nóż. Rękojeść plazmowego miecza ukryta była w przeznaczony do tego celu kieszeni pasa. Na plecach zawiesił średniej wielkości plecak, przeznaczony na zebrane w terenie okazy i trofea.

Zadowolony z dokonanej wizji, zbliżył się teraz do ściany, w której po naciśnięciu oznaczonego miejsca otworzył się luk, kryjący podręczny magazyn broni. Rozejrzał się w tym inwentarzu i pobrał karabin grawitacyjny, sprawdził stan naładowania jego baterii, po czym zamknął szafkę. Teraz opuścił pomieszczenie i udał się do komory wyjściowej znajdującej się w prawym, krótkim przednim skrzydle komory zaopatrzonej w gródź. Przyłożył rękę do czerwonego kwadratu widniejącego na ścianie na wysokości jego głowy, a kiedy obok niego objawił się niebieski kwadrat klawiatury dotykowej z symbolami, wcisnął palcami drugiej ręki właściwy kod. Miejsce w ścianie, w którym powinny znajdować się drzwi, stało się nagle przezroczyste, co umożliwiło dokonanie lustracji pomieszczenia. Po naciśnięciu jednego z wyświetlonych symboli drzwi grodzi otworzyły się i Donat wszedł do środka. Po przyłożeniu dłoni do analogicznego kwadratu na ścianie wewnętrznej grodzi i naciśnięciu przycisku, jej drzwi zamknęły się za nim i miejsce to stało się nieprzezroczyste.

Teraz Donat zbliżył się do przeciwległej ściany z wyznaczonymi kolorem czerwonym drzwiami. Znalazł mały czerwony kwadrat z klawiaturą dotykową i powtórzył procedurę otwierającą drzwi na zewnątrz. Miejsce w ścianie stało się najpierw przezroczyste, a później, po wprowadzeniu kodu, rozsunęło się na obie strony. Przechodząc przez drzwi, Donat poczuł mrowienie - to zadziałało urządzenie zabezpieczające polem magnetycznym wejście. Wyszedł do kolejnego pomieszczenia i powtórzył procedury zabezpieczające. Drzwi zasunęły się. Teraz otworzył przy pomocy widocznego czerwonego guzika klapę w podłodze. Nie zdecydował się na wykorzystanie pasa grawitacyjnego, lecz wcisnął urządzenie uruchamiające schody ruchome. Po chwili wysunęła się z podłogi platforma, zapraszając Donata do wejścia. Gdy to uczynił, pokierował nią uchwytem sterującym w taki sposób, że zsunęła się na zewnątrz po utrzymującej ją listwie i zawisła na jej końcu.

Owiało go ciepłe powietrze i dotarł do niego szum liści w kołysanych wiatrem koronach drzew. Rozejrzył się teraz - okazało się, że czasot stał w jeziorze, oparty na sześciu podporach, oddalony o około sześć metrów od najbliższego brzegu; jego brzuch był zawieszony na wysokości pięciu metrów ponad poziomem lustra wody.

Okolica wydawała się bezpieczna, czujniki nie wskazywały żadnego zagrożenia, toteż chcąc zejść na brzeg jeziora, uruchomił specjalny podest, który na grawitacyjny sygnał wysunął się z krawędzi platformy, przybrał odpowiednią długość, po czym opuścił się, łącząc statek z brzegiem. Po chwili uruchomiły się schody ruchome i Donat zjechał nimi na ziemię. Po opuszczeniu statku schody i platforma wróciły na miejsce, a drzwi automatycznie zamknęły się.

Donat spojrział w górę. Wyjście ze statku znajdowało się w jego części przedniej w prawym skrzydle. Z podręcznym plecakiem zawieszonym na plecach i z bronią na ramieniu ruszył w las. Odsunąwszy się kilkanaście metrów od jeziora, wcisnął właściwy kod w zegarkopodobnym przyrządzie umocowanym na ręku i nagle statek zniknął, stając się w jednej chwili niewidzialny. Nie stanowił zagrożenia dla ptaków i zwierząt, ponieważ radiowy sygnał odstraszał je od jego burt. Teraz mógł wędrować dalej, rozciągający się przed nim teren porośnięty był rzadkim lasem, tworząc tym samym rozległy park. Przestrzeń między drzewami zarastała leśna trawa. Drzewa w tym pralesie były bardzo grube i wysokie, a kiedy Donat zbliżył się do jednego z nich, spostrzegł ze zdziwieniem, że był to dorodny dąb, chociaż z daleka wyglądał na zupełnie inne drzewo. W dalszej drodze Donat, rozglądając się

uważnie dookoła, kroczył przez wysokie gdzieniegdzie trawy. Las nie był pusty, od czasu do czasu udawało mu się dostrzec stojące lub pasące się jelenie i sarny. Gdy je mijał, obrzucały go zaciekawionym spojrzeniem, lecz nie uciekały - zapewne człowieka widziały po raz pierwszy w życiu i nie wiedziały, czym im takie spotkanie może grozić.

Zamiarem Donata było rozejrzenie się w okolicy, ewentualnie upolowanie jakiejś drobnej zwierzyny w rodzaju ptaka lub zająca, myślał także o zebraniu leśnych owoców i grzybów. W tym celu niósł ze sobą płócienną torbę w plecaku. Wkrótce znalazły się w niej pierwsze grzyby, gdyż Donat nie mógł w lesie przejść obojętnie obok okazów dorodnych borowików czy też kurek lub koźlarzy. Grzybobranie zresztą było jego największą pasją życiową, pielęgnowaną od czasów dzieciństwa. W wędrówce natknął się na krzaki soczystych malin. Zatrzymał się w tym miejscu na dłużej, zrywając soczyste, przejrzałe owoce i wkładając je do ust. Gdy miał już dosyć słodczy, sięgnął do plecaka i wyjął z niego duży, trzylitrowy pojemnik; teraz zrywane owoce wrzucał do niego, wypełniając go po niedługiej chwili po brzegi dorodnymi malinami.

Z żalem patrzył na apetyczne kulki malin. Najadł się już ich do syta i wiele zebrał do pojemnika, ale szkoda mu było pozostawiać tyle dorodnych owoców. Zreflektował się wreszcie, przeciągnął z rozkoszą i wyszedł z krzaków. Stał tak przez chwilę nieruchomo, nasłuchując leśnych odgłosów: szelestu liści, skrzypienia potężnych pni, kołysanych podmuchami przelotnego wiatru, brzęczenia owadów - istna sielanka. Zrobiło się teraz gorąco, w lesie przy jego dnie nie było czuć powiewu powietrza i Donat zaczął się pocić. Włożył pojemnik z owocami do plecaka, chwycił w rękę torbę z grzybami, po czym popatrzył na korony drzew. Szukał teraz miejsca, w którym najłatwiej byłoby unieść się ponad poziom lasu. Wkrótce znalazł takowe i gdy tam stanął, uruchomił pas grawitacyjny. Donat unosił się teraz powoli nad ziemią, dążąc bezustannie w górę. Było to dziwne wrażenie dla człowieka - frunąć w powietrzu jak ptak. Po chwili pas wyniósł go ponad korony drzew i Donat poczuł powiew gorącego wiatru.

Pas grawitacyjny umożliwiał podniesienie człowieka oraz towarzyszącego mu bagażu na wysokość siedemdziesięciu pięciu metrów ponad poziom gruntu, a także szybowanie w powietrzu na dowolnej, ograniczonej zasięgiem wysokości z szybkością do dwudziestu kilometrów na godzinę. Udźwig pasa wynosił sto sześćdziesiąt kilogramów, co pozwalało na dowolne dysponowanie bagażem i mogło unieść w górę nawet bardzo masywnego człowieka.



Pas mógł być wykorzystywany także w charakterze przenośnego dźwigu, umożliwiającego taszczenie upolowanego zwierzęcia do bazy. Kierowanie nim polegało na wciskaniu i przesuwaniu odpowiednich przycisków i dźwigni na jego sprzączce, a także w inny sposób, przy pomocy urządzenia podobnego do zegarka, zaopatrzonego w klawiaturę, umieszczonego na ręku użytkownika.

Las widziany z góry wyglądał inaczej. Unosząc się nad wierzchołkami drzew, Donat spoglądał na ich korony, tworzące bezkresne leśne morze. Przesunął dźwignię i pas przeniósł go kilkadziesiąt metrów dalej; tutaj Donat zmniejszył oddziaływanie grawitacyjne i urządzenie opuściło go na poziom gruntu.

Rozejrzał się dookoła i ruszył w kierunku dużej polany, widocznej z daleka. Gdy się znalazł na jej brzegu, ujrzał, że schronienie na niej znalazło stado jeleni. Przyglądał się pasącym się zwierzętom, szukając machinalnie potencjalnej ofiary. Zastanowił się chwilę - dźwiganie dorodnej dużej sztuki upolowanej zwierzyny zajmie mu dużo czasu, planował raczej upolowanie mniejszej zdobyczy. Jednak do tej pory taka nie napatoczyła się po drodze, natomiast tutaj jelenie wystawione były na strzał.

Podjął ostateczną decyzję, zdjął z ramienia karabin grawitacyjny i ustawił na jego kalkulatorze rozmiar pocisku. Mogły mieć one różną wielkość, można było także strzelać małymi grawitacyjnymi kulkami wystrzeliwanymi w charakterze śrutu o zaprogramowanej średnicy obłoku. Możliwy był także do ustawienia zasięg i siła uderzenia pocisku, jednak nie każdemu było dane strzelać z takiej broni. Zabezpieczenie przed jej wykorzystaniem przez niewłaściwe osoby stanowiły odciski palców i dłoni strzelca, odczytywane przez całą powierzchnię tej broni przyszłości, wprowadzone uprzednio do programu jej komputera.

To była niezwykła broń. Mimo upływu tysiącleci nie zmieniono jej kształtu, przez co przypominała karabin stosowany w dwudziestym wieku, jednak jego konstrukcja była zupełnie inna. Karabin, o długości całkowitej tysiąca trzystu milimetrów, zbudowany z jakiegoś nieznanego Donatowi metalu, był lekki i odporny na uderzenia i wpływy atmosferyczne. Nie wymagał także czyszczenia; błoto i piasek nie przylepiały się do niego. W kolbie ukryta była bateria, mały reaktor wytwarzający energię powstałą z rozbicia jąder atomów wodoru, która kumulowała się podczas wystrzału. Zamek broni - to był mechanizm wytwarzający sztuczną grawitację i kierujący ją w odpowiednim kierunku, w tym wypadku

do lufy. Jej koniec był rozszerzany w zależności od tego, jakiej wielkości pociskiem grawitacyjnym się strzelało, przybierał nawet rozmiary małego sitka, gdy chciałoby się strzelać śrutem. Paliwo tej baterii stanowiła kostka sprasowanego wodoru, umieszczonego w specjalnym magazynku przed spustem; starczało go na oddanie więcej niż dziesięciu tysięcy strzałów. W pasie była ładownica-schówek na trzy takie magazynki. Z karabinu można było strzelać w tradycyjny sposób, natomiast jeśli było potrzebne przybliżenie celu lub obraz nocny, należało popatrzeć w wysuwający się z zakończenia zamka wizjer z komputerowym widokiem celu. Broń wyposażono również w mały komputer o dużej mocy, który wyświetlał informację na boku kolby i dał się programować także głosem. Mógł zaś udzielać odpowiedzi albo głosem, albo telepatycznie poprzez urządzenie umieszczone na głowie strzelca.

Jeleń trafiony grawitacyjnym pociskiem padł na ziemię jak rażony gromem. Stado nie zareagowało na upadek jednego ze zwierząt, ponieważ strzał był bezgłówny. Donat podszedł teraz spokojnie do ubitego stworzenia i przyjrzał mu się z bliska. W jego lewym boku widniał mały otwór, przez który wyciekała krew. Jelenie widząc wychodzącego na polanę człowieka, oddaliły się na jej drugi brzeg. Donat obejrzał swoją zdobycz i uznał, że nie warto będzie jej taszczyć, szkoda byłoby także przerywać rekonesans, jednak tusza powinna się znaleźć jak najszybciej w czasolocie. Był na to jeden sposób - teleportacja.

Wydostał z pasa małe urządzenie, przypominające ołówek, nacisnął guzik na jego końcu i ołówek rozciągnął się na długość około półtora metra. Teraz Donat puścił przycisk, przekręcił małe kółko na końcu tego niezwykłego pręta i z całej jego długości zaczął się wysuwać materiał. Wkrótce osiągnął półtora metra długości i zeszytniał. Niezwykle urządzenie utworzyło kwadratową, świecąca matowo tafłę i zawisło bez niczyjej pomocy w powietrzu nad ziemią na pożądaną wysokość. Donat zbliżył się do zwierzęcia i spróbował wpechnąć je w te kwadratowe drzwi, okazało się to jednak trudne, ponieważ tusza była ciężka, toteż musiał posłużyć się pasem grawitacyjnym. Po chwili ciało zwierzęcia zniknęło w portalu, to znaczy dokonana się teleportacja do czasolotu, i zostało umieszczone w komorze towarowej. W celu zabezpieczenia mięsa Donat przedostał się także przez portal do wnętrza statku i będąc już w komorze towarowej, umieścił jelenia na platformie magnetycznej, zaprogramował urządzenie i skierował je do właściwej chłodni. W dalszej kolejności pozbył się także pojemnika z malinami, biorąc w zamian drugi, próżny. Teraz przeskoczył z powrotem przez portal znajdujący się w pomieszczeniu statku na leśną polanę i zwinął przy pomocy pokręta materiał wystający z pręta. Po chwili pręt przybrał kształt ołówka i znalazł

się na swoim miejscu w pasie Donata. Można było teraz kontynuować wędrówkę.

Zadowolony z siebie podróżnik opuścił polanę i skierował się na wschód. Po dłuższym marszu drogę zagroził mu leśny strumień o szerokości około sześciu metrów, jego dno było kamieniste. Donat przykucnął na brzegu, wpatrując się w wodę - leniwy nurt nie stanowił zagrożenia, jednak strumień wydawał się głęboki, a duże głazy zniechęcały do brodzenia w wodzie. Poszedł zatem wzdłuż brzegu, szukając lepszego miejsca do przejścia na drugą stronę. Nie znalazł takiego, toteż musiał użyć pasa grawitacyjnego. Stojąc już na drugim brzegu, wpatrywał się w czyste wody i udało mu się zobaczyć pstrąga lub troć. Żałował teraz przez chwilę, że nie zabrał ze sobą wędki, ale przypomniał sobie, że przecież wylądował w jeziorze. Będzie więc okazja, żeby złowić jakąś smakowitą rybę, a może nawet dwie.

Zaabsorbowany wypatrywaniem w wodzie ryb, zaniedbał zachowania bezpieczeństwa, toteż mocno się wystraszył, słysząc gromki ryk. Odwrócił się szybko i ujrzał przed sobą w odległości sześciu metrów potężne zwierzę. Był to prawdopodobnie tygrys szablozębny; jego masywna sylwetka budziła lęk, a otwarty pysk z potężnymi zębami kazał się spodziewać najgorszego. Donat widział, jak drga ogon zwierzęcia i jak jego ciało zaczyna się prężyć do skoku. Przez głowę przebiegła mu myśl o użyciu karabinu, lecz porzucił ją, opierając rękę na pasie grawitacyjnym. Wpatrując się ze skupieniem w pałające żądzą mordy oczy tygrysa, przesunął dźwignię uruchamiającą pas, i nagle, w jednej chwili wzniósł się na wysokość piętnastu metrów ponad ziemię. Za chwilę przesunął się nad strumień i patrzył teraz z góry na drapieżnika.

Zniknięcie zwierzyny wywołało u tygrysa konsternację, dostrzegł gwałtowny wyskok i wpatrywał się teraz z nienawiścią w niedoszłą ofiarę, wiszącą nad potokiem. Natomiast Donat zastanawiał się teraz, co dalej począć - przebywanie w jednym miejscu z niebezpiecznym drapieżnikiem nie zachęcało do dalszej wędrówki i mogło grozić poważnymi konsekwencjami. Musiałby zachować czujność, z drugiej strony, czy warto było zabijać takie piękne zwierzę?

Trzeba było się jednak zdecydować. Po chwili Donat zdjął z ramienia karabin, zaprogramował go i skierował lufę ku tygrysowi. Bezgłośny strzał i po chwili widok osuwającego się na ziemię cielska upewnił mężczyznę, że nie spudłował. Odczekał chwilę,

następnie ponownie wycelował i wypalił tym razem w łeb potężnego drapieżnika. Uderzenie pocisku wstrząsnęło cielskiem zwierzęcia, w jego głowie pojawił się następny otwór po grawitacyjnej kuli. Drapieżnik nie ruszał się, toteż Donat mógł się teraz bezpiecznie opuścić na ziemię w jego pobliżu. Podszedł do tygrysa i trącił go nogą - zwierzę niewątpliwie było martwe. Przyjrzał się mu teraz dokładnie. Potężne zwierzę - podobne do lwa, charakteryzowało się krótkim ogonem i dużą głową. Pokryte było brązowym futrem, z wyłączeniem podbrzusza, które było białe. Jego waga musiała oscylować w granicach dwustu kilogramów, czyli był lżejszy niż obecnie żyjące tygrysy. Wszystko wskazywało na to, że był to Smilodon, który w tej epoce zamieszkiwał obie Ameryki. Donat zastanawiał się teraz, czy zdjąć ciężką skórę i wyłamać zęby zwierzęcia. Okazało się jednak przy bliższych oględzinach, że tygrys był stary i wyleniały, jeden z potężnych zębów był w jednej trzeciej ukruszony, a cała skóra cuchnęła łojem i padliną. W tej sytuacji problem rozwiązał się sam i Donat odstąpił od zabrania upolowanego trofeum, pozostawiając martwe zwierzę w lesie.

Donat nie zdecydował się jednak na dalszy marsz w kierunku, skąd przybył tygrys, przeniósł się zatem przy pomocy pasa grawitacyjnego ponad potokiem i po wylądowaniu skierował w stronę przeciwną do kierunku jego biegu. Strumień wił się wśród ogromnych drzew, czasami marsz utrudniały krzewy porastające gęsto jego brzegi, co w końcu spowodowało, że podróżnik odszedł od strumienia i pogrążył się w pralasz. Nie uszedł daleko, ponieważ zaniepokoił go ruch wśród odległych drzew. Wpatrzył się w leśny pejzaż. Przez długą chwilę nic się nie działo, aż nagle w pewnym momencie przed jego oczami ukazał się potężny ptak, zmierzający szybko w jego kierunku - wyglądem swoim bardzo przypominał Titanisa. Olbrzymie ptaszysko, które do późnego pliocenu i wcześniej zamieszkiwało Amerykę Południową, dotarło również do Ameryki Północnej, można je było spotkać w Teksasie i na półwyspie Florydy. Wymarło podobno piętnaście tysięcy lat temu.

Donat oczekiwał spokojnie na jego zbliżenie, gdy nagle zauważył, że z jego prawej strony pojawił się drugi taki sam ptak. W tej sytuacji nie ryzykował i uruchomił pas grawitacyjny, który uniósł go na wysokość około dziesięciu metrów nad poziom gruntu.

Uczynił to w samą porę, ponieważ po chwili pod nim znalazło się kilka Titanisów - było to polujące stado tych nielotów. Ucieczka niedoszłej ofiary wprawiała je w szal, toteż wylądowały swą wściekłość, skacząc wysoko - na próżno, żadnemu z nich nie udało się dosięgnąć Donata. Ten, wisząc nad nimi, mógł się teraz dokładnie przyjrzeć widzianym

ptakom. Miały chyba od dwóch i pół do trzech metrów wzrostu, ich kończyny uzbrojone były w trzy wielkie szpony, z głów wyrastały potężne dzioby, natomiast ich czubki ozdobione były przepięknymi pióropuszcami. Zgromadzone na dole, trzepotały w podnieceniu krótkimi skrzydłami, poza tym były bajecznie kolorowe.

No tak, patrząc na potężne ptasie drapieżniki, Donat zrozumiał, że nastał kres jego dalszej wędrówki. Te ptaszyska nie odpuściłyby mu, tropiłyby go zawzięcie, co powodowałoby, że musiałby stale zachować czujność. Można je było wystrzelać, ale Donatowi zrobiło się żal tych ptaków, nie był egoistą - to ich świat, a on był w nim intruzem. W tej sytuacji nie uśmiechała mu się dalsza wędrówka, ten czas nie był zbyt przyjazny dla człowieka, zdecydował się zatem na powrót do czasolotu. Uznał jednak, że w następnych eskapadach bardziej bezpieczne będzie posłużenie się łodzią magnetyczną.

Ze względu na pierzaste potwory nie mógł opuścić się na ziemię, zatem wznosił się na maksymalną wysokość, na jaką pozwalał pas, i poszybował ponad drzewami w kierunku maszyny. Ze zdziwieniem zauważył przemykające się na dole ptaki; śledziły go i podążały jego tropem, licząc, że osiągną go, w chwili gdy spadnie na ziemię.

Niedoczekanie wasze - pomyślał sobie i włączył urządzenie naprowadzające. Po czterdziestu minutach pas grawitacyjny przeniósł go nad jezioro, nad którym, niewidoczny dla oka, stał chronolot. Donat wycisnął odpowiedni kod na zegarku umocowanym na rękę, co spowodowało, że zasłona maskująca nagle zniknęła i maszyna ukazała się w swojej pełnej krasie.

Donat wylądował na dachu i zbliżył się do wystającej z kadłuba wypukłości. Po podaniu odpowiedniego kodu z wnętrza wynurzyła się klatka windy. Donat położył rękę na czerwonym kwadracie, widniejącym na jej ścianie, i rozpoczął procedury związane z dostaniem się na pokład statku; po odkażeniu znalazł się wreszcie wewnątrz. Zabiegi te nie były potrzebne przy teleportacji, ponieważ wszelkie niebezpieczeństwa związane z mikrobami usuwał związany z nią system.

Donat pozbył się wyposażenia, umieszczając je na swoich miejscach, i pomaszerował teraz do windy grawitacyjnej, aby się przedostać na piętro mieszkalne czasolotu. Już od dłuższego czasu jego żołądek upominał się o swoje prawa, wędrówka w terenie zaostrzyła

apetyt, toteż myślał tylko o tym, aby się dostać do domowej kuchni, gdzie oczekiwały na niego prace związane z oprawianiem upolowanego jelenia oraz z przebieraniem owoców i grzybów. Co prawda spiżarnie czasolotu były obficie zaopatrzone, lecz była to żywność Donatowi obca, być może nieprzyswajalna przez jego organizm, prawdopodobnie spreparowana syntetycznie lub pochodząca z produktów inżynierii genetycznej. Mimo tego nie pozbywał się tych zapasów, ale starał zaopatrzyć się w nowe, bardziej przyjazne dla człowieka z jego epoki. Jeśli znajdzie jakieś dobre miejsce na założenie bazy, wtedy ulokuje w niej zbędny prowiant. Jednak, jak na razie, takiej bazy nie znalazł - co prawda zbytnio też jej nie szukał.

Winda zatrzymała się na pokładzie mieszkalnym, Donat opuścił ją i przeszedł szerokim korytarzem do wyświetlonego na jego ścianie obrazu drzwi. Przyłożył rękę do czerwonego kwadratu i wprowadził kod je otwierający. Przechodząc przez otwór, poczuł mrowienie i owiał go strumień powietrza, drzwi zamknęły się automatycznie za nim i oto Donat stał teraz w pięknym parku, otaczały go olbrzymie drzewa, a nad nim wisiało ogromne, żółte słońce. Za nim także rozpościerał się las. Oczywiście to wszystko było tylko imitacją holograficzną, wyświetlaną przez komputer, ale ten hologram podobał mu się najbardziej. Zresztą widoki można było dowolnie zmieniać i programować. Jeśli podobał mu się jakiś krajobraz, mógł go sfilmować podczas ekspedycji i materiał przesłać do komputera statku, później ten obraz mógł być emitowany w części mieszkalnej lub innej. Wyświetlany holograf dostosowywał się do pory dnia - jeśli na zewnątrz świeciło słońce, tutaj było tak samo, jeśli była noc, na tym piętrze także panował mrok. Można też było wyjść przed dom i oglądać krajobraz emitowany na żywo z zewnętrznych kamer statku, co pozwalało na śledzenie wszystkich objawów życia wokół niego. Najfajniej było nocą, bo można było się porządnie wystraszyć, zwłaszcza że do tego pomieszczenia docierały także dźwięki z najbliższego otoczenia.

W głębi sali ukrywał się gdzieś wśród zieleni mały drewniany domek, bardzo podobny z wyglądu do starego szlacheckiego dworku, znanego mu z terenów Polski. Donat ruszył teraz ścieżką biegnącą wśród drzew parku, i po chwili znalazł się przed nim. Wokół ścian rosło kilka niewielkich drzew; były one żywe, ale niepodobne do żadnych mu znanych. Musiały powstać w wyniku inżynierii genetycznej i prawdopodobnie miały jakieś wyznaczone zadania. Pewne było, że wydzybiały podczas asymilacji o wiele więcej tlenu niż te z jego czasów. Drzewa te podobały się Donatowi, jednak postanowił sobie, że sprowadzi na pokład

trochę naturalnych, cieszących oczy roślin. Widocznie ludzie przyszłości czuli jakiś sentyment do przeszłości, lubili takie widoki i tęsknili do minionego prostego życia. Doszedł go teraz śpiew ptaków i poczuł na sobie lekki powiew wiatru, który zaszeleścił liśćmi imitowanych i żywych drzew.

Dom zbudowany z jakiegoś nieznanego gatunku drewna, lub jego substytutu, prezentował się okazale. Wewnątrz było sporo pomieszczeń urządzonych według gustów ludzi przyszłości, zresztą Donat wiedział, że wystrój pokoi można było łatwo zmieniać. Ten dom stanowić miał zapewne coś w rodzaju obiektu wypoczynkowego, zaopatrzonego we wszystkie wygody, być może była to siedziba dowódcy statku. Pion mieszkalny, mieszczący kilkadziesiąt wygodnych i w miarę dużych mieszkań i sal mieszkalnych, miał wygląd prostokąta i przebiegał przez wszystkie piętra wydzielonych części statku, zaraz za korytarzem oddzielającym je od części dziobowej. W części mieszkalnej wydzielone były miejsca na restauracje, kawiarnie oraz kuchnię. Donat mógł właściwie zająć dowolny lokal, ale w zaistniałej sytuacji wolał zamieszkać w domku znajdującym się w dużym parku.

Po chwili znalazł się w swoim pokoju, rozebrał się i udał do łazienki. Nagi, ustawił się w wybranym miejscu i uruchomił natrysk. Otoczyło go pole siłowe - magnetyczna, nieprzepuszczalna i przezroczysta kotara, a po chwili poczuł na całym ciele mgiełkę rozpylonej wody, nasączonej jakimś łagodnym środkiem czyszczącym. Żadna kropla nie wydostała się poza kotarę, niemniej nie przeszkadzała ona kąpielącemu się w przemieszczaniu. Ściekająca woda zniknęła w jakiś niewytłumaczalny sposób w podłodze, w której nie było widać żadnego otworu ściekowego - mimo to podłoga była zawsze sucha. Co prawda można było i użyć normalnego natrysku, jednak Donat lubił właśnie ten rodzaj kąpieli.

Po chwili mgła rozproszyła się, a magnetyczna kotara zniknęła. Nie było potrzeby używania ręcznika, ponieważ włosy i ciało były suche i pachnące. Donat wrócił do pokoju, przebrał się i udał do kuchni.

Kuchnia stanowiła dla niego w pierwszym okresie wielką niewiadomą, lecz po przestudiowaniu telepatycznej i wizualnej instrukcji i skorzystaniu z pomocy fembota umiał się już w niej poruszać. Zjechał teraz wewnętrzną windą na niższy poziom i dotarł do chłodni, w której odnalazł się upolowany przez niego jeleń. Po uruchomieniu urządzenia przesyłającego jego ciało zostało przemieszczone z chłodni do innej sali i znalazło się na

rzeźnickim stole. Po włączeniu następnego urządzenia, kierowanego głosem, tusza zwierzęcia uniosła się i zawirowała w magnetycznej kuli, w której ultradźwiękowe noże rozpoczęły proces jej rozbioru. Wycięte kawałki mięsa zostały przesłane do odrębnej zamrażarki, skóra natomiast powędrowała do garbarni, w której została wyprawiona z zadziwiającą szybkością i skierowana do przechowalni. Pozostałości jelenia nienadające się do użytku, po zapytaniu automatu rzeźnickiego, zostały skierowane do plazmowej spalarni, w której zamieniły się w gaz.

Donat zbliżył się do zamrażarki i dotknął jej ścianki. Wyświetlił się na niej obraz zawartości wraz z pojawiającymi się po wskazaniu palcem na wyświetlanym obrazie produktów danymi dotyczącymi wagi, świeżości, stanu zamrożenia i tak dalej. Mężczyzna wskazał palcem wybrane kawałki mięsa i powędrowały one do kuchennej lodówki. Wrócił teraz do domku i po dotarciu do kuchni wcisnął dłońią przycisk w jej ścianie. Wynurzyła się z niej szafa, która okazała się zautomatyzowaną kuchnią - można było na niej gotować, smażyć, dusić, i tym podobnie. Po jej otwarciu Donat zdjął z półki jeden z pojemników, przypominający wyglądem szklany garnek. Wskazał na ścianie lodówki żądane mięso, a ta wyrzuciła je na blat kuchennego stołu. Donat oczyścił mięso w wodnej mgłę, pociął je na odpowiednie porcje kuchennym nożem, a następnie wrzucił do szklanego naczynia. Zadysponował pieczeniem. Patelnię postawioną na kuchni okryła fala drżącego powietrza i rozpoczął się oczekiwany proces. Trwał niesłychanie krótko, kuchnia była mikrofalowa, a proces gotowania i smażenia można było obserwować. Mięso wirowało w powietrzu, unoszone nieznaną siłą, i po chwili patelnia odplynęła z kuchni i ustawiła się na stole. Naczynie pozostało z zewnątrz zimne, można je było bez obawy wziąć do ręki, mięso jednak było gorące. Tak to właśnie wyglądało przyrządzanie posiłków, co się wcale Donatowi nie podobało, ponieważ był przyzwyczajony do innego rodzaju gotowania.

Po obiedzie podróżnik wypoczywał w swoim pokoju, natomiast po południu postanowił wyruszyć łodzią magnetyczną na rekonesans w teren. Zaplanował sobie także, że złowi trochę ryb. Udał się na mały pokład transportowy, znajdujący się w wyższym skrzydle statku, i tam wybrał sobie jedną z łodzi magnetycznych. Maszyna ta, o długość pięciu metrów, była szeroka na trzy metry i wysoka na dwa i pół. Wyglądem przypominała zamkniętą, opływową maselniczkę, pozbawioną górnego uchwyty. Łódź mogła się wznieść na wysokość trzystu metrów ponad ziemię i rozwijała szybkość do trzystu kilometrów na godzinę. Poza tym miała możliwość pływania i zanurzania się pod wodę na głębokość do



około stu metrów. Jej napęd stanowił mały reaktor atomowy, a w kabinie przewidziane było miejsce dla pięciu osób, natomiast w ładowni mogło się pomieścić kilkadziesiąt ton ładunku. Maszyna była uzbrojona w karabin grawitacyjno-laserowy. Pilotowanie pojazdu nie było skomplikowane, ponieważ proces ten był w pełni zautomatyzowany, zsynchronizowany z systemem bezpieczeństwa oraz głosowym kierowaniem łodzią.

Donat zajął miejsce w maszynie, znajdującej się w hangarze, i wprowadził kod do komputera pokładowego, co spowodowało, że łódź przemieściła się do śluzy. Stamtąd, po otwarciu wrót w skrzydle statku, wydostała się na zewnątrz i zawisła w powietrzu.

Donat siedzący za sterami maszyny, skierował ją teraz w kierunku przeciwnym do swojej porannej wędrówki. Kabina sterująca po włączeniu polaryzacji stała się w jednej chwili przezroczysta, co umożliwiało dokładne śledzenie przesuwającego się w dole terenu. Łódź szybowiała na wysokości osiemdziesięciu metrów nad ziemią z umiarkowaną prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, pod nią przesuwały się korony drzew, gdzieś tam otwierały się mniejsze i większe polany. Nad drzewami tu i ówdzie wlatywały ptaki, czasami udało się zobaczyć śmigającą wiewiórkę lub kunę.

Na zewnątrz było nadal bardzo gorąco - komputer wyświetlił na ekranie temperaturę trzydzieści pięć i pół stopnia Celsjusza, natomiast wewnątrz łodzi klimatyzacja utrzymywała stałą temperaturę dwudziestu jeden stopni. Donat zauważył w oddali jakieś większe jezioro i skierował tam maszynę, za moment zawiesił łódź nad nim. Był to dość duży akwen, miał kilka wysp, mniejszych i większych. Donat wybrał największą i po upływie dwóch minut maszyna wylądowała na jej piaszczystym brzegu. Donat zabezpieczył pojazd, wziął do ręki karabin i wysiadł z kabiny. Owiało go gorące, nasycone wilgocią powietrze. Wyspa miała podłoże bagienne, rosło na niej kilkadziesiąt rachitycznych drzew, toteż nie chciał się zapuszczać w jej głąb. Obserwował tylko bacznie teren wokół siebie, obawiając się węży. Po chwili wydobył z pasa okulary, które po założeniu pozwoliły mu obserwować teren w podczerwieni. Teraz mógł dokładnie sprawdzić, czy nie kryją się tu gdzieś w pobliżu niebezpieczne gady lub inne stworzenia, na szczęście nie znalazł nic takiego. Postanowił zatem złowić kilka ryb na kolację i w celu zaopatrzenia spiżarni czasolotu.

Po dwóch godzinach wędkowania w jego siatce znalazło się kilkanaście dorodnych ryb, które przeniósł do ładowni łodzi i ułożył na podłodze. Mógł teraz wracać do bazy, nie

chciał jednak lecieć tą samą trasą, toteż wydał niezbędne dyspozycje pokładowemu komputerowi.

Powrotna podróż przebiegała normalnie, automatyczny pilot bezbłędnie prowadził maszynę po zaprogramowanej trasie do statku, także Donat mógł spokojnie obserwować okolicę, nie martwiąc się o nawigację. Łódź ominęła szerokim łukiem las i popłynęła nad ziemią w stronę bliskiego stepu. Podczas dalszej podróży udało mu się zaobserwować watahę wilków straszliwych (*Canis dirus*), polujących na prabizony. Uwiecznił to stado, a zapisany obraz przekazał do pokładowego komputera. Po chwili uzyskał dokładny opis zwierzęcia i warunków, w jakich żyło. Okazało się przy tym, że wilki te wyginęły około dziesięciu tysięcy lat temu. Później śledził z wysoka niedźwiedzia krótkogłowego, maszerującego samotnie przez step, żyjącego w tym samym czasie w Ameryce Północnej. Przecież dopiero czternaście tysięcy lat temu po cofnięciu się lodowca na północ powstały w rynnach polodowcowych Wielkie Jeziora Amerykańskie. Prawdopodobnie ziemie te przemierzały już wtedy pierwsze hordy Indian, ale aby je znaleźć, musiałyby zadać sobie wiele trudu i przemierzyć olbrzymie połacie tej krainy. Zupełnie nie miał na to ochoty, w każdym razie nie tym razem.

Po upływie pół godziny łódź magnetyczna znalazła się na swoim miejscu w ładowni czasolotu i Donat wraz z rybami udał się na pokład mieszkalny. Nie musiał sprzątać łodzi, ponieważ oczyszczała się samoczynnie. Po prostu nieczystości i brud odrywały się we wzbudzonym polu siłowym nad podłogę i spływały do specjalnego otworu, skąd były wyrzucane na zewnątrz lub wsysane do luku śmieciowego czasolotu.

Po tej wycieczce Donat postanowił się odświeżyć, toteż po przebraniu się w sportowe ubranie udał się na pokład sportowo-rekreacyjny statku, na którym znajdowały się boiska do gier, przyrządy sportowe oraz basen ukryty pod podłogą. Kiedy tam dotarł, w pierwszej kolejności wcisnął odpowiedni kod na klawiaturze dotykowej, ujawniającej się na ścianie tej sali, co spowodowało, że jej podłoga rozsunęła się, ukazując basen o nieregularnym kształcie i urozmaiconej głębokości. Miał powierzchnię jakichś sześciuset metrów kwadratowych i mógł być podgrzewany do odpowiedniej temperatury w krótkim czasie. Wody się w nim nie wymieniało, ponieważ po pewnym czasie była uzupełniana przez wodę sterylnie czystą, powstałą z odparowania starej. Nieograniczona moc gospodarczych reaktorów atomowych czasolotu umożliwiała bowiem zamianę w parę olbrzymich ilości wody w rekordowo krótkim czasie. Wszelkie nieczystości, które powstały w wyniku tego procesu, były usuwane. Basen

nie był jednak napełniony wodą destylowaną, ponieważ specjalna aparatura uzupełniała ją w odpowiednie składniki mineralne i inne.

Głębokość basenu, jego dno oraz brzegi były regulowane, co pozwalało na głębokie nurkowanie i swobodne pływanie. Jeszcze przed wskoczeniem do wody Donat podszedł do ściennego programatora w celu ustawienia tła otoczenia. Polegało to na przyciśnięciu odpowiedniego piktogramu, który uaktywniał przegląd krajobrazów przesuwających się na ekranie. Wybrał piękny morsko-górski pejzaż wraz z wodospadem spadającym z wysokości do basenu-stawu. Teraz już mógł wejść do wody. Kilka razy przepłynął basen crawlmem, później odpoczywał przez chwilę, a później zabawiał się w nurkowanie. Gdy miał już dość, wskoczył pod wodospad i zatonął w spadających potokach.

Miejsce, w którym znajdował się basen, można było zamienić w kilkanaście minut w sztuczne lodowisko, zamarzało tylko kilkadziesiąt centymetrów wylanej na pokrycie basenu wody. Pola siłowe osłaniały zamarzniętą tafłę lodu, stwarzając niepowtarzalny zimowy klimat.

Na pokładzie sportowym przebywał dwie godziny, a gdy poczuł się zmęczony i głodny, udał się na pokład mieszkalny do swojego domku. Po zjedzeniu kolacji, na którą składały się mięso upolowanego jelenia oraz złowionych ryb, udał się do kabiny sterującej statkiem.

Sprawdził działanie urządzeń oraz wysłuchał raportu automatu. Teraz mógł wracać na piętro mieszkalne. Przed wejściem do domu Donat zmienił tło otoczenia, przywołując obraz otaczającego statek krajobrazu. Pamiętał jednak, aby temperatura na tym pokładzie pozostała bez zmian i nie odwzorowywała panującej na zewnątrz czasolotu. Stał teraz przed drzwiami do domu i wpatrywał się w krajobraz. Słońce właśnie zachodziło gdzieś za lasem i otoczenie zaczęło tonąć w mroku. Słychać było ptasie przedwieczne trele, odezwały się także głosy innych zwierząt. Po chwili nasłuchiwania Donat zniknął w swojej sypialni.

Następnego dnia rano po śniadaniu Donat nie miał już ochoty na dalsze wędrówki. Było na to za gorąco, a i teren nie przedstawiał się zbyt interesująco. W tej sytuacji zamarzyła mu się jazda na nartach i widok zaśnieżonych pól i stoków. Po śniadaniu pojawił się w kabinie sterującej czasolotu, nałożył specjalny kombinezon wraz z hełmem i zajął miejsce w

fotelu. Włączył zasilanie komputera pilotującego i powiadomił go, jaką konsolę sterującą należy uruchomić. Za chwilę spod podłogi wysunęło się żądane urządzenie sterujące i ustawiło się przed fotelem w odległości umożliwiającej swobodne się nim posługiwanie. Donat wcisnął odpowiedni przycisk, nastąpiła polaryzacja ścian statku i w jednej chwili kabina stała się całkowicie przezroczysta, a światło wewnętrzne dostosowało się do zewnętrznego. Na konsoli sterującej rozbłysły intensywnym, ale przyjaznym dla oczu światłem wskaźniki. Komputer przygotowując statek do lotu, zadawał teraz pytania, a Donat na nie odpowiadał. Przed nim, na siłowej świetłej ścianie wyświetliła się mapa Ziemi z tej epoki z proponowaną przez maszynę trajektorią lotu. Donat podyskutował trochę z komputerem na ten temat, kolejne propozycje wyświetlały się na świetlnej mapie tak długo, aż wreszcie wszystkie parametry lotu zostały z nim uzgodnione.

Przed daniem sygnału do startu komputer rozpoczął sprawdzanie wszystkich urządzeń statku, sprawdził zamknięcie luków, osłonę basenu, stan zabezpieczenia pokładu startowego, pojazdów w ładowni, silników. Po krótkiej chwili konsola sterująca zaślniła delikatnym zielonym światłem, jednocześnie Donat usłyszał słowne potwierdzenie poprawności stanu urządzeń pokładowych. Włączył automatyczne sterowanie, co spowodowało, że konsola rozbłysła błękitnym światłem, a urządzenia ręcznego sterowania skryły się w pulpicie.

Podróżnik wydał komendę i statek bezgłośnie unióśł się, po czym zatrzymał się na wysokości dziesięciu kilometrów ponad ziemią. Ten manewr statku odbył się błyskawicznie i nie był odczuwalny na pokładzie czasolotu, gdyż pokładowe urządzenia sterowane programem komputerowym wytworzyły wewnętrzną antygravitację. Teraz na ponowną komendę pilota komputer sterujący pojazdem skierował statek wzdłuż zaprojektowanej wcześniej i zaakceptowanej trajektorii lotu. Czasolot rozpędził się błyskawicznie do szybkości ponaddźwiękowej, co było także nieodczuwalne na pokładzie statku ze wspomnianych wyżej względów. Teraz pilot mógł spokojnie obserwować przesuwaną się pod nim krajobraz.

Sama podróż była bardzo przyjemna, Donat nie mógł się tylko przyzwycząić do przebywania w kabinie sterującej. Wszystkie ściany wewnętrzne kabiny pilotów oraz zbędne urządzenia zniknęły. Donat, zawieszony praktycznie w próżni, siedział w wygodnym fotelu przed konsolą, objęty łagodnym polem siłowym, pozwalającym na wykonywanie powolnych ruchów. Oprócz opisanych przedmiotów widział wokół siebie tylko pustą przestrzeń, czasami

obłoki na niebie lub wokół siebie. Był ptakiem i widział jak ptak. Widzenie ułatwiał mu hełm; gdy chciał zobaczyć z bliska teren pod sobą, kierował wzrok w odpowiednią stronę, a po pewnej chwili wciskany czołem lub ręką przycisk powodował, że okular przybliżał mu mniej lub bardziej obraz obserwowanego terenu. Było to niezwykle wygodne urządzenie, reagujące bardzo szybko na komendy i wyświetlające obraz terenu w zakresie światła widzialnego, podczerwieni i ultrafioletu, a także w innych zakresach.

Pod czasolotem przesuwały się tereny pokryte lodem, aż po chwili szerokie pasmo chmur zasłoniło wszystko. Donat wcisnął odpowiedni kod i widok pod nim oczyścił się, urządzenia statku odbierały obraz w innym zakresie i przetwarzały go na światło dostosowane do oka ludzkiego. Po półgodzinie dalszego lotu Donat spostrzegł, że chmury wokół niego zniknęły, a w dole ukazał się zamrznięty ląd Grenlandii.

W tym czasie Amerykę Północną pokrywał na północy lądolód, który czasami dzielił się na dwie części: wschodnią - zwaną lądolodem laurentyńskim i zachodnią - zwaną lądolodem lub lodowcem kordylieryjskim. Wcześniej, bo około osiemnaście tysięcy lat temu, pokrywa lodowa na północy połączyła wybrzeża Europy i Ameryki Północnej, co zdaniem niektórych archeologów mogło ułatwić dotarcie ludzi z Europy na kontynent amerykański.

Donat nie zamierzał zapuszczać się głębiej nad lodowe pustkowia wyspy, lecz zajął się wyszukiwaniem odpowiedniego miejsca do lądowania w pobliżu jej południowego brzegu, i faktycznie, znalazł tam takowe.

Lądowanie odbyło się błyskawicznie i w ciągu minuty statek znalazł się kilka metrów nad gruntem, a urządzenia rozpoczęły zdalne sondowanie, sprawdzając gotowość podłoża na przyjęcie ciężaru. Kolosalna maszyna przesuwała się ponad powierzchnią, aż wreszcie wysunęły się spod niej sworznie i rozszerzając swoją podstawę, osiadły, mocno kotwicząc się w lodzie. Był to moment, w którym komputer wyrównał statek i osadził go, zawieszając jego kadłub półtora metra nad gruntem. W tej chwili rozbrzmiał sygnał w kabinie sterującej, a komputer pokładowy naświetlił sytuację, wyliczając i wyświetlając parametry lądowania i ustawienia statku. Podczas lądowania jego ogólny zarys zaznaczył się cienką linią, Donat zaakceptował pozycję i ustawienie, co spowodowało, że zniknęła polaryzacja, a ściany kabiny stały się nieprzeźroczyste. Teraz można było zdjąć kombinezon i opuścić sterownię.

Skupiony podczas przelotu Donat odczuł nagle, że żołądek upomniał się o swoje prawa. Spojrzał na zegarek - no tak, lot trwał kilka godzin, a przecież przed opuszczeniem statku należałoby coś zjeść. W tej sytuacji udał się na piętro mieszkalne do swojego domu, a później, już po obiedzie, przedostał się na górny pokład na platformę startową. Donat wybrał łódź magnetyczną dla swoich celów, wsiadł do niej i już po chwili, po zachowaniu wszelkich procedur związanych z bezpieczeństwem, łódź wysunęła się na pokład startowy, znajdujący się tym razem na dachu.

Na zewnątrz było zupełnie jasno - no tak, przecież na półkuli północnej panowało lato i słońce nie zachodziło przez całe pół roku. Donat nacisnął przycisk i rzucił okiem na wyświetlający się na szybie w polu siłowym obraz danych, przesłanych przez pokładowy komputer. Na zewnątrz panowała temperatura minus cztery stopnie, wiał lekki wiatr, którego szybkość także wyliczyła maszyna, brak było zagrożeń dla życia. Łódź poderwała się z pokładu i utrzymując się na wysokości pięćdziesięciu metrów, skierowała w stronę śnieżnego pola, widniejącego na południu; kończyło się ono sporym wzniesieniem. Czujniki nie sygnalizowały żadnego życia na tym terenie, toteż Donat wylądował na pagórku; po upływie chwili potrzebnej na wyłączenie systemu kierującego otworzył drzwi i opuścił maszynę. Odwrócił się do tyłu i spostrzegł z zadowoleniem, że w otworze drzwiowym utworzyła się ściana ciepłego powietrza, uniemożliwiająca wychłodzenie wnętrza pojazdu. Dotknął jego ścian, co spowodowało, że drzwi samoczynnie zamknęły się. Teraz przyszła pora na dokonanie obserwacji stoku i znalezienie najlepszego miejsca do szusowania. Śnieg był w miarę sypki, toteż Donat spostrzegł, że obuwie samoistnie dostosowało się do takiej sytuacji. Podeszwy rozszerzyły się, tworząc coś w rodzaju rakiet śnieżnych, co pozwoliło mu na swobodne poruszanie się po zasypanym śnieżnym puchem terenie. Po chwili otworzył małą klapkę w butach i wcisnął znajdujący się tam przycisk. Z butów wysunęły się narty i wydłużyły się do tej chwili, kiedy przycisk był wciśnięty. Donat zastanawiał się, w jaki sposób mieściły się w obuwiu, ponieważ wyglądały na bardzo solidne. Prawdopodobnie były puste w środku i napełnione sprężonym powietrzem lub rozepchnięte polem magnetycznym. Narty te nie lepiły się do śniegu, wyglądało na to, że ich spodnie strony okryte były lekką magnetyczną otoczką, ponieważ dostosowywały się do każdych warunków śniegowych. Jeszcze jedna rzecz cieszyła Donata: buty, połączone z kombinezonem, były bardzo lekkie i ogrzewane wewnątrz, tak samo jak i kombinezon. Pozostała jeszcze sprawa kijków. Donat wysunął z kieszeni dwa wykonane z jakiegoś nieznanego tworzywa dwudziestocentymetrowe pręty o średnicy półtora centymetra, które po wciśnięciu końcówek rozsunęły się na żadaną

długość. Z ich końcówek wysunęły się małe siateczki na dole, a na górze rękojeści, wraz ze sznurkowymi uchwytami zabezpieczającymi przed zgubieniem. Teraz można już było oddać się śnieżnemu szaleństwu.

Pierwsze szusy na stoku sprawiły Donatowi wielką radość, narty niosły go gładko w śnieżną dal, a lekki kombinezon w żaden sposób nie utrudniał jazdy. Okazało się także, że nie było potrzeby mozolnego wspinania się na wzniesienie, ponieważ można się było posłużyć pasem grawitacyjnym. Donat przez całe pięć godzin szusował na stoku, tak że pokryte głębokim śniegiem zbocze zostało pięknie wyjeżdżone i ubite. Oddając się temu zimowemu sportowi, Donat zwracał baczność uwagę na to, co się wokół niego działo. Nie był bezbronny, ponieważ w bocznej kieszeni kombinezonu miał ukryty mały pistolet grawitacyjny, zapewniający mu całkowite bezpieczeństwo.

Zmęczony i głodny, postanowił wrócić do czasolotu. W tym celu posłużył się pasem grawitacyjnym, który przetransportował go w pobliże łodzi magnetycznej. Donat przywrócił kijkom ich ołówkowe rozmiary i schował je w przeznaczone do tego kieszonki kombinezonu, a później, wciskając odpowiednie przyciski, ukrył narty w obuwiu. Podeszedł do łodzi i położył rękę na jej burcie w miejscu, w którym widniał czerwony kwadrat, wystukał kod na ujawnionej nagle na ścianie klawiaturze dotykowej i otworzyły się drzwi. Po krótkiej chwili potrzebnej na uruchomienie silnika i urządzeń sterujących łódź wzniosła się w powietrze i poszybowała w stronę skrytego w oddali statku.

Okazało się, że nie był on widoczny w śnieżnej pustyni, ponieważ komputer zarządzający ochroną standardowo zastosował jego kamuflaż - nie było go absolutnie widać wśród białych wzgórz. Na szczęście urządzenia nawigacyjne nie miały najmniejszego problemu z jego wyszukaniem i po chwili łódź wylądowała na dachu niewidocznego statku.

W tej okolicy Donat spędził kilka dni, jeżdżąc na nartach i zwiedzając przy pomocy łodzi magnetycznej bliższe i dalsze tereny. Nie znalazł tu żadnych zwierząt, prawdopodobnie żyły gdzieś dalej w bardziej przyjaznych dla nich obszarach. Gdy znudziła mu się zima, postanowił przenieść się w cieplejsze miejsce na Ziemi. W tym celu któregoś ranka wystartował i skierował statek powietrzny w stronę Oceanu Spokojnego, zamierzając wylądować na jakiejś sympatycznej i bezpiecznej dla niego wysepce. Aby wybrać najlepszy wariant obserwacji, statek wleciał na orbitę okołozemską, zamieniając się w kosmolot.

Przewyciężenie grawitacji ziemskiej nie było na statku odczuwalne dla jego pasażerów. Nieodczuwalny był także brak ciężenia w kosmicznej próżni, ponieważ komputer uruchomił sztuczną grawitację, przeciwdziałającą ciężarowi w chwili wznoszenia, jak i później niwelując jej brak w przestrzeni międzyplanetarnej.

Krążący na wysokości pięciuset kilometrów na ziemskiej orbicie statek kosmiczny umożliwiał pilotowi obserwowanie globu ziemskiego. Jeśli było to konieczne, Donat siedzący przy konsoli przeznaczonej do sterowania kosmolotem przybliżał obserwowane obiekty, jednocześnie w czasie trwania lotu aparatura statku rejestrowała obraz z zewnętrznych kamer i zapisywała dane w pamięci komputera. Niezwykle podniecająca była taka podróż w kabinie bez ścian, można było dostać zawrotu głowy, obserwując kosmiczną pustkę i tylko całkowita świadomość bezpieczeństwa nie pozwalała mu wpaść w panikę. Zresztą w każdej chwili można było zmienić otoczenie pilota, przywołując otaczające go skryte ściany, co znacznie poprawiłoby samopoczucie istot znajdujących się w kabinie sterowniczej.

Po kilku okrążeniach ziemskiego globu Donat zorientował się, że nadal na północy znajdują się duże obszary lądolodu, Morze Czarne jest jeszcze jeziorem, a Morze Kaspijskie jest o wiele większe niż obecnie. Półwysep Indyjski łączy się z Cejlonem, obok wyrastają dwie duże wyspy dzisiejszych rozproszonych Malediwów, a w miejscu Zatoki Perskiej rozciąga się ląd. Okazało się także, że w Afryce jezioro Czad rozlewa swe wody na obszarze o wiele większym niż obecnie, zaś Morze Śródziemne tworzy zamknięty akwen, w którym Sycylia połączona jest lądem z Półwyspem Apenińskim, a Sardynia i Korsyka stanowią jedną wyspę.

Wkrótce kosmolot znalazł się nad Pacyfikiem i teraz Donat mógł z wysokości ziemskiej orbity obserwować wyspy na nim położone. Zdziwiły go odbiegające od znanych mu ze współczesnych atlasów zarysy kontynentów: azjatyckiego i australijskiego. W tym świecie Australia łączyła się z Tasmanią i porośniętą dżunglą Nową Gwineą, wraz z otaczającymi ją wyspami tworząc ląd zwany SAHUL. Na północnym wschodzie, obok obecnego półwyspu Jork, rozlewało swe wody olbrzymie jezioro. Półwysep Malajski wraz z wyspami: Jawą, Sumatrą, Borneo był rozległym lądem zwanym SUNDA, łączącym się z wyspami filipińskimi. Wyspy japońskie wraz z Sachalinem tworzyły tak zwaną Nizinę Kant-o, która łączyła się na północy i południu z kontynentem azjatyckim, wychodzącym o wiele dalej w morze niż w czasach dzisiejszych, zamykając jednocześnie obszarem lądu



olbrzymie jezioro, które w obecnych czasach zamieniło się w Morze Japońskie. W tym czasie istniały już Hawaje, Wyspy Kokosowe, Galapagos, czyli Wyspy Żółwie, Wyspa Wielkanocna i tysiące innych rozsianych po wodnym bezmiarze. Zlodowacenie, jakie objęło Ziemię, przyczyniło się do tego, że wysp tych było nawet więcej, ponieważ poziom wód oceanicznych był znacznie niższy.

Donata interesowały jednak atole, dawne gujoty z charakterystycznymi lagunami i piaszczystymi plażami, szerszymi od strony laguny, oraz wąskimi, lecz stromymi i głębokimi od zewnątrz. Po długiej obserwacji wybrał odpowiadającą mu wyspę na południowym Pacyfiku i wskazał ją komputerowi pilotującemu statek kosmiczny. Mózg elektroniczny wyświetlił na przezroczystej ścianie kabiny obraz wyspy, wyszukał najlepszą trajektorię lotu, następnie rozpoczął analizę terenu. Po krótkim czasie przekazał pilotowi wszelkie dostępne mu informacje, zarówno te z archiwum czasolotu, jak i te wynikające z kosmicznych obserwacji. Po przybliżeniu obrazu atolu i wyspy komputer odszukał i wyznaczył na wyświetlanej elektronicznej mapie tego terenu najlepsze miejsca do lądowania.

Donat sprawdził podane informacje i wydał dyspozycje komputerowi, wskazując najbardziej odpowiadający mu punkt. Po chwili kosmolot, sterowany przez automatycznego pilota, skierował się we wskazane miejsce. Silniki kosmicznej maszyny czasu wytworzyły dodatnią grawitację i rozpoczął się proces schodzenia z orbity. Przebiegał on dość krótko i nie pociągał za sobą żadnych objawów ubocznych w rodzaju przeciążenia czy wstrząsów. Statek skonstruowany przez inżynierów z przyszłości był maszyną uniwersalną, którą kierowało się z przedziwną łatwością.

Po niecałej godzinie potężna maszyna o opływowych kształtach wylądowała na piaszczystej plaży, wkomponowując się w wyrwę w palmowym lesie. Czujniki meldowały o sytuacji na zewnątrz, przekazując pilotowi temperaturę powietrza, jego skład, siłę i kierunek wiatru, zagrożenia bakteriologiczne, toksyczne i inne.

Donat odsunął konsolę i w tym momencie obraz zewnętrzny zgasł, ustała polaryzacja burt statku, co spowodowało, że ponownie pojawiła się kabina z pełnymi ścianami. Podekscytowany Donat udał się bezpośrednio do wyjścia ze statku, znajdującego się naprzeciwko plaży, pobierając w magazynie znajdującym się przy wyjściu odpowiednie ubranie oraz broń. Kiedy otworzyła się kłapa wyjściowa, Donat znalazł się na platformie i

uruchomił trap ze schodami ruchomymi. Po chwili zjechał na plażę.

Miejsce, w którym się znalazł, było przepiękne. Czasolot stał wsparty na sześciu podporach, jego podbrzusze wisiało na wysokości pięciu metrów nad poziomem gruntu. Donat rozejrzał się wokoło. Za statkiem ciągnął się las palm kokosowych, na ziemi zalegały orzechy, między nim uwijały się kraby, których nie przestraszyło lądowanie takiego kolosa. Las schodził na piaszczystą plażę, kończącą się laguną; woda w niej była spokojna, nie marszczył jej ani jeden powiew wiatru, doskonale widoczne było piaszczyste dno i stada przewijających się w wodzie ryb. Kiedy Donat wyszedł z cienia rzucanego przez statek, owiało go gorące powietrze, a jaskrawe słońce zmusiło do włożenia okularów przeciwsłonecznych. Wyspa była opanowana przez ptactwo: po plaży przechadzały się stada mew, poszukujących wyrzuconych przez fale żyjatek, w górze roiło się od głuptaków (*Morus bassanus*) i petreli (*Procellariidae*, *Puffinidae*), czasami przewijał się albatros (*Diomedidae*), a niekiedy dawały o sobie znać krzykiem wydrzyki (*Stercorariidae*).

Miejsce wydawało się całkiem bezpieczne, toteż Donat postanowił rozejrzeć się po okolicy. W tym celu powrócił na pokład i pobrał jeden z kilku magnetycznych skuterów, zaparkowanych jak zwykle przy każdym wejściu do statku. Po upływie kwadransa maszyna z siedzącym na nim Donatem spłynęła z platformy i skierowała się nad lagunę, po chwili wzniosła się na wysokość około czterdziestu metrów i rozpoczęła lot wokół wyspy. Nie była ona zbyt duża, jej powierzchnia mogła wynosić jakieś sto pięćdziesiąt, może dwieście hektarów. Rozciągała się kuliście wokół laguny, której powierzchnia wynosiła około trzydziestu hektarów. Wyspa była porośnięta gęstym lasem kokosowym, w którym widoczne były, wśród dojrzałych, także zielone jeszcze orzechy.

Donat zatrzymał skuter na wysokości korony najbliższej palmy, wydobyl małe plastikowe naczynie i nadciął jeden z kwiatostanów. Z otworu wyciekł do naczynia płyn. Kiedy go spróbował, poczuł, że napój jest słodki i przyjemny w smaku. Donat pomyślał sobie, że można by go zebrać więcej - po jakimś czasie ten płyn sfermentuje i zamieni się w wino palmowe. Jednak na razie dał sobie z tym spokój i postanowił odszukać jakieś źródło słodkiej wody na tej wyspie. Przy okazji zerwał kilka orzechów kokosowych, które wydały mu się dojrzałe, i umieścił je w pojemniku skutera.

Niestety, mimo zatoczenia wielu kręgów wokół wyspy i uważnego wypatrywania

cieków wodnych pomiędzy drzewami, nie udało mu się znaleźć wody na wyspie. W tej sytuacji zmuszony był korzystać z zapasów znajdujących się na statku.

Zawiedziony tym faktem, Donat rozpędził skuter - mógł on rozwinąć prędkość do trzystu kilometrów na godzinę i wznieść się sto pięćdziesiąt metrów ponad ziemię lub wodę. Z chwilą nabierania szybkości z jego przedniej części wysunęła się przezroczysta osłona pola siłowego, chroniąca kierującego przed pędem powietrza.

Donat skierował ten przedziwny pojazd magnetyczny nad ocean i wyleciał daleko od atolu. Kiedy zawrócił, zatrzymał się przez chwilę w powietrzu i spojrzał na wyspę. Z daleka prezentowała się jako duża plama zieleni i sprawiała wrażenie rajskiego ogrodu. Spojrzał w dół, pod nim otwierała się przeogromna, falująca wodna przestrzeń. Wznosił lot i posuwał się teraz w stronę wyspy, która otwierała się przed nim w miarę zbliżania. Po chwili dostrzegł olbrzymie fale, rozbijające się o jej brzegi - nic dziwnego, trwał właśnie przypływ.

Donat spędził na atolu kilka cudownych dni. Pogoda dopisywała mu w tym czasie, niebo było bezchmurne, co przyczyniło się do tego, że Donat pięknie się opalił. Całe dni przebywał teraz na dworze, łowił ryby lub na nie polował z ościeniem, pływał w wodach laguny i wędrował po piaszczystej plaży. Gdy było mu za gorąco, wracał na pokład chronolotu, na którym też spędzał noce. Przy okazji uzupełnił spiżarnię statku o świeże ryby oraz orzechy kokosowe. Udało mu się także upolować pięknego żółwia skórzastego (*Dermochelys coriacea*), który dostarczył mu świeżego mięsa. Kilkakrotnie wykorzystał magnetyczną łódź podwodną do sprawdzenia, jak wygląda podwodny świat laguny i otoczenie wyspy. Łódź o długości pięciu metrów miała możliwość swobodnego jej opuszczania, w chwili gdy była zanurzona pod wodą, ponieważ w jej ładowni otwierało się wejście chronione przedziwną błoną, która umożliwiała załodze dowolne wychodzenie i powracanie do maszyny. Błona ta nie przepuszczała wody oraz innych żyjących istot lub przedmiotów, chyba że były podawane ręką pływaka, uzbrojoną w magnetyczny pierścień. Nie istniała potrzeba zabierania ze sobą zapasów powietrza do oddychania, ponieważ urządzenia łodzi pobierały tlen bezpośrednio z otaczającej ją wody i do niej wydalały dwutlenek węgla.

W czasie tych podwodnych eskapad udało się Donatowi znaleźć sporo pięknych pereł. Łódź zanurzała się na głębokość pięciuset metrów, jednak po przekroczeniu osiemdziesięciu

metrów drzwi zewnętrzne pozostawały zamknięte. Przedmioty z większej głębokości można było zbierać do specjalnego pojemnika przy pomocy manipulatora. Do podwodnego pływania nie był potrzebny płetwonurkowi akwalung, Donat wykorzystywał do tego celu specjalny ustnik, zakrywający usta i nos pływaka. Tlen do oddychania pobierany był bezpośrednio z wody przez specjalny filtr zamontowany w ustniku, a całość mocowało się do głowy przy pomocy specjalnego uchwytu. Wraz z ustnikiem można było pobrać okulary, które umożliwiały w jakiś zadziwiający sposób swobodne oglądanie podmorskiego świata bez względu na zaciemnienie, przezroczystość wody lub jej zamącenie. Można było także założyć na siebie kombinezon, który umożliwiał szybkie poruszanie się za pomocą płetw lub małego silnika wodno-strumieniowego. Płetwy po przekręceniu umieszczonej w mocowaniu gałki zmieniały rozmiar lub zanikały. Kombinezon był bezpieczny, to znaczy nie ulegał zniszczeniu, umożliwiał płetwonurkowi jak kameleonowi zlanie się z otoczeniem, ponadto posiadał także właściwości obronne.

Po wynurzeniu łódź utrzymywała się swobodnie na powierzchni oceanu, a także mogła wzlecieć nad wodę. Nie posiadała jednak zbiorników balastowych - zarówno zanurzenie, jak i wynurzenie czy lot odbywały się za sprawą silnika grawitacyjnego.

Ta sielanka trwałaby dłużej, jednak któregoś dnia po przebudzeniu Donat otrzymał od pokładowego komputera informację o zmianie pogody. Elektroniczna maszyna wyświetlała informacje w polu siłowym, które tworzyło się nagle na ścianach lub w powietrzu w dowolnym miejscu statku, także i teraz obraz otworzył się w jakiś zadziwiający sposób na korytarzu przed Donatem. Z przedstawionych danych wynikało, że do wyspy zbliża się tajfun. W tej sytuacji należało zatroszczyć się o statek. Co prawda pozostanie w tym miejscu nic by mu nie zaszkodziło, ale po co było się narażać na stratę czasu i nudę, gdy istniała możliwość zmiany miejsca pobytu.

Donatowi nie uśmiechała się podróż powietrzna w taką pogodę, toteż postanowił sprawdzić zachowanie się czasolotu pod wodą. Przed opuszczeniem wyspy chciał jednak przekonać się naocznie, jak kształtuje się sytuacja na zewnątrz, mimo że komputer mógł mu ją w każdej chwili wyświetlić. W tym celu wyszedł na zewnątrz, stanął na ziemi i spojrzął w górę - rzeczywiście, niebo na północy pociemniało, wokół panowała przejmująca cisza. Pokręcił się trochę po wyspie i spostrzegł, że nie było na niej ptaków; widocznie przewidziały zbliżający się kataklizm i w porę odleciały. Po chwili doszedł go głośniejszy szum,

oceaniczne fale stały się większe.

Donat rozkoszował się tym widokiem, czuł się bezpieczny, mając zapewnione schronienie. Kiedy do wyspy dotarły silniejsze podmuchy wiatru, wrócił do statku i po uporządkowaniu się zasiadł w fotelu pilota w kabinie sterującej. Przed nim wynurzyła się konsola przeznaczona do żeglugi wodnej i podwodnej. Wcisnął w niej odpowiedni przycisk i w tym samym momencie komputer zameldował mu szczelność i gotowość statku do startu. Po chwili uniósł się w powietrze, podpierające go wysięgniki skryły się w kadłubie i ogromny wehikuł znalazł się w ciągu minuty ponad oceanem w odległości dwóch kilometrów od wyspy. Wygląd pomieszczenia kabiny sterującej uległ zmianie, zniknęły ściany i pilot znowu siedział w fotelu znajdującym się w przezroczystym kokonie.

Komputer kontrolujący lot wyświetlił przed nim dane dotyczące głębokości oceanu w tym miejscu i oznajmił zgodę automatycznego pilota na wodowanie. Po krótkiej chwili statek opadł na wody oceanu, Donat widział teraz wyraźnie pociemniałe niebo i odczuł falowanie wód. Nie było na co czekać, skupił się zatem na konsoli sterującej i po chwili olbrzymi chronolot zsunął się w głębiny tak łatwo i lekko, jakby był wykonany z ołowiu.

Wody oceanu w miejscu zanurzenia były przejrzyste tylko do pewnej głębokości, później komputer sterujący włączył urządzenie, które spowodowało, że przed pilotem otworzył się rozległy i przejrzysty widok. To było cudowne uczucie, móc poruszać się swobodnie w wodnych odmętach. Głębokość oceanu w tym miejscu wynosiła tysiąc sześćset metrów i zwiększała się w miarę odchodzenia od wyspy. Donat skierował statek w stronę morskiego dna, nad którym znalazł się już po kilkunastu minutach.

Czasolot miał nieograniczone możliwości techniczne, mógł bez żadnej dla siebie szkody zanurzać się na największe głębokości, co było nieosiągalne dla okrętów podwodnych konstruowanych w początkach dwudziestego pierwszego wieku. Nie potrzebował balastu, ponieważ do zagłębiania się i wynurzania używał grawitacji, nie musiał magazynować zbyt dużych zapasów tlenu, ponieważ mógł go pozyskiwać bezpośrednio z otoczenia lub wytwarzać z wody, bądź odzyskiwać z dwutlenku węgla. Poza tym był łatwy w sterowaniu, ponieważ obok sonaru posiadał jeszcze radar, który wyświetlał ukształtowanie podwodnego terenu i poruszających się w nim przedmiotów i żyjących stworzeń.

W okresie, do którego przemieścił się czasolot, nie powinno być na dnie wraków okrętów. Nie miał ich kto zbudować, toteż Donatowi znudziło się błędzenie nad morskim dnem, zatem skierował podwodny statek w stronę Nowej Zelandii. Ląd ten nazywano także Ornithogea, ze względu na to, że od osiemdziesięciu milionów lat stanowił wyłączone królestwo ptaków.

Żegluga w głębinach trwałaby długo, gdyż podwodny statek mógł się przemieszczać pod wodą tylko z szybkością do dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Toteż gdy sterujący komputer zameldował, że Zielony Pies znalazł się poza zasięgiem tajfunu, Donat wynurzył okręt na powierzchnię oceanu. Okazało się zaraz, że pomimo dużych fal pogoda jest na tyle dobra, że umożliwia lot. Statek wznosił się zatem lekko ponad fale, a pilot zamienił konsole sterujące - skryła się w podłodze ta stosowana do podróży podwodnych, a zastąpiła ją przeznaczona do lotów. Po chwili czasolot wznosił się wysoko w powietrze i obrał kurs na Nową Zelandię, nad którą znalazł się po kilku godzinach szybkiego lotu na wysokości trzydziestu kilometrów ponad ziemią.

Donat posadził maszynę na Wyspie Północnej (choć w tym czasie obie wyspy miały połączenie lądowe), w uroczym zakątku nieopodal brzegu morza. Kusily przybysza do opuszczenia bezpiecznego schronienia: z jednej strony cudowna piaszczysta plaża, z drugiej nieprzebyte las, co spowodowało, że rozpoczęły się teraz dla niego dni wędrówek i polowań. Najchętniej korzystał z łodzi magnetycznej i skuterów, często też wędrował po dziewiczych lasach, obserwując życie ich mieszkańców.

Nowa Zelandia już w późnej kredzie oderwała się od dzisiejszego kontynentu australijskiego, co spowodowało, że do dnia dzisiejszego flora na nizinnych obszarach tego kraju jest bardzo podobna do flory Gondwany sprzed osiemdziesięciu milionów lat. Podobnie było z Nową Kaledonią, na której to wyspie zachowała się roślinność przypominająca późnokredową florę wschodniej Australii. Do reliktyw z tych zamierzchłych epok naszej Ziemi można było zaliczyć także prymitywne żaby z rodzaju Leiopelma oraz gady z rodzaju Sphenodon (tuatara, hatteria). W podzwrotnikowej roślinności Nowej Zelandii wśród drzewiastych paproci, pnączy i storczykowatych wyróżniały się wyglądem sosny kauri oraz endemiczne buki południowe (Nothofagus). Szczególne wrażenie wywoływały na Donacie enklawy lasów obrośniętych od dolnych pięter lasu aż po wierzchołki drzew zielonymi mchami, co sprawiało wrażenie nierealnego, bajkowego świata.

W leśnej głuszy Donat podglądał życie ptaków moa (Dinornithidae), jakich w czasie, w którym się znalazł, żyło od dziesięciu do dwunastu gatunków, zachwycał się nietotami kiwi (Apterygiformes), strzegł się przed olbrzymim orłem nowozelandzkim - haasta (Harpagornis), czy też jeszcze wcześniejszym - Harpagornis moorei. Udało mu się także zobaczyć największe z ptaków moa, zwane później przez uczonych Dinornis giganteus, które osiągały ponad trzy i pół metry wysokości, a ich waga dochodziła do trzystu kilogramów. Obserwował inne ptaki z rodziny Dinornithiformes. Wody rzek i jezior tej wyspy obfitowały w ryby, toteż Donat prawie codziennie bawił się w wędkowanie, a później raczył rybnymi daniami, robiąc przy okazji zapasy na przyszłość. Któregoś razu udało mu się nawet podkraść kilka jaj wielkiemu ptakowi moa, który nieopatrznie oddalił się od swojego gniazda. Jedno takie jajko o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia sześć centymetrów wystarczało na jajecznicę dla kilku osób.

Chcąc odpocząć od skwaru, podróżnik przeniósł się na Wyspę Południową i posadził czasolot w wybranym miejscu w Alpach Nowozelandzkich, które ciągnęły się na odległość czterystu pięćdziesięciu kilometrów wzdłuż wybrzeży całej tej wyspy. Ich górne partie pokryte były śniegiem i lodem, toteż dużą przyjemność sprawiły mu prowadzone ze statku eskapady narciarskie.

Na wyspie tej Donat spędził całe dwa miesiące, zanim znudzony pobytem w tym samym miejscu, zdecydował się wyruszyć poprzez wrota czasu na zbadanie innych zakątków zamierzchnich er i epok Ziemi.

## **Fascynujący świat kredy**

Po zbadaniu możliwości czasolotu w przyjaznej skądinąd dla człowieka epoce Donat postanowił spróbować przenieść się głębiej w otchłań czasu, chociażby aż do ery mezozoicznej. Gdyby mu się to udało, byłby zapewne pierwszym człowiekiem, któremu dane było dotrzeć do niezwykłego świata, stanowiącego królestwo wielkich gadów.

Podróże w czasie były jednak bardziej skomplikowane niż podróżowanie w przestrzeni. W pierwszej kolejności komputer musiał wyszukać w swojej bazie listę miejsc, z których bez szwanku dla czasolotu byłoby możliwe przeniesienie się w określony czas. Problem polegał na tym, że to samo miejsce w innym czasie mogło być z różnych względów niebezpieczne. Najłatwiej przychodziło wykorzystywać oceany, możliwe też było umieszczenie statku na powierzchni Księżyca w celu przeniesienia go w czasie do innej ery. Donat nie zdziwił się zbytnio, gdy pokładowy komputer, sterujący podróżami w czasie, zaproponował właśnie Księżyc jako miejsce startu do epoki kredy górnej, która rozciągała się w czasie od stu do sześćdziesięciu pięciu milionów lat.

Donat przeanalizował dane wyświetlone przez JANO i wyraził zgodę na taki manewr. Udał się więc do kabiny pilota w celu przygotowania statku do podróży kosmicznej. Wydał odpowiednie dyspozycje i gdy komputer zaprogramował lot i zgłosił gotowość statku do startu, wcisnął odpowiedni guzik na konsoli przeznaczonej do sterowania kosmolotem.

Start jak zwykle odbył się bezgłośnie i Donat, siedząc w fotelu, w przezroczystej kabinie, obserwował zmniejszającą się coraz bardziej Ziemię. Po kilkunastu minutach kosmolot znalazł się w przestrzeni kosmicznej i automatyczny pilot skierował go w stronę odległego Księżyca. Statek kosmiczny poruszał się z prędkością dochodzącą do stu kilometrów na sekundę, a mógł rozwinąć jeszcze większe szybkości, bo dochodzące do trzystu tysięcy kilometrów na sekundę, a w głębokim kosmosie - także nadświatłne. Jednakże te przewidziane były do dalszych lotów kosmicznych. Księżyc znajdował się w odległości trzystu osiemdziesięciu czterech tysięcy kilometrów od Ziemi, a okres jego obiegu wokół naszej planety wynosił dwadzieścia siedem i trzy dziesiąte dnia, toteż podróż kosmolotu z Ziemi na jego powierzchnię potrwałaby tylko niewiele dłużej niż godzinę.

Donat obrócił fotel wokół osi i obserwował teraz oddalający się ziemski glob, który powoli stawał się dużym, niebieskim kartoflem, zawieszonym w przestrzeni kosmicznej. Obrócił teraz fotel do pozycji standardowej i ujrzał przed sobą bliską już powierzchnię ziemskiego satelity. Automatyczny pilot prowadził statek po łuku do miejsca lądowania, które znajdowało się gdzieś po jego zaciemnionej stronie. Po chwili kosmolot wylądował w pobliżu grzbietu górskiego, co obwieścił automat, podając jednocześnie parametry techniczne i chemiczne otaczającego statek środowiska. Donat spojrzął przed siebie i obrócił się wraz z fotelem. Wokół niego roztaczała się wolna przestrzeń, na której nie było widać ani jednego



krateru - pozostałości po upadku meteorytu. No tak, to dlatego komputer wybrał to miejsce do lotu czasowego, było ono względnie bezpieczne.

Donat rozglądał się ciekawie po okolicy aż do momentu, kiedy to uznał, że nadeszła pora na dokonanie transferu w czasie. W tym celu wydał odpowiednie dyspozycje komputerowi sterującemu lotem. Automat przyjął rozkaz i już po chwili zakończyła się polaryzacja, zgasły przezroczyste ściany, schowała się konsola, kierująca ruchem pojazdu. Donat podszedł do ściany i położył na niej rękę w wyznaczonym miejscu. Natychmiast obok niej pojawiła się komputerowa klawiatura dotykowa. Po wciśnięciu odpowiedniego kodu na ścianie pojawił się zarys drzwi portalu teleportacyjnego z obrazem całego statku i rozmieszczonego na nim planu przejść transferowych. Donat zanurzył się w drżącym, srebrzystym płynie i już po chwili pojawił się w centrum dowodzenia statkiem, będącym jednocześnie pomieszczeniem przeznaczonym do sterowania transferami czasowymi. Portal za nim zgasł, a obszerną salę rozjaśniło przyjazne dla oczu światło. Donat zajął miejsce przy konsoli mieszczącej się na środku pomieszczenia i dotknął przycisku znajdującego się na krawędzi stołu. W tym momencie pojawiła się na blacie klawiatura dotykowa, a ściany sali rozbłysły ekranami. Po dotknięciu kolejnych klawiszy pokładowy komputer zameldował mu gotowość wehikułu. Na ekranie siłowym ściany wyświetliła się mapa Ziemi, a maszyna cyfrowa prosiła o podanie szczegółów transferu.

Po ich uzgodnieniu okazało się, że czas przemieszczania się w korytarzu czasowym do wyznaczonej epoki kredy został przewidziany na około czterdzieści godzin. Kiedy Donat wyraził zgodę na transfer, z konsoli wynurzyło się kwadratowe pudełko; po położeniu na nim ręki otworzyło się, ukazując czerwony przycisk startowy. Donat wcisnął go.

Statek kosmiczny, przeobrażony w wehikuł czasu, przed rozpoczęciem transferu otoczył się w jednej chwili polem siłowym. Obraz na ekranie zmienił się, pojawiła się na nim tabela z wykresem startowym, który pozwalał śledzić czas przemieszczania się obiektu w tunelu czasowym. Proces można było w każdej chwili zatrzymać. Do dokonania takiej podróży wehikuł pobierał ogromną ilość energii, której dostarczały termojądrowe reaktory, przeznaczone tylko do zasilania urządzeń powodujących przemieszczanie się w tunelu czasoprzestrzennym.

Komputer poinformował Donata o przebiegu transferu i zakomunikował mu, że jego

obecność w centrum dowodzenia nie jest wymagana w czasie podróży czasowej. Wszystkie procesy odbywały się automatycznie; w razie pojawienia się niebezpieczeństwa elektroniczne urządzenia wehikułu podejmą właściwą decyzję i zapobiegną mu. Obraz z zewnątrz w czasie trwania transferu czasowego był niedostępny, zatem Donat nie miał tu już nic do roboty. Przeniósł się więc poprzez portal teleportacyjny do biblioteki statku, umiejscowionej na siódmym pokładzie. Było to obszerne pomieszczenie z wysuwanymi fotelami i stolikami, na których znajdowały się klawiatury dotykowe. Stoliki wysuwały się automatycznie po wydaniu komendy lub przyłożeniu ręki do zielonego prostokąta w ścianie. Istniała możliwość regulacji miejsca, w którym chciało się skorzystać z usług biblioteki. Pojawiały się znikąd kurtyny holograficzne, osłaniające stół i fotel, jednocześnie wraz z wyświetlanym obrazem zmieniały się kolory i natężenie światła, a także zapachy. Stolik i fotel czytelnika mogły znajdować się wśród drzew w lesie, nad brzegiem jeziora, czy też na zboczu góry. Możliwości twórcze komputera sterującego holograficznymi obrazami były niewyczerpane, można nim było sterować głosem, klawiaturą, a także telepatycznie. Donat wybrał odpowiedni stolik i zaproponował do niego tło, po chwili usiadł w fotelu. Korzystający z usług biblioteki powinien wywołać odpowiedni katalog, aby wyświetliły się na ekranie wysuniętym ze stołu żądane informacje. Ekran mógł pojawiać się wedle życzenia w dowolnych miejscach, ich wielkość była regulowana, a informacje mogły być wyświetlane, wygłaszane lub prezentowane także w wersji filmowej na portalu siłowym.

Donata najbardziej interesowała historia wymarłej cywilizacji przyszłości.

- Jak ona się rozwijała? - Co doprowadziło do jej zagłady? - Kim byli konstruktorzy Zielonego Psa?

Po weryfikacji katalogów i dyskusji z komputerem, sprawującym nadzór nad zbiorami biblioteki, udało mu się dotrzeć do potrzebnych informacji.

Okazało się, że cywilizacja ludzka trwała nieprzerwanie przez okres trzech milionów lat, a najbardziej zaawansowana technologia pojawiła się około sto tysięcy lat przed zagładą. Populacja ludzka sięgnęła już w tym czasie kilkudziesięciu miliardów ludzi, pojawiły się nieznane wcześniej choroby cywilizacyjne, spowodowane zanieczyszczeniem środowiska, brakiem wody i pożywienia. W celu wyżywienia ludności na coraz szerszą skalę była stosowana żywność syntetyczna i zmodyfikowana genetycznie, które to ostatecznie wyparły

żywość produkowaną w sposób naturalny. W poszukiwaniu ziemi uprawnej zaczęto ograniczać i likwidować ostatnie rezerwy, pojawiły się kataklizmy w rodzaju trzęsień ziemi, erupcji wulkanicznych, nastąpiły poważne zmiany klimatyczne. Surowce pozyskiwano z kosmosu, penetrując planety i planetoidy Układu Słonecznego. Zachodziły także zmiany społeczne, coraz częściej wybuchały niepokoje i strajki, podsycane przez grupy dążące do władzy lub anarchistyczne. Mimo upływu tysiącleci nie udało się stworzyć jednolitego społeczeństwa i jednego wszechludzkiego języka, nadal istniały bloki dużych krajów, które rozrosły się niebywale po wchłonięciu graniczących z nimi małych państw. W latach jeszcze późniejszych los mieszkańców Ziemi stał się podobny do tego, który dokonał się kiedyś na Wyspie Wielkanocnej jeszcze przed jej odkryciem przez europejskich żeglarzy.

W tej sytuacji władze i subsydiowane przez nie grupy wybitnych naukowców i konstruktorów szukały rozwiązań umożliwiających dalszą egzystencję ludzkości lub jej wybranej elity. Ostatecznie wybrano ucieczkę w kosmos, ponieważ rozwinięta technika umożliwiła zbudowanie w przestrzeni międzyplanetarnej kilku kosmicznych miast w kształcie grzybów o długości ośmiuset kilometrów i szerokości pięciuset na czterysta kilometrów. Każde z tych miast-państw miało powierzchnię życiową zbliżoną do powierzchni naszej planety, co spowodowało, że pomieściły się tam pola uprawne, stawy, jeziora, parki, rezerwy, farmy zwierzęce, osiedla ludzkie i fabryki. Mogły się one poruszać w kosmosie z prędkością nadświatłą, do czego wykorzystano odkrycie materii ujemnej. Materia taka charakteryzowała się grawitacją ujemną, co powodowało, że zamiast opadać zgodnie z regułami grawitacji do centrum ciężkości, uciekała w kosmos. Zrezygnowano ostatecznie z zabrania wszystkich ludzi i dlatego w tych niezemskich miastach pomieściła się elita ówczesnej Ziemi, natomiast zabrakło miejsca dla biednych, niewystarczająco wykształconych, upośledzonych, chorych, zaliczanych do marginesu społecznego oraz innych, niespełniających kryteriów stawianych przez władze. Rekrutacja na pokłady statków kosmicznych odbywała się potajemnie przy wykorzystaniu portali teleportacyjnych i towarowych statków kosmicznych, ponieważ władze nie chciały wywołać zamieszek społecznych. Gdy ostatecznie przygotowano te pozaziemskie kolonie dla ludzkiej egzystencji, zgromadzono zapasy materiałów, w tym energetycznych, metali, żywności, a także dzieł sztuki, środków płatniczych i zasobów informacji - kosmiczne miasta odplynęły w wszechświat, każde w inną stronę, pozostawiając swojemu losowi na Ziemi resztę nieprzydatnego dla nich społeczeństwa. Udało się jednak udowodnić, że jedno z nich skierowało się do odległej o około dwadzieścia lat świetlnych skalnej planety, przekraczającej

dwukrotnie masę Ziemi, krążącej wokół gwiazdy Gliese 581, która była, zdaniem naukowców, możliwa do zasiedlenia przez człowieka.

Pozostała na Ziemi ogromna część ludzkości, pozbawiona elit intelektualnych, stworzyła układy mafijne i toczyła ze sobą nieprzerwanie przez okres stu tysięcy lat wyniszczające wojny o władzę i przetrwanie, co spowodowało dalsze zniszczenia, degenerację ludności i degradację środowiska naturalnego.

Jednakże w tym rozległym czasie ludzkość także dorobiła się elit intelektualnych oraz wypracowała nowe technologie. Pewien zespół naukowców tego świata, wspierany finansowo przez grupę potentatów, zebrał się potajemnie, bez wiedzy swoich rządów, w celu ratowania ludzkości. Grupa ta, chociaż dysponowała odpowiednimi funduszami, to jednak nie była w posiadaniu takiej technologii, która pozwalałaby na budowanie kosmicznych miast. Zresztą na ich budowę nie pozwoliłyby toczące wojny, ponieważ kosmos wokół Ziemi był naszpikowany bronią. Ludzie ci wybrali zatem inną drogę i udało się im po wielu dziesiątkach lat wybudować wehikuł czasu. W pierwszej kolejności powstał prototyp kapsuły czasu, nazwany chronoskafem, który został później po poprawkach wykorzystany w celach doświadczalnych.

Pierwszy start takiej maszyny czasu zakończył się jednak niepowodzeniem, ponieważ chronoskaf nie powrócił z zaprogramowanego czasu do ówczesnej teraźniejszości. Niestety, jego pasażer, a zarazem pilot uległ wypadkowi (Tylko Donat wiedział, że zawałiła się na niego z jakichś niewyjaśnionych przyczyn skalna ściana tunelu. Bo to przecież ten właśnie chronoskaf znalazł i posłużył mu do wydostania się z podziemnego labiryntu, czym uratował Donatowi życie). Następne próby testowe wypadły jednak pozytywnie i na ich podstawie przystąpiono do budowy maszyny będącej w zasadzie wehikułem czasu, a jednocześnie statkiem powietrznym, kosmicznym, łodzią magnetyczną i podwodną. Jako siłę roboczą wykorzystywano zaawansowane technicznie androidy i droidy, a elementy statku zamawiano w wielu różnych zakładach produkcyjnych, w taki sam sposób, jak czynił to kapitan Nemo ze znanej powieści Verne'a, budując swojego Nautilusa. Jednakże mimo że prace badawcze i konstrukcyjne były prowadzone w głębokiej tajemnicy na afrykańskim poligonie jednego z prywatnych potentatów, nie utrzymały się długo w sekrecie.

Władze krajów, których obywatelami byli naukowcy i konstruktorzy, upomniały się o

nich i rozpoczęła się walka ówczesnych państw o przejęcie zespołu i jego dorobku naukowego. Naukowcy zostali wezwani do powrotu do swoich krajów, a gdy odmówili, zaczęły się na nich polowania, co spowodowało wybuch nowych wojen. Wielu z tych badaczy poniosło śmierć, pozostali byli inwigilowani i nie mieli także z powodu nieustających wojen możliwości swobodnego przemieszczania się po Ziemi. Z tego powodu zdecydowali, aby niektórzy z nich, znajdujący się akurat w pobliżu tajnej bazy, zabezpieczyli wspólną konstrukcję, aby w dogodnym dla siebie momencie, po dotarciu w to miejsce wszystkich członków zespołu, uciec z tego świata w zamierzczłą przeszłość. Maskowanie bazy okazało się wystarczające, zbudowana przez nich konstrukcja została zabezpieczona w podziemnym schronie, którego wejście zostało zalane całkowicie wodą po zasypaniu koryta rzeki, powstałej po rozerwaniu podziemnego rurociągu, dostarczającego wodę pompowaną ze studni artezyjskich. Jednocześnie, aby uchronić przed niebezpieczeństwem naukowców, w przypadku gdyby ponieśli śmierć, lub prawdopodobnie ostatnich żyjących już ludzi, którzy być może odnajdą ten schron, zostały zablokowane wszystkie urządzenia obronne bazy i tego niezwykłego statku.

Mimo że ówczesny świat eksplodował kolejnymi wojnami, niedobitkom naukowców i ich sponsorom udało się w jakiś sposób przedostać w pobliże afrykańskiego poligonu. Gdy po wielu trudach i wyrzeczeniach dotarli wreszcie w pobliże tajnej bazy, pojazd, którym się poruszali po pustyni, został wyśledzony z kosmosu i spadły na niego rakiety, niszcząc go doszczętnie wraz z załogą.

To był już koniec, ponieważ w tym świecie nie było już nikogo, kto by znał tajemnicę tego poligonu. W ciągu kolejnych lat ludzkość sama się unicestwiła, przeżyły tylko niektóre zwierzęta, takie jak psy, koty, niektóre ptaki, węże, a w morzach rekiny i głębinowe ryby.

Na życzenie Donata komputer wyświetlał teraz obrazy świata, który się unicestwił. Na ekranie przesuwały się obrazy miast, pól, gór, mórz, a także wizerunki ludzi zamieszkujących te tereny. Na końcu wyświetliły się biografie naukowców i konstruktorów, którzy zaprojektowali i zbudowali Zielonego Psa.

Donat przesiedział w bibliotece czy też czytelnicy więcej niż pięć godzin, przeglądając zawartość bazy danych komputera biblioteki, aż w końcu poczuł głód i postanowił udać się do kuchni. W tym celu nie skorzystał z portalu, lecz otworzył drzwi i powędrował korytarzami

statku do wybranego miejsca. Kiedy tylko opuścił pomieszczenie biblioteki, wszystko w jej sali powróciło do normy, siłowe zasłony zniknęły, stolik i fotel skryły się w ścianie, a światło zgasło.

Donat obudził się po ośmiu godzinach snu. W pierwszej kolejności upewnił się, że transfer czasowy jeszcze trwa, a wszystkie urządzenia wehikułu działają poprawnie. Dziwiło go tylko, że nie odczuwał żadnych oznak przemieszczania się w czasie: najmniejszego choćby drżenia podłóg, wibracji ścian, zawrotów głowy czy sensacji żołądkowych.

Zastanawiał się, w jaki sposób odbywa się taki transfer w czasie i jak twórcy tej maszyny rozwiązali tak zwany paradoks dziadka. Gdyby wehikuł poruszał się z szybkością światła, można by pomyśleć, że wykorzystano do tego celu tunele kwantowe, ale on przecież stał w bezruchu na powierzchni Księżyca. A może tu gdzieś w pobliżu znajduje się czarna dziura z tunelem do innego świata lub przestrzeni?

Donat przypomniał sobie, że naukowcy dwudziestego pierwszego wieku uznali, że podróże wstecz w czasie łamią wszelkie zasady przyczynowości i są nierealne z powodu sprzężenia zwrotnego oraz sprzężeń radiacji, niszczących tunel za wehikułem. Wynikałoby z tego, że muszą odbywać się one jedynie w przyszłość, gdyż wewnątrz rakiety kosmicznej pędzącej z szybkością światła czas płynie wolniej od czasu upływającego na planecie, z której wystartowała.

Resztę dnia Donat spędził na pokładzie sportowo-rekreacyjnym statku, korzystając z siłowni, bieżni i przyrządów gimnastycznych. Na zakończenie treningu zażył kąpieli w basenie, wokół którego komputer stworzył miraż szerokiej i piaszczystej nadmorskiej plaży.

Gdy obudził się następnego dnia, do zakończenia transferu pozostały dwie godziny, o czym powiadomił go sprawujący nadzór nad statkiem komputer. Donat wykorzystał ten czas na gimnastykę, poranną toaletę, później przygotował sobie śniadanie. Przed upływem wyznaczonego czasu dotarł do sali centrum dowodzenia czasotem i usiadł przy konsoli sterującej.

Po piętnastu minutach oczekiwania rozjaśniły się ekrany na ścianach sali i rozległ się głos komputera, informujący o pomyślnym zakończeniu transferu czasowego. Następnie

został odczytany raport z przemieszczania się wehikułu w korytarzu czasowym, poparty wyświetlanymi na ekranach wykresami i równaniami. Ze sprawozdania wynikało, że wszystko jest w porządku i w tej chwili właśnie trwa ładowanie zasobników urządzeń nuklearnych, a statek jest gotowy do przemieszczania się w przestrzeni, w której się znalazł. Donat dotknął teraz jednego z przycisków i na ekranach wyświetlił się obraz czasolotu i jego otoczenia, przesyłany z wystrzelonej na zewnątrz sondy.

Statek kosmiczny stał nadal po zaciemnionej stronie Księżyca w pobliżu grzbietu górskiego. Wyglądało na to, że nic się na obrazie nie zmieniło, co sugerowałoby, że może ta podróż w czasie nie odbyła się? Aby się o tym przekonać, należało przedostać się na drugą stronę księżycowego globu, z której byłaby widoczna Ziemia.

Donat udał się do kabiny startowej statku, zasiadł w fotelu i przygotował kosmolot do startu. Przed nim, na świetlnej ścianie, pokazała się prawdopodobna mapa Ziemi z tej epoki z przewidywaną trajektorią lotu. Po upływie niedługiego czasu statek znalazł się w przestrzeni kosmicznej i automatyczny pilot skierował go w stronę Ziemi. Po polaryzacji ścian kabiny, której światło wewnętrzne dostosowało się do zewnętrznego, Donat znalazł się sam w przestrzeni kosmicznej, tylko na konsoli sterowniczej błyszczały intensywnym, ale przyjaznym dla oczu światłem wskaźniki przyrządów.

Jeszcze chwila lotu i oto przed oczyma Donata pojawiła się niebieska planeta, Ziemia. Statek kierował się teraz w jej stronę ze zwiększającą się stale szybkością, co powodowało, że obraz globu rósł w oczach. Po około czterdziestu minutach lotu w przestrzeni kosmicznej statek na tyle zbliżył się do Ziemi, że mógł już wejść na jej orbitę w pasie równikowym. Donat z zainteresowaniem wpatrywał się w rodzimą planetę, jednak obraz jej powierzchni był zupełnie inny od dotychczas mu znanego. Rzucił się przede wszystkim w oczy całkowity brak pokrywy śnieżnej na obu biegunach oraz znanych mu łańcuchów i masywów górskich. Nie było Himalajów i Alp, Andy i Kordyliery dopiero się tworzyły, brakowało innych łańcuchów i masywów górskich. Inne też było rozmieszczenie kontynentów, właśnie oddzielały się kontynenty: północny od południowego - Gondwana od Laurazji, a od Afryki odsuwał się kontynent złożony z Antarktydy i Australii z widoczną, zaznaczającą się pomiędzy nimi doliną ryftową, zalaną już wodami oceanu. Masyw Dekanu był widoczny na wysokości dzisiejszego Madagaskaru, a Europę od Afryki rozdzielał basen sedymentacyjny rozległego oceanu Tetydy, który rozlał się także szeroko po kontynencie europejskim,

pozostawiając wiele wysp. Znany mu kontynent Ameryki Północnej był rozdzielony na trzy części, z długim, zachodnim pasmem ziemi, odgrodzonym morzem, rozlewającym się na terenach dzisiejszych prerii od tarczy kanadyjskiej. Wyraźnie odznaczały się Apallachy. Oddzielony od Ameryki Północnej kontynent Ameryki Południowej zdawał się wyglądać bardziej normalnie, jednak w jego rozdartą krawędź północno-zachodnią wlewało się morze. Także część środkowa Północnej Afryki była zalana przez morze, które rozdzielało oderwany kawałek tego północno-zachodniego kontynentu od jego części południowej. Azję oddzielało od tarczy skandynawskiej wąskie i długie morze, natomiast Ocean Atlantycki był długi i wąski, i łączył się dodatkowo poprzez Ocean Tetydy z bardzo rozległym Oceanem Indyjskim, natomiast Ocean Spokojny rozlewał swe wody szeroko i daleko jak okiem sięgnąć.

Rozległ się głos komputera pokładowego, meldującego pilotowi o dostosowywaniu map znajdujących się w zasobach jego pamięci do konturów kontynentów planety widzianej ze statku. Jednocześnie maszyna zakomunikowała, że urządzenia pokładowe dokonały odczytu mapy nieba, co umożliwiło umiejscowienie w czasie. Okazało się, że wehikuł dokonał skoku do okresu odległego o osiemdziesiąt jeden milionów lat mierzonego od ery świata, w którym powstał czasolot. Według wskazań komputera powinna to być era mezozoiczna, okres kreda, epoka kreda późna, wiek - kampan obejmujący okres od osiemdziesięciu trzech i pół do siedemdziesięciu milionów i sześciuset tysięcy lat. Tablica stratygraficzna ludzi przyszłości była bardzo rozbudowana i tym samym bardziej szczegółowa, jednak Donat nie bawił się w jej drobiazgowo przeglądanie. Bardziej interesował go obraz widziany z pokładu sterującego Zielonego Psa. Mimo że połowa planety była pogrążona w mroku, nie przeszkadzało to jednak w jej obserwacji, ponieważ urządzenia elektroniczne kosmolotu przystosowywały automatycznie obraz zewnętrzny do możliwości wzrokowych pilota. Nad Ziemią unosiły się obłoki oraz chmury dymów snujących się z wulkanów, poza tym glob w części zacienionej bardzo ładnie rozświetlały w wielu punktach błyskawice wyładowań atmosferycznych powstałych podczas burz oraz odbłask płomieni wydobywających się z czynnych wulkanów.

Zielony Pies krążył przez około pięć godzin po orbicie okołoziemskiej z szybkością osiemdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę i po każdym okrążeniu zmieniał trajektorię lotu, co pozwalało na lepsze rozpoznanie krajobrazów planety. Donat, zafascynowany obrazem zamierzchłej Ziemi, zastanawiał się, w którym miejscu powinien wylądować, aby mógł czuć się bezpiecznie. Zadał pytanie komputerowi o warunki panujące na planecie i już



po chwili na ekranie siłowym pojawiły się żądane dane, komentowane jednocześnie przez maszynę. Wynikało z nich, że zawartość tlenu w powietrzu przekracza dwadzieścia jeden procent, nieco więcej też było dwutlenku węgla, wyświetlił się także obraz termiczny planety. Okazało się przy tym, że Ziemia obraca się w tym wieku geologicznym szybciej, co spowodowało, że czas dobowy uległ skróceniu - tym samym rok ziemski wydłużył się, w innych też miejscach niż obecnie znajdowały się bieguny magnetyczne. Komputer wyliczył ponadto powierzchnię lądów planety i okazało się, że jest ona o dziesięć procent mniejsza od tych z dwudziestego pierwszego wieku, o kilkaset metrów wyższy też był poziom oceanów i mórz.

No tak, przecież na obrót Ziemi wokół swojej osi wywierał przez miliony lat hamujący wpływ krążący dookoła niej Księżyc, a we wcześniejszych erach geologicznych Ziemia obracała się jeszcze szybciej. Komputer zakomunikował w kolejnym odczycie danych, że obserwowana planeta nachylona jest pod nieco innym kątem niż Ziemia znana w czasach ludzkich.

Ostatecznie Donat postanowił posadzić Zielonego Psa na Antarktydzie, ponieważ panowało tam w tym czasie lato i słońce świeciło nieustannie poza kręgiem polarnym. Prawdopodobnie nie będzie tam tak gorąco jak na równiku, a i gady powinny być mniej niebezpieczne, w każdym razie będzie ich na pewno mniej niż w cieplejszych rejonach tego wymarłego już od milionów lat świata. W tym celu wydał odpowiednie polecenia JANO - centralnemu komputerowi sterującemu - który je przyjął, obliczył trajektorię i szybkość lotu do wybranego miejsca i po wyświetleniu wszystkich związanych z tym procesem danych, i zatwierdzeniu ich przez pilota, rozpoczął operację schodzenia z orbity okołoziemskiej.

Czas lądowania był w miarę krótki, ponieważ kosmolot poruszał się w zupełnie inny sposób niż znane nam statki kosmiczne. Po chwili na ekranie pokazał się obraz wybranego na lądowisko terenu, JANO wyświetlał coraz to nowe dane, analizując teren pod statkiem. Ostatecznie po krótkiej chwili wielka maszyna ustawiła się na szesnastu wspornikach na powierzchni Ziemi, a komputer poświadczył fakt lądowania odpowiednim meldunkiem.

Trochę potrwało, zanim Donat sprawdził i wyłączył urządzenia kosmolotu, przekształcając go z powrotem w statek powietrzny. Prawdę mówiąc, nie mógł się doczekać chwili, kiedy wydostanie się wreszcie na zewnątrz. Z obawy przed niebezpiecznymi

zwierzętami, które mogły się tu pojawić, postanowił przeprowadzić rekonesans w łodzi magnetycznej.

Po czterdziestu minutach wybrany środek lokomocji wynurzył się z wnętrza śluzy i zawisł kilka metrów nad gruntem. Zielony Pies stał na szesnastu wspornikach, na wysokości jakichś dwunastu metrów ponad powierzchnią pofałdowanego terenu, na dość rozległej, kamienistej polanie, stanowiącej szarawą plamę pośród lasu niewysokich, liściastych drzew. Donat z ciekawości obleciał łodzią czasolot i przekonał się, że wyglądał na nieuszkodzony, jego burty były wyjątkowo czyste i emanowały matowym światłem, po chwili jednak komputer pokładowy zmienił ich zabarwienie, dostosowując je do tła otoczenia.

Łódź oderwała się teraz od statku i poszybowała na wysokości trzydziestu metrów w kierunku krawędzi polany. Za moment pod maszyną przesunęły się korony niewysokich drzew, spośród których wyróżniały się rozłożyste paprocie. Donat skierował łódź w górę i już po chwili znalazł się na wysokości dwustu metrów nad poziomem gruntu. Teraz widok był bardziej rozległy. Jak okiem sięgnąć, teren w dole porośnięty był bujnym i gęstym lasem szpilkowym i liściastym, nad którym tu i ówdzie unosiły się od czasu do czasu jakieś niezbyt duże praptaki. W dali widniał łańcuch górski, także pokryty bujną roślinnością. Nad tym leśnym morzem unosiły się gdzieś bagienne opary zasłaniające widok. Zafascynowany tym światem Donat skierował łódź w stronę widzianych gór i zwiększył prędkość maszyny. Po kilkunastu minutach góry przybliżyły się i stały się znacznie większe. Donat włączył urządzenie śledzące i po chwili na szybie pokazał się obraz górskich szczytów, który po zwiększeniu precyzji obserwacji powiększył się aż do żądanej wielkości. Obok wyświetliły się parametry określające odległość i inne szczegóły terenu, po chwili komputer grawilotu przeszedł na obserwację w podczerwieni i Donat ze zdziwieniem zobaczył, że w odległej puszczy po zboczu góry przemieszczają się jakieś żywe istoty. Komputer potrafił je wyświetlić bardziej precyzyjnie i dało się dostrzec, że są to dinozaury, prawdopodobnie ornitopody.

Podróżnik rzucił okiem na obraz wyświetlany z komputera. Z prezentowanych danych dostosowanych do rozwoju nauk z początków dwudziestego pierwszego wieku, które Donat rozumiał, wynikało, że mezozoik trwał przez sto osiemdziesiąt pięć i pół miliona lat, natomiast świat kredy rozciągał się w czasie od stu czterdziestu pięciu i pół do sześćdziesięciu pięciu i pół miliona lat, czyli trwał aż osiemdziesiąt milionów lat. W tym okresie żyło już

wiele gadów lądowych i morskich, pojawiły się także ptaki oraz owady. Wcześniejsze rośliny szpilkowe, zbliżone do flory jurajskiej, a także sagowce i miłorzęby zostały zastąpione przez drzewa iglaste podobne do współczesnych sosen i jodeł. Na Ziemi pojawiły się na terenach skrajnych dęby, brzozy, wierzby, topole oraz buki. Występowały już licznie rośliny krzewiaste w rodzaju magnolii, sassafrasu, cynamonu, kaliny, lauru, ostrokrzewu. Także leśne podszycie wzbogaciło się o skalenie, wrzos, pierwiosnki i lilie oraz inne rośliny dwuliścienne. Drzewa spowijały winogrona oraz męczennice.

Donat poprosił o wskazania temperatury panującej na zewnątrz i zdziwił się, gdy termometr wykazał więcej niż dwadzieścia dwa stopnie ciepła. Na tym skrawku Antarktydy było więc bardzo ciepło, a przecież nie był to najcieplejszy wiek mezozoiku, który przypadał na okres stu dziesięciu milionów lat od ery człowieka. Zaskoczony dogłębną wiedzą o tej erze geologicznej, zawartą w pamięci maszyny cyfrowej, Donat zwrócił się teraz z pytaniem o informacje dotyczące ewentualnej możliwości klonowania dinozaurów przez cywilizację przyszłości. Komputer odszukał błyskawicznie żądane dane i ku rozczarowaniu Donata okazało się, że takie klonowania były niemożliwe, gdyż DNA istot żywych ulegały nieodwracalnym przekształceniom po okresie dziesięciu tysięcy lat. No tak, a jednak nie udało się naukowcom z przyszłości, mimo niewyobrażalnego postępu technicznego, odtworzyć parku jurajskiego, to skąd zatem pochodziła ta ich bogata wiedza?

Donat postanowił wylądować i przespacerować się po lesie, problem polegał jednak na tym, że nigdzie w pobliżu miejsca, nad którym się znajdował, nie było można dostrzec polany lub kawałka łąki, wszystko pokrywała zielonym morzem prapuszczą. Po chwili łódź wzniosła się do maksymalnego pułapu trzystu metrów ponad poziom gruntu, przez co przed oczami pilota otworzył się rozleglejszy widok. Po chwili poszukiwań Donat odnalazł miejsce w terenie, w którym las wydawał się rzadszy, i skierował tam magnetyczny pojazd. Po kilku minutach lotu znalazł się nad wybranym miejscem, zniżył maszynę do kilkunastu metrów ponad poziom najwyższych w tym miejscu drzew i przygotował się do zejścia z jej pokładu. Jednak wcześniej sprawdził, że w dole i okolicy nie ma żywych stworzeń.

Opuszczał się powoli przy pomocy pasa grawitacyjnego, umocowanego na biodrach. Ubrany był w kombinezon ze specjalnego materiału, przepuszczającego powietrze, z długimi spodniami i taką samą kurtką z rękawami aż do nadgarstków. Głowę chronił lekki hełm, przypominający głęboką czapkę z dużym daszkiem i długą osłoną karku. Pas grawitacyjny jak

zwykle mieścił pojemnik na urządzenie umożliwiające mu kontakt z systemem komputerowym statku oraz długi nóż, a także plazmowy miecz. Na plecach miał zawieszony mały plecak, a na ramieniu lekki karabin grawitacyjny. Po chwili znalazł się na ziemi.

Widok, jaki się pod nim otworzył, oszołomił go z lekka. Otaczało go morze przedziwnych drzew, zarówno niebywale grubych, jak i cienkich. Rzuciły się w oczy rozwinięte korony paproci, natomiast podszycie lasu stanowiły nieliczne kępki roślin przypominających trawy i nieznanymi mu porostów. W tym lesie było duszno i parno, powietrze miało niezwykły smak i woń, a wzrok sięgał tylko tak daleko, na ile pozwalał roślinny gąszcz. Donat sięgnął do czapki i uruchomił urządzenie bezpieczeństwa, wysunął z niej małe boczne klapy i zasłonił nimi uszy, następnie zsunął spod daszka czapki metaliczną opaskę z zakończeniem i umocował ją na czubku nosa.

Wraz z dokonaniem tych czynności rozszerzyła się skala słyszanych przez niego dźwięków i dochodzących zapachów. Niewielkie urządzenie elektroniczne pozwalało na wyłapanie nad- i poddźwięków i zamianę ich na częstotliwości rozpoznawane przez ludzkie ucho. To samo działało się z receptorami węchu. Jak to urządzenie działało, Donat nie miał pojęcia, ale nie chciało mu się wyszukiwać takiej informacji w bibliotece statku. Zresztą i tak mało by zrozumiał z tego tłumaczenia, nauka społeczeństw przyszłości była tak wysoce zaawansowana, że Donat czułby się jak neandertalczyk przy komputerze.

Kręcił się niezdecydowanie w miejscu w kółko przez dłuższy czas, aż wreszcie obrał kierunek marszu. W ślad za nim ponad lasem przesuwała się magnetyczna łódź, zapewniająca mu bezpieczeństwo i powrót do świata cywilizacji. Mijał przedziwne drzewa, nad głową wisiał gąszcz listowia, marsz utrudniała masa spróchniałych i gnijących konarów drzew i roślin. Woń zgnilizny ciągnęła się szerokim pasmem na dnie lasu i nie rozwiewał jej w tej zielonej dżungli żaden najlżejszy podmuch wiatru. Donat wyciągnął z kieszeni małe pudełko przekaźnika i wcisnął guzik na klawiaturze dotykowej, przekazujący mu obraz z łodzi. Na ekranie zobaczył zbity gąszcz zieleni, przestroił obraz na podczerwień i ujrzął siebie, stojącego pod łodzią. Rozszerzył obraz terenu; pokazały się małe świetlne punkty jakichś niewielkich stworzeń. Po wyostrzeniu obrazu okazało się, że są to niewielkie ptaki. Nie wydawały się groźne, dziwiło go jednak, że w tym lesie panowała niebywała cisza. Nawet ptaki nie wydawały żadnych odgłosów, zapewne syczały lub skrzeczały jak gady.

Donat przedzierał się przez ten pralasz blisko godzinę, aż doszedł do terenów zalanych przez wodę. Wcisnął na obuwiu odpowiedni guzik i w tej samej chwili podeszwy rozszerzyły się, umożliwiając wejście na taflę wody. Rozlewisko wyglądało na płytkie, jednak Donat obawiał się, że występują w nim i miejsca głębsze, a tam mogą ukrywać się niebezpieczne gady. W pewnej chwili opadły go owady, były to jakieś prastare komary i inne nieznane mu robactwo, obok pojawiły się duże ważki. Zniecierpliwiony Donat otworzył klamrę pasa i wcisnął odpowiedni kod na klawiaturze. Po chwili zadziałało urządzenie wytwarzające pole magnetyczne lub grawitacyjne, bądź też emitujące jakieś nieznane fale, co spowodowało, że owady odpłynęły od niego w jednej chwili.

Donat zobaczył zmarszczki na wodzie - coś płynęło w jego kierunku. Nie było potrzeby czekać, aż to coś się objawi, toteż uruchomił pas grawitacyjny, który błyskawicznie wyniósł go nad korony drzew w pobliżu łodzi magnetycznej. Miał już dość tej przechadzki, toteż już po chwili siedział w kabinie. Skierował się dalej na południe. Po półgodzinie szybkiego lotu otworzyła się przed nim wolna przestrzeń, na której dostrzegł kilka niezwykle zwierząt. Skierował w ich stronę ryjek urządzenia skanującego i już po chwili wyświetlił mu się obraz tego zwierzęcia wraz z jego opisem, wagą, długością oraz innymi parametrami. Okazało się, że były to ankylozaury - niezbyt duże pancerne dinozaury z długim ogonem, zakończonym kostną kulą, pokryte taką samą tarczą, chronioną kolcami. Z pozoru powolne i leniwe, objadały się niską roślinnością, chociaż ten znajdujący się pod lasem pożerał liście z krzewów. Dinozaury te były bardzo rozpowszechnione w mezozoiku, co spowodowało, że miały czas, aby opanować także Australię i Antarktydę. Donat przyglądał się tym zwierzętom przez dłuższą chwilę, a później kontynuował lot.

Wkrótce dotarł wreszcie do krawędzi gór, prześliznął się ponad ich stokami, porośniętymi miłorzębami i araukariami, i w tym momencie rozbłysło w oddali w słońcu rozległe jezioro, wciśnięte w skalną kotlinę. Poleciał tam całą mocą silnika i po kilkunastu minutach znalazł się ponad jego wodami. Z góry nie było widać żadnych większych gadów w jego toni, a wielkość akwenu pozwalała na swobodne posadowienie na nim czasolotu. Udało mu się dostrzec, że brzegi jeziora wolne od skał porastały zastrzalinowate (Podocarpaceae) - jakieś wiecznie zielone drzewa iglaste charakterystyczne dla półkuli południowej, w niektórych miejscach wyróżniały się jednak wysokie i strzeliste drzewa z gęstą koroną wyrastającą na końcu pnia, Donat rozpoznał w nich, nie bez zdziwienia, araukarie.

Zrobiło się już późno, ten dzień był bardzo długi, zapewne zimą występował tu okres nocy polarnej, trwający prawie pół roku. Donat sprawdził na komputerze łodzi, w jakiej porze roku przyszło mu się znaleźć na Antarktydzie. Mózg elektroniczny po krótkiej chwili wyświetlił mu odpowiedź - okazało się, że obecnie panuje tu pełnia lata. Donat przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób komputer obliczył ten czas - prawdopodobnie posłużył się obserwacją położenia słońca na niebie oraz innymi danymi astronomicznymi.

Nie było potrzeby wracać do Zielonego Psa, Donat chciał go za to wezwać w miejsce, w którym się właśnie znajdował. Przez chwilę wciskał klawisze na klawiaturze dotykowej komputera łodzi, później opuścił maszynę na powierzchnię jeziora i wpatrzony w stronę, z której się spodziewał statku, czekał spokojnie na jego przybycie. Upłynęło jednak całe piętnaście minut, zanim pojawił się on w powietrzu nad górami. Mimo dużej odległości wyglądał imponująco i z każdą chwilą stawał się coraz większy. Za moment wisiał już nad powierzchnią jeziora, wybierając dogodny do lądowania miejsce. Jezioro było dość głębokie, toteż statek powietrzny po osadzeniu na wodzie stał się okrętem i po niedługiej chwili sterujący nim automatyczny pilot zakotwiczył go do dna w małej zatoczce dwieście metrów od miejsca postoju łodzi. Teraz można już było wrócić na pokład Zielonego Psa. Łódź magnetyczna wykonała małą rundę po okolicy i wokół statku, aby po chwili skryć się w luku transportowym.

Donat spędził resztę dnia na pokładzie, po kąpielii i przebraniu się jeszcze przed obiadem udał się na pokład sportowy. Trzy, czasami cztery razy w tygodniu uczestniczył w treningu z udziałem specjalnego replikanta, czyli androida łudzaco przypominającego człowieka, który pełnił rolę trenera sztuk walki. Robot ten miał wygląd bardzo przystojnego mężczyzny i nikt, kto o tym nie wiedział, nigdy nie odkryłby w nim maszyny. Najpierw wykonywali rozgrzewkę, potem przychodziły ćwiczenia ogólnorozwojowe i siłowe, dopiero później rozpoczynał się właściwy trening. Donat w latach młodości przez wiele lat trenował sztuki walki, miał więc o nich jako takie pojęcie, jednak umiejętności, jakie prezentował przed nim robot, przechodziły jego najśmielsze oczekiwania. Maszyna odczytywała tętno i wzrost ciśnienia krwi w jego organizmie i umiejętnie dostosowywała ćwiczenia do możliwości adepta. Przy wykonywanych rzutach upadki nie były bolesne dla Donata, albowiem przy powierzchni maty tworzyło się pole siłowe, niepozwalające na bolesne zetknięcie się ciała z podłożem. Donat nie miał predyspozycji do karate, bardziej fascynowało go aikido - prastare ju-jitsu, toteż najchętniej uczył się tej obrony od robota. Treningi

obejmowały także sztuki kendo i jaido. Nie było kłopotu ze zrobieniem salta w przód lub w tył, ponieważ pole siłowe spowalniało upadek i podtrzymywało w powietrzu ćwiczącego. Donat ćwiczył się także w strzelaniu z łuku, w rzucie z procy, walce kijem, mieczem i oszczepem, i tym podobnych. Chętnie uprawiał jogę i z każdym treningiem przyswajał sobie kolejne asany. Był znowu młody i tym samym przekonany, że nabyte umiejętności kiedyś mu się przydadzą.

Kolejne dni Donat spędzał na wyprawach w okoliczne tereny, próbował także łowić ryby w jeziorze, ale po złowieniu kilku wielkich, drapieżnych ryb pancernych dał sobie z tym spokój. W lasach starał się wysledzić zamieszkujące go zwierzęta i czasami udawało mu się to. Podglądał z ukrycia jakieś ornitomimozaury z grupy strusiopodobnych teropodów. W tym wypadku były to dwunożne dinozaury, charakteryzujące się wzrostem nieprzekraczającym dwóch metrów, zwykle mające trzy-cztery metry długości. Były one bardzo szybkie, a żywiły się przede wszystkim drobnymi zwierzętami, ale nie gardziły także nasionami i owocami, inne precedzały plankton z wody. Czasami pojawiały się też i mniejsze dinozaury - ptasiomiedniczne ornitopody, ważące około dziewięciu-piętnastu kilogramów, dochodzące do metra długości. Niektóre z tych dinozaurów były opierzone i bajecznie kolorowe. O ile te wcześniejsze spotykane były raczej na rozległych polanach, to te drobniejsze zwierzęta bardzo dobrze radziły sobie w leśnym gąszczu. Dane o wzroście i wadze Donat odczytywał na ekranie małego kalkulatora umieszczonego na rękę. Jego ekran mógł się powiększać w miarę potrzeby, a dane pochodziły z komputera, który pobierał informacje z miniaturowej kamery i odpowiednio je przetwarzał.

Dziewiątego dnia pobytu w tym miejscu Donat postanowił dokonać wymiany powietrza i wody z wnętrza statku, a także ziemi z jego pokładu rolniczego. Był bowiem przekonany, że te niezbędne do życia zasoby załadowane w odległej przeszłości na pokład czasolotu mogły być w jakiś sposób skażone lub wytworzone sztucznie. Zadanie to zlecił do wykonania robotowi administracyjnemu, pełniącemu pieczę nad wszelkimi urządzeniami gospodarczymi Zielonego Psa. Nieco później, siedząc w fotelu w sali gospodarczej statku, dozorował zdalnie wszystkie jego poczynania.

Powietrze z pokładu statku zostało wypompowane i zamienione nowym, wessanym do jego wnętrza i oczyszczonym z wszelkich mikroobów i szkodliwych elementów. Woda ze statku została odprowadzona wprost do jeziora, natomiast w jego zbiornikach znalazła się

inna, pozbawiona wszelkich mikroobów, pochodząca z nieodległego skalnego źródła, które Donat odkrył przypadkowo podczas niedawnego rekonesansu. Jej sprowadzanie odbywało się za pomocą roboczego portu teleportacyjnego, nie tak skomplikowanego jak te służące do teleportacji istot żywych. W tym czasie dwa roboty ogrodnicze, pracujące na pokładzie rolniczym, usuwały przy pomocy urządzenia teleportującego ziemię z pól statku na zewnątrz i zastępowały ją żyzną ziemią, sprowadzaną z wybranego w okolicy miejsca. Odbywało się to w taki sposób, że najpierw android oczyszczał mikrofalami z roślinności wybrany kawałek żyznej gleby, później kierował na ten skrawek ryjek urządzenia grawitacyjnego połączonego z teleportem. Gleba była rozbijana w proch i następnie wsysana do tuby, skąd wędrowała bezpośrednio do statku. Trafiała następnie na pokład, już po oczyszczeniu z wszelkich żywych organizmów oraz ewentualnych nasion chwastów. Nie było to trudne, ponieważ zależało to od właściwego zaprogramowania urządzenia portalu teletransmisyjnego.

Donata, śledzącego wszelkie poczynania maszyn na ekranach, zaskakiwała szybkość i precyzja ich działania. Wszystko było zmechanizowane i odbywało się w niesłychanym tempie, a technika, którą dysponowało społeczeństwo przyszłości, była czymś niewiarygodnym dla człowieka pochodzącego z początków dwudziestego pierwszego wieku. Najbardziej zaciekało go urządzenie oczyszczające teren z roślinności, wysyłało bowiem jakiś rodzaj fal, powodujący jej rozpadanie się i zanikanie. W dniach późniejszych sprawdził, że w arsenale Zielonego Psa znajdowała się broń o podobnym działaniu, dokonująca rozkładu na atomy ciał istot żywych, a także przedmiotów.

Po niedługim czasie wszystkie prace przy wymianie zasobów zostały zakończone, o czym zameldował robot administracyjny. Zadowolony z tego powodu Donat wyłączył wszystkie urządzenia i udał się na pokład mieszkalny. Przemierzając wolnym krokiem korytarze statku, poczuł się teraz o wiele lepiej i bezpieczniej. Nie był do końca pewny swoich doznań, ale po wymianie powietrza we wnętrzu statku oddychało mu się jakby swobodniej i lżej.

Następnego dnia rano postanowił zmienić miejsce pobytu Zielonego Psa. W tym celu udał się do kabiny sterującej lotami i kazał sobie przedstawić obraz kontynentu, na którym wylądował kosmolot po zejściu z orbity okołozemskiej.

JANO wyświetlił mu obraz kontynentu Antarktydy widziany z kosmosu. Jego kontury



były nieco inne od znanych mu, było tu więcej wulkanów, w tym wiele czynnych, natomiast brakowało wielu masywów górskich. Większa część terytorium tego lądu pokryta była gęstym lasem, odznaczały się na nim liczne jeziora, maszyna cyfrowa wyraźnie zaznaczyła na mapie linie przebiegu koła podbiegunowego oraz wąską cieśninę oddzielającą Antarktydę od nieodległej Australii. Jednocześnie okazało się, że Antarktyda łączy się na zachodzie wąskim pasmem lądu z Ameryką Południową. No tak, rozwiązała się zatem zagadka związana z hadrozaurami, których pozostałości kostne znaleziono na Antarktydzie. Dinozaury te wyewoluowały około osiemdziesięciu milionów lat temu w późnej kredzie, później żyły na terenach Laurazji, a przecież znalazły się także na Antarktydzie, która dopiero jakieś czterdzieści milionów lat temu zaczęła lodowacieć.

W pewnym momencie komputer ukazał mapę wykrytych zasobów tego kontynentu i wyszczególnił na niej dwa punkty, co do których miał jakieś zastrzeżenia. Donat wysłuchał komunikatów opisujących te miejsca - wynikało z nich, że znalezione w nich rudy metali wychodzą na powierzchnię ziemi - i zdecydował, że czasotł przeniesie się tam w celu zbadania odkrytych zasobów.

Po niedługiej chwili, potrzebnej na przygotowanie statku do startu, wzniósł się on w powietrze i na wysokości ośmiu kilometrów podązał z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę w kierunku pierwszego wybranego punktu, odległego od miejsca dotychczasowego postoju o tysiąc osiemset pięćdziesiąt kilometrów.

Donat, zawieszony w fotelu w przezroczystej kuli, której ściany stanowiły wyświetlane obrazy przestrzeni wokół statku, obserwował przesuwany się pod maszyną krajobraz - zielony od lasów, błękitny od wód rzek i jezior. Czasami na większych, wolnych od drzew przestrzeniach widoczne były małe kropki kręcących się tam dinozaurów, których obrazy przybliżał na życzenie pilota pokładowy komputer. Po godzinie powietrznej żeglugi po prawej stronie szybującego statku ukazała się w powietrzu potężna chmura dymu. W ten sposób zaznaczał swoją obecność wulkan, którego stożek wznosił się na półtora kilometra ponad poziom gruntu.

Donat nie przyspieszał lotu, rozkoszując się oglądanymi widokami, toteż minęło prawie dwie i pół godziny, zanim komputer zakomunikował mu, że znaleźli się pięć kilometrów od celu. Przed statkiem wyrósł łańcuch niewielkich, lecz skalistych gór,

porośniętych w dolnych częściach drzewami iglastymi i pociętych kamienistymi wąwozami. Na ekranie pola siłowego wyświetlił się nagle punkt, do którego zmierzał statek z wykreśloną trajektorią lotu, a po chwili wielka maszyna zawisła nad wskazanym miejscem. Urządzenia Zielonego Psa przystąpiły do badania terenu i już po chwili wyświetlił się komunikat, informujący o ich wyniku. Donat wczytał się w prezentowane dane, ale ich nie rozumiał - same wzory, chemiczne i matematyczne symbole, obok łacińskie określenia. Poprosił komputer o objaśnienie zapisów i wytłumaczenie prostym językiem, co też takiego wykryły urządzenia penetrujące. JANO rozpoczął odczyt, ale był on także niezrozumiały dla Donata. Po zadaniu pytań szczegółowych okazało się, że w dole znajdują się rozległe obszary występowania rud metali szlachetnych, takich jak złoto i platyna.

W tej sytuacji Donat postanowił wylądować i w tym celu wydał odpowiednie dyspozycje. Wykonując rozkazy, statek powietrzny zmienił kurs i wylądował na bezleśnym brzegu niewielkiego jeziora w odległości czterech kilometrów od miejsca występowania rud.

Podniecony zaistniałą sytuacją Donat opuścił kabinę sterującą i udał się do poziomu transportowego - tym razem wybrał transporter latający, ponieważ obawiał się, że łódź magnetyczna nie będzie przydatna w tym górskim terenie. W przedśionku przebrał się w ubiór eksploracyjny oraz zabrał broń. Po piętnastu minutach z bocznego luku statku, znajdującego się w jego tylnym skrzydle, wysunęła się przypominająca łódź magnetyczną maszyna.

Zielony Pies, ustawiony dziobem w kierunku jeziora, rozkraczył się na szesnastu wspornikach - jego brzuch wznosił się osiem metrów ponad poziom gruntu. Donat obleciał czasolot dookoła i upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, skierował maszynę w kierunku gór. Przez chwilę szybował nad jeziorem, potem wniósł się wyżej i leciał nad szczytami skalistych wzniesień.

Transporter był podobny z wyglądu do łodzi magnetycznej, jednak kształty miał bardziej opływowe, był też dwa razy od niej dłuższy i szerszy oraz o jedną trzecią wyższy. Silniki tej maszyny działały na innej zasadzie niż te, w które wyposażona była łódź magnetyczna. Dzięki temu mógł się wznosić na wysokość trzydziestu kilometrów i rozwijać szybkość do ośmiuset kilometrów na godzinę. Lądował zarówno na podłożu stałym, jak i bagnistym oraz na wodzie. Zanurzał się na głębokość około trzystu metrów pod wodą, a

szybkość, jaką wtedy rozwijał, dochodziła do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Jego osiem chowanych w podwoziu kół pozwalało na jazdę w nierównym terenie z szybkością do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, po szosie poruszał się dwukrotnie szybciej. Koła transportera były sztywne, to znaczy nie skręcały się, jednak każde koło wyposażone było w skretne wałki na jego obwodzie, które umożliwiały, mimo sztywności koła, na jazdę maszyny w dowolnym kierunku. Były to jakby koła w kole. Wnętrze pojazdu zawierało wydzieloną kabinę pilotów oraz przedział pasażerski, który w każdej chwili mógł być zmieniony na luk towarowy.

Tych kilka kilometrów do punktu docelowego transporter pokonał w niecały kwadrans, ostatecznie zatrzymał się w powietrzu nad wyznaczonym punktem. Donat, siedzący w przezroczystej kuli kabiny, opuścił maszynę w małą, skalną, bezdrzewną kotlinę i posadził ją w wybranym miejscu na wysuniętych z podwozia czterech wspornikach.

Kierowanie pojazdem było dziecinnie łatwe nawet dla zupełnego laika i polegało właściwie na wydawaniu głosem lub w myśli, a także przy pomocy klawiatury poleceń pokładowemu komputerowi. Właściwie można by śmiało powiedzieć, że to właśnie komputer sterował maszyną, pilot jednak mógł dowolnie zmieniać kierunek lotu lub jazdy, posługując się także wolantem lub kierownicą, adekwatnie do sytuacji, w jakiej się znajdował pojazd.

Przez dłuższą chwilę Donat obracał się wraz z fotelem w przezroczystej po dokonaniu polaryzacji ścian kabiny, chcąc się zorientować w sytuacji. Poznał ją dopiero wtedy, kiedy ściana szczytowa góry za jego plecami zaślniła nagle w blasku promieni słonecznych. Zdziwił się, że nie zobaczył tego blasku wcześniej, ale zaraz zorientował się, że przy pierwszej penetracji terenu słońce znajdowało się jeszcze z drugiej strony góry, a wysoka skała rzucała cień na kotlinę.

Po zbadaniu okolicy przez przyrządy pokładowe Donat wysiadł z transportera. Poczul ogarniające go gorąco - kotlina nie miała wyjścia, toteż powietrze w jej wnętrzu nagrzało się jak na patelni. Skierował wzrok w kierunku ściany; oślepiająco błyszczała w słońcu. Poszedł teraz w jej kierunku, pozostawiając zabezpieczony transporter. W czasie marszu potknął się kilka razy o kamienie. Kiedy podniósł jeden z nich, spostrzegł, że trzyma w ręku bryłę złotej rudy. Rozejrzał się wokoło, opuścił wzrok i przyjrzał się w skupieniu dnu kotliny; pokryte było większymi i mniejszymi nuggetami. Było to niezmierzone bogactwo, przecież w tym

miejscu znajdowały się chyba tysiące ton złota.

Donat spędził w tym miejscu kilka godzin, penetrując kotlinę. Okazało się, że średnica tej skalnej pułapki sięgała około czterystu metrów, a jej dno było wybrukowane złotą rudą, wychodzącą wraz z żyłami metalu w tym właśnie miejscu na powierzchnię ziemi i wrastającą w jedną ze ścian. Donat zebrał trochę co ładniejszych nuggetów i zaniósł je do transportera. W drodze powrotnej, tuż na skraju krawędzi kotliny, znalazł duży nugget, którego obwód przekraczał zapewne półtora metra. Sprawdził później, że największy samorodek złota w dziejach znanego mu świata został znaleziony w Australii w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim - był bardzo ciężki, bo ważył aż dwieście trzydzieści pięć kilogramów i miał sto czterdzieści dwa centymetry obwodu.

Jednak ta bryła rudy miała większe gabaryty, a to znaczyło, że zapewne była o wiele cenniejsza. Postanowił zabrać to niezwykle znalezisko na pokład statku, powrócił więc do transportera i zabrał z szafki luku bagażowego dźwig grawitacyjny.

Wbrew pozorom było to małe urządzenie w kształcie wysuwanego pręta z płaskim, kwadratowym i rozszerzającym się zakończeniem. Donat podszedł do nuggetu i rozsunął nieco pręt, zwiększając tym samym długość ramienia dźwigu, i umieścił jego kwadratowe zakończenie ponad złotą bryłą. Po wciśnięciu rękojeści uniosła się ona w powietrzu i zawisła pod prętem. Teraz Donat mógł swobodnie przenieść bryłę w pobliże transportera, a później umieścić ją w jego ładowni. Zawsze się dziwił, że tak lekko da się przy pomocy dźwigu grawitacyjnego przemieszczać nawet ciężkie przedmioty, lecz zapoznanie się z teorią działania tego urządzenia przekraczało jego możliwości. Nauka ludzi przyszłości była tak wysoce zaawansowana i wyspecjalizowana, że okazała się prawie niedostępna dla człowieka z jego przedziału czasowego kształtowania się cywilizacji ludzkiej.

Donat czując ssanie w żołądku, powrócił do Zielonego Psa. Już w przedziale transportowym statku wyładował zdobycz i ulokował ją w małej hali na pokładzie magazynowym. Zastanawiał się, ile złota mógłby zabrać na statek z tego miejsca i czy jego zabranie byłoby celowe, ponieważ na statku znajdował się atomowy syntetyzator minerałów, który pozwalał w drodze syntezy atomowej na wytworzenie dowolnego minerału - metalu, polimeru lub kryształu. Należało tylko wcisnąć właściwy kod uruchamiający proces takiej syntezy oraz zaznaczyć kolejnym klawiszem, w jakim kształcie ma się pojawić żądany

minerał. W tej sytuacji nie było potrzeby gromadzenia w ładowniach statku niepotrzebnych metali. Donat po zastanowieniu się uznał jednak, że dobrze by było zgromadzić trochę nuggetów naturalnego pochodzenia do ewentualnego wykorzystania ich jako środki płatnicze w czasach historycznych ludzkości.

Następnego dnia Donat powrócił do złotej kotliny i przy pomocy teleportu przerzucił znaczną ilość nuggetów bezpośrednio do właściwej hali magazynowej Zielonego Psa. Dwie największe bryły umieścił pod ścianą swojego domku na pokładzie mieszkalnym.

Do wieczora obleciał pasmo górskie transporterem, ale okoliczne ziemie okazały się jałowe. Prawdopodobnie z tego powodu nie udało mu się tutaj dostrzec żadnych większych zwierząt. W tej sytuacji postanowił udać się do drugiego punktu wskazanego przez komputer statku podczas kosmicznego lotu nad powierzchnią tego kontynentu.

Poszukiwany obszar znajdował się w środkowej części Antarktydy, około tysiąca czterystu kilometrów od obecnego miejsca pobytu. Okazało się także, że miał on charakter pustynny.

Następnego dnia wczesnym rankiem czasolot wystartował i skierował się w wyznaczone na przestrzennej mapie miejsce. Donat, siedzący w kabinie pilota, z uwagą śledził przesuwaną się pod nim krajobraz. Antarktyda późnej kredy była zupełnie niepodobna do Antarktydy znanej mu z dwudziestego pierwszego wieku. Na jej kontynencie nie wypiętrzyły się jeszcze góry kenozoiku, wcześniejsze wyglądały jeszcze młodo i znajdowały się w zupełnie innych miejscach, poza tym ten kraj był cały zielony, a śniegu nie uświadczyloby się tu nawet na lekarstwo. Maszyna sunęła bezgłośnie w powietrzu na wysokości jedenastu kilometrów nad ziemią z szybkością siedmiuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Donat z przyjemnością i zainteresowaniem oglądał otwierającą się przed nim bajeczny krajobraz, jednak im bardziej w głąb tego kontynentu zapuszczał się Zielony Pies, tym więcej występowało terenów bezleśnych. Zdziwienie pilota wywołało pojawienie się ogromnych terenów bagiennych, zajmujących powierzchnię kilku tysięcy kilometrów kwadratowych, o czym zakomunikował mu pokładowy komputer. Zjawisko było tak niezwykle, że Donat postanowił zmniejszyć szybkość i obniżyć lot maszyny, aby bliżej poznać się z sytuacją. Po chwili statek powietrzny zwolnił do szybkości dwustu kilometrów na godzinę i opuścił się na wysokość dwóch kilometrów ponad ziemię.

Te nagłe skoki szybkości i wysokości nie stanowiły skomplikowanych i niebezpiecznych manewrów dla statku korzystającego z napędu grawitacyjnego i były nieodczuwalne dla jego pasażerów, gdyż przeciążenia były niwelowane przez inne, o przeciwnym kierunku, wytwarzane wewnątrz przez pokładowe automaty.

Po kilku minutach lotu Donat dostrzegł teren nadający się do lądowania i skierował tam maszynę. Zawisła ona nad wskazanym miejscem i powoli zaczęła się zniżać. W tym czasie pokładowe urządzenia przeprowadzały analizę lądowiska. Statek zawisł tuż nad ziemią, a wtedy w części tylnej, środkowej i przedniej podwozia wysunęły się płaskie i cienkie pasma materiału, które w jednej chwili urosły do dużych rozmiarów i zamieniły się w rurowate poduszki powietrzne, ciągnące się od jednej burty do drugiej. Zielony Pies osiadł na nich w bagnie i znieruchomiał. Urządzenia pokładowe potwierdziły lądowanie i wyświetliły na szybie jego parametry. Teraz Donat mógł opuścić kabinę.

Po przebraniu się w kombinezon wyjściowy udał się na pokład transportowy, gdzie wybrał do eskapady zwiadowczej płaską platformę magnetyczną, przystosowaną do poruszania się w terenie. Miała dwa metry długości i specjalny wolant do kierowania, układany na pokładzie, wznosiła się do trzydziestu metrów ponad ziemię i rozwijała szybkość do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Unosiła się swobodnie na wodzie, na lądzie natomiast, po przesunięciu dźwigni w drążku wolantu, wysuwały się z niej cztery małe koła, pozwalające na swobodne lądowanie i ewentualne przemieszczanie. W razie potrzeby możliwe było wysunięcie małego fotela za drążkiem sterowniczym oraz skrzyni na ładunek. Ponadto platformę można było w razie potrzeby wydłużyć o dodatkowe półtora metra. Żadne błoto ani inne zanieczyszczenia nie przywierały do pokładu i burt tego niezwyklego pojazdu.

Donat stanął obok platformy znajdującej się w hangarze i wprowadził do wyświetlonej na ścianie klawiatury dotykowej komputera zarządzającego tym pokładem właściwy kod, co spowodowało, że platforma wysunęła się z pomieszczenia i przemieściła do śluzy. Donat zajął miejsce za wolantem, a wtedy platforma po otwarciu wrót wydostała się na zewnątrz czasolotu i zawisła w powietrzu kilkanaście metrów nad ziemią.

Na zewnątrz było bardzo gorąco, żadnego powiewu wiatru; unoszący się w powietrzu zapach zgnilizny poświadcział, że pod platformą znajdowało się bagnisko. Donat skierował ją

przed siebie i po krótkiej chwili „odpłynął” na odległość trzystu metrów od statku. Odwrócił platformę i spojrzał przed siebie.

Kadłub czasolotu, zawieszony na powietrznych wspornikach, unosił się trzy metry ponad bagniskiem, które w tym miejscu było wolne od wyższej roślinności. Właśnie w tej chwili z luków wydobyło się kilkanaście małych kul o średnicy nieprzekraczającej dwudziestu centymetrów, które rozpierzchły się wokół statku. Były to automatyczne instrumenty badawcze, które drogą radiową przesyłały komunikaty do komputera odpowiedzialnego za prace naukowe, posiadały także możliwość pobierania próbek i przesyłania ich za pomocą teleportu na pokład badawczy statku.

Pokryty warstwą torfu teren z prawej strony platformy, odległy od niej o czterdzieści metrów, porośnięty był wysokimi skrzypami bagiennymi oraz palmami i paprociami. Donat skierował tam platformę i kiedy dotarł do pierwszych roślin, opuścił się nad powierzchnię wody. Przesuwał się teraz powoli wzdłuż krawędzi tych porostów czy też krzewów, wypatrując żywych organizmów. Owszem, były i takie; jako pierwsze dostrzegł owady - były to duże ważki i jakieś inne nieznanne mu latające żyjątka. Nie brakowało także wijów i karaluchów oraz przedziwnych ślimaków. No tak, owady pojawiły się jakieś trzysta milionów lat od ery człowieka, miały zatem bardzo dużo czasu, aby się rozprzestrzenić po całym świecie - pomyślał sobie. W wodzie dostrzegł także płazy, przypominające wyglądem pokraczne żaby, odkrył również traszki, a może nawet i salamandrę, były też jakieś beznogie płazy, prawdopodobnie łuseczniki. Na gałęziach snuły się pajęczyny, lecz ich mieszkańcy mieli obrzydliwy wygląd i byli bardzo duzi. Przy baczniejszym wpatrywaniu się w teren odkrył zupełnie niespodziewanie ropuchę. Dało się dostrzec, że w wodzie roiło się od robactwa i skorpionów, prawdopodobnie w tym grzęzawisku ukrywały się i ryby.

Osoba Donata wzbudziła zainteresowanie jakichś much, czy też jętek, co spowodowało, że musiał włączyć w kombinezonie aparat wytwarzający wokół niego pole odstraszące owady. Pomogło, toteż uwolniony od robactwa, oddał się obserwacji bagniska. Podniósł skrzynię ładunkową i składał w nią co ciekawsze okazy roślin, badając przedtem małym wskaźnikiem umieszczonym na nadgarstku, czy nie są trujące dla człowieka.

Donat spędził w tym miejscu prawie cztery godziny, ale zebrał trochę ciekawych okazów oraz miał przygodę z jakąś dużą rybą, która w poszukiwaniu zdobyczy prawie

wskoczyła mu na platformę. Na szczęście zareagował dość szybko, aby uniknąć ataku. Ryba miała chyba więcej niż trzy metry długości i na pewno była drapieżna, na co zdawały się wskazywać ostre i liczne zęby widoczne w jej otwartym pysku. Dalsza penetracja terenu udowodniła, że zamieszkujące to bagienne rozlewisko ryby polowały na siebie oraz na płazy je zamieszkujące. Odżywiały się także owadami, co było widać, kiedy taka ryba w pogoni za ważką lub innym insektem wyskakiwała w powietrze. Ku swojemu zdziwieniu napotkał także ryby dwudyszne; wiele z nich skrywało się na powierzchni pod liśćmi paproci i małych drzewek podobnych do palm. Spocony i znużony monotonią bagniska, Donat powrócił do statku.

Po procedurach odkażających skrył się wreszcie wewnątrz czasolotu wraz ze swoją zdobyczą. W komorze wejściowej oczyszczeniu i odkażeniu uległy także przywiezione przez niego okazy flory. Donat odesłał platformę na miejsce postoju w luku bagażowym, a sam powędrował na pokład biologiczny Zielonego Psa. Na miejscu zorientował się, że zwiadowcze aparaty czy też roboty badawcze dostarczyły już przez teleportację wiele okazów flory i fauny droidom naukowym i medycznym na statku, jak nazwano bardziej skomplikowane androidy i roboty wyposażone w sztuczną inteligencję przeznaczoną do prac badawczych. W tym wypadku procedury oczyszczające nie były potrzebne, ponieważ teleportacja usuwała wszelkie zagrożenia biologiczne z organizmów. Donat zarządził powrót aparatów zwiadowczych i widząc, że roboty badawcze nie przerywają prac, udał się do kabiny pilotów w celu kontynuowania podróży.

Po poderwaniu się z bagniska czasolotu rękawy pneumatyczne uległy opróżnieniu z powietrza, spłaszczyły się i w jednej chwili skryły całkowicie w podwoziu. Ulegały automatycznemu oczyszczeniu, żaden kawałek rośliny, torfu lub piasku nie przykleił się do rękawa, wilgoć też nie miała do nich dostępu.

Statek znalazł się nad miejscem docelowym po upływie stu trzydziestu czterech minut, o czym zameldował Donatowi sterujący lotem komputer, teraz należało tylko znaleźć miejsce do lądowania. Moczarzyska skończyły się, teren pod statkiem przypominał obecnie pustynię: czerwone piaski, pozbawione zieleni, kamieniste wzgórza, nic szczególnego. A jednak w tym miejscu znajdowało się coś, co wzbudziło zainteresowanie automatów statku. Dopiero teraz Donat spostrzegł, że cała ta okolica usiana jest mniejszymi i większymi kraterami. Wyglądało to zupełnie tak, jakby ten teren został zbombardowany, albo strumień



meteorytów skończył w tym miejscu swój bieg. Zwłaszcza jeden z tych kraterów budził zainteresowanie automatów - obraz wyświetlony na polu siłowym oraz komunikat komputera poświadczły, że w tym miejscu znajduje się jakiś twór nienaturalnego pochodzenia. Dla bezpieczeństwa komputer polecił wylądować o dwa kilometry dalej. Zielony Pies przemieścił się we wskazane miejsce i zawisł nad nierówną powierzchnią pustyni, kryjąc się za dużym, kamienistym wzniesieniem. Po chwili olbrzymia maszyna osiadła na wspornikach, które dostosowały się do wypukłości terenu i wypoziomowały statek.

Penetrację terenu Donat postanowił rozpocząć kolejnego dnia. Dziś, mimo że nadal panował dzień, było już zbyt późno i nie było sensu podejmowania tych prac. Donat zatem udał się do swojego domu na pokładzie mieszkalnym, wziął natrysk i przygotował sobie posiłek. W domowej spiżarni miał jeszcze trochę zapasów z okresu pobytu na Nowej Zelandii, zebranych przed przeskokiem do okresu kredy. Były to przede wszystkim ryby oraz dwa jaja ptaka moa. Ryby złowione przez niego na Antarktydzie nie nadawały się do celów kulinarnych, a pierwszych plonów warzyw po wymianie gruntu na pokładzie rolniczym spodziewał się dopiero za kilka tygodni. Z powodu nieoczekiwanych wrażeń zapomniał o tak przyziemnych rzeczach jak wyżywienie. Dopiero teraz uznał, że mimo wszystko należałoby uzupełnić zasoby żywności, ponieważ zapasy prowiantu zgromadzone na statku nie były raczej dostosowane do organizmów ludzi z dwudziestego pierwszego wieku.

Po obiedzie Donat przeszukał archiwa muzyczne oraz wybrał kilka filmów z biblioteki. Zawsze wieczorem oglądał jakieś filmy, ponieważ był bardzo ciekawy realiów świata nieistniejącej już cywilizacji. Później przyszedł czas na spoczynek.

Penetracja krateru rozpoczęła się z samego rana. Dokonywały jej aparaty zwiadowcze, które oznakowały znalezisko, wymierzyły wszystkie potrzebne parametry i przedstawiły ostateczny raport. Donat śledził wszystkie te prace z panoramicznych obrazów, wyświetlanych w sali na pokładzie badawczym Zielonego Psa.

Okazało się, że to, co utkwilo w kraterze na głębokości trzydziestu metrów, było szczątkami statku kosmicznego nieznannej cywilizacji. Podczas jego lotu nastąpiła jakaś awaria, która skończyła się zderzeniem z rojem meteorytów i rozłamaniem statku na kilka części. Kolidacja musiała być zatem niezwyklej mocy, ponieważ kosmolot zbudowano z bardzo odpornego i prawie niezniszczalnego materiału. Nawet aparaty badawcze z tak odległej od

czasów Donata cywilizacji ziemskiej nie znały takiego wytworu technicznego. Znajdźisko nie było niebezpieczne, odczyty napromieniowania wskazywały zero, na szczątkach statku nie odkryto też niebezpiecznych wirusów i bakterii. W tej sytuacji komputer badawczy zasugerował Donatowi wydobycie rakiety na powierzchnię, na co się natychmiast zgodził.

Maszyny robocze wyostały się ze śluzy transportowej i kierowane przez droidy inżynieryjne z pokładu technicznego Zielonego Psa zostały rozmieszczone wokół wraku, oplatając go siecią pola siłowego. Został on później wysany spod ziemi polem grawitacyjnym i ułożony kilkadziesiąt metrów dalej na równej powierzchni, a cała operacja potrwała kilkanaście minut. Po zakończeniu prac przy wraku maszyny powróciły na pokład Zielonego Psa, na miejscu pozostały tylko aparaty badawcze, które nadal penetrowały znajdźisko.

Donat mógł teraz opuścić statek, łódź magnetyczna kierowana przez niego znalazła się po kilkunastu minutach obok znajdźiska. To, co zobaczył, zaskoczyło go. Obcy statek kosmiczny, a raczej jego duża część wyglądała jak wielokątna bryła metalu zakończona z każdej strony ścianami, w których były wybite siłą uderzenia otwory. Wyglądało na to, że był to raczej odłamany segment jakiejś większej całości, co potwierdził komputer badawczy, analizujący znajdźisko. Po chwili na ekranie pola siłowego wyświetlił się hipotetyczny wizerunek statku kosmicznego, odtworzony przez komputer. Z obrazu tego wynikało, że cały statek musiał mieć około kilometra średnicy i zbudowany był w kształcie jednolitej bryły, składającej się z rozmieszczonych na niej prostokątnych segmentów, co sugerowało jego towarowy charakter. Wiek znajdźiska komputer oceniał na trzydzieści milionów lat, a więc cywilizacja, która go stworzyła, musiała być jeszcze starsza. Właściwie sumując wszystkie lata - wychodziło na to, że miałyby ona w dwudziestym pierwszym wieku jakieś sto dwadzieścia milionów lat. Element tego statku spadł razem z meteorytami jakieś dziewięćdziesiąt osiem tysięcy lat temu na Ziemię. Komputer wyliczył trajektorię lotu strumienia meteorów i wyszło z tego, że ich rój pochodził z okolic gromad kulistych, ulokowanych gdzieś na obrzeżach Drogi Mlecznej.

Donat otrzymawszy te dane był zaskoczony i przestraszony. Dotarło do niego nagle, że istnieją inne zamieszkane światy, może dobre, a może i złe. Po odkryciu wehikułu czasu i zbadaniu jego wyposażenia miał przekonanie, że osiągnięcia tej cywilizacji, która go stworzyła, są ogromne. A tu się okazało, że ludzie mogą być potraktowani przez społeczności

stojące wyżej w rozwoju jak wróble galaktyki, którymi nie należy sobie zaprzętać głowy. Spotkanie przedstawicieli takich rozwiniętych technicznie populacji mogłoby się skończyć bardzo źle dla ludzi, biorąc pod uwagę ludzki sposób podejścia do organizmów niższych. Zachodziło jednak pytanie, czy te cywilizacje na pewno przetrwały, czy też się zdegenerowały, albo uległy unicestwieniu?

Po paru minutach Donat otrzymał przekaz od komputera - można było bezpiecznie zwiedzić znalezisko. Posadowił łódź magnetyczną w pobliżu ściany statku kosmicznego i opuściłabinę.

Ubrany w kombinezon, z hełmem na głowie, stał przed matową ścianą wysoką na pięć metrów i długą na około piętnaście. Tylko w jednym miejscu znajdowało się coś takiego, co by przypominało właz, jednak nie skorzystał z niego, lecz dostał się do wnętrza przez wybity w ścianie otwór. Tuż obok niego zawisły w powietrzu trzy małe kuliste aparaty, dwa z nich były aparatami badawczymi, trzeci, uzbrojony, stanowił zabezpieczenie i straż.

W intensywnym świetle aparatu obronnego, wydzielanego z całej jego powierzchni, widoczne były zniszczenia dokonane przez meteory - niektóre przebiły metalowy tunel na wylot. W środku jednak nie znajdowało się nic takiego, co mogłoby dać jakąkolwiek informację o twórcach tego niezwykłego statku, a raczej jego części. Pomieszczenie bowiem okazało się puste, nie było w nim widać żadnego materialnego przedmiotu ani urządzenia.

Donat obejrzał dokładnie te szczątki, później wyszedł na zewnątrz i obszedł je dookoła w asyście towarzyszących mu robotów. W pewnej chwili otrzymał wiadomość od pokładowego komputera statku, że w odległym o kilometr od tego miejsca kraterze także tkwi jakaś część tego kosmicznego wraku. Z przekazanego obrazu wynikało, że była nieduża, ale jej wygląd sugerował, że było to urządzenie obdarzone sztuczną inteligencją. Otrzymał zakaz zbliżania się do tego miejsca, choć nie kazano mu wracać na statek. Po wydobyciu odłamków z krateru zajęły się nim roboty badawcze, ale raport dotyczący tego szczególnego znaleziska otrzymał Donat dopiero po czterech godzinach.

Zadowolony z przeprowadzonych prac Donat przespacerował się po okolicy. Łódź magnetyczna sunęła nad nim, natomiast roboty powróciły do Zielonego Psa. Zdjął teraz hełm z głowy i natychmiast jego twarz i włosy owiał żar rozgrzanego powietrza. Suchy piasek

szeleścił pod jego stopami, a wokół rozciągały się pozbawione jakiegokolwiek roślinności kamieniste wzgórza. Próbował wypatrzyć jakieś zwierzę, ale w tych piaskach nie było nawet skorpionów. Okolice nie zachęcała do spaceru, toteż Donat powrócił do Zielonego Psa. Łódź magnetyczna została odstawiona automatycznie na swoje miejsce, a Donat udał się na pokład mieszkalny. Już w domu odświeżył się pod natryskiem, a później dotarł do sali na pokładzie badawczym, gdzie obserwował na ekranach poczynania robotów, badających znaną część wyposażenia kosmicznego wraku.

Okazało się, że nowe znalezisko było częścią inteligentnej maszyny. Aparatem badawczym udało się wydobyć z niej niewielki kryształ, na którym prawdopodobnie zapisane były jakieś informacje. Problem polegał tylko na tym, że prymitywne w stosunku do wytworów cywilizacyjnych odkrytego statku urządzenia badawcze Zielonego Psa nie potrafiły odczytać zapisów. W tej sytuacji, po zbadaniu resztek, zostały one przetransportowane wraz z wyciętymi elementami statku na pokład chronolotu i umieszczone w specjalnym chronionym luku badawczym, gdzie były nadal badane przez droidy naukowe. W tej sytuacji Donatowi nie pozostawało nic innego, jak opuścić ten kontynent i rozpocząć penetrację innych zakątków kredowego świata.

Po upływie godziny czasolot wzniósł się w powietrze i na wysokości sześćdziesięciu kilometrów nad ziemią osiągnął mezosferę. Donat chciał przelecieć ponad kontynentem Ameryki Południowej i dostać się do Ameryki Północnej. Interesowało go Morze Mowry, rozlewające się na późniejszych preriach, oraz wyspy z pasmami górskimi Apalachów. Komputer pokładowy wyliczył już trajektorię lotu czasolotu, wyznaczył ortodromę, czyli najkrótszą drogę łączącą dwa punkty na powierzchni kuli ziemskiej z uwzględnieniem punktów podanych przez Donata.

Lot na tej wysokości z szybkością przekraczającą pięć tysięcy kilometrów na godzinę nie potrwał długo. Donat, siedzący w przezroczystej kabinie, obserwował przesuwany się pod nim krajobraz. Zielony Pies leciał teraz nad lądem Ameryki Południowej. Przed oczyma otwierało się morze niekończącej się zieleni, oświetlone jaskrawymi promieniami słońca, gdzieś przesłaniające obłokami chmur. Statek dotarł po trzech godzinach do zatoki morskiej na północy tego kontynentu, wrzynającej się wąskim pasem pomiędzy tworzące się już prawdopodobnie pasmo Andów a masyw łądu amerykańskiego, by już po chwili szybować ponad morzem i Zatoką Meksykańską, oddzielającymi kontynenty Ameryki

Północnej od Południowej. Ostatecznie chronolot znalazł się nad Morzem Mowry, rozlewającym się na późniejszych preriach Ameryki Północnej. Teraz pilot studiował panoramiczną mapę tego wycinka kontynentu, starając się odszukać najlepsze miejsce do lądowania. Po chwili zaznaczył elektronicznym prętem niewielką koralową wyspę, znajdującą się o kilka kilometrów od wschodnich wybrzeży największej wyspy ówczesnej części kontynentu Ameryki Północnej.

Zielony Pies, na rozkaz komputera sterującego lotem, błyskawicznie zmniejszył szybkość i rozpoczął manewr przyziemienia, opuszczając się do wskazanego punktu. Po kilkunastu minutach wylądował na pokrytej niską zielenią wyspie i ustawił swój kadłub jak zwykle na szesnastu wspornikach, wynurzających się z dolnej części statku.

Donat, siedząc w kabinie pilota, uważnie analizował przedstawiany mu przez JANO obraz najbliższej okolicy. Chodziło mu przede wszystkim o wyłapanie sygnałów dotyczących dużych zwierząt, znajdujących się na wyspie i w jej pobliżu. Okazało się, że wyspę tę zamieszkiwały przede wszystkim ptaki, choć czujniki odkryły także i żółwie, a w morzu kilka jaszczurów przypominających kształtem krokodyle. Zgodnie ze wskazaniem komputera w tej chwili powinna w tym skrawku Ziemi być godzina szesnasta, temperatura zaś oscylowała w granicach trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza, wiał słaby wiatr i panowała duża wilgotność powietrza.

Donat nie mógł się doczekać chwili, kiedy opuści wnętrze wehikułu, przedtem jednak postanowił coś przekąsić, zwłaszcza że pora była obiadowa. Po posiłku, odpowiednio ubrany i wyposażony, stawił się na pokładzie transportowym, na którym wybrał dla celów eskapady łódź magnetyczną. Po chwili zajął miejsce w fotelu pilota tej maszyny, znajdującej się jeszcze w hangarze, i wprowadził kod do jej komputera pokładowego. Uruchomiona łódź przemieściła się do śluzy, a stamtąd „wypłynęła” na zewnątrz statku.

Maszyna o długość pięciu i szerokości trzech metrów pozwalała pilotującemu ją Donatowi czuć się zupełnie bezpiecznie w tym świecie. W pierwszej kolejności dokonał z jej kabiny oględzin Zielonego Psa, stojącego sześćdziesiąt metrów od brzegu morza na piaszczystej plaży, później obleciał wyspę dookoła.

Koralowa wyspa była siedliskiem późnokredowego ptactwa, komputer przybliżał mu

w miarę ruchu łodzi obraz tych stworzeń, podawał ich nazwę i opis. Okazało się, że jest to kolonia dość dużych, bo osiagających około metra długości ptaków, zwanych uczenie *Hesperornis regalis*, żywiących się rybami. Mogły się one pochwalić długimi, uzębionymi dziobami. Trochę dalej czujniki odkryły inne prymitywne ptaki, były to *Baptornisy*, obok nich leżało kilka sporej wielkości żółwi zagrzebanych w piasku. Jedne i drugie ptaki były nielotami, ich żywoł, tak jak późniejszych pingwinów, stanowiło jednak morze. Kiedy łódź wzniosła się wyżej, Donat dostrzegł w oddali wiele ogromnych, szybujących gadów, ich skrzydła dochodziły do ośmiu metrów rozpiętości. Bez trudu rozpoznał w nich pteranodony, co potwierdzała długa, kościana narośl wyrastająca z tyłu na ich głowach, stanowiąca jednocześnie jakby równoważnik długiego dzioba tych stworzeń.

Donat stwierdził, że na wyspie nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo, przeto wylądował na niej w pobliżu niezbyt wysokich palm. Kiedy po dwudziestu minutach zsunął się po ruchomych schodach na poziom gruntu, ogarnął go skwar kredowego dnia, toteż szybko zagłębił się w leśny gąszcz. Z zadowoleniem rozpoznał benetyty - niewysokie drzewa podobne do palm, charakteryzujące się jednolitą grubością pni od podstawy aż do wierzchołka, z którego wyrastały witki, pokryte liśćmi przypominającymi liście paproci. Na piasku leżało dużo odłamanych łodyg. Z zaskoczeniem stwierdził, że liście tych palm dawały mało cienia. Donat zaplanował przedarcie się przez drzewiasty gąszcz i rzeczywiście, po kilkunastu minutach, przy wykorzystaniu plazmowego miecza do oczyszczenia trasy, znalazł się po drugiej stronie wyspy.

Koralowa plaża w tym miejscu nie była już tak szeroka, jednak i na niej Donat dostrzegł kilka dużych żółwi. Pamiętając o uzupełnieniu zapasów żywności, postanowił upolować takiego gada, przedtem jednak sprawdził, na co właściwie poluje. Skierował ryjek podręcznego urządzenia skanującego na nieodległe zwierzę i po chwili na ekranie monitora zegarkowego wyświetliła mu się informacja: *Toxochelys* - żółw morski, oraz inne dane opisujące to stworzenie. Brak było tylko najistotniejszej dla niego informacji, stwierdzającej, czy to zwierzę jest jadalne czy nie, ale przecież do tej pory nie miał kto tego sprawdzić. Donat mógł stwierdzić to tylko doświadczalnie, toteż po chwili wahania zdjął karabin z ramienia i wycelował w głowę żółwia. Samego odgłosu wystrzału nie było słycać, natomiast pojawił się jego efekt - mały otwór w głowie zwierzęcia. Teraz bez obawy podszedł do ubitego stworzenia. Mierzyło metr długości, a jego skorupa była zielona i pokryta kościanymi płytkami - wyglądało na bardzo ciężkie. Donat spróbował poruszyć cielsko, ale mu się to nie

udało. Aby zabrać tę zdobycz, trzeba było wezwać łódź magnetyczną. Za parę minut wylądowała obok Donata, który wydobył z kabiny dźwig grawitacyjny i przy jego pomocy umieścił żółwia w ładowni. Teraz można było kontynuować obchód wyspy. Kombinezon nie uchronił go od gorąca, mimo że jego powłoka przepuszczała powietrze i w razie potrzeby odbijała lub absorbowała ciepło słoneczne. Marzył o tym, aby bosy przemierzać te piaski i poczuć chłód wody. Skierował ryjek termometru wmontowanego w zegarek na koralowy piasek - wskazał temperaturę czterdziestu trzech stopni Celsjusza, a więc ten piasek musiał parzyć. Donat zbliżył się teraz do brzegu morza i zmierzył temperaturę wody - miała trzydzieści trzy stopnie Celsjusza, co oznaczało, że nie niosła ochłody. Rozczarowany tym faktem, pomaszerował dalej, wpatrując się w morze, plaże oraz palmowy las. Nad nim, na wysokości dziesięciu metrów, unosiła się magnetyczna łódź.

Wyspę zamieszkiwały jeszcze inne ptaki oprócz widzianych wcześniej, ponieważ kiedy dotarł do koralowych skał, odkrył na nich kolonię ptaków nie większych od gołębi. Powitały go chrapliwymi okrzykami i kilka prapтакów poderwało się do lotu - nie dziwota, w skałach skrywały się ich pisklęta. Lot tych ptaków nie był zbyt pewny, nie wykazywały takiej swobody jak ich odlegli potomkowie. Zresztą wiele ptasich gatunków nie przetrwało wielkiego wymierania u schyłku kredy oraz uderzenia meteorytów, z których jeden spadł na Jukatan, a drugi w pobliżu Dekanu, a może było ich i więcej. Ptaki krążyły nad głową Donata; widząc w ich rozwartych dziobach zęby, szybko oddalił się z tego miejsca. Z pewnej odległości obserwował nadal ptaki przez lornetkę i spostrzegł, że w czasie gdy jedne pilnowały gniazd, inne polowały na ryby i wracały ze zdobyczą do swoich piskląt. W powietrzu unosiło się wiele tych pierzastych stworów. Komputer zaliczył je do Ichtyornis victor - morskich ptaków żywiących się rybami. Kręciły się tam i jakieś inne, ale niestety, informacji o nich komputer nie odnalazł w swojej bazie pamięci.

Głośny plusk rozdarł nagle powietrze. Donat obrócił się w kierunku dochodzącego go odgłosu i ujrzał olbrzymiego jaszczura, wyskakującego z wody. Wyglądem bardzo przypominał krokodyla - no tak, przecież we wszystkich miejscach, na których kiedyś rozlewały swe wody górno-kredowe morza, odnajdowano szkielety takich gadów. Ich długość dochodziła do dwunastu metrów; nazwano je Mosasaurus giganteus. Po chwili obserwowany gad wypłynął na powierzchnię, ściskając w długim pysku dużą rybę, Donat skierował na niego ryjek urządzenia skanującego, które wskazało, że mamy do czynienia najprawdopodobniej z Tylosaurusem. Okazało się, że nie jest to jedyny przedstawiciel

morskich gadów, ponieważ gdzieś w oddali pojawiło się stado długoszyich Plesiosaurusów. Komputer uchwycił obraz najbliższego z nich i orzekł, że mógł to być Elesmosaurus platyurus. Te morskie gady były także bardzo duże, osiągały aż trzynaście metrów długości.

Po półgodzinie marszu i obchodzenia siedlisk ptaków Donat znalazł się w pobliżu Zielonego Psa. Minęła właśnie godzina dziewiętnasta i był już najwyższy czas, aby wracać na statek, ponieważ Ziemię okrył już mrok, jako że zgodnie z jej ruchem wokół orbity Słońca, powinna na tej półkuli panować zima.

Upolowany zółw został dostarczony do chłodni, a tam po zbadaniu przez droida kuchenno-medycznego znalazł się wkrótce na rzeźnickim stole i po chwili zawirował w kuli magnetycznego pola siłowego. Wycięte przez ultradźwiękowe noże kawałki mięsa zostały przesłane do odrębnej zamrażarki, skorupa natomiast powędrowała do oczyszczalni, a później do przechowalni. Pozostałości zółwia nienadające się do użytku zostały unicestwione w plazmowej spalarni.

Donat spieszył się z przygotowaniem kolacji, chciał poznać smak zółwiej zupy i spróbować pieczystego. W tym celu wskazał palcem w zamrażarce wybrane kawałki mięsa, które powędrowały do kuchennej lodówki w jego domu. Po powrocie na pokład mieszkalny dotarł do kuchni i wskazał na ścianie lodówki żądane mięso, a ta wyrzuciła je na stół. Donat zajął się teraz przygotowaniem mięsa na zupę oraz na pieczeń i po upływie trzydziestu minut raczył się już kolacją. Samodzielnie sporządzony posiłek smakował mu jak nigdy, nie spodziewał się bowiem, że upolowany prehistoryczny gad może mieć tak smaczne mięso. Pomyślał sobie, że musi zapisać te informacje w pamięci komputera, tak samo jak i inne swoje spostrzeżenia dotyczące jego przeżyć. Wieczorna kąpiel, a później film pobrany z zasobów kinoteki zakończyły ten wyczerpujący i obfitujący w wydarzenia dzień.

W nocy nadciągnęła tropikalna burza, powiał dość silny wiatr, niosący ulewę. Niebo stało się jasne od błyskawic, a uderzenia piorunów zlewały się w jeden nieprzerwany grzmot. Obok zwykłych wyładowań atmosferycznych pojawiły się licznie pioruny kuliste; ich wyładowania kończyły się nagłym rozbłyskiem światła. Ptactwo na plaży skuliło się w swoich gniazdach i zagłębieniach terenu, wody płytkiego morza wzburzyły się. Jednak do wnętrza czasolotu nie docierał żaden odgłos rozszalałych żywiołów. Mimo tego czujniki statku już wcześniej rozpoznały zwiastuny nadchodzącej burzy i odpowiednio zabezpieczyły



Zielonego Psa. Zresztą jego kadłub był nieczuły na wyładowania atmosferyczne i inne, a potężne pole siłowe, wytworzone przez automaty ochronne, raczej go izolowało. Niemniej z dachu czasolotu wynurzył się długi pręt odgromnika, którego zadaniem było wyłapanie wyładowań w celu naładowania baterii. Po pewnym czasie odgromnik skrył się z powrotem w dachu. Nad ranem burza ucichła, ulewa się skończyła i po chwili spoza chmur znowu zaświeciło ogromne i gorące górnokredowe słońce, osuszając swoimi promieniami teren i powodując silne parowanie gleby.

Zielony Pies był na wyspie bezpieczny, w razie pojawienia się zagrożeń w rodzaju na przykład trzęsienia ziemi, pożaru, transgresji morza i tym podobnych komputer włączyłby silniki i usunął statek w bezpieczne miejsce. Przy mniejszych zagrożeniach wystarczyłoby tylko otoczenie go polem siłowym lub włączenie kamuflażu. Oczywiście Zielony Pies posiadał także urządzenia obronne na swoim pokładzie, ale wykorzystanie ich musiałyby być poprzedzone atakiem na niego.

Ten dzień Donat przeznaczył na dokonanie dalszego rekonesansu w terenie, dlatego zaraz po śniadaniu znalazł się na pokładzie transportowym. Łódź magnetyczna oraz transporter nie odpowiadały mu, ponieważ były zbyt duże i nie pomieściłyby się pomiędzy pniami drzew w lesie, a Donat chciał koniecznie zobaczyć kredowe lasy Ameryki Północnej. Kierowany tą myślą, wyszukał inny środek transportu, zwany Muchą. Był to pojazd podobny z wyglądu do wydłużonego jajka o długości stu osiemdziesięciu centymetrów i wysokości dochodzącej do półtora metra. Wsparty był na czterech nóżkach-podporach, które utrzymywały go na wysokości metra ponad ziemią i zamykały się na podwoziu, wchodziło się do niego poprzez podniesienie górnej, przezroczystej połówki jajka. Mucha przy korzystaniu z napędu grawitacyjnego potrafiła wznosić się do wysokości nie większej niż sto metrów ponad ziemią, zanurzała się w wodzie na głębokość dochodzącą do dwudziestu metrów, a jej szybkość podczas lotu wynosiła sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Dodatkowo maszyna ta była wyposażona w śmigło pchające o średnicy jednego metra, ukryte w tylnej części burty. Wynurzało się ono z obudowy wraz z podniesieniem miniskrzydeł, które stanowiły dodatkowy element ozdobny ścian bocznych. Wtedy Mucha zamieniała się w mały samolocik, który rozpędzał się do stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, a potrafił się wznieść nawet na wysokość dwóch tysięcy metrów. Napęd tego maleństwa stanowił miniaturowy reaktor wodorowy, wytwarzający pole grawitacyjne odpowiedniej mocy, wznoszące i popychające maszynę. Jej zasięg był praktycznie nieograniczony, ogniwo

wodorowej baterii starczało na tysiąc godzin eksploatacji, poza tym podczas lotu słoneczne ogniwa elektryczne, rozmieszczone na powierzchni „jajka”, wytwarzały dodatkową energię, wspomagając tym samym urządzenia wewnętrzne pojazdu.

Donat zajął miejsce w wygodnym foteliku, w którym mieściła się tylko jedna osoba, za oparciem fotela położył swój mały bagaż w postaci plecaka oraz dużego bidonu z wodą, karabin umocował w specjalnym uchwycie z boku kabiny. Wcisnął guzik startera - silnik zaskoczył od razu i po krótkiej chwili Mucha wydostała się na zewnątrz Zielonego Psa.

Promienie słońca omal nie oślepiły Donata, toteż natychmiast włączył zaciemnienie szyb oraz klimatyzację. Maszyna wzniosła się do wysokości trzydziestu metrów i poszybowała poprzez kanał oddzielający wyspę od stałego lądu, w stronę odległych lasów. Kiedy Donat spojrzął w dół, dostrzegł w płytkiej wodzie ławicę żółwi, kierującą się w stronę otwartego morza. Nad lasem, do którego dotarł, unosiły się gęste opary; kiedy się odwrócił, takie same dostrzegł nad wyspą. Spróbował teraz wznieść się wyżej, w tym celu przesunął do oporu dźwignię w wolancie, przekształcając tym samym maszynę w samolot.

W jednej chwili rozpostarły się boczne skrzydła i wynurzyło się śmigło, przejmując teraz napęd. Donat, siedzący wygodnie w fotelu, rozkoszował się lotem, Mucha była łatwa w prowadzeniu, lekka i bardzo zwrotna, wzniosła się w ciągu niewielu sekund na wysokość sześciuset metrów. W dole ciągnął się parujący las, nad którym nie unosił się żaden ptak. Donat wzniosł się jeszcze wyżej i dopiero z wysokości tysiąca dwustu metrów dostrzegł w oddali nietypowy obszar zieleni, wyróżniający się wystrzelającymi znacząco ponad pralasy wierzchołkami ogromnych drzew. W ciągu dwóch minut znalazł się nad tym obszarem. Teraz postanowił opuścić się niżej, aby przyjrzeć się drzewom; rozpoznał w nich araukarie oraz wyższe od nich, wyrastające na ponad sto pięćdziesiąt metrów sekwoje.

Po opuszczeniu się maszyny na właściwą dla manewrów wysokość nastąpiła zmiana jej napędu, Mucha wróciła do swojej pierwotnej postaci i opuszczała się coraz niżej. Czujniki nie wykryły w promieniu stu metrów żadnej większej żywej istoty, toteż Donat bez wahania opuścił się aż na samo dno pralasu. W miejscu tym widniała mała polana, pokryta jakimiś porostami zastępującymi trawę, której w tej epoce geologicznej nie powinno jeszcze być.

Po wylądowaniu rozejrzał się wokoło i otworzył dach maszyny stojącej na ziemi na

czterech elastycznych wspornikach. Kiedy to uczynił, w jednej chwili powiew leśnego, gorącego i nasyconego tlenem powietrza otoczył go, wywołując chwilowe oszołomienie. Obrzucił spojrzeniem otoczenie. Rzeczywiście, rosły tu licznie sekwoje, pralasy składający się z tych drzew był w miarę przestronny, pomiędzy sekwojami wyrastały tu i ówdzie wysokie i strzeliste araukarie z charakterystycznymi gęstymi koronami na szczycie, ale te nie były tak wysokie. Pnie tych wszystkich drzew były niewyobrażalnie grube. Jak okiem sięgnąć, daleko wyrastały gigantyczne kolumny, ich wierzchołki gubiły się gdzieś w przestworzach. Ziemię pokrywały zwalone pnie i opadłe konary, gdzieniegdzie wyrastały młode drzewka.

Majestat tej iglastej prapuszczu oszołomił Donata. Wydało mu się w pierwszej chwili, że znajduje się w jakiejś świątyni, toteż z nieukrywanym podziwem bliskim nabożeństwu wpatrywał się w górnokredową puszcę ery dinozaurów. Ciszy tego pralasu nie zakłócał żaden odgłos, przez co sprawiał on wrażenie wymarłego i jeszcze bardziej tajemniczego, a przecież tak nie było.

Donat uniósł się z fotela i wysunął krótką drabinkę, po której zszedł na ziemię. Pochylił się na otwartym pojeździe, zabrał karabin, pas grawitacyjny oraz plecak, wsunął drabinkę, a później zatrzasnął kopułę wieka Muchy. Następnie przyciskiem umieszczonym na zegarku wywołał klawiaturę dotykową i wprowadził kod autopilota pojazdu. Maszyna po otrzymaniu rozkazu cyfrowego uniosła się na pięć metrów w górę i zawisła w powietrzu. Podczas marszu będzie podążać za nim samodzielnie, wyszukując najłatwiejszą drogę pomiędzy drzewami.

Marsz okazał się trudny, ponieważ w pierwotnym lesie królowała dzika przyroda. Donat musiał obchodzić powalone drzewa i ciągle korygować kierunek marszu. Co prawda nie obawiał się zabłądzenia, Mucha bez problemu znajdzie statek-bazę, ale było bardzo gorąco. Ubrany był w koszulę z krótkimi rękawami, wpuszczoną w długie, luźne spodnie zrobione z materiału przepuszczającego powietrze, głowę zakrywała czapka z długim daszkiem. Długie, bardzo wygodne, sprężynujące i samonapowietrzające się buty ułatwiały marsz. Na biodrach zamocowany miał, jak zwykle zresztą, pas grawitacyjny z zawieszonym przy nim długim nożem i plazmowym mieczem.

Czuł się w miarę bezpiecznie, tym bardziej że nic nie sygnalizowało zagrożenia - żmij i węży w tym okresie geologicznym nie powinno jeszcze być. Od czasu do czasu unosił

kamerę, filmując co ciekawsze miejsca i widoki. W ciągu kilku godzin powolnego marszu donikąd tylko dwa razy udało mu się zobaczyć mieszkańców lasu. Raz była to duża jaszczurka wspinającą się na drzewo, następnym razem spłoszył stado kilkunastocentymetrowych, szybujących od drzewa do drzewa jaszczurowatych gadów. W zwalonych pniach drzew roiło się za to od owadów; najczęściej widywał duże wiję, gdzieś tam trafiał na gniazda termitów, jakieś nieznane mu owady uwijały się też w powietrzu, inne obsiadały licznie pnie drzew. Brakowało jednak tak charakterystycznych dla leśnego środowiska kopców mrówek, nie widać też było pszczół i os.

Donat sprawdził zapis w podręcznym komputerze - praprzodkowie termitów (*Uralotermes permianus*) pojawili się już dwieście pięćdziesiąt milionów lat temu, kiedy to atmosfera ziemską miała nieco inny skład - większa zawartość pary wodnej i dwutlenku węgla umożliwiały tym owadom unoszenie się w powietrzu nie tylko w czasie rójki. Ich odległymi przodkami i krewnymi były karaluchy, natomiast mrówki, osy i pszczoły pojawiły się na Ziemi jakieś sześćdziesiąt milionów lat temu. To by wyjaśniało całą sprawę.

Jeśli istniały owady, to musieli tu być także ich pogromcy, przecież prymitywne ssaki pojawiły się już około dwustu milionów lat temu, natomiast w górnej kredzie żyły już owadożerne torbacze. W pewnej chwili, omijając pień olbrzymiej araukarii, zauważył w jej spróchniałym wnętrzu zwierzątko podobne do dużego szczura, które na pewno nie było gadem. Skierował na nie ryjek skanera i po chwili otrzymał odpowiedź, że ma do czynienia najprawdopodobniej z torbaczem, bardzo przypominającym alfadonta. Ponadto udało mu się zauważyć kilka dużych salamander, a także niezwykle wyglądających ropuch.

Po kolejnej godzinie marszu do uszu Donata dotarły jakieś dźwięki, brzmiały one jak trąbienie o przedziwnej tonacji. Po namierzeniu źródła dźwięku udał się w tym kierunku, wpatrując się uważnie w leśny gąszcz. Po chwili dźwięki nasiliły się; wyglądało to na jakieś stado nawołujących się zwierząt. Jeszcze pół godziny marszu i nagle przed Donatem otworzył się bagnisty teren, porośnięty w niektórych miejscach kępami drzew. W moczarach taplały się jakieś zwierzęta, trochę dalej inne wyszły na ląd. Donat widział, jak podnoszą coś z ziemi i jedzą, ku swojemu zdziwieniu dostrzegł, że były to szyszki. Dopiero teraz przyjrzał się uważnie tym dinozaurom o łuskowatej skórze, ich długość dochodziła do dziewięciu metrów, pyski przypominały kaczę dzioby. Cechą charakterystyczną wielu z nich były grzebienie na głowie, uformowane w kształcie hełmu. Skierował na nie ryjek skanera, świetlny napis

oznajmiał - *Corythosaurus casuarius*. Donat przyglądał się im przez pewien czas, filmując co ciekawsze sceny rodzajowe z ich życia, później ruszył dalej, obchodząc miejsce, gdzie żerowały. Spojrzał bezwiednie w górę, nad nim unosiła się jego znajoma Mucha.

Ku swojemu zdziwieniu niecałe trzysta metrów dalej od miejsca, w którym żerowały kaczodziobe dinozaury, odkrył inne ptasiomiedniczne dinozaury z grupy *Hadrosauridae* i *Trachodon*, co mu potwierdził zapis z podręcznego komputera. Te bagienne gady wyglądały na większe od wcześniej spotkanych. Przy okazji zauważył, że zmienił się charakter lasu wokół zachodniej części bagien, przechodząc od szpilkowego w liściasty.

Donat przyglądał się zwierzętom dość długo i filmował je, później starał się obejść ich żerowisko, aż natrafił na duży strumień, kończący swój bieg w bagnistym rozlewisku. Okazało się przy tym, że mokradła te były domem dla wielu gadów, ponieważ gdzieś w oddali słychać było odgłosy nawołujących się zwierząt, inne od słyszanych wcześniej. Nawet tutaj docierały wielkie ważki - polatywały wzdłuż strumienia, zagłębiały się w las, siadały na powalonych drzewach. Długo śledził je wzrokiem. Kiedy się wreszcie ocknął, spojrzął na zegarek - wędrował już tak przez te rozległe lasy cztery i pół godziny, wraz z upływem czasu zrobiło się bardzo gorąco i parno; niestety na kąpiel w strumieniu nie można było sobie pozwolić.

Donat przedostał się przy pomocy pasa grawitacyjnego przez strumień na drugi brzeg, przy okazji „przelotu” udało mu się zobaczyć jakieś skorupiaki w wodzie oraz żaby. Nie zatrzymywał się jednak w tym miejscu, lecz wędrował teraz w pewnej odległości od brzegów bagniska, chcąc zobaczyć jeszcze inne zwierzęta je zamieszkujące. Po dwudziestu minutach marszu zrobił sobie odpoczynek, tym bardziej że pralasy w tym miejscu stał się bardziej przestronny, pojawiły się także niewielkie polany pokryte jakąś niską, kredową roślinnością. Donat usiadł teraz na dużym kamieniu i sięgnął do plecaka, wydobyl z niego drugie śniadanie i butlę z wodą. Jedząc, rozglądał się wokoło, nad nim wisiała jego Mucha. Jednak nie dane mu było zjeść spokojnie posiłku. Zanim się spostrzegł, otoczyły go komary i jakieś muszki, zwabione wydzielanym potem, co spowodowało, że musiał włączyć urządzenie odstraszające.

Siedział w tym miejscu przez dłuższy czas, popijając wodę z butli, do czasu kiedy dotarł do niego odgłos przypominający parsknięcie. Przestraszył się, lecz wiedząc, że zwierzęta reagują na gwałtowne ruchy, rozejrzał się powoli wokół siebie - mimo że się

uważnie rozglądał, niczego nie zauważył. Nie zbagatelizował jednak tego odgłosu, tylko włączył aparat skanujący okolicę. Po chwili z ekranu otwierającego się na zegarku ukazał się panoramiczny hologram, odzwierciedlający obraz najbliższego terenu. Wskazał on, że w odległości trzydziestu pięciu metrów od miejsca, w którym przebywał, czerwieniły się dwie duże plamy. Wyostrzył teraz obraz i plamy zamieniły się w dwa duże, pięciometrowej wysokości gady - co wskazała odpowiednia skala - stojące nieruchomo i wpatrujące się przed siebie. Nie wyglądało to dobrze, toteż Donat wrzucił szybko do plecaka opakowanie z jedzeniem i uruchomił pas grawitacyjny. Po chwili szybował już na wysokości dwudziestu metrów, razem z nim wznosił się jego pojazd. Wisząc w powietrzu, otworzył wieko grawitolotu, powoli osiadł w fotelu i zamknął kopułę. Patrzył teraz w dół, chcąc zobaczyć, co go tak właściwie wystraszyło. Nie czekał długo, po chwili ukazała się pod nim sylwetka potężnego gada, za nim zauważył drugiego, nieco mniejszego. Oba były kolorowe i obrośnięte puchem, czy też małymi piórami, ich głowy zdobiły grzebienie z piór. Dopiero w tej chwili uzmysłowił sobie, że przecież widziane dinozaury polowały na niego. Ostrożnie obchodziły miejsce, w którym przed chwilą siedział, dziwiąc się zapewne, gdzie się podziała ich zwierzyna.

Donat skierował na nie skaner i już po chwili wiedział, że ma do czynienia ze zwierzętami drapieżnymi z rodziny Tyrannosaurusów. Występowały one licznie w tej epoce w Ameryce Północnej, jak i w innych częściach kredowego świata. Obserwując je z wysokości, odczuł atawistyczny strach. Mimo że były bardzo duże, to jednak poruszały się tak cicho, że tylko przypadek sprawił, że nie dał się im podejść. Gady były kolorowe, jednak wtapiały się bezbłędnie w tło otoczenia. Prawdopodobnie okolice moczarów były ich terytorium łowieckim, a zwierzyną - bagienne gady.

Większy drapieżnik zbliżył się do kamienia, na którym jeszcze nie tak dawno siedział Donat, i obwąchiwał dokładnie to miejsce. Mniejszy dinozaur uniósł głowę i Donat zauważył, że gad przygląda mu się uważnie. W pewnej chwili wyskoczył w górę, a jego otwarty szeroko pysk ukazał straszne zębiska. Na szczęście pojazd znajdował się na wysokości bezpiecznej i gad, nie osiągnąwszy celu, opadł na ziemię. Niezrażone niepowodzeniem gady zaczęły teraz skakać na przemian w górę, toteż Donat wycofał grawitolot ponad poziom lasu. Po chwili szybował już na wysokości pięciuset metrów i kierował się w stronę moczarów. Okazało się, że był to rozległy teren, ciągnący się w stronę morza.

Brzeg morza osiągnął Donat w ciągu jedenastu minut, od Zielonego Psa oddalony był o około osiem kilometrów w linii prostej, toteż postanowił wylądować na pobliskiej plaży i przyrzeć się wodnemu życiu. Okazało się, że dobrze wybrał miejsce na chwilowy postój, ponieważ w okolicy roiło się od żółwi i ptactwa morskiego. Oprócz poznanych już wcześniej ptaków zauważył także inne, które komputer nazwał Gravalus. Donatowi nie chciało się już wychodzić z maszyny, toteż po dłuższej chwili kontynuował lot i szybował teraz wolno nad plażą, chcąc zobaczyć, jakie zwierzęta ją zamieszkują. Okazało się, że najwięcej było na niej żółwi morskich, komputer nazwał je Toxochelys. W pewnym momencie jego uwagę przyciągnął inny ogromny żółw, dochodzący do czterech metrów długości - był on zapisany w bazie danych jako bardzo podobny do żółwia nazwanego Archelon ischyros. Kiedy grawitolot oddalił się bardziej od brzegu, Donat natrafił w morzu na pływającą dokądś ogromną ławicę żółwi, komputer nazwał je Protostega capei.

Grawitolot przeciął wody zatoki i zbliżył się do nadbrzeżnych skał, zasiedlonych przez pteranodony, co umożliwiło ich obserwację z bezpiecznej odległości. Te latające gady, których błoniaste skrzydła osiągały osiem metrów rozpiętości, kołowały gromadnie nad morzem, aby po chwili zniżyć się nad jego powierzchnię i pruć w locie długimi dziobami wodę, polując w ten sposób na ryby.

W innym miejscu udało mu się dostrzec polujące plezjozaury. Ich głowy, umieszczone na długich szyjach, często unosiły się ponad wodą, czasami w ich pyskach pojawiały się ryby.

Po kilku godzinach takich obserwacji Donat poczuł głód, zatem postanowił powrócić do bazy. To kredowe morze obfitowało w ryby, toteż postanowił sobie złowić kilka sztuk na zapas do spiżarni. W tym celu musiał jednak wziąć z pokładu transportowego inny pojazd, który osiadzie na wodzie i ułatwi mu połów. Wkrótce znalazł się w pobliżu wyspy, lecz nie zauważył na niej statku. Przestraszył się i włączył urządzenie naprowadzające, którego wskazania uspokoiły go. Zielony Pies stał tam, gdzie wylądował, natomiast JANO zakamuflował go na sposób kameleona, zlewając z tłem. Złudzenie było jednak tak wielkie, że nawet z bliskiej odległości trudno było go dostrzec. Zadowolony z tego faktu Donat po przejściu wszystkich procedur bezpieczeństwa znalazł się na pokładzie transportowym, skąd po pozostawieniu Muchy pobrał dziesięciometrowej długości łódź przeznaczoną do rekreacji i wędkarstwa, mającą kabinę oraz wysokie burty. Jej zepchnięcie na wodę nie było trudne, ponieważ miała możliwość unoszenia się do dwudziestu metrów ponad poziomem gruntu lub

wody. Kierowana przez automatycznego pilota, rozwijała dużą prędkość i była odporna na fale i uderzenia.

Po kwadransie Donat znalazł się na wodzie w miejscu oddalonym o około pół kilometra od wyspy. Wydobył wędkę z kabiny, rozłożył ją i przypiął błyszczkę, zarzucił i umocował koniec wędziska w uchwycie burty. Nie czekał długo na branie - w kilka chwil po zarzuceniu ryba chwyciła przynętę. Rozpoczęła się zjadła walka, w której schwytna ryba nie miała praktycznie szans, okazało się bowiem, że materiał, z którego zrobiono wędzisko, oraz żyłka miały nieograniczoną odporność, należało tylko skręcać kołowrotek. Po kilkunastu minutach walki na pokładzie miotała się duża, prawie dwumetrowej długości ryba. Donat skierował na nią ryjek skanera, a komputer wyświetlił jej nazwę - Porthaus. Łowienie w dziewiczym morzu okazało się bardzo przyjemne, za każdym prawie rzutem Donat wyłowił rybę. Były one bardzo duże i drapieżne, ich pyski mogły się pochwalić wcale bogatym uzębieniem. Musiał je szybko unieszkodliwiać, co nie sprawiało żadnego trudu, ponieważ po poruszeniu dźwigni otwierał się otwór w pokładzie łodzi, do którego wpadały ryby. Kiedy miał już dość łowienia, powrócił na pokład chronolotu, a jego zdobycz, po sprawdzeniu, czy jest jadalna, została oprawiona i poćwiartowana, po czym trafiła do spiżarni.

W tej okolicy Donat spędził jeszcze wiele dni, później obleciał kontynent amerykański, a w miejscach, gdzie się zatrzymywał na dłużej, wędrował po puszczech i obserwował wędrówki dinozaurów. Jeśli miał na to ochotę, pływał w kredowych morzach w łodzi podwodnej, obserwując życie morskich olbrzymów. Z Ameryki Północnej udał się na kontynent Afryki, aby zobaczyć Morze Transsaharyjskie i afrykańskie dinozaury, a kiedy po kilku tygodniach pobytu znudził się Afryką, przeniósł się do Azji w miejsce, w którym powstanie kiedyś pustynia Gobi - obecnie cmentarzysko dinozaurów. Spotkała go tu miła niespodzianka, ponieważ podczas wędrówki po magnoliowych i palmowych lasach udało mu się zobaczyć wielkiego, roślinożernego, przedziwnie upierzonego i kolorowego dinozaura z charakterystycznym ptasim dziobem. Komputer nazwał go terizinozaurem (*Therizinosaurus*). Obserwowane zwierzę, zajęte zrywaniem liści paproci, miało około dziesięciu metrów długości i przy tym kolosalnym wzroście ważyło prawie sześć ton, jak to otaksował komputer. Na tych terenach żyło jeszcze mnóstwo innych prehistorycznych gadów, w tym wiele takich, o których brakowało zapisów w elektronicznych zasobach Zielonego Psa. Dało się także zauważyć mnogość nieznanych nauce ptaków, bo przecież wiele ich gatunków wyginęło w kosmicznym kataklizmie, który dotknął Ziemię sześćdziesiąt pięć milionów lat



temu.

Donat przebywał w tym fascynującym świecie późnej kredy prawie pół roku. W tym czasie komputerowa baza danych statku zapełniła się informacjami, zdjęciami, filmami, opisami flory i fauny tej epoki. Magazyny pokładu badawczego wzbogaciły się o nowe eksponaty w postaci nasion drzew, krzewów, a także jaj gadów.

Decyzja o powrocie do świata ludzi została podjęta przez Donata nagle. Któregoś dnia miał już dość samotności, brakowało mu także niektórych potraw, między innymi pieczywa. Mógł wybierać w czasie, jego wrota były szeroko otwarte dla niego, zdecydował zatem, że wróci do świata, z którego pochodził - marzyła mu się epoka starożytności.

## **Przed ostatnią wojną punicką**

### **Część I - Punijczycy**

Po wystartowaniu z Ziemi automatyczny pilot poprowadził kosmolot do wybranego punktu lądowania na powierzchni Księżyca, w miejsce, skąd odbył się wcześniejszy transfer w czasie. Donat, siedzący w fotelu na pokładzie sterującym, obserwował oddalającą się planetę. Urzekął go odmienny układ oceanów i kontynentów, wszystko, co przeżył w tym czasie, zdawało się sennym marzeniem. Odczuwał radość wynikającą z faktu, że los obdarzył go młodością, dał mu drugie, ciekawe życie, zatem starał się jak najbardziej z niego korzystać.

Po kilku godzinach kosmolot wylądował na miejscu transferu w pobliżu grzbietu górskiego, powstałego po uderzeniu meteorytu, ustawiając się dokładnie na pozostawionych wcześniej przez siebie śladach. Pokładowy komputer podał parametry techniczne i chemiczne otaczającego statek środowiska - wokół roztaczała się wolna przestrzeń. W pewnym

momencie Donata ogarnęła niepokohamowana chęć wydostania się na zewnątrz i zwiedzenia najbliższej okolicy statku na powierzchni Księżyca.

Po wydaniu odpowiedniego rozkazu już po chwili zakończyła się polaryzacja ścian, które stały się ponownie nieprzeźroczyste, schowała się także konsola kierująca pojazdu. Donat opuścił fotel i po chwili zanurzył się w drżącym, srebrzystym płynie bramy portalu i po teleportacji pojawił się na pokładzie transportowym czasolotu. Pokład ten dzielił się na pomieszczenia grupujące maszyny przeznaczone do eskapad lądowych, wodnych, powietrznych oraz kosmicznych, w tym planetarnych. Donat odszukał pokład pojazdów planetarnych i wybrał odpowiedni dla swoich potrzeb grawitacyjny czterometrowej długości łazik, przypominający wyglądem łódź magnetyczną. Różnił się od niej możliwościami oraz tym, że zawierał zasoby powietrza potrzebne do oddychania, co powodowało, że do wnętrza maszyny można było dostać się tylko poprzez niewielką służę lub przez teleportację.

Donat wydobyl z szafy ściennej odpowiedni skafander, założył go na siebie wraz z hełmem, a dyżurny android sprawdził szczelność całości i dopiero teraz zezwolił na wyjście na zewnątrz. Skafander wyposażony był w pas grawitacyjny oraz niezbędną do przetrwania w przestrzeni kosmicznej aparaturę. Po krótkiej chwili Donat zajął miejsce w łaziku. Kiedy zamknął za sobą właz, rozległ się syk powietrza wypełniającego służę. Wraz z uzyskaniem odpowiedniego ciśnienia, otworzył się właz do wnętrza pojazdu. Donat zajął miejsce w fotelu kierowcy, a w tym czasie właz zatrzasnął się bezgłośnie. Po wciśnięciu startera automaty przepchnęły w tunelu maszynę do służy, a stamtąd, po wypompowaniu z niej powietrza, łazik został wyrzucony na zewnątrz statku kosmicznego.

Po tej stronie Księżyca panowały ciemności, a temperatura przy jego powierzchni wynosiła minus sto dwadzieścia stopni, co wskazał świetlny zapis na ekranie wmontowanym w pulpit sterowniczy. Automat powiadomił kierującego, że pojazd jest szczelny i że można zdjąć hełm z głowy, Donat posłuchał go i ujął w ręce wolant. Łazik, zawieszony dwanaście metrów ponad poziomem księżycowego gruntu, oddalił się od statku, a później odwrócił w jego stronę. Kosmolot stał na powierzchni satelity, słabo widoczny w mroku. Po włączeniu noktowizora obraz z szyb wyostrzył się i przeobraził na normalny, odkrywając wszystkie tajemnice tego miejsca.

Kosmolot wyglądał pięknie i tajemniczo. Donat wcisnął odpowiedni kod na

klawiaturze i burty odległego statku pokryły się płynnym światłem i po kilku chwilach zgasły. Jednocześnie z jego śluzy wypłynęło kilka kulistych aparatów badawczych wielkości piłki nożnej. Przed powrotem na pokład miały pobrać próbki księżycowego gruntu i wykonać zdjęcia. Łazik odwrócił się i popłynął ponad powierzchnią Księżyca w stronę niezbyt odległej granicy, dzielącej stronę oświetloną od zaciemnionej. Należało jednak pamiętać, że strony te niekoniecznie odpowiadały obszarowi widocznemu i niewidocznemu z Ziemi. Te ostatnie strefy wynikały bowiem z tak zwanej synchronicznej rotacji, która powoduje, że z Ziemi widoczna jest tylko jedna strona Księżyca.

W miarę zbliżania się do granicy światła i mroku robiło się coraz jaśniej i jednocześnie wzrastała temperatura powierzchni satelity. Kiedy łazik wychynął wreszcie z mroku, automat natychmiast dostosował widzenie do warunków zewnętrznych, przez co wzrok Donata sięgał teraz o wiele dalej.

Całą widzianą z łazika powierzchnię satelity pokrywał pył, zwany uczenie regolitem, który powstał w wyniku bombardowania Księżyca przez meteoryty. W porównaniu ze zdjęciami z okresu trwania cywilizacji przyszłości było go jednak o wiele mniej, o czym poinformował astronautę komputer pokładowy. Łazik prześlizgiwał się na wysokości czterech metrów ponad kraterami i pokrytymi pyłem przestrzeniami.

Ludzie z cywilizacji przyszłości zagospodarowali Księżyc i przystosowali go do swoich potrzeb. Nie obyło się też bez wojen, ponieważ wiele państw rościło sobie prawa do odkrytych bogactw naturalnych i co lepszych terenów. Po wielu dziesiątkach lat sytuacja jednak na tyle się ustabilizowała, że powstały na jego powierzchni fabryki, przetwarzające surowce i przesyłające je przy pomocy rakiet, a w kolejnych wiekach, już po skoku technicznym, teleportujące je bezpośrednio na Ziemię. Później, po ucieczce elit, na Księżycu zainstalowano baterie wyrzutni rakiet, działa laserowe i grawitacyjne, mogące razić cele na Ziemi i w kosmosie. W tej epoce Księżyc był jednak wolny od wszelkiej broni i nie stanowił zagrożenia dla Ziemi.

W pewnym momencie łazik znalazł się nad równą powierzchnią, pokrytą niewielką ilością pyłu, o czym zakomunikował automat. Donat posadził łazik, założył hełm i wszedł do śluzy; po wypompowaniu z niej powietrza i sprawdzeniu szczelności skafandra otworzył wąż i już po chwili stanął na Księżycu. Od razu odczuł zmniejszoną grawitację, miał bowiem

trudności z poruszaniem się. Siła mięśni wyrzucała go w górę, spadał powoli i nie zawsze tam, gdzie chciał. Księżyc mógł się co prawda pochwalić istnieniem śladowej atmosfery, pochodzącej z rozpadu pierwiastków promieniotwórczych, ale Donat nie czuł żadnego oporu podczas skoków.

Na powierzchni tego ziemskiego satelity Donat spędził kilka godzin, po czym uznał, że ma już dość wrażeń. Niestety z miejsca, w którym się znajdował, nie była widoczna Ziemia, może gdyby przeniósł się trochę dalej, zobaczyłby jej skrawek. Zapragnął jednak zrobić sobie kilka zdjęć - w tym celu odczepił od pasa skafandra jeden z małych, samoczynnych aparatów fotograficznych sterowanych radiowo i po uruchomieniu odrzucił go od siebie. Aparacik z wmontowanym miniaturowym silnikiem grawitacyjnym ustawił się w poziomie i przesłał na ekran hełmu skafandra widziany z jego pozycji obraz. Donat ujrzał siebie na tle księżycowych pustkowi, wybrał odpowiednie ustawienia i kierując aparatem, robił sobie zdjęcia; bardzo chciał, żeby objęły go na tle księżycowego łązika. Po dłuższej chwili udał się do pojazdu i otworzył właz, aparat znowu wykonał serię zdjęć i na rozkaz powrócił do Donata. Teraz można było wejść do wnętrza; po zatrzaśnięciu włazu automat oczyścił skafander, później wpompował powietrze i ostatecznie otworzył właz do kabiny.

Donat dał sygnał do powrotu, jednak wybrał inną drogę oraz wzniósł się na większą wysokość. Po godzinie lotu znalazł się w pobliżu statku kosmicznego, łązik powrócił do służby, został oczyszczony i odkażony, a później przetransportowany tunelem na swoje miejsce. Gdy tak się stało, wewnątrz łązika rozległ się głośny sygnał, a automat oznajmił zakończenie misji. Donat opuścił pojazd i w chwilę później, po odkażeniu i zdjęciu skafandra, teleportował się do części mieszkalnej statku.

Dopiero po obiedzie Donat przedostał się do centrum dowodzenia wehikułem czasu. Po otwarciu się klawiatury dotykowej na konsoli i pojawieniu się ekranów na ścianach pomieszczenia wcisnął odpowiednie klawisze, co spowodowało, że JANO zameldował mu gotowość wehikułu do skoku czasowego. Na ekranach ściany wyświetliła się kula ziemską oraz jej mapy geograficzne z obecnej epoki, a maszyna cyfrowa prosiła o podanie szczegółów transferu.

Donat chciał się przenieść w czasy starożytne, mniej więcej do okresu obejmującego ostatnią wojnę punicką, toczoną w latach sto czterdzieści dziewięć - sto czterdzieści sześć

przed naszą erą pomiędzy Republiką Rzymską a Kartaginą. Komputer pokładowy wyświetlił mu odpowiednie parametry otwarcia korytarza czasowego, biorąc pod uwagę fakt, że Ziemia porusza się z szybkością stu siedmiu tysięcy kilometrów na godzinę po swojej orbicie. Ponadto obliczył czas trwania transferu i ostatecznie zameldował gotowość dokonania skoku. Donat zaakceptował podane parametry i po ukazaniu się zielonego przycisku w pudełku, wcisnął go.

Statek, zamieniony w wehikuł czasu, otoczył się w jednej chwili polem siłowym, a na ekranie pojawiła się tabela z wykresem startowym, który pozwalał śledzić czas przemieszczania się w tunelu czasowym. Komputer poinformował Donata o przebiegu transferu i zakomunikował mu, tak samo jak w czasie wcześniejszej podróży, że jego obecność w centrum dowodzenia nie jest wymagana. Obraz z zewnątrz w czasie trwania skoku czasowego praktycznie był niedostępny, a wszystkie procesy transformacyjne odbywały się automatycznie. W razie pojawienia się niebezpieczeństwa elektroniczne urządzenia wehikułu podejmą właściwą decyzję i zapobiegą mu. W tej sytuacji Donat teleportował się do biblioteki, znajdującej się na siódmym pokładzie. Po wybraniu miejsca i tła kurtyny holograficznej wywołał odpowiedni katalog, życząc sobie przesłania informacji dotyczących nazwy czasolotu. Po chwili otrzymał żądane wiadomości.

Okazało się, że Zielony Pies był symbolem grupy naukowców i oznaczał nieistniejące, mityczne zwierzę, posiadające zadziwiające zdolności odnajdywania rozwiązań, które między innymi umożliwiły grupie badaczy skonstruowanie wehikułu czasu, otwierającego wrota do innych światów a może i wymiarów. Zielony Pies zastąpił w tym przypadku salamandrę, której podobizna była umieszczana nad alchemicznymi piecami starożytnych i średniowiecznych alchemików, poszukujących kamienia filozoficznego. Kamień ten miał posiadać zadziwiającą moc otwierającą jego odkrywcę drogę do bogactwa i eliksiru życia, lecz aby go odkryć, nie wolno było myśleć właśnie o salamandrze. Zielony Pies, traktowany jako nowoczesny kamień filozoficzny, miał być kluczem otwierającym wrota czasu, a zarazem przewodnikiem wskazującym drogę i niosącym ratunek zdegenerowanym i ginącym społeczeństwom. Natchnieni tą wizją naukowcy pracujący nad rozwiązaniem problemów podróży czasowych nosili w klapach swoich kombinezonów miniaturowy wizerunek tego nieistniejącego stworzenia, co było jednocześnie znakiem rozpoznawczym osób wtajemniczonych w to przedsięwzięcie. Kiedy wreszcie udało się opracować technikę przemieszczania się w czasie i po wielu nieudanych próbach zbudowano czasolot - nazwano

go właśnie Zielonym Psem.

Donat przywoływał opisy kolejnych prac i oglądał wyświetlane holograficzne, trójwymiarowe zdjęcia kolejnych prekursorów podróży czasowych i podziwiał ich konstrukcje. W bibliotece spędził kilka długich godzin, a później przeniósł się na pokład sportowy na codzienny trening prowadzony przez replikanta. Dzisiaj przewidziana była na zajęciach szermierka, uprawiana przy pomocy różnego rodzaju broni kłutej i siecznej. Donat bardzo się przykładał do takich treningów, mając na uwadze przewidywane spotkanie z ludźmi świata starożytnego.

Kolejnego dnia, w czasie trwającego nadal transferu czasowego, Donat udał się na pokład produkcyjny w celu przygotowania dla siebie odpowiedniego stroju oraz wyposażenia charakterystycznego dla świata antycznego, lecz w ostatniej chwili rozmyślił się.

Będzie na to czas po obejrzeniu pierwszych ludzi, przecież mogę popełnić jakąś niewybaczalną pomyłkę, która może się źle skończyć dla mnie - pomyślał sobie.

W tej sytuacji postanowił zajrzeć na pokład energetyczny, który znajdował się na drugim poziomie, w wydzielonym miejscu w części środkowej czasolotu. Ten pokład statku nie był wysoki, jego uzupełnienie stanowiły inne sale, w których mieściły się akumulatory, transformatory i pozostałe urządzenia służące gromadzeniu i przesyłaniu energii potrzebnej do eksploatacji czasolotu. Donat zjechał windą na ten poziom, a później pomaszerował dość szerokim korytarzem do centralnego bloku energetycznego. Aby otworzyć prostokątny właz, musiał się wylegitymować, to znaczy przyłożyć rękę do czerwonego kwadratu, ujawniającego się na ścianie po położeniu na niej ręki, i wprowadzić właściwy kod. Kody te Donat miał zapisane w pamięci swojego podręcznego minikomputera, noszonego jak zegarek, inaczej miałby kłopoty z ich zapamiętaniem. W ścianie zarysowały się i otworzyły drzwi; przechodząc przez nie, poczuł mrowienie i owiał go strumień powietrza. Gdy znalazł się po drugiej stronie, drzwi automatycznie zamknęły się i znikły.

Sala siłowni jądrowej była duża i izolowana grubymi ścianami, jej powierzchnia mogła zajmować około tysiąca metrów kwadratowych. Na środku pomieszczenia znajdowało się dwadzieścia jeden uszeregowanych równolegle kwadratowych bloków, każdy o długości krawędzi wynoszącej półtora metra, w których mieściły się reaktory atomowe. Wytwarzały

one energię elektryczną, powstającą w wyniku kontrolowanej reakcji termojądrowej podczas procesu syntezy helu z wodoru.

Ten ostatni pierwiastek chemiczny można było łatwo uzyskać w procesie elektrolizy. Prąd do przeprowadzenia tego procesu pochodził najczęściej ze źródeł zewnętrznych, między innymi z energii uzyskiwanej z paneli słonecznych, którymi była pokryta powłoka statku, oraz tej gromadzonej podczas wyładowań atmosferycznych.

Wokół sali rozmieszczone były pulpity z aparaturą sprawującą nadzór nad reaktorami, a strzegły jej dwa droidy, kontrolujące pracę wszystkich urządzeń znajdujących się w tym miejscu. W celach bezpieczeństwa reaktory znajdowały się w próżni, wytworzonej pod kopułą chroniącą ludzi przed zbliżaniem się do nich. Każdy z tych reaktorów był małą elektrownią o bardzo dużej mocy, pozwalającej zasilić w energię wielomilionowe miasto. Pracowały one na zmianę, włączając się w razie potrzeby, gdy sygnalizowany był większy pobór energii. Jej zużycie było małe w przypadku wykorzystywania pojazdu jako zwykłego lub powietrznego środka lokomocji, wzrastało, gdy statek zamieniał się w kosmolot. W pierwszym przypadku wystarczała praca jednego reaktora, w drugim działały cztery. Najwięcej energii pochłaniało otwarcie korytarza czasowego, wtedy pracowało aż siedem reaktorów, pozostałe stanowiły zabezpieczenie na wypadek awarii.

Po skontrolowaniu w sali operacyjnej działania aparatury Donat pomaszerował na pokład rolniczy, chciał bowiem sprawdzić, jak rozwijają się uprawy. Pokład ten, mający pięć metrów wysokości i zajmujący powierzchnię większą niż hektar, powitał go zapachem ziemi i uprawianych roślin, które mogły rosnać na kilku poziomych platformach. Osobne miejsce stanowił sad, który zajmował dwa i pół tysiąca metrów kwadratowych i wydzielony był z całej powierzchni rolniczej, od której oddzielała go ściana z otworami przechodnimi. W sadzie, na grubej warstwie humusu, rosły liczne drzewa i krzewy owocowe, zmodyfikowane genetycznie, charakteryzujące się obfitymi plonami i wielkością owoców. W całym pomieszczeniu unosiły się pszczoły, lecz mimo że wyglądały jak prawdziwe, bo nawet brzęczały, to tak naprawdę były mechaniczne. Owady te pełniły jednak pożyteczną rolę prawdziwych pszczoł, to znaczy zajmowały się zapyleniem kwiatów, a także potrafiły wytwarzać miód i wosk.

Pokład rolniczy i sadowniczy obsługiwało sześć androidów rolniczych, dbających o

całość upraw. Uprawiane były tylko nieliczne pola, natomiast drzewa i krzewy owocowały nieustannie, plony były zbierane przez androidy, przetwarzane na pokładzie produkcyjnym i gromadzone w chłodni. Z magazynów przetwory trafiały do kuchennej lodówki Donata na pokładzie mieszkalnym, natomiast wcześniejsze produkty po upływie terminu przydatności do spożycia były niszczone w specjalnym piecu plazmowym.

Donat dalej penetrował z zainteresowaniem czasolot, sprawdził przy okazji, że specjalne silniki grawitacyjne były rozmieszczone w krawędziach burt statku, natomiast cały skomplikowany mechanizm, potrzebny do przemieszczania się w czasie, był wmontowany w jego dwumetrowej grubości ściany zewnętrzne. Zadowolony z wyników inspekcji, powrócił do części mieszkalnej, gdzie zajął się swoimi sprawami, a później udał się na spoczynek.

Obudził go przeciągły sygnał, płynący z włączonego sygnalizatora, znajdującego się w pokoju, oznajmiający zakończenie transferu i zwiastujący zamknięcie korytarza czasowego. JANO meldował wykonanie zadania, podawał szczegóły transferu i informował o sytuacji na statku - nie stwierdził żadnych zagrożeń. Donat spojrzął na zegarek - była godzina pierwsza w nocy według czasu pokładowego. Nie warto było już spać, gnęła go ciekawość, chciał naocznie się przekonać, czy naprawdę wehikuł przeniósł go w czasy starożytne. Donat wyświetlił na ekranie obraz czasolotu i jego otoczenia przesyłany z wystrzelonej na zewnątrz sondy. Wyglądało na to, że nic się nie zmieniło w otoczeniu, statek kosmiczny stał nadal po zaciemnionej stronie Księżyca w pobliżu tego samego grzbietu górskiego.

Donat udał się do kabiny, zasiadł w fotelu i przygotował kosmolot do startu. Przed nim, na świetlnej ścianie, wyświetliła się prawdopodobna mapa Ziemi z tego okresu z wykreśloną na niej przewidywaną trajektorią lotu. Po kilku minutach po powrocie sondy statek wystartował i wszedł na orbitę Księżyca, a po chwili automatyczny pilot skierował go w stronę Ziemi. Po polaryzacji ścian kabiny Donat znalazł się sam w przestrzeni kosmicznej i tylko światła wskaźników na konsoli upewniały go, że znajduje się nadal w sterowni statku. Po kilku okrążeniach Księżyca kosmolot zszedł z jego orbity i skierował się w stronę Ziemi, której obraz rósł nieustannie w oczach. W tym czasie aparatura badawcza statku kosmicznego zdejmowała mapę nieba i porównywała ją z mapą przechowywaną w zasobach pamięci komputera, co pozwalało na dokładne określenie czasu, w którym znalazł się wehikuł. Po chwili JANO podał dokładną datę i okazało się, że korytarz czasu zamknął się po przeskoku w roku sto pięćdziesiątym pierwszym przed naszą erą.



Po kilkudziesięciu minutach lotu w przestrzeni kosmicznej statek wszedł na orbitę błękitnej planety w jej pasie równikowym. Donat ze szczególnym zainteresowaniem wpatrywał się w ziemski glob, jednak obraz jego powierzchni był zupełnie inny od tego zapamiętanego z okresu kredy, do którego to już widoku się przyzwyczał. To była niewątpliwie jego Ziemia, gdyż zarówno kontynenty, jak i pasma górskie znajdowały się na właściwych, znanych mu z geografii miejscach.

Zielony Pies, tak jak przy poprzednim transferze, okrążał przez około pięć godzin Ziemię, poruszając się ze stałą szybkością osiemdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę, a po każdym okrążeniu pilot zmieniał trajektorię lotu, co pozwalało Donatowi na lepsze przyjrzenie się powierzchni planety. Z danych wyświetlanych przez JANO wynikało, że zawartość tlenu w powietrzu dochodziła do dwudziestu jeden procent, wyświetlił się także obraz termiczny planety. Jej obrót dobowy miał już prawidłową długość, a bieguny magnetyczne powróciły na swoje miejsca. Poziom oceanów był niższy od ich poziomu znanego z początków dwudziestego pierwszego wieku, dziwne wrażenie sprawiały tylko ośnieżone bieguny Ziemi.

Donat starał się znaleźć na powierzchni planety jakieś miasta i osiedla ludzkie, i przy pomocy komputera odkrył takowe na Półwyspie Dekkańskim, w Ameryce Środkowej, na terenie obecnych Chin, a także te na obrzeżach ówczesnego Morza Śródziemnego. Od dawna istniały już Ateny i Rzym. Przybliżony obraz tych siedlisk ludzkich rozwiał jego wątpliwości - trafił do starożytności. W obecnej chwili nad Morzem Śródziemnym trwała strefa mroku, co sprzyjało skrytemu lądowaniu, zatem Donat zadysponował wodowanie statku kosmicznego w najwęższym miejscu, rozciągającym się pomiędzy Sycylią a wybrzeżem Afryki.

Kosmolot, pilotowany przez automatycznego pilota, potrzebował trzydziestu minut, aby zejść z ziemskiej orbity i wodować na powierzchni morza w okolicy, gdzie radar grawitacyjny nie wypatrzył żadnych ziemskich okrętów. Gdy już osiadł na falach, nieznacznie przy swojej wielkości zanurzony - zadziałał system bezpieczeństwa i czasolot stał się niewidzialny.

Donat powierzył opiekę nad statkiem automatom, a sam ruszył w kierunku wind, chcąc dostać się na najwyższe piętro. Kiedy tam dotarł, wy dostał się wreszcie poprzez górny

luk wyjściowy na górny pokład, a tam stał przez dłuższą chwilę, wpatrzony w rozgwieżdżone niebo. Statek kołysał się łagodnie, Donat usłyszał plusk fal i odczuł powiew lekkiego wiatru, jednakże instynktownie rozejrzał się wokoło, pamiętając niebezpieczne górnokredowe latające gady. Po chwili opamiętał się, w tej epoce nic takiego mu nie groziło. Za moment pokład uległ polaryzacji i stał się przezroczysty, jednakże od butów Donata, w które były wmontowane specjalne urządzenia powodujące zanik polaryzacji, w promieniu pięciu metrów rozciągał się obszar widzialnego pokładu.

Powietrze tego świata miało inny zapach i smak od tego, do którego zdążył się już przyzwyczać, przemierzając kontynenty Ziemi z epoki późnej kredy. Nie było tu jednak tak parno, a i atmosfera nie była nasycona w tak dużym stopniu wilgocią. Donat przeszedł się po pokładzie, wdychając słone, morskie powietrze; według wskazań JANO w tym obszarze panował środek ziemskiego lata. Wokół statku rozciągała się morska przestrzeń, skrywana przez noc, dopiero kiedy Donat podniósł do oczu lornetę, obraz świata ukazał się w pełni. Nie udało mu się dostrzec żadnego okrętu ani łodzi w pobliżu, toteż po dłuższej chwili kręcenia się po pokładzie powrócił do wnętrza statku. Wcześniejszy sygnał zakończenia transferu przerwał mu nocny odpoczynek, dlatego postanowił przespać się do rana. Uznał jednak, że chronolot, dla bezpieczeństwa, powinien skryć się pod powierzchnią morza i przebywać na głębokości peryskopowej, co umożliwiałoby automatom śledzenie horyzontu i dostosowywanie się do warunków panujących na morzu. W tym celu wydał przez komunikator wewnętrzny, który zawsze nosił przy sobie, odpowiednie polecenie komputerowi sprawującemu nadzór nad statkiem, i powrócił do łóżka.

Świt zastał Donata jeszcze w łóżku. Po gimnastyce i śniadaniu udał się do kabiny sterowniczej. Po wejściu włączył panel sterujący i polaryzację ścian, i w tej samej chwili otoczył go obraz morza, widziany z peryskopu statku, i dotarły do niego dźwięki dochodzące z zewnątrz.

Na morzu nic się nie działo, horyzont był pusty, zatem Donat włączył radar grawitacyjny, który ukazał mu wiele okrętów, znajdujących się za widnokretem, rozrzuconych w kilku miejscach na morzu i przemieszczających się w różnych kierunkach. Donat wybrał najbliższą czasolotowi grupę statków i wydał rozkaz zbliżenia się do nich.

Zielony Pies opuścił peryskop i podążył w nakazanym kierunku. Obraz widziany znad

powierzchni zniknął, za to Donata otoczył przestwór wód, w którym przewijały się ławice ryb. Płynąc, czuł się teraz na pokładzie swojego statku tak jak kapitan Nemo na Nautilusie, był władcą tych wód, a wszystko, co mógł znaleźć w morzu, należało do niego.

Po kilkudziesięciu minutach podmorskiej podróży czasolot zbliżył się już na tyle do okrętów, że można było wysunąć peryskop. W jednej chwili Donat „odnalazł” się znowu na powierzchni morza i pierwsze, co zobaczył, to było sześć okrętów, z których na pierwszy rzut oka można było rozróżnić pięć statków handlowych eskortowanych przez okręt wojenny. Statki handlowe były masywne, płynęły pod żaglami, chociaż wyposażono je także w wiosła, natomiast okręt wojenny był długi i smukły, widoczne były trzy rzędy wioseł, nadbudówka i duży maszt z prostokątnym żaglem, na rufie zamocowano katapultę. Okręty zmierzały z zachodu, ze strony otwartego morza, w kierunku wybrzeża afrykańskiego, do punktu, w którym powinna znajdować się starożytna Kartagina. JANO wyświetlił mapę tego terenu, wykonaną w czasie, gdy kosmolot krążył jeszcze po orbicie Ziemi, i okazało się, że w tej wąskiej cieśninie oddzielającej Sycylię od Afryki znajdowało się kilka wysp. Wąski przesmyk stanowił przejście z zachodniej do wschodniej części Morza Śródziemnego, z tego powodu akwen ten miał strategiczne znaczenie. W celach orientacyjnych Donat kazał komputerowi przywołać ich starożytne nazwy, były to między innymi Cossura i Melita. JANO uzupełnił informacje, podając ich powierzchnię, i okazało się, że ta pierwsza była większa.

Donat wyłączył teraz polaryzację i przybliżył wyświetlany na ścianie obraz, widziany z peryskopu. Interesowali go ludzie płynący na pokładach statków, chciał poznać ich stroje i zorientować się w typach ludzkich, jakie reprezentowali. Obserwacje te mogły być pomocne dla celów charakteryzacji, w przypadku gdyby zdecydował się na wejście do miasta.

Przybliżenie nie przyniosło jednak spodziewanych efektów, toteż Donat postanowił wysłać sondę zwiadowczą w kierunku okrętów. Po kilku minutach z małego otworu w burcie czasolotu wyprysnął mały, kilkucentymetrowy walec o grubości jednego centymetra i po wydostaniu się na powierzchnię morza, poszybował nisko nad wodą w kierunku grupy statków. Po chwili stał się niewidzialny dla oczu ludzi, jednak nie dla urządzeń nim sterujących, i obraz przesyłany przez niego był odbierany przez anteny pograżonego w morzu Zielonego Psa. Kiedy wreszcie sonda dotarła do pierwszego statku, którym była uzbrojona trirema, Donat mógł zobaczyć obsługujących go marynarzy oraz usłyszeć ich głosy. Z

telewizyjnego przekazu wynikało, że załoga okrętu wojennego składała się z ludzi, wśród których komputer, rejestrujący obraz, przekazywany przez sondę, wyróżnił Punijczyków, Numidów i Greków. Ubrani byli w lekkie tuniki, lecz każdy z nich miał przypasany do pasa krótki miecz. Z pokładu docierał odgłos bębna, który nadawał tempo wiosłarzom, keleusta - nadzorujący ich pracę, przechadzał się z wolna po pokładzie, trzymając w ręku krótki bat, zakończony skórzaną kulką.

Sonda przeniknęła do wnętrza okrętu, ukazując pracujących przy wiosłach niewolników i ich nadzorców. JANO rejestrował rozmowy żeglarzy, próbując poznać sens wypowiedzianych słów; kiedy to nie pomogło, sonda zbliżyła się do jednego z nich i zawieszona nad marynarzem, nakryła jego głowę polem siłowym, skanując przy tym zawartość pamięci jego mózgu. Badany w ten przedziwny sposób człowiek znieruchomiał, wyglądał tak, jakby na chwilę utracił świadomość, jednak po chwili potrząsnął głową i kontynuował rozmowę z towarzyszami.

Naukowcy świata przyszłości już dawno odkryli sposób na „zobaczenie” słów w ludzkim mózgu, kryły się bowiem w jego korze nierozpoznane wcześniej obszary zaangażowane w tworzenie dźwięków. W trakcie badań okazało się, że tak jak w alfabecie Morse’a każda litera i cyfra mają przypisane melodie, tak w ludzkim mózgu każdy dźwięk miał przypisany własny sygnał. Odkrycie tej zdolności umysłowej umożliwiło wkrótce odczytywanie ludzkich myśli i przyczyniło się do powstania odpowiedniej technologii, umożliwiającej komunikację ludzi bez wypowiedzania słów.

Po krótkiej chwili sonda odpłynęła dalej, lecz od tego momentu komputer, do którego wpłynęły przekazane przez nią informacje, potrafił już przetłumaczyć wypowiedzane słowa. Język fenicki, w którym rozmawiali żeglarze, brzmiał staroświecko, lecz tłumaczenie było dla Donata zupełnie zrozumiałe - płynący cieszyli się, że podróż dobiega już końca i że nie byli atakowani przez piratów, mających swoje kryjówki gdzieś na Balearach. Z prowadzonej rozmowy można było wywnioskować, że okręty były od wielu tygodni w drodze, ponieważ płynęły aż z dalekiej Hiszpanii. Marynarze liczyli więc na dobrą zapłatę, opowiadali też sobie o licznych przyjemnościach, które czekają na nich w Kartaginie.

Sonda zwiadowcza dokonała jeszcze inspekcji pozostałych statków i spenetrowała ośrodki pamięci kilku innych ludzi. Z zebranych informacji wynikało, że okręty należały do

kilku bogatych kupców punickich, jaką to nazwą Rzymianie ochrzczili mieszkańców Kartaginy, założonej dawno temu przez fenickich kolonistów. Kupcy ci utrzymywali stosunki handlowe z mieszkańcami Hiszpanii, podbitej w roku dwieście pierwszym przed naszą erą przez Rzymian, w wyniku czego odebrali oni Kartaginie większą część Półwyspu Iberyjskiego. Mimo wszystko udało się jednak Punijczykom utrzymać niektóre skrawki tych terenów i dzięki temu w ładowniach statku znajdowało się srebro, cyna oraz inne metale zakupione w miastach i osadach jeszcze do nich należących w tym kraju. Dużo wcześniej Kartagińczycy poznali wyspy atlantyckie: Maderę i Wyspy Kanaryjskie, które nazwali „wyspami szczęśliwymi”. Miały one stanowić dla nich rękojmię bezpieczeństwa, gdyż Punijczycy uważali, że po zniszczeniu ich państwa w Afryce mogliby się tam przenieść wraz ze swoimi rodzinami. Dla odstraszenia potencjalnych - obcych żeglarzy-odkrywców puniccy żeglarze rozsiewali informacje o potworach żyjących w morzu, rozciągającym się za Słupami Heraklesa.

Sonda niebawem powróciła do bazy, a Donat przygotowywał się do wizyty w starożytnej Kartaginie. W ramach tych przygotowań w zakładzie produkcyjnym znajdującym się na pokładzie przemysłowym statku pełniące tam służbę androidy otrzymały polecenie wyprodukowania ubrania, obuwia i pasa na wzór tych, których obraz przesłała sonda zwiadowcza z pokładu starożytnego statku. Oprócz ubrań miała być odtworzona także broń - krótki sztylet. Z pieniędzmi nie powinno być kłopotu, ponieważ Donat chciał zabrać ze sobą spory woreczek nuggetów, znalezionych w jego poprzednich eskapadach w epoce późnej kredy.

Wyprodukowanie potrzebnych materiałów i przedmiotów nie sprawiało żadnych kłopotów automatom Zielonego Psa, ponieważ ich zdjęcia oraz dane dotyczące parametrów technicznych materiału oraz jego powiązań molekularnych wprowadzone do maszyny zwanej Lampą Alladyna pozwoliły na odwzorowanie ich w dowolnej formie i kształcie lub stworzenie od nowa. Lampą Alladyna nazwano bowiem niezwykłą dla człowieka z początków epoki dwudziestego pierwszego wieku maszynę - syntetyzator atomowy, umożliwiającą wytworzenie dowolnego metalu, kryształu czy włókna.

Donat obserwujący pracę androidów, obsługujących syntetyzator, z niedowierzaniem patrzył na wyrzucone z jego wnętrza przedmioty, wyglądające identycznie jak te prawdziwe, prezentowane w przestrzeni trójwymiarowej na dużym ekranie maszyny. Po krótkiej chwili

przymierzał już wełnianą tunikę i opasywał się skórzanym pasem z zawieszonym u niego sztyletem z żelaznym ostrzem osadzonym w rękojeści z brązu.

Teraz powrócił do kabiny sterującej i wydał automatycznemu pilotowi polecenie kontynuowania podwodnego rejsu w stronę wybrzeża afrykańskiego. Po dwóch godzinach podróży statek znalazł się w odległości sześćdziesięciu kilometrów od starożytnej Kartaginy i osiadł na twardym dnie płytkiego w tym miejscu morza. Było jeszcze bardzo wcześnie, toteż Donat nakazał komputerowi pokładowemu zabezpieczenie statku na tej pozycji, a sam udał się na pokład transportowy, aby wybrać pojazd, który przetransportuje go na stały ląd.

Czasolot spoczywał na głębokości sześćdziesięciu metrów pod wodą, toteż możliwe było posłużenie się łodzią magnetyczną, która mogła zanurzać się do głębokości stu metrów. Po czasie potrzebnym na zainstalowanie się w niej podróżnik wydał stosowne polecenie automatycznemu pilotowi i po kilku minutach łódź znalazła się poza statkiem. Pilotowanie pojazdu było w pełni zautomatyzowane i zsynchronizowane z systemem bezpieczeństwa oraz głosowym kierowaniem łodzią.

Donat nie wynurzał łodzi na powierzchnię, lecz mknął nią kilka metrów pod wodą w stronę wybrzeża, wchodząc w rozległą zatokę, w głębi której rozpościerało się miasto. Na cyplach zatoki znajdowały się dwa miasta: na zachodnim - Utika, na wschodnim - Clupea. Gdy znalazł się już stosunkowo blisko niego, włączył urządzenie wywołujące niewidzialność pojazdu i wyprysnął spod wody w powietrze. Po chwili znalazł się na wysokości trzystu metrów nad powierzchnią.

Przed oczyma Donata otworzył się widok na morze pełne okrętów i starożytne miasto leżące nad Zatoką Tunetańską. Miejsce na założenie miasta było dobrze obrane, ponieważ umożliwiało ono sprawowanie kontroli nad przecinającymi się w tym miejscu szlakami handlowymi w przewężeniu Morza Śródziemnego, rozciągającego się pomiędzy kontynentem afrykańskim a należącą do kontynentu europejskiego Sycylią.

Korzystając z bogatych zasobów pamięci pokładowego komputera, Donat potrafił bez trudu rozpoznać starożytne okręty: jednorzędowe monery, dwurzędowe biremy, trójrzędowe triery, a także czterzędowe tetry. Bliżej portu widoczne były trzy galery strażnicze z charakterystycznymi pokładami, z umiejscowionymi na nich katapultami i pomostami

bojowymi spuszczanymi z góry na pokład wrogiego okrętu. Z dziobów okrętów wystawały kliny z hakami. Większość obserwowanych galer miała czerwone żagle, a ich dzioby pomalowano na biało. Były tam też pięciorzędowe pentery, pomiędzy nimi podążała majestatycznie siedmiorzędowa heptera. Rytmicznie poruszane wiosła przypominały z góry nogi przemieszczającego się owada.

Zbudowane na najdalej wysuniętym w morze cyplu miasto otoczone było murami, na których stały tu i ówdzie katapulty. Wśród nich wyróżniały się olbrzymie onagery i karrobalisty - olbrzymie kusze umieszczone na wózkach. Przy machinach leżały lub stały ułożone w piramidy olbrzymie kamienie, waga niektórych mogła dochodzić nawet do pół tony. Miasta od strony lądu broniły potrójne mury, od strony morza mur pojedynczy, a przede wszystkim wysokie i niedostępne brzegi. Mur obronny rozdzielał także miasto na dwie części. Port handlowy, rozłożony we wgłębieniu w długim kanale portowym, obramowany był z obu stron murami, cumowały tam liczne statki, a na wybrzeżu kręciło się mrowie ludzi; całość sprawiała niesamowite wrażenie. Górowało nad nim miejsce zwane Tofet. Za portem handlowym, bardziej w górę, za wysoką bramą znajdował się port wojenny o powierzchni około pięciu hektarów, zwany Kothonem, z charakterystyczną wyspą na jego środku oraz suchymi dokami i hangarami na statki. Do niej przycumowane były okręty wojenne. Wejścia do portu od strony morza bronił długi łańcuch. Na zewnątrz kanału prowadzącego do portu znajdowało się nabrzeże zewnętrzne z przycumowanymi tu statkami. Wokół miasta rozciągały się szeroko sady, pomiędzy którymi położone były liczne wiejskie domy. Donata zadziwiła powierzchnia tego miasta, według wyliczeń urządzeń pomiarowych łodzi magnetycznej obejmowało ono obszar około pięciu kilometrów kwadratowych, a jego przedmieścia obszar wielokrotnie większy. Komputer ocenił, podając różne wyliczenia, że mogło tu żyć grubo ponad pół miliona mieszkańców.

Zgodnie z informacjami uzyskanymi z komputerowej bazy danych historycznych statku rdzenni mieszkańcy Kartaginy nazywali swoje miasto Quart-Hadaszt - czyli Nowe Miasto, natomiast wśród Rzymian przyjęła się jego grecka nazwa - Kartagina. Donat pamiętał, że po przeskoku w czasie komputer pokładowy, kierujący tym procesem, wskazał, że według czasu gwiazdowego wehikuł czasu odnalazł się w roku sto pięćdziesiątym pierwszym przed naszą erą, a zatem dwa lata przed wybuchem trzeciej wojny punickiej, która toczyła się pomiędzy Rzymem a Kartaginą w latach sto czterdzieści dziewięć - sto czterdzieści sześć przed naszą erą. W tym okresie państwo Kartaginy w Afryce uległo już

znaczącemu skurczeniu, ponieważ po roku dwieście pierwszym przed naszą erą jego granice południowe uległy przesunięciu na północ z powodu zagarnięcia ziem punickich przez sąsiadującą z Kartaginą Numidię. W czasie, w którym się znalazł wehikuł, najważniejszymi miastami państwa kartagińskiego poza Kartaginą były: Clupea, Utika, Cartaga, Tunis, Nephensis. Inne miasta, takie jak Tigaza, Theweste, Sufetula, Thaenae, Achala, Thapsus, Leptismina, Hydrumefum utraci państwo kartagińskie po roku sto pięćdziesiątym przed naszą erą na rzecz Numidii.

Donat przeleciał nad miastem, fotografując je z góry, a pokładowy komputer wprowadzał dane do bazy i po komendzie wydrukował mapę miasta. Donat zdziwił się przy tym, kiedy cyfrowa maszyna wyliczyła mu długość otaczających je murów na trzydzieści dwa kilometry. Zadowolony z wydrukowania mapy, skierował łódź poza miasto, szukając odpowiedniego miejsca do lądowania. Zajęło to trochę czasu, ponieważ w poszukiwaniach trzeba było brać pod uwagę uprawne pola i wybudowane wille. Ostatecznie łódź wylądowała na kamienistym, mało dostępnym, skrytym w kępie drzew terenie, obok którego widoczna była wąska, wydeptana ścieżka. Donat wydał kolejną komendę pokładowemu komputerowi. Po chwili automat oznajmił, że w najbliższym otoczeniu nie ma żadnej żywej istoty.

Sprawdził - rzeczywiście, miejsce lądowania było dobrze ukryte i w najbliższym polu widzenia nie było widać nikogo. Następną komenda spowodowała okrycie się pojazdu kurtyną holograficzną, imitującą w sposób perfekcyjny przedłużenie punktu najwyższego wzniesienia, a jednocześnie wyłączenie się poprzedniego systemu zabezpieczenia. Donat otworzył teraz właz łodzi i zabezpieczył go dodatkowo błoną biologiczną, reagującą na jego DNA - od tej chwili nikt niepowołany nie miał dostępu do jej wnętrza. Po opuszczeniu kabiny i zamknięciu włazu Donat wyszedł spoza kurtyny holograficznej i z trudem opuścił się ze wzniesienia na ścieżkę. Gdy już stanął na niej, obejrzał się za siebie. Jego pojazd zniknął całkowicie, gdyby nie wiedział, że tu się znajduje, nigdy by się nie domyślił, że szczyt wzniesienia jest tylko hologramem.

Donat czuł lekkie podniecenie: oto znalazł się w zamierzczłym czasie i już niedługo stanie przed oczyma ludzi starożytności. Obejrzał siebie dokładnie: tunika, na nogach sandały, pod tuniką koszulka stylizowana na starożytną, stanowiąca jednocześnie kamizelkę odporną na strzały i uderzenia. W pas wkomponowane było urządzenie nawigacyjne, mające łączność z łodzią magnetyczną. Skryte pod tuniką ramiona ozdabiały dwie srebrne bransolety,



charakteryzujące się niezwykłymi właściwościami - wzmacniały w nieprawdopodobny sposób siłę mięśni rąk i barków, tak że człowiek je noszący posiadał nadludzką siłę. Trzeba było tylko nauczyć się nimi właściwie posługiwać, wcześniejszy trening zajął Donatowi prawie godzinę. Bransolety były zaprogramowane na jego DNA i żadna niepowołana osoba nie mogła się nimi posługiwać w taki sposób jak on.

Nie znalazłszy żadnych uchybień w swoim przebraniu i wyglądzie, już uspokojony, ruszył w kierunku miasta, leżącego około pięciu kilometrów od miejsca lądowania. Nie można było bowiem posadzić maszyny bliżej bez obawy zdemaskowania.

Donat idący wąską ścieżką, pilnie obserwował okolicę. Kiedy wyszedł z za skalnych załomów na otwartą przestrzeń, ukazały się przed nim pola uprawne obsiane pszenicą i jęczmieniem, najbliżej niego ciągnęły się szpalery drzew oliwnych. Nie zdziwił go ten rolniczy urodzaj, ponieważ wiedział, że w granicach państwa kartagińskiego znajdowały się najżyźniejsze ziemie Afryki. Gospodarka rolna stała tu na wysokim poziomie, a ogromne majątki wielkich punickich właścicieli ziemskich opierały się przede wszystkim na pracy niewolników. Poszukał wzrokiem ludzi, w najbliższej okolicy było jednak pusto, niemniej te pola do kogoś należały; prawdopodobnie jeszcze nie nadszedł czas zbiorów i to by tłumaczyło brak w tym miejscu ludzi.

Wkrótce wyszedł z lasu oliwnego na pola upraw winorośli - tutaj pracowali już niewolnicy pod czujnym dozorem strażników. Dalej widać było domostwa, które Donat przezornie ominął. Ścieżka, po której kroczył, zmieniała się w szerszą drogę, na której było widać ślady kolein. Punijczycy nie budowali dróg, korzystali z naturalnych ścieżek, toteż szlak, którym podążał, był wyboisty i nierówny, prawdziwe, równe drogi tak naprawdę zaczęli budować dopiero Rzymianie. Donat został zauważony przez strażników, jednak znajdowali się tak daleko, że nie chciało się im podchodzić do wędrowca, bo i po co? Po chwili zresztą wyszedł z pola na drogę, biegnącą w stronę widocznego już miasta, leżącego na cyplu. Podążało nią niewielu podróżnych, gdzieś dalej widoczne były osły, niosące jakieś ładunki na grzbiecie, poganiane przez kilku ludzi oraz paru jeźdźców. No tak, z tej strony miasta nie było o tej porze dużego ruchu, prawdopodobnie w porcie lub na drodze głównej panował większy. Było to na rękę Donatowi, problemem było jednak dostanie się do miasta przez niewątpliwie strzeżone bramy. Z lewej strony ukazały się lasy, które porastały także okoliczne wzgórza. Kiedy Donat mijał mały zagajnik, rozpoznał rosnące w nim cedry i dęby

korkowe, dalej natknął się na cypryki czteroklapowe (*Tetraclinis articulata*).

Las o poranku pachniał porastającymi go ziołami, co przyprawilo go nieomal o zawrót głowy. Wśród drzew zauważył kręcącego się szakala, a na najbliższej gałęzi gekona, na innej kilka przepięknych żołą. Bał się wchodzić głębiej w las, ponieważ zapamiętał z czytanych materiałów, że żyły tu także zmię nosorogie i rozprzestrzenione także w południowej Europie węże malpolony (*Malpolon monospessulanus*), a jego gołe nogi, obute w sandały, nie były niczym chronione przed ukąszeniami. Obszary Maghrebu zamieszkiwał jeszcze w tych odległych czasach lew berberyjski, na szczęście w pobliżu murów miasta powinno go raczej nie być. Gdzieś z wysoka dobiegł go ptasi krzyk; kiedy uniósł głowę, dostrzegł przelatujące nad nim pelikany. Na tych terenach występowały dwa ich rodzaje: kędzierzawy i różowy. Z innych ptaków można tu było spotkać dudki oraz gadożery, jak nazywano podrodzinę ptaków z rodziny jastrzębiowatych.

Idąc tak i rozglądając się wokoło ciekawie, stracił poczucie czasu i zdziwiony, ocknął się dopiero blisko miasta. Od strony lądu było ono chronione murami, ciągnącymi się na przestrzeni kilku kilometrów. Do miasta od tej strony można się było przedostać przez trzy bramy.

Donat szedł drogą prowadzącą z Uticy i tym samym znalazł się na najdalszej zachodniej drodze, prowadzącej do bramy Kartaginy, noszącej nazwę wspomnianego miasta. Z daleka widoczne były wielkie wrota w murze, w bramie kręcili się strażnicy. Nie zdziwił go ten widok, ponieważ w tym czasie Kartagina miała jakieś zatargi z graniczącą z jej państwem Numidią. Zanim jednak dotarł do miasta, zmuszony był ominąć śmietnisko, które objęły w posiadanie sępy i szakale. Podczas swojego urlopu spędzanego w Tunezji rzadko widywał sępy, w obecnym czasie było ich zatrzesienie. Rozpoznał w nich sępy płowe, o zdobycz rywalizowały z nimi szakale, z - będącej pod ochroną w czasach nowożytnych - odmiany złocistej. Donat minął szybko to miejsce, jego kroki przyspieszył dochodzący z wysypiska fetor. Minął pole porośnięte pięknymi, wysokimi, dochodzącymi prawie do dwóch metrów wysokości rozmarynami i po chwili znalazł się przed bramą Kartaginy. Wchodząc w obręb murów, zawahał się przez chwilę, jednak aby się dostać do środka, musiał podjąć niezbędne ryzyko. Na nieprzewidziane okoliczności miał jednak przygotowaną pewną niespodziankę; ciekawe, jak zareagują na nią strażnicy.

Strażnik sprawujący nadzór w bramie obserwował z daleka wędrowca. Wydał mu się nieco dziwny: nie wyglądał na mieszkańca Kartaginy, nie posiadał bagażu ani niewolników, poza tym szedł, zamiast jechać konno. To nie mógł być nikt ważny, zapewne jakiś mieszkaniec z zapadłej prowincji, a zatem będzie okazja do przestraszenia wędrowca i zarobienia paru sykli.

Kiedy Donat znalazł się w bramie, uzbrojony we włócznię i miecz strażnik podniósł rękę i ruchem dłoni kazał mu zbliżyć się do siebie. Donat posłuchał i podszedł do niego, ten otaksował go krótko wzrokiem i zadał jakieś pytanie. Donat potrząsnął głową, dając znak, że nie rozumie, strażnik zniecierpliwził się i rzucił następne pytanie, na które także nie otrzymał odpowiedzi. Donat, obawiając się najgorszego, skinął głową i sięgnął do pasa, wydobywając z niego jakiś okrągły przedmiot, podobny do dużej monety. Lekkim ruchem ręki podniósł go i podsunął przed oczy strażnika, ten znieruchomiał na moment, a później z obojętną miną machnął ręką, przepuszczając wędrowca przez bramę. Inni strażnicy, obserwujący zajście, spostrzegli ten ruch i nie zatrzymywali go więcej.

Nie niepokoiony przez nikogo Donat wolnym krokiem przeszedł przez pierwszą bramę i doszedł do drugiej, znajdującej się w kolejnym murze, okalającym z tej strony miasto. Tej bramy nie pilnował już nikt, tak samo jak i trzeciej, toteż po ich przekroczeniu zniknął w pierwszej napotkanej uliczce. Zapamiętał jednak widok masywnych murów obronnych, z których każde kolejne były wyższe od poprzedzających je; pomiędzy nimi leżały zgromadzone materiały obronne w postaci wielkich głazów, kamieni, belek. Zdziwił go ogrom murów. Przechodząc przez bramę, policzył kroki i przeprowadził w myśli krótkie obliczenia. Wyszło mu, że były szerokie na dziesięć metrów, ich wysokość mogła zaś dochodzić do siedemnastu metrów.

Otumaniony przez niego strażnik ocknął się dopiero po dziesięciu minutach i nie pamiętał niczego z ostatnich wydarzeń. Idący wąską uliczką pod górę, Donat uśmiechnął się do siebie - wszystko powiodło się doskonale, żeton zadziałał. Mały krążek, emanujący dziwnym blaskiem, był bowiem specjalnym urządzeniem służącym do wywoływania hipnozy u osób, które się w niego wpatrywały - należało tylko wsunąć go przed oczy ofiary.

Donat zapuścił się teraz w kręte i wąskie uliczki, prawie wszędzie wysokie mury oddzielały domy od ulicy. Wokół snuły się zapachy przyrządzanych potraw, rozróżniał

zapach oliwy, bobu, ryb. Dalej ulica się rozszerzyła i ukazały się budynki kilkupiętrowe, podobne z wyglądu do uli; niektóre z nich, okolone z zewnątrz drewnianymi schodami, dochodziły nawet do pięciu lub sześciu pięter wysokości. W najwyższej położonych pokojach, zwanych kubikulami, mieszkali najbiedniejsi mieszkańcy Kartaginy. Ulice nie były bezлюдne, Donat spotykał co rusz mieszkańców tego miasta, w przeważającej mierze byli oni biali, charakteryzowali się śniadą karnacją, lecz ich włosy były czarne; wielu nosiło charakterystyczne brody i długie włosy, zwijane w harcap na karku. Ubrani w tuniki i peplos, wyglądali dziwnie w tych strojach. Mimo wszystko cieszył się, że uzyskana w epoce późnej kredy opalenizna oraz przygotowany ubiór nie odróżniały go zbyt od wyglądu mieszkańców tego grodu. Jednak co rusz łapał się na tym, że jego wzrok bez efektu szuka ludzi ubranych po europejsku.

Na ulicach panował gwar, obok kroczących dostojnym krokiem dorosłych biegało po nich mrowie dzieci w różnym wieku. Kierując się sporządzoną mapą miasta, dotarł wreszcie do muru obronnego, oddzielającego Megarę od następnej dzielnicy - Byrsy - zwanej miastem górnym, w której znajdowały się świątynie, pałace suffetów i rady rządzącej państwem, a także domy punickich bogaczy. Pomędzy pałacami a świątynią boga Eszmuna - uzdrowiciela, zbudowaną na wyrównanym szczycie wzgórza, na które wchodziło się po sześćdziesięciu stopniach, rozciągały się ogrody. W tej dzielnicy ludzie byli ubrani bardziej dostatnio, można tu było natknąć się na ogolonych na tyso kapłanów, więcej tu także było strażników. Mijane domy były dwupiętrowe, zbudowane z suszonych cegieł i kamienia. Mieszkańcy dbali o wygląd swoich domostw - wszystkie z nich były otynkowane, udało mu się także przypadkowo zauważyć z góry, że bogatsze z nich miały wewnętrzne kolumnady, a podłogi pokryte były mozaiką lub kolorowym cementem.

Ta dzielnica bardzo mu się podobała, domy budowano tu na wzór grecki lub syryjski, świątynie na wzór egipski, toteż dość długo błędził w tej części miasta, aż kolejna z uliczek za murem, wciśnięta pomiędzy wielopiętrowe domy, doprowadziła go do zatłoczonej agory, wokół której znajdowały się najważniejsze budynki miasta, a stamtąd do dzielnicy portowej.

Starożytny port handlowy, zamknięty w murach miasta, sprawiał niesamowite wrażenie dla człowieka nieprzywykłego do takich widoków. Na przestrzeni około sześciu hektarów pełno było przycumowanych do molo lub zakotwiczonych nieco dalej od brzegu okrętów handlowych oraz łodzi rybackich, niektóre z nich były wyciągnięte na brzeg. Kilka

barek handlowych odznaczało się od pozostałych, gdyż posiadały po dwa maszty - jeden duży, zaopatrzone w kwadratowy czarny lub czerwony żagiel i drugi, lekko pochylony, z żaglem bardziej trójkątnym.

Na nabrzeżu panował duży ruch, wszędzie tłoczyli się ludzie, sprzedawano tu ryby prosto z łodzi oraz inne towary rozstawione na straganach, do których kupna zachęcali ochrypli od nawoływania sprzedawcy. Tłum zadziwiał różnorodnością - była to istna ludzka mozaika, można tu było spotkać chyba wszystkich przedstawicieli ludów zamieszkujących wybrzeża ówczesnego Morza Śródziemnego, takich jak rdzennych Punijczyków, Fenicjan, Numidyjczyków, Syryjczyków, Egipcjan, Greków, a także z bardziej odległych krain chociażby Persów lub Etiopczyków. Z jednych statków tragarze znosili na ląd towary, na inne je ładowali, po nabrzeżu kręcili się niewolnicy, żołnierze, kupcy. Donata nie zdziwił widok skupisk niewolników i otaczających ich handlarzy, pamiętał bowiem, że w tych czasach Kartagina oraz Tyr w Azji Mniejszej były największymi targowiskami tego ludzkiego towaru.

Dla Donata ten widok był zaskakujący, nigdy bowiem sobie nie wyobrażał, że to starożytne miasto może być takim ludzkim mrowiskiem. Długo stał w tym miejscu, zanim ruszył dalej, chcąc rozmienić zabrane ze sobą złote nuggety na używane tutaj pieniądze. Przepychał się przez tłum, szukając jakiegoś kantoru lub złotnika, pilnując się przy tym, aby nie zostać okradzionym, gdyż bez przerwy był potrącany przez przechodniów i nagabywany przez handlarzy. Wreszcie znalazł to, czego szukał - w uliczce wychodzącej na agorę, znajdującej się za portem wojennym, trafił na wychodzący na zewnątrz domu sklep złotnika. Obejrzał go dokładnie z zewnątrz, taksowany czujnym wzrokiem niewolnika, siedzącego na progu, zanim zdecydował się wejść do środka.

Pomieszczenie nie było duże, nie docierało tu tak jaskrawe światło słoneczne. Na stole stojącym w kącie znajdowały się chyba wszystkie rodzaje monet, którymi posługiwano się w obrębie Morza Śródziemnego. Na dużej skrzyni przy stole siedział opasty i łysy Fenicjanin - właściciel kantoru ubrany w długą tunikę i obuty w sandały. Zwrócił twarz w kierunku wchodzącego, oceniając go wzrokiem. Donat podszedł bliżej i mową gestów starał się dowiedzieć coś niecoś na temat nazw tych monet oraz ich wartości i stosowanych przeliczników. Złotnik pytająco spojrział na niego, zatem Donat sięgnął do woreczka i wyjął z niego kilka złotych grudek, dając do zrozumienia, że chce je sprzedać. Zachęcony tym widokiem właściciel kantoru pokazywał teraz monety, wymieniając ich nazwy. Okazało się,

że można tu było znaleźć ułożone osobno monety złote, wśród których rozpoznał szekle fenickie i rzymskie scripulusy. Obok nich leżały w kupkach srebrne fenickie sykle, greckie drachmy i tetradrachmy oraz rzymskie drachmy, sesterys, dydrachmy, denary i wiktoryaty, dalej jeszcze inne monety. Na samym końcu stołu usypane były w stos rzymskie asy, wykonane z brązu, w tym podwójne i potrójne, oraz uncje.

O wartości pieniądza w antycznym świecie decydowała waga szlachetnego kruszcu. W rozmowie prowadzonej na migi złotnik pokazał, porównując monety, że srebrny denar wart był dziesięć asów, natomiast złoty scripulus odpowiadał wartością dwudziestu sestercom. Potem podał inne relacje zachodzące między monetami. Donat zauważył przy tym, że niektóre monety mają poobrzynane brzegi. Jako tako już zorientowany, wyłożył z woreczka na stół kolejną garść złotych bryłek, dając gestem do zrozumienia, że te też chce sprzedać. Złotnik skinął głową i wrzucił bryłki na wagę, później rzucił jakieś słowo, którego Donat nie zrozumiał, lecz w ślad za słowami grubas wyłożył na stół kilkadziesiąt złotych monet i wrzucił je na wagę. Pokazał, że szale zrównały się, czyli wyłożona ilość pieniędzy odpowiada wadze nuggetów.

Donat skinął głową na znak zgody - złotnik pobrał jedną złotą monetę jako zapłatę za usługę, resztę monet Donat schował do woreczka. Po chwili wyjął kilka z nich, chcąc je rozmiąć na inne, które widział na stole.

Donat nie dbał o to, czy złotnik go oszukał przy wymianie, czy też nie. Posiadając wzory będących w użyciu monet, mógł przy pomocy Lampy Alladyna wiernie je odtworzyć w potrzebnej mu ilości. W tej sytuacji odłożył po kilka monet każdego rodzaju do specjalnej przegródki pasa, resztę pieniędzy zawiesił na szyi w woreczku. Podziękował złotnikowi za usługę i zadowolony z przeprowadzonej transakcji, wyszedł na ulicę.

Kiedy znalazł się znowu na zewnątrz, doleciał do jego nozdrzy zapach jakiegoś jada. Podążył za unoszącym się zapachem, wymijając przechodniów, i wkrótce okazało się, że niedaleko stąd usytuowany był zajazd fenicki. Dochodził z niego gwar, w środku znajdowało się wielu klientów, tłoczyli się przy ladzie, inni zajęli miejsca przy stołach, jedząc zamówione potrawy i pijąc wino, wokół kręciły się kobiety obsługujące gości. Donat rozejrzał się wewnątrz, sprawdzając, w jakie towarzystwo trafił, i zadowolony z pobieżnej inspekcji, podszedł do lady. Wolał najpierw zobaczyć, jakie jadlo jest tu przygotowywane, zresztą aby

coś zamówić, musiał przecież wybraną rzecz wskazać. Chciał też zobaczyć, czym się płaci za jadło i jaka jest jego cena. Po chwili rozglądania się wybrał coś dla siebie - była to pieczona na oliwie ryba z jakimiś przyprawami, podawana wraz z oliwkami oraz pszennym plackiem, do tego dania należało zamówić wino lub piwo. Donat zawołał sprzedawcę i wskazał wybrane potrawy oraz napoje, potem wyciągnął rękę w stronę wolnego stołu, przy którym zamierzał usiąść. Kiedy do niego dotarł, już po chwili pojawiła się przy nim zgrabna, ciemnowłosa kobieta i postawiła przed nim gliniany talerz z potrawami oraz dzban wina wraz z glinianym kubkiem. Popatrzyła teraz na niego wyczekująco, wyciągając rękę, Donat sięgnął do woreczka i wyjął srebrną monetę. Kobieta wzięła ją, oglądając, i po chwili wydała mu resztę. Donat przyjął ją i po chwili dał jej kilka drobnych monet. Podziękowała skinieniem głowy.

Potrawa bardzo mu smakowała, a zwłaszcza pszenny placek, ponieważ pieczywa od bardzo dawna nie miał już w ustach. Każdy kęs jedzenia popijał łykiem wina, które było doskonałe, ciemne i słodkie.

W zajeździe przesiedział więcej niż pół godziny, racząc się winem, a kiedy napój skończył się, wyszedł na ulicę. Niedaleko od tego miejsca zobaczył publiczną toaletę, postanowił z niej skorzystać.

Kolejne wędrowki po mieście zaprowadziły go do cieszącej się złą sławą dzielnicy Malka, leżącej niedaleko portu. Donat o tym nie wiedział, jednak widok siedzących na wysokich stołkach nagich kobiet uświadomił mu, że znalazł się w dzielnicy lupanarów. Przy każdym takim miejscu na budynkach wisiały czerwone latarnie, niektóre z nich paliły się mimo pełnego dnia. Kręcili się tam już jacyś mężczyźni, oglądając kobiety i wybrane wprowadzając do budynku.

Donat zapuszczał się dalej w głąb tej dzielnicy. Kiedy przechodził koło lupanaru, siedzące na stołkach kobiety zachęcały go gestami do skorzystania z ich usług. Każda z tych kobiet miała krótko obcięte włosy, niektóre były uszmkowane. Donat usłyszał, jak jeden z klientów targuje się z właścicielką lupanaru, doszło do niego słowo: prostibula. W tych domach uciech znajdowały się także winiarnie i wielu klientów z nich korzystało. Z jednego z większych i widocznie bardziej znanych i droższych lupanarów wytoczyło się sześciu dostatnio odzianych młodzieńców; byli podpici, zachowywali się nonszalancko i agresywnie. Prawdopodobnie była to złota młodzież tego miasta, która w takim miejscu dawała upust

swoim chuciom. Uliczka była wąska, toteż Donat musiał ich ominąć. Kiedy zbliżył się do tych ludzi, poczuł zapach wina bijący od nich. Młodzieńcy przyglądali się siedzącym na wysokich stołkach kobietom, śmiejąc się i obrzucając wyzwiskami te, które im się nie podobały.

Donat właśnie ich mijał, kiedy nagle jeden nich złapał go za tunikę, coś do niego wołając. Później, nie uzyskawszy odpowiedzi, pchnął go na mur. Donat chciał odejść z tego miejsca, jednak wysoki i silny młodzieniec miał ochotę zabawić się jego kosztem i ponownie złapał go za tunikę. Donat chwycił go za przegub ręki; kiedy ścisnął ją mocniej, zadziałała bransoleta, zwielokrotniając siłę jego mięśni. Rozległ się trzask pękającej kości i odepchnięty gwałtownie mężczyzna z krzykiem bólu przeleciał kilka kroków, upadając na ziemię. Jego towarzysze, zaskoczeni tym widokiem, zareagowali gwałtownie i zwrócili się przeciwko Donatowi, wyciągając z pochew sztylety. Po chwili, zachęcając się wzajemnie, ruszyli w jego stronę, starając się otoczyć go ze wszystkich stron. Donat sięgnął do pasa i wydobyl żeton. Gdy pierwszy z atakujących zbliżył się do niego, uczynił zwód i wstawił przed jego oczy metaliczny krążek, później zrobił ruch ręką w dół. Mężczyzna znieruchomiał i usiadł na ziemi, blokując drogę kolejnym napastnikom. Ci nie wiedząc, co się właściwie stało, kontynuowali atak. Donat wykonał kilka szybkich uników i za każdym razem jeden z atakujących siadał, zahipnotyzowany, na ziemi. Pozostał tylko jeden z nich, prawdopodobnie przywódca, z którym Donat postanowił postąpić odmiennie. Kiedy napastnik stał tak niezdecydowanie, przestraszony zaistniałą sytuacją, Donat szybko uniósł z ziemi najbliższego z siedzących młodzieńców i podniósłszy go wysoko, cisnął nim w ostatniego mężczyznę. Ten, zaskoczony gwałtowną reakcją, nie zdążył zrobić uniku i trafiony rzuconym ciałem, zwałił się na ziemię. Donat podszedł do leżących. Obaj byli nieprzytomni, zatem zwrócił się ku pierwszemu z napastników, któremu złamał rękę. Ten, wpatrujący się ze zdziwieniem w całą tę bijatykę, chciał uciec, lecz Donat dogonił go bez wysiłku, złapanego obrócił ku sobie i wyrwał mu sztylet z za tuniki. Uniósł go przed oczy przestraszonego mężczyzny i bez widocznego wysiłku przełamał na pół, później podobnie postąpił ze sztyletami jego przyjaciół.

Donat rozejrzał się wokoło. Cała ta awantura była obserwowana przez siedzące na stołkach prostibule, które całe to zdarzenie przyjęły z niekłamaną radością, oraz przez przygodnych gapiów, a także wykidajkę z lupanaru, a to mogło być dla niego niebezpieczne. Trans będzie trwał jeszcze kilka minut; później, gdy zahipnotyzowani oprzytomnieją, nie



będą pamiętali całego zajścia; gorzej, że widzieli to świadkowie. Nie tracąc zatem czasu na rozglądanie się, Donat bezzwłocznie oddalił się z miejsca zdarzenia i szybko skręcił w najbliższą uliczkę, później pokręcił się jeszcze po odleglejszych od miejsca uciech ulicach, zabrnął do dzielnicy przemysłowej, leżącej bardziej na południu za dzielnicą portową. Kiedy zrobiło się już bardzo gorąco, postanowił przeczekać te godziny w jakimś lepszym zajeździe. Po jakimś czasie odnalazł takowy i z ulgą ukrył się przed lejącym się z nieba żarem. Zamówił mały dzban wina i posiłek, tym razem mięsny, do wyboru miał wołowinę, mięso wielbłądzie i ośle oraz jagnięcinę z warzywnymi przyprawami. Jako dodatek do potraw mięsnych podawano placki, kaszę jęczmienną lub z prosa, jogurt oraz figi. Nie brakowało także ciemnego i słodkiego piwa, z którego słynął starożytny Egipt. Wśród wielu specjałów Donat ze zdziwieniem dostrzegł potrawy z ogórków, ale przypomniał sobie nagle, że te pochodzące z Indii warzywa były spożywane już przez starożytnych Egipcjan.

Kartagińczycy mieli opinię dobrych rolników, a ilość serwowanych w tawernie potraw zdawała się poświadczać ten fakt. Donat rozkoszował się jedzeniem, nie pamiętał bowiem, kiedy coś równie smacznego miał w ustach. Po spożyciu obiadu, siedząc przy stole nad kubkiem pełnym wina, dotrwał do godzin popołudniowych. Nikt mu tu nie przeszkadzał, winiarnia była dość droga, toteż i zjawiała się tu bardziej wyszukana klientela, poza tym w tych najbardziej gorących godzinach dnia mieszkańcy Kartaginy, jeśli nie musieli wychodzić - kryli się we własnych domach.

Zwiedzanie miasta zajęło mu jeszcze sporo czasu, ostatecznie powrócił do dzielnicy portowej i trafił ponownie na agorę, ponieważ tam odbywały się targi. Przechadzając się pośród straganów, okrytych przed słońcem płachtami materiału lub wysuszonymi trzciniowymi liśćmi, udało mu się kupić trochę przedziwnych rzeczy, będących wytworem rzemieślników punickich: miecz, kilka tunik oraz ciepłą, wełnianą chłajnę. Piękne były wyroby z kości słoniowej, których kilka nabył. Później targował się o figurkę kota, wykonaną z elektronu, którym oprócz bursztynu, nazywano także stop srebra ze złotem odlany w stosunku cztery do jednego. Metal ten, według wierzeń ludowych, posiadał zdolność wykrywania trucizn i z tego powodu cieszył się nieustającym powodzeniem. Oferowano mu także abadiry, jak zwano meteorytowe, święte dla Fenicjan kamienie, i wiele innych rzeczy. Ze zdziwieniem dostrzegł wśród skór lwich, wielbłądzich, oślich i małpich oraz wyrobów z nich wykonanych także skóry focze. No tak, uświadomił sobie nagle, że nawet w czasach nowożytnych na północno-zachodnich wybrzeżach Afryki występują foki, zwane mniszkami.

Teraz musiało zamieszkiwać ich tam o wiele więcej.

Rynek był pełen ludzi i Donat stale musiał się opędzać od natrętnych sprzedawców. Zauważył jednak, że bogatsi Punijczycy sami raczej rzadko pojawiali się w tej dzielnicy - chyba że chodziło o kupców, dbających o swoje interesy - a raczej przysyłali na targ swoich niewolników lub wyzwolenców. Handlowano tkaninami, purpurą; towarem, z którego słynęło miasto, były solone ryby, których na straganach było zatrzęsienie. Widział wyroby z metalu oraz garncarskie, te ostatnie były jednak sprowadzane z Grecji. W kilku miejscach na rynku ustawili się handlarze niewolników, większość tego towaru była już sprzedana, pozostały resztki, które nie miały zbytu. Donat przyglądał się nieszczęśnikom ze współczuciem. Wśród niewolników były także kobiety porwane w dalekich krajach, między nimi wyróżniały się Greczynki, Egipcjanki, Syryjki oraz Murzynki. Osowiałe, siedziały pod ochraniającym je od słońca płóciennymi daszkami, obojętne na otaczający je świat. Te ładniejsze zostały już wcześniej kupione - prawdopodobnie zasilą lupanary, te mniej atrakcyjne zostaną przeznaczone do prac fizycznych w domu, ogrodzie czy też na polu.

Mimo gęstniejącego mroku targ nie opustoszał, zapaliły się tylko gdzieś lampki oliwne i inne, po niedługim czasie słońce zaszło i miasto ogarnęła noc. Także okienka w domach rozjaśniły się mdłym światłem, zaś w dzielnicy uciech czerwone latarnie, zawieszane na lupanarach. Zapełniły się zajazdy i tawerny. Na ulice wylegli teraz spragnieni uciech marynarze, żeglarze i żołnierze, dość często dochodziło do bójek.

Donat uznał zatem, że był to już najwyższy czas na powrót, kiedy jednak zbliżył się do bramy, przez którą się wcześniej przedostał do środka, zauważył, że jest już zamknięta. Zmuszony był zatem sprowadzić łódź magnetyczną do miasta, jeśli nie chciał w nim nocować. Powodowany tą myślą, zawrócił w stronę centrum, szukając odpowiedniego miejsca, musiał jednak wydostać się z zatłoczonej dzielnicy. Okazało się, że z rynku prowadziły do Byrsy trzy drogi, zabudowane po obu stronach sześciopiętrowymi domami. Wkrótce przekroczył oddzielające ją mury i przeszedł szybko przez tę dzielnicę. Po kilkunastu minutach znalazł się w kolejnej, gdzie wyszukał spokojne miejsce w jednym z rozległych ogrodów, za którym rozciągał się cmentarz.

Jak przewidywał, o tej porze nie natrafił w tym miejscu na nikogo. Noc była bezchmurna, na szczęście Księżyc nie był w pełni, toteż Donat ukryty wśród drzew, po

sprawdzeniu, że w najbliższej okolicy nikt niepowołany się nie kręci, sięgnął do klamry pasa i otworzył ją; wewnątrz znajdowało się miniaturowe urządzenie komunikacyjne. Po wprowadzeniu odpowiedniego kodu uzyskał potwierdzenie wezwania od komputera pokładowego łodzi i czekał teraz na jej przybycie. Stało się to szybciej, niż przypuszczał; zupełnie niespodziewanie poczuł wibracje metalowej klamry, co oznaczało, że łódź wisi nad nim. Po chwili maszyna osiadła na ziemi obok Donata. Żeby ją zobaczyć, musiał założyć specjalne okulary, gdyż nadal była niewidzialna.

Okulary pozwoliły mu dostrzec pojazd. Podeszedł do niego bliżej i dotknął burty. W tej samej chwili otworzył się właz, chroniony błoną biologiczną. Donat bez problemu prześlizgnął się przez nią wraz z nabytymi rzeczami i usiadł swobodnie w fotelu. Właz zamknął się automatycznie, co spowodowało, że błona zniknęła, a łódź, po wydanej ustnie komendzie, uniosła się.

Podróżnik zrobił jeszcze kilka rund nad miastem, chcąc zobaczyć jego nocne życie. Pod nim snuły się dymy ognisk i palenisk, świeciły się oliwne lampy, słychać było gwar rozmów i nawoływania straży.

Siedząc wygodnie w fotelu pilota, Donat poczuł nagle, że jest bardzo zmęczony i zapragnął odświeżenia się po znojnym i gorącym dniu. Wydał odpowiednią komendę i łódź ruszyła w kierunku spoczywającego na dnie morskim Zielonego Psa. Podróż nad falami nie trwała długo, po chwili łódź zanurzyła się w wodzie. Znikło teraz niepotrzebne maskowanie i po półgodzinie przed Donatem pojawiła się ściana czasolotu. Dostrzeżenie ogromnego pojazdu było możliwe, gdyż mimo panujących pod wodą ciemności przyrządy obserwacyjne łodzi wyświetlały na szybach okien czytelny obraz z bliskich i dalekich wód. Łódź została rozpoznana przez urządzenia statku, a po chwili otworzył się luk i maszyna wślizgnęła się w powstały otwór, który zasklepił się za nią.

Komputer pokładowy zameldował po chwili, że łódź znalazła się na swoim miejscu, co potwierdził sygnał dźwiękowy, i w tym samym momencie właz otworzył się. Donat wysiadł teraz z maszyny i po procedurach odkażających, zabrawszy wszystkie zakupione rzeczy, pomaszerował do windy, mającej go zawieźć na pokład mieszkalny. Kiedy znalazł się w niej, komputer administracyjny statku zameldował mu gotowość wszystkich systemów do bezawaryjnej pracy. Okazało się też, że na statku podczas jego nieobecności nic się

szczególnego nie działa i nie pojawiły się żadne zagrożenia.

Po przybyciu do domu Donat rozebrał się i wziął natrysk, później, rozluźniony, powędrował na pokład sportowy, aby trochę popływać w basenie. Zajęło mu to jakąś godzinę. Po powrocie przygotował sobie kolację z artykułów żywnościowych zakupionych na targu, później oglądał zakupioną broń, ubrania oraz monety. Widok monet przypomniał mu, że powinien pomnożyć swoje bogactwo przy pomocy Lampy Alladyna. Zabrał więc te starożytne pieniądze o różnych nominałach i pomaszerował na pokład fabryczny.

Wrzucone do maszyny odtwarzającej metalowe krążki rozmnożyły się do żądanej przez Donata liczby. Widząc sypiący się z otworu lampy złoty, srebrny i miedziany strumień, poczuł nagle dreszczyk emocji. Otóż stał się nagle bardzo bogaty, mógł bez najmniejszego dla siebie uszczerbku kupić to wszystko, na co tylko przyjdzie mu ochota. Czy jednak pojawienie się w mieście nowego bogacza nie wywoła zdziwienia, przecież nikt go tu nie znał i nikt o nim nie słyszał. Donat zabrał ze sobą wszystkie monety do domu i schował je w masywnym, staroświeckim biurku, zostawiając sobie wybrane okazy. Następnie jeszcze długo w nocy oglądał i porównywał nowo wyprodukowane środki płatnicze z ich oryginałami.

Kolejny poranek zastał go w kuchni, gdzie przyrządzał sobie śniadanie, zastanawiał się właśnie, jak powinien spędzić ten dzień. Ciągnęło go nadal miasto, toteż postanowił wrócić do niego, korzystając z łodzi. Po śniadaniu rozpoczął przygotowania do eskapady.

Tym razem łódź wysadziła go w ogrodzie w środku miasta, a sama powróciła nad morze i zanurzyła się w jego odmętach, Donat mógł ją wezwać w każdej chwili. Ta wyprawa miała na celu zakup większej ilości żywności do spiżarni statku. Donatowi zależało przede wszystkim na zbożu, owocach, warzywach oraz oliwie. Zakupów tych dokonywał na agorze i w porcie. Kiedy z pierwszą partią towaru powrócił na nabrzeże - wezwał swój środek transportu. Po niedługim czasie spoza jednego z większych statków wypłynęła nagle niewielka łódź rybacka, sterowana przez brodatego mężczyznę. Kamuflaż był doskonały, komputer łodzi magnetycznej stworzył odpowiedni hologram: otaczało ją pole siłowe ukształtowane na drewniane burty, a rybakiem okazał się android, zbudowany z ciekłego metalu, który dzięki temu mógł przybierać dowolne kształty.

Kiedy łódź przybiła do brzegu w wolnym, lecz dość płytkim miejscu, Donat zaniósł

pierwsze zakupy na jej pokład. Wziął je od niego android i przez imitację drewnianego wieka wrzucił na pokład transportowy łodzi magnetycznej. Znoszenie towarów trwało kilka godzin, w tym czasie Donat wpadł do znanego mu zajazdu fenickiego na obiad. Zupełnie nie obawiał się o łódź i pilnującego ją robota. Wiedział przecież, że nie dopuści on do zdemaskowania, do jego pamięci wprowadzony został odpowiedni zasób słów fenickich, a ubiór był nie do odróżnienia od ubiorów innych rybaków. Donata interesowały przede wszystkim źródła pisane Punijczyków, ówczesne książki, mapy, zapiski. Rzymianie zniszczyli miasto doszczętnie, nie dbając o zachowanie zawartości bibliotek i archiwów, zostawili dla siebie tylko książkę traktującą o rolnictwie, reszta przepadła bezpowrotnie. Pragnął także na własne oczy zobaczyć punicki Tofet - jak nazywano miejsce składania ofiar na ołtarzu ku czci boga Baala Hammona, a także bogini Tanit. Ofiary - mali chłopcy, dwu-trzyletni, z rodzin posiadających, byli po podcięciu przez kapłana ich gardeł umieszczani na ramionach posągu Molocha - wcielenia słońca-ognia, władcy niebios, i stamtąd staczali się w ogień.

Wieczorem port częściowo opustoszał, jednak najbiedniejsi mieszkańcy mieszkali na łodziach, być może byli to zamiejscowi rybacy. Nie przeszkodziło to Donatowi w opuszczeniu portu, ponieważ na noc nie naciągano łańcucha blokującego wyjście z kanału. Łódź, sterowana przez automatycznego pilota, po fikcyjnym odbiciu się od brzegu i udawanym wiosłowaniu odsunęła się w ciemność, przepłynęła przez bramę portu, w której mogły się pomieścić trzy płynące obok siebie galery, aby po chwili zniknąć. Po oddaleniu się od wybrzeża na bezpieczną odległość nastąpił start łodzi i powrót do oczekującego na Donata statku.

W kolejnych dniach Donat oblatywał transporterem, który miał większe możliwości niż łódź magnetyczna, tereny państwa kartagińskiego i numidyjskiego. Zahaczył o jeziora zwane Libyca Palus i Tridonia Palus, oglądał z pokładu transportera stolicę Numidii - Cirtę. Tereny, nad którymi się unosił, pokryte były lasami cedrowymi i sosnowymi, zajmującymi w tych czasach rozległe tereny pobraża północnego Afryki. W innych miejscach przesuwały się pod maszyną rozległe pola uprawne, na których pracowali niewolnicy. Jednak te miejsca nie przypadły mu zbytnio do gustu, najbardziej podobała mu się starożytna Kartagina.

Eskapady do Kartaginy Donat powtarzał w następnych dniach, przechadzał się po Placu Hammona, oglądał punickie świątynie oraz warsztaty, w których barwiono materiał na purpurowy kolor. Właśnie w morzu w pobliżu Kartaginy znajdowały się jeszcze

niewyeksplloatowane miejsca, w których zachowały się małże służące do wyrobu tego barwnika. Niestety, nie mógł się dostać do ogrodów Astatry, ponieważ te były otwarte tylko raz w roku dla mieszkańców Kartaginy, a mianowicie w świętą noc miłości.

Jedna z kolejnych wypraw do miasta o mało nie zakończyła się dla niego tragicznie, gdyż podczas wędrówki po ulicach Donat został rozpoznany przez młodzieńca, któremu podczas swojego pierwszego dnia pobytu w tym miejscu złamał w bójce rękę.

Tym razem młody, dostatnio ubrany człowiek otoczony był kilku roslymi, uzbrojonymi mężczyznami, wyglądającymi na Numidów - prawdopodobnie była to jego ochrona. Dostrzegł nieoczekiwanie Donata wcześniej, jednak kiedy przedzierał się przez tłum w jego kierunku, został przez niego zauważony, co umożliwiło ucieczkę. Młodzieniec znał lepiej miasto, jednak Donat przedostał się do portu i zmierzał w kierunku łodzi; zorientował się poniewczasie, że do niej nie dotrze przed pościgiem. Z tego powodu wezwał na pomoc androida, ten przyjął sygnał, zabezpieczył łódź i pomaszerował w stronę wzywającego go Donata. Była to najwyższa pora, ponieważ podróżnik został otoczony przez zbrojnych pomocników młodzieńca. Ci wydobyli krótkie pałki i zamierzali się rzucić na Donata, kiedy pomiędzy nich wpadł android. Walka była krótka, android, nieczuły na uderzenia, niezawodnymi i pięknie wyglądającymi dla postronnych obserwatorów chwytami aikido porzrzucał napastników po ziemi. Ten widok zaszokował młodzieńca, który szybko odsunął się w bezpieczniejsze miejsce. Powaleni na ziemię mężczyźni zerwali się po chwili z ziemi i wywijając pałkami, ponownie rzucili się na androida. Wynik był taki sam jak przy wcześniejszym starciu, ponownie wylądowali na ziemi, tylko nieco dalej i w innych pozach. Cała ta walka wyglądała jak jakiś przedziwny, nierealny taniec. Android stał wyprostowany i w nieruchomej pozie, napastnicy jednak nie mieli już ochoty przystąpić do kolejnego starcia. W wyniku zamieszania wywołanego bójką zrobił się mały tumult, co zwróciło uwagę straży portowej, Donat zauważył, że w ich kierunku zmierza kilku uzbrojonych w miecze i włócznie strażników. W tej sytuacji szybko wmieszał się w tłum i podążył do łodzi, android, nienapastowany przez nikogo, ruszył w ślad za nim i wkrótce obaj znaleźli się na pokładzie.

Nie było na co czekać, zwłaszcza że strażnicy miejsca nadal szli w stronę Donata. Na jego komendę android odepchnął łódź i wiosłując wzdłuż linii nabrzeży, kierował ją do wyjścia z portu do kanału, a później na pełne morze. Jeden ze strażników, stojący już na brzegu, szybko zdjął łuk z ramienia, jednak łódź skryła się za innym statkiem. Strażnik

podniósł do ust małą trąbkę, po chwili rozległ się jej donośny sygnał. Zwrócił uwagę obsady łodzi strażniczej, która skierowała się w stronę dochodzącego ją głosu.

Donat schował się pod pokładem, zajął miejsce pilota i śledził całą sytuację, komendy wydawał głosem automatowi sterującemu. Kanał był płytki, tylko gdzieś jego głębokość przekraczała dwa metry. Android wiosłował nadal, ale pracował też już silnik, toteż łódź patrolowa mimo wysiłków kilku wiosłarzy nie była w stanie dogonić uciekających. Po chwili łódź Donata wydostała się z portu do kanału prowadzącego do morza, a stamtąd, mijając nabrzeże zewnętrzne - na otwarte wody. Rozległ się kolejny sygnał. Łódź patrolowa przekazywała ściganych dużej biremie, strzegącej tych wód; była ona napędzana dwoma rzędami wiosel. Jej dowódca, powiadomiony sygnałami o zaistniałej sytuacji, skierował ją w stronę uciekających. Wiosła barki załśniły w powietrzu i poruszały się teraz coraz szybciej i szybciej, po kilku minutach birema znalazła się kilkadziesiąt metrów od łodzi Donata. Za chwilę doszedł do niego wzmocniony przez tubę rozkaz do zatrzymania się. Zignorował go i skierował łódź na płycizny, birema płynęła teraz równoległe do niego. W powietrzu zaświszczały strzały, jednak w tej samej chwili pole siłowe okryło androida i łódź i spychało pociski na bok. Widok ten wywołał konsternację na biremie. Po chwili tuman mgły osnuł ściganych i zakrył ich całkowicie. Mgła rozszerzała się i objęła swoim zasięgiem około tysiąca metrów kwadratowych, a kiedy się po chwili rozwiała, łodzi już nie było. Birema pokręciła się w tym miejscu, lecz nie zbliżała się zanadto do płycizn.

Donat patrzył na rozciągający się pod nim widok. Jego łódź stała się niewidzialna i mogła teraz spokojnie odlecieć do oczekującego na nią Zielonego Psa. Lecąc nad wodą na wysokości sześćdziesięciu metrów, magnetyczny pojazd znalazł się po półgodzinie w cieśninie oddzielającej Kartaginę od Sycylii. W wodzie Donat wypatrzył stado przemieszczających się orek, nieco dalej z kolei udało mu się dostrzec olbrzymiego rekina żarłacza.

Obecnie te zwierzęta także występują w tych wodach, jednak w okresie, do którego trafił Donat, było ich tu o wiele więcej. Były one też częstymi gośćmi w okolicach Bosforu.

Na pokładzie chronolotu Donat znalazł się po czterdziestu minutach. Nie spieszyło mu się do powrotu, toteż spędził trochę czasu lecąc nisko nad wodą, a później osiadając na niej. Łódź kołysała się przyjemnie na fali, ten ruch bardzo Donata uspokajał. Do Kartaginy nie

miał już po co wracać, mógł co prawda odwiedzić inne miasta państwa kartagińskiego, ale były one mniejsze od miasta stołecznego, a przez to mniej interesujące.

Wkrótce łódź powróciła do statku macierzystego, a Donat udał się na pokład mieszkalny, na którym znalazły się także zakupione wiktuały. Zapas zakupionego jedzenia roślinnego powinien wystarczyć mu na wiele miesięcy, prowiant mięsny pochodzący z upolowanych wcześniej dinozaurów i złowionych ryb był przetrzymywany w chłodniach. Mięso dinozaurów smakowało Donatowi, przecież niektóre z tych zwierząt przypominały wyglądem kury, pawie, czy też indyki - smak ich mięsa nie różnił się tak bardzo od kurzego. W spiżarni znajdowało się także wędzone mięso żółwi.

Do końca dnia pozostawało jeszcze nieco czasu, więc Donat postanowił ponurkować trochę w morzu. Statek stał na dnie na głębokości sześćdziesięciu metrów, toteż Donat udał się do kabiny sterującej i wydał automatycznemu pilotowi rozkaz przesunięcia statku na płytsze miejsce. Zielony Pies uniósł się z dna i popłynął pod wodą w kierunku wskazanym przez sonar i radar, który wyświetlał panoramiczny obraz ukształtowania podwodnego terenu i poruszających się w nim stworzeń. Po piętnastu minutach automatyczny pilot posadził statek na kilkunastu wspornikach w małej, podwodnej kotłince na głębokości czterdziestu metrów. Górny pokład od powierzchni morza dzieliło niecałe dziesięć metrów. Donat nakazał teraz komputerowi pokładowemu unieruchomienie statku na tej pozycji, a sam udał się na pokład, w którym znajdował się luk, umożliwiający nurkowi wyjście na zewnątrz.

Po półgodzinie Donat, ubrany w lekki kombinezon, z ustnikiem pobierającym tlen z wody, zakrywającym usta i nos, uzbrojony w specjalny, podwodny pistolet stał w luku prowadzącym na zewnątrz. Jego oczy chroniły okulary, umożliwiające swobodne oglądanie podmorskiego świata bez względu na zaciemnienie, przezroczystość wody lub jej zamącenie.

Donat, po przyłożeniu ręki do ściany w oznaczonym miejscu, wystukał właściwy kod na wyświetlonej klawiaturze dotykowej, a następnie, po zapaleniu się zielonego punktu, przekręcił specjalny uchwyt w ścianie, znajdujący się pod nim. W tej samej chwili jednolita powierzchnia ściany odsłoniła nagle otwór, przesłonięty przezroczystą z jednej strony błoną biologiczną. Błona ta zapewniała pełne bezpieczeństwo statkowi, nie przepuszczała do wnętrza wody oraz żadnych istot żywych i przedmiotów materialnych. Była zaprogramowana na DNA Donata, wniesienie do wewnątrz innych obiektów żywych i martwych umożliwiał



specjalny magnetyczny pierścień. W momencie przekraczania błony poczuł lekkie mrowienie i po upływie kilku sekund znalazł się w wodzie na głębokości dwudziestu pięciu metrów.

Nie odczuł trudności w oddychaniu, morska woda okazała się ciepła, a widoczność wokół niego była doskonała. Otaczało go mnóstwo ryb, a na piaszczystym dnie, porośniętym w wielu miejscach gąbkami, zalegały małże, ślimaki morskie i inne wodne zwierzęta.

Donat rozglądał się ciekawie wokoło. Zielony Pies wyglądał pod wodą niesamowicie, przerażał jego ogrom. Opływał go teraz dookoła, mając świadomość, że wydane wcześniej automatycznemu pilotowi rozkazy zapewnią mu bezpieczne zbliżanie się do burt statku.

Podwodny świat Morza Śródziemnego był wspaniały. Donat przemieszczał się wśród odmętów wzdłuż burt statku, zaciekawione ryby kręciły się wokół niego. Po dłuższym rozkoszowaniu się szybkim pływaniem Donat dotarł do dna. Oglądał teraz muszle, starając się dostrzec i takie, które służyły starożytnym do produkcji purpury, jednak w tym miejscu małży takich nie znalazł.

Świat żywy obecnego akwenu był znacznie uboższy od tego wcześniejszego, z okresu kredy, rozlewającego swe wody w tym basenie. To ruch kontynentów i zmiany klimatyczne doprowadziły do tych przeobrażeń. We wcześniejszych epokach Ziemi na miejscu obecnego Morza Śródziemnego rozlewał swe wody szeroko i daleko Ocean Tetydy, połączony na wschodzie z Oceanem Indyjskim. Z powodu tego połączenia Ocean Tetydy zamieszkiwały ryby i rośliny południowe właściwe także dla Oceanu Indyjskiego. Wraz z wyschnięciem pozostałości Tetydy na obszarze dzisiejszego Morza Śródziemnego dawna morska flora i fauna zanikła. Pojawiła się ponownie później, bo w trzeciorzędzie, ale już w nowej formie charakterystycznej dla mórz północnych, po wlaniu się w wyschnięty basen Morza Śródziemnego wód Oceanu Atlantyckiego.

Donat pływał po Oceanie Tetydy podczas swoich podróży w epoce górnej kredy, toteż obecnie dostrzegał to ubóstwo ryb, roślin i małży, wody te jednak były znacznie bezpieczniejsze od kredowych. Nie musiał się obawiać wielkich rekinów i wodnych dinozaurów, chociaż podczas nurkowania łapał się często na tym, że stale zachowuje nadmierną czujność, wypatrując olbrzymich cielsk. Kiedy odpłynął dalej od statku, dostrzegł w odmętach skupisko wielkich głazów. Przyszło mu do głowy, że w miejscu tym mogły się

kryć mureny. Co prawda spotkanie z nimi nie było bezpieczne, jednak ich mięso było wyjątkowo smaczne. Po chwili zastanowienia postanowił zapolować na te ryby, o ile rzeczywiście się tam ukrywały. Popłynął w kierunku tych głazów i już po chwili znalazł się w ich pobliżu.

Mureny rzeczywiście były tam, ich potworne paszcze wysuwały się ze skalnych kryjówek. Donat wybrał największą z nich i skierował na nią lufę pistoletu, powoli nacisnął spust. Broń można było nastawić na małe i duże uderzenie, teraz było ustawione na duże. Małe tylko paraliżowało na określony czas, duże zabijało. Wiązka skondensowanej energii uderzyła w rybę i natychmiast śmiertelnie ją sparaliżowała, głowa mureny opadła na dno, teraz można było schwytać ją bez obawy ukąszenia. Donat odczepił od pasa małą pałeczkę, rozciągnął ją i chwycił łeb mureny wystającym z końca chwytakiem. Po chwili ryba, nie bez trudu, została wyciągnięta ze skalnej szczeliny. Była długa, miała chyba więcej niż dwa i pół metra, jej grubość można było porównać z udem potężnego mężczyzny. Skończywszy polowanie, Donat popłynął w kierunku statku, ciągnąc za sobą upolowaną zdobycz. Trochę czasu zajęło mu odnalezienie wjazdu do czasolotu, później włożył rękę z pierścieniem w błonę, co pozwoliło mu wrzucić murenę do wnętrza luku. Po chwili sam przedostał się przez pole ochronne i znalazł się w pomieszczeniu podwodnego wejścia do statku.

Komputer sprawujący pieczę nad tym wjazdem spowodował dostosowanie ciśnienia w pomieszczeniu do panującego na zewnątrz statku na głębokości odczytanej z urządzenia oddechowego płetwonurka. Zapobiegło to wystąpieniu niebezpiecznej dla niego choroby kesonowej; ciśnienie to będzie z upływem czasu obniżane, aż dojdzie do normalnego.

Donat zamknął teraz wjazd i wysunął ze ściany fotel. Nie przebywał w wodzie zbyt długo, zatem i powrót do normalnego ciśnienia nie powinien potrwać długo. Siedząc, przyglądał się leżącej nieopodal murenie, teraz wyglądała na jeszcze większą. Po kilkunastu minutach rozległ się sygnał dźwiękowy i drzwi do następnej komory otworzyły się samoistnie. W kolejnym pomieszczeniu można było odłożyć sprzęt na miejsce, a później powrócić na pokład mieszkalny.

Zadowolony z nurkowania Donat następne chwile poświęcił na przygotowanie mureny. Jej mięsa starczy na kolację i na posiłki w kolejnych dniach. Po kolacji Donat oddał się relaksowi, później udał się na zasłużony spoczynek.

## Część II - Rzymianie

W kolejnym dniu Donat odpoczywał, nurkując w morzu, jednak zaraz po południu podjął decyzję odwiedzenia Sycylii, która już w tym czasie należała do Rzymu. Z zapisów historycznych wynikało, że została odebrana całkowicie Kartagińczykom w roku dwięście czterdziestym pierwszym przed naszą erą wraz z Sardynią, stanowiąc pierwszą kolonię przyszłego imperium. Zaistniała zatem wspaniała okazja, aby zobaczyć, jakie porządki ustanowili na niej Rzymianie. Na tej wyspie można było prawdopodobnie odnaleźć jakieś ślady pozostawione przez Greków, ponieważ Sycylia jeszcze wcześniej należała do Grecji. Jednak już w roku sto czterdziestym szóstym przed naszą erą, wraz z zagładą Kartaginy, także i Grecja stanie się rzymską kolonią.

Śledząc mapę tej wyspy, wykonaną z kosmosu, Donat spostrzegł, że znajduje się na niej kilka rzek i jezior. Na brzegu morza nie miał czego szukać, chciał się bowiem dostać w głąb kraju, toteż szukał jakiejś głębszej rzeki lub jeziora, w których mógłby ukryć łódź magnetyczną. Największa z tych sycylijskich rzek, płynąca na południe, zdawała się spełniać oczekiwania Donata, toteż postanowił spróbować dotrzeć do niej. W tym celu skierował Zielonego Psa w pobliże wyspy i osadził go na głębokości siedemdziesięciu metrów w bezpiecznym miejscu na dnie morskim, w odległości dziesięciu kilometrów od wschodnich brzegów Sycylii, nieopodal miasta Syrakuzy.

Przez miasto to przepływała rzeka zwana Anopos. Donat chciał więc wpłynąć lub wlecieć w nią, aby ukryć pod wodą maszynę, następnie wyjść na ląd i zorientować się w sytuacji. Na Sycylii istniało w tym czasie jeszcze kilka innych miast, między innymi Messyna, jednak Syrakuzy były najludniejszym starożytnym miastem, założonym w roku siedemset trzydziestym trzecim przed naszą erą przez greckich Dorów, a samo miasto było o tyle interesujące, że w swoim czasie mieszkał w nim Archimedes. Tutaj też powinien znajdować się jego grób.

Po upływie godziny z luku towarowego wysunęła się łódź magnetyczna i pomknęła

pod wodą w stronę odległego miasta. Po chwili maszyna ukryła się w polu siłowym i wyskoczyła ponad powierzchnię morza w bryzgu fal, wznosząc się na wysokość dwustu metrów.

Z tej wysokości widoczne były dobrze odległe Syrakuzy, natomiast bliżej przed łodzią morze pełne było okrętów rzymskich, greckich, egipskich i innych; jedne z nich zmierzały do portowego miasta, inne z niego wypływały. Wokół okrętów baraszkowały stada delfinów, nad nimi unosiły się chmary ptactwa. Po niedługim czasie łódź znalazła się nad miastem, opartym o wzgórze i skaliste brzegi, z góry widoczne były dobrze jego mury. Miasto w tych czasach dzieliło się na pięć dzielnic, jedną z nich stanowiła wyspa - Ortygia. Doskonale były widoczne porty wojenny i handlowy, pełne zacumowanych okrętów i kręcących się po nabrzeżu wokół nich ludzi. Dalej, poza miastem, widoczna była jakaś świątynia ukryta wśród zieleni i otaczających ją niskich zabudowań.

Donat obleciał okolicę kilkakrotnie, robiąc przy okazji zdjęcia i przygotowując dla swoich celów plan miasta. Następnie nadleciał nad pobliską rzekę i pilotując łódź magnetyczną wzdłuż jej biegu, starał się znaleźć jakieś głębsze i ustronne miejsce. Wkrótce znalazł takowe - półhektarowej wielkości staw, błyszczący wśród łąk i krzewów - skierował tam maszynę.

Po niedługich poszukiwaniach udało mu się znaleźć wyjątkowo głębokie miejsce w wypatrzonym stawie, utworzonym przez rzekę - prawdopodobnie powstał w miejscu jakiejś skalnej rozpadliny. Łódź po zanurzeniu zatrzymała się na głębokości siedmiu metrów na skalistym dnie. Woda w tym miejscu była dość przejrzysta, lecz nie na tyle, aby nie ukryć stojącej na dnie maszyny, można było zatem wyłączyć maskujące ją pole siłowe, ponieważ także nurt rzeki nie stanowił dla niej zagrożenia. Obraz rozpadliny był dobrze widoczny przez szyby łodzi, toteż Donat postanowił wydostać się z niej przez właz i wypłynąć na powierzchnię. Nie musiałby już wynurzać łodzi i zanurzać jej ponownie. Tchnięty tą myślą, wydał odpowiednie polecenia pokładowemu komputerowi, sam zaś szybko ściągnął tunikę i sandały, wepchnął je do nieprzemakalnej torby i w samych spodenkach z płóciennym pasem, przy którym umocował woreczek z rzymskimi monetami, otworzył umieszczony w ładowni boczny właz łodzi. Wejście to było chronione błoną biologiczną, zaprogramowaną na jego DNA. Z powodu płytkiego zanurzenia nie był mu potrzebny ustnik, wytwarzający tlen, toteż teraz szybko przekroczył otwór i znalazł się w wodzie. Była zimna i trochę mętna przy dnie,

jednak wyżej okazała się o wiele cieplejsza i przejrzysta. Popłynął w górę i już po chwili jak wielka ryba wyprysnął na powierzchnię stawu. Kilka ruchów rękami i wkrótce znalazł się na wąskiej, piaszczystej plaży, znajdującej się pod wysokim brzegiem wijącej się rzeki. Otrząsnął się z wody i wdrapał na górę, odczekał chwilę, aż ciało wyschnie, po czym wydobył ubranie z worka i ubrał się powoli. Teraz nadszedł czas na spenetrowanie okolicy.

Brzeg rzeki oraz staw porośnięte były krzewami, za nimi rozciągały się łąki, nieco dalej widać było drogę z rosnącymi przy niej rozległymi kępami niskich sosen. Donat udał się w tamtym kierunku, a kiedy doszedł do drogi, rozejrzał się wokoło, zapamiętując okolicę i miejsce ukrycia swojego pojazdu, uspokojony, ruszył w kierunku miasta.

Po kilkunastu minutach marszu w skwarze Donat doszedł do większego zagajnika rosnącego przy drodze. Chciał wejść pomiędzy drzewa, aby odpocząć, kiedy nagle z lasu wyszło na drogę kilku uzbrojonych w miecze i okrytych zbrojami rzymskich żołnierzy. Struchlał na moment, ale starał się zachować spokój, patrząc obojętnie na zbrojnych.

Sięgnął ręką do woreczka z monetami, między nimi powinien być ukryty hipnotyzujący żeton, jednak mimo poszukiwań nie znalazł go. Nagle uświadomił sobie z przerażeniem, że w tym pośpiechu nie zabrał go ze sobą, pewnie leży gdzieś na siedzeniu łodzi magnetycznej. Nie założył też na przedramiona wzmocniających siłę obręczy.

Jeden z żołnierzy podniósł dłoń, zatrzymując przechodnia, i zadał mu po łacinie jakieś pytanie. Donat nie odpowiedział, lecz wskazał na miasto, że udaje się do miasta. Odpowiedź ta nie zadowoliła pytającego, zadał następne pytanie i znowu Donat pokazał na miasto. Żołnierze otoczyli Donata, trzymając ręce na rękojeściach mieczy, po chwili zaczęli go rewidować, odkryli woreczek z pieniędzmi i odczepili go od płóciennego pasa. Otworzyli go i wysypali na ziemię monety, żetonu między nimi nie było. Padło kolejne pytanie, po którym Donat ponownie pokazał miasto, chcąc przekonać pytającego, że jest zwykłym plebejuszem; po podbiciu Sycylii przez Rzymian stworzył się tam tygiel narodowościowy i nie wszyscy mówili po łacinie. Jednak żołnierze nie dali się na to nabrać. Jeden z nich, stojący za nim, szybko związał mu ręce na plecach, inny pchnął go w stronę zagajnika. Pozostali w tym czasie pozbierali pieniądze z ziemi.

Donat, prowadzony przez patrol, zastanawiał się, co zrobić dalej. Ucieczka w tej

chwili nie wchodziła w rachubę, mogą go dogonić lub rzucić w niego sztyletem, albo zadać cios mieczem. Kiedy popatrzył na twarze idących, zorientował się, że ci żołnierze uczestniczyli już w wielu walkach, ich twarze, a także i ręce nosiły ślady blizn i szram. Poza tym, mimo średniego wzrostu, wyglądali na bardzo silnych. Nie było zatem sensu ryzykować ucieczki, może później trafi się jakaś okazja. W zaistniałej sytuacji musiał zatem zachować spokój i zdać się na łut szczęścia.

Las nie był zbyt duży, po kilku minutach marszu leśną ścieżynką cała grupa wyszła na pole, na którym rozbijało namioty kilkudziesięciu rzymskich żołnierzy. Dopiero poniewczasie Donat zorientował się, że nie sprawdził z łodzi tej okolicy, a tu prawdopodobnie znajdowało się odległe pole ćwiczeń garnizonu miasta.

Donat stanął wkrótce przed obliczem centuriona, który wysłuchał składającego mu raport żołnierza, a później sam poprowadził przesłuchanie jeńca, nie skąpiąc mu przy tym uderzeń.

Ostatecznie nic z Donata nie wyciśnięto, centurion doszedł jednak do wniosku, że jeńiec mógł być szpiegiem Kartaginy lub zbiegłym niewolnikiem, i w celu dalszego śledztwa postanowił odesłać go do miasta.

Donat, zbity i brudny, został odprowadzony pod najbliższe drzewo, do którego go przywiązano, obok niego ustawił się strażnik. Stojąc na skraju lasu przy drzewie, miał możliwość śledzenia musztry żołnierzy. Okryci kirysami, uzbrojeni w krótkie obosieczne miecze, zwane gladiusami, ze zwisającymi u pasa sztyletami - pugio, trzymali w rękach włócznie - pilum oraz prostokątne tarcze. Ćwicząc, tworzyli klin, koło, żółwia, ustawiali szereg, mający bronić pieszych przed natarciem jeźdźców. Widziany obraz wydawał się Donatowi nierealny, to wszystko wyglądało jak film, jednak dochodziły do niego odgłosy wydawanych komend, tupot nóg i szczęk broni.

Upłynęło dużo czasu, zanim zajęcia skończyły się i nastał czas odpoczynku. Żołnierze rozeszli się do namiotów i przystąpili do przygotowania dla siebie posiłku, rozpalali ogniska i, jak zauważył Donat, gotowali w kociołkach bób. Żaden z nich nie pozbył się zbroi - kirysu, którego kolejne blachy mocowane były do siebie rzemykami.

Centurion okazał się łaskawy, Donat dostał miskę bobu oraz kubek wody, pozwolono mu także załatwić osobistą potrzebę. Później żołnierze zaczęli zwijać namioty, a kiedy przed wieczorem w obozowisku pojawił się drewniany wóz, zaprzężony w konia - załadowano na niego obozowy sprzęt. Żołnierze sformowali kolumnę marszową, na końcu której ustawiono wóz i przywiązano do niego na linie jeńca. Za wozem znalazło się dwóch strażników i na komendę centuriona kolumna wojska ruszyła w stronę nieodległego miasta.

Podczas drogi Donat, mimo panującego już mroku, ciekawie przyglądał się okolicy, która stawała się coraz bardziej zabudowana. Marsz nie sprawiał mu trudności - wóz jechał niezbyt szybko, a i zmęczeni ćwiczeniami strażnicy nie mieli powodu, aby go poganiać. Wreszcie ukazały się mury miasta. Warta w bramie nie robiła żadnych przeszkód żołnierzom, Donat wsłuchiwał się w dźwięk rzymskiej mowy i ze zdziwieniem spostrzegł, że przyswoił już sobie kilka słów. Po przekroczeniu wrót miasta został odprawiony do aresztu, gdzie przekazano go miejskim pachołkom. Ostatecznie wylądował w kamiennej celi, w której znajdowało się już kilku więźniów.

Noc nie była przyjemna dla Donata. Wszechobecny smród, chrapanie współwięźniów oraz buszujące w celi szczury nie dawały mu zasnąć. Długo w nocy analizował zaistniałą sytuację: wiedział, że łódź magnetyczna jest bezpiecznie ukryta, a automat nie wpuści nikogo obcego do jej wnętrza, a w wypadku próby zniszczenia lub wydobycia podejmie adekwatne środki obronne. Musi zatem znaleźć sposób, aby się dostać do rzeki, a w tej chwili nie było to wcale takie łatwe. W końcu zasnął, oparty o mur więzienia.

Rankiem otrzymał kubek wina i garść suszonego bobu na śniadanie, później zabrano go na przesłuchanie. I znowu powstał problem, ponieważ Donat nie mówił żadnym językiem tej epoki. Niczego nie można było z niego wydobyć. Tak przesiedział w więzieniu dwa tygodnie, szykanowany przez współtowarzyszy. Na szczęście umiejętność walki przydała mu się bardzo, toteż szybko ostudził niezyczliwe zapędy więźniów i wyrobił sobie jako taką pozycję wśród nich.

Profos miejskiego więzienia nie wiedział, co sądzić o nowym więźniu. Żołnierze dostawili go do aresztu ograbionego ze wszystkich cenniejszych rzeczy. Nie miał podstaw sądzić, że ma do czynienia ze szpiegiem, jednak więzień nie mógł wskazać, skąd się znalazł na Sycylii. Może był jakimś Grekiem lub Punijczykiem, albo jeszcze innym, wcześniejszym

mieszkańcem tej wyspy. Właściwie powinno się go powiesić, ale szkoda było stracić pieniądze, które można by uzyskać, sprzedając go jako niewolnika. Ostatecznie postanowił, że jeńca wystawi się na sprzedaż na najbliższym targu niewolników i w ten sposób pozbędzie się kłopotu.

Targi niewolników odbywały się raz w tygodniu lub częściej, jeśli tego towaru było więcej. Któregoś dnia, wczesnym rankiem, Donata wyprowadzono z celi wraz z jeszcze dwoma więźniami, umyto, jako tako oczyszczono, natarto oliwą i poprowadzono na plac targowy, zwany przez Rzymian forum. Donat pędzony wąskimi, brudnymi uliczkami tego miasta, przyglądał się wszystkiemu dokładnie. Na dole budynków mieściły się sklepy, wyżej mieszkania, na najwyższych piętrach mieszkali najubożsi mieszkańcy. Bliżej forum miasto stawało się coraz bardziej zatłoczone. Mieszkańcy ubrani byli w białe, wełniane tuniki, składające się z dwóch części - dolne sięgały do połowy łydek, górne miały krótkie rękawy. Gdy dotarli wreszcie na plac targowy, wepchnięto ich zaraz do drewnianych klatek, które zamknięto na kłódki. Niewolnikom wystawianym po raz pierwszy na sprzedaż bielono nogi wapnem od kostek do kolan, Donata też to spotkało.

Uwięziony w drewnianej klatce, miał okazję zobaczyć i przekonać się na własnej skórze, jak wygląda handel niewolnikami. Sprzedawano mężczyzn, kobiety i dzieci, zdawali się oni pochodzić z różnych stron basenu Morza Śródziemnego, chyba jednak najwięcej było mieszkańców Sardynii, obróconych w niewolników przez nowych władców tej wyspy - Rzymian. W dniu targowym niewolnicy nie dostawali pokarmu, za to ich strażnicy korzystali często i ochoczo z usług drobnych sprzedawców, zachwalających głośno roznoszoną w glinianych garnkach baraninę z kapustą. Pojawiły się także garkuchnie.

Pierwsi kupcy już czekali, inni, spóźnieni, bez ustanku napływali na forum. Nie zawsze byli to właściciele, najczęściej koło klatek kręcili się ich pełnomocnicy lub wyzwoleńcy, mający za zadanie nabyć świeży ludzki towar dla swojego pana. Towar ten był dokładnie oglądany i obmacywany, niewolnicy pod groźbą bata musieli się ładnie uśmiechać i prezentować, czasami byli o coś pytani. Wkrótce wielu z nich sprzedano. Przerażający dla Donata był widok oddzielanych od matek dzieci, płacz i widoczne w ich oczach bezgraniczne przerażenie oraz rozpacz. Ale bat i krzyki strażników wprowadzały ład i porządek.

Najchętniej kupowano młode dziewczęta, choć wiele z nich było jeszcze dziećmi;



nastoletnie dziewczyny trafią do lupanarów lub do willi bogaczy. Dzieci także nabywano chętnie, gdyż mogły być przyuczane do różnych prac, wyrastając na dobrą służbę domową. Młodzi mężczyźni - niewolnicy także byli otoczeni kupującymi. Wkrótce i dla Donata przyszedł czas rozstania się z tym targowiskiem, został wypatrzony przez jednego z kupujących, później obmacany i otaksowany, i po wielu słownych targach z właścicielem sprzedany jakiemuś wyzwoleńcowi, wysłanemu po towar przez jego pana.

Wyciągnięty z ciasnej klatki, związany i prowadzony pod strażą w grupie kilku kupionych i tak samo związanych niewolników, Donat wędrował polną drogą gdzieś do wnętrza wyspy. Hen tam, daleko, istniało stare miasto Enna, lecz folwark, do którego go prowadzono, znajdował się trochę bliżej i nie stanowił siedziby właściciela tych rozległych włości.

Przemarsz zajął więcej niż pół dnia. W tym czasie pozwolono niewolnikom na krótki odpoczynek, dostali suchy, kruchy chleb oraz łyk wina niewolników, zwanego tak z powodu jego składu, którego oprócz octu i kwaśnego wina, znaczącą część stanowiła morską woda. Później, pędzeni w głąb wyspy, maszerowali drogami wśród pól pszenicy i lnu, czasami winorośli, inne pola porastały drzewa przeznaczone na opał. Po drodze Donat dostrzegł kilka insuli, czyli odosobnionych wiejskich posiadłości bogatych Rzymian, którymi podczas nieobecności właściciela zarządzali wyznaczeni niewolnicy.

Pod wieczór przybyli wreszcie na miejsce przeznaczenia, znajdowało się tu kilka zabudowań gospodarczych oraz wielka szopa przeznaczona dla niewolników. Na kolację każdy z nich dostał kubek znanego im już wina i kromkę ościstego chleba, po czym zagnano ich na nocleg do szopy wysłanej słomą.

Znużony całodziennym marszem i przeżyciami dnia Donat spał kamiennym snem. Wczesnym rankiem, po brutalnym przebudzeniu, dowiedział się, że trafił do latyfundiów jakiegoś zamożnego Rzymianina - ekwity, lecz chyba jeszcze nie patrycjusza, którego niewolnicy dłużej tu przebywający nazywali Tullius Verrucosus. Nadzorca pilnujący niewolników w folwarku obejrzał go i zabrał mu dobre sandały, rzucając w zamian byle jakie, brudną i podartą tunikę jednak pozostawił.

Po śniadaniu złożonym z suchego chleba oraz znanego mu już kwaśnego wina

wszystkim niewolnikom założono na nogi żelazne kajdany, połączone łańcuchami w taki sposób, że możliwe było posuwanie się tylko małymi kroczkami. Latyfundia Tulliusa były bardzo rozległe, a przygotowanie nowego pola pod uprawy wymagało dużego wysiłku. Tereny, na których mieli pracować, znajdowały się w pobliżu, więc nie było potrzeby wyprowadzania ich daleko od folwarku. Gdy niewolnicy ustawili się w kolumnę marszową, okazało się, że jest ich wielu, Donat doliczył się stu dziesięciu towarzyszy niedoli. Niewolnicy ci pochodzili, co łatwo było poznać z wyglądu, z różnych krajów, jednak przeważali wśród nich Grecy pochodzenia orientalnego.

Praca polegała na oczyszczaniu pola pod przyszłe uprawy. Już na miejscu pracy niewolnicy dostali motyki, łopaty, inni drewniane taczki lub nosiłki oraz oskardy. Pofalowany teren trzeba było oczyścić z kamieni i krzewów, w wielu miejscach wyrównać i zniwelować przyszłe pola. Donat dostał do ręki motykę, toteż musiał przy jej pomocy zasypywać doły i wgłębienia. W czasie pracy pilnował się, aby nie wypaść źle, lecz mimo tego, zdaniem nadzorującego go wyzwolenca, pracował za wolno i z tego powodu oberwał wiele razy kijem. Być może strażnik chciał tylko pouczyć nowego robotnika, jakie tu panują zwyczaje. Praca trwała od świtu do zmroku, wieczorem lub w późnych godzinach popołudniowych następował powrót do folwarku i wtedy niewolnicy dostawali obiad. Na ten posiłek najczęściej składał się gotowany bób, czasami groch lub chleb świętojański, rozgotowana kapusta z oliwą oraz wino niewolników. I tak było codziennie, to samo pożywienie i ani jednego wolnego od pracy dnia.

Po miesiącu takiej wyczerpującej pracy i skromnego jedzenia Donat wychudł i trochę opadł z sił. Na rękach porobiły mu się odciski, żelazne obręcze kajdan poraniły mu nogi. Mimo to nie poddawał się, myśląc nieustannie o ucieczce i wyczekując sposobnej ku temu okazji.

Któregoś dnia do folwarku, jednego z wielu w tym wielkim latyfundium, przybył jego właściciel - Tullius Verrucosus, podobno jakiś odległy krewny Publiusza Rupiliusza, który w przyszłości wstąpił się zduszeniem wielkiego powstania niewolników na Sycylii. Ubrany był w białą tunikę, ozdobioną dwoma purpurowymi pasami z przodu, na którą była narzucona toga.

Tego dnia niewolnicy wrócili wcześniej z pracy z powodu nadciągającej burzy i po

obiedzie zostali zagnani do szopy, w której mieli poczekać do nadejścia lepszej pogody. Wizytujący swoje włości Verrucosus, widocznie rozzłoszczony z powodu nieoczekiwanej przerwy w robotach, zapragnął nagle obejrzyć swoich niewolników i w otoczeniu swojej przybocznej straży i pracujących tu strażników-wyzwoleńców wtargnął do szopy. Niewolnicy zostali poderwani na nogi i ustawieni w szeregu. Pan nie był zadowolony z postępów w pracy i przyszedł tutaj, aby wymierzyć karę. Mimo młodego jeszcze wieku był już opasły. Teraz, ocierając pot z czoła i zasłaniając nos chusteczką, szedł wzdłuż szeregu swoich niewolników, przyglądając się im uważnie czerwonymi, złośliwymi oczkami i władczym gestem ręki wskazywał co niektórym. Wybrani byli wyciągani przez strażników z szeregu i wypychani na skraj szopy. Donata spotkało to także, postawiony wraz z innymi nieszczęśnikami, oczekiwał pod pręgierzem na dalszy rozwój wypadków.

Pan skrzekliwym głosem wydał jakieś polecenie, po którym strażnicy wyrwali pierwszego z wywołanych niewolników i uwiązali jego ręce do poprzecznej, wysoko umieszczonej belki, następnie obnażyli ofiarę. Później postąpili tak kolejno z innymi. Rozpoczęła się chłosta, niewolnicy byli bici różgami tak długo, aż zwiśli na linach, nieprzytomni, Donata spotkał ten sam los. Tullius Verrucosus, przyglądając się jego egzekucji, uznał nagle, że to mówiące narzędzie jest zbyt krnąbrne i ma zbyt śmiałe spojrzenie, toteż postanowił ukarać je dodatkowo, wypalając mu znamię niewolnika na policzku. Donat został przywleczony do ogniska, w którym grzał się pręt przeznaczony do piętnowania. Gdy nabrał czerwonego koloru, jeden z wyzwoleńców-oprawców przyłożył mu go do prawego policzka. Ból był potworny, rozszedł się swąd spalonej skóry i Donat stracił na krótko świadomość, a kiedy się otrząsnął, został wypchnięty w najdalszy kąt szopy, gdzie leżał na słomie; jego los w tej chwili nikogo nie obchodził. Piętna na twarzy wypalono jeszcze dwóm innym, niedawno nabytym nieszczęśnikom. Później rozpoczęła się ulewa i do końca dnia nikt nie pędził niewolników do pracy. Po deszczu, jeszcze w nocy, pan odjechał do swojej siedziby.

W kolejnych dniach Donat nadal pracował na polach, rany na plecach i policzku zagoiły mu się, okrzepł też trochę.

Minęły trzy miesiące od chwili, kiedy został ujęty przez rzymskich żołnierzy, i jako tako przywykł do warunków panujących w tym miejscu. Musiał walczyć o jedzenie, współtowarzysze niedoli zachowywali się względem siebie jak zwierzęta, nie można było

liczyć na pomoc od nikogo. Także strażnicy, wśród których było wielu wyzwolenców, byli nieczuli wobec tych mówiących narzędzi. Przy najmniejszej okazji wyzywali się na nich, jednego czy dwóch słabszych zakatowali batami. W tym czasie z powodu nieludzkich warunków pracy zmarło też kilku niewolników, ich miejsce zajęli nowi, zakupieni na targu w Syrakuzach.

Donat widząc panujące tu warunki, nie dziwił się wcale, że już za kilkanaście lat wybuchnie na Sycylii wielkie powstanie niewolników. Przypomniał sobie, że trwało aż sześć lat, bo od roku sto trzydziestego ósmego do sto trzydziestego drugiego przed naszą erą, a wzięło w nim udział prawie dwieście tysięcy niewolników. Starał się przypomnieć, jak nazywała się osada, w której się zaczęło - była to bodajże Enna. Zastanawiał się, jak daleko stąd znajduje się ta miejscowość, był przekonany, że uda mu się uciec przed wybuchem tego powstania. Jednocześnie czuł satysfakcję, że ci wszyscy nieludscy Rzymianie poniosą zasłużoną karę.

W ciągu tych paru miesięcy Donat poduczył się trochę języka, co pozwoliło mu na rozmowy z współtowarzyszami. Dowiedział się też wiele od nich. W tym folwarku nie było kobiet, toteż strażnicy nie mogli dać upustu swoim chuciom i w wolnym czasie chodzili do najbliższego miasteczka, w którym znajdowały się lupanary. Dwóch strażników nie korzystało z tych uciech, ponieważ mieli skłonności homoseksualne i każdego wieczoru wybierali sobie spośród niewolników kochanków. Którejś nocy jeden z nich, pijany, przyszedł do baraku, długo chodził z kagankiem po szopie, aż wreszcie zatrzymał się przy Donacie i wskazał go palcem, a po rozkuciu kazał mu iść za sobą. Donat, odprowadzany kpiącymi spojrzeniami innych niewolników, udał się za strażnikiem. Ten po wyjściu na zewnątrz zaprowadził go łaźni przeznaczony dla nadzorców i polecił mu się dokładnie umyć. Donat, podglądany przez niego, długo mył się w świetle oliwnej lampki, aż wreszcie zniecierpliwiony strażnik dał mu do zrozumienia, że jest już wystarczająco czysty, i kazał mu wyjść z łaźni.

Donat, idący za nim, zorientował się nagle, że w obozie jest dziś mniej pilnujących niż zwykle; z rozmowy dwóch przechodzących obok nadzorców dowiedział się, że z sąsiedniego folwarku uciekło kilku niewolników i strażnicy zostali wezwani do pomocy w celu złapania zbiegów. Nie słyszał także psów, podejrzewał, że chyba wszystkie zostały zabrane przez nadzorców, i dostrzegł w tym swoją szansę.

Barak nadzorców mieścił się w pobliżu bramy do gospodarstwa i o tej porze strażnicy, którzy nie pełnili warty, powinni się w nim znajdować. Wewnątrz okazało się jednak, że nie było nikogo. Strażnik zaprowadził Donata w kąt baraku, kazał mu się rozebrać i położyć na posłaniu. Donat zrobił ruch, jakby chciał zrzucić tunikę, zachwiał się i nagle jednym kocim ruchem znalazł się w pobliżu strażnika. Silny cios karate w szyję i chwyt za głowę zaskoczył strażnika, po chwili został on rzucony na ziemię, a Donat, siedzący na jego grzbiecie, oplótł go nogami i założył duszenie, wykorzystując do tego celu ubranie ofiary. Strażnik na próżno starał się uwolnić z tego chwytu. Mimo wielu wysiłków nie wyrwał się i chociaż udało mu się przekręcić z wiszącym na nim napastnikiem, już po chwili był martwy. Donat zaciągnął ciało w kąt i przykrył kocami, szybko odsunął się od tego miejsca i zmierzał ku wyjściu. Obawiał się, że ktoś tu wejdzie i przeszkodzi mu w ucieczce. Mijając stojak na broń, porwał w ręce miecz i schował go za tunikę, po chwili ostrożnie wyslizgnął się z baraku.

Na dworze było dość ciemno, a to znaczyło, że los sprzyjał Donatowi. Musiał teraz pokonać ogrodzenie w miejscu, w którym nie powinno być straży. Garnizon pilnujący niewolników liczył sobie piętnastu strażników, wielu z nich udało się na poszukiwanie zbiega, toteż w tej sytuacji nie mógł być nimi obstawiony cały obóz. Donat wypatrzył właściwe jego zdaniem miejsce i przemknął się w pobliże ogrodzenia. Miał szczęście, nikogo tu nie było. Ogrodzenie było dość wysokie, jednak Donatowi udało się wojskowym sposobem z rozbiegu wskoczyć na płot i uchwycić się ręką jego krawędzi. Podciągnął się i już po chwili wisiał z drugiej strony. Starając się dostrzec miejsce zeskoku, zwolnił uchwyt i znalazł się na ziemi.

Po dziesięciu minutach oddalił się na tyle, że mógł nie obawiać się wykrycia. Jego zamiarem była ucieczka w stronę miasta, w którym był więziony, i odnalezienie rzeki i miejsca, w którym ukrył łódź. Wiedział, że psy tropiące znajdą jego ślady, zatem musiał jakoś je zatrzeć. W pewnym miejscu trafił na gęsto rosnące trawy, zatrzymał się i zerwał całe ich naręcze. Niósł to zielsko przez jakiś czas, aż wreszcie znalazł miejsce, w którym mógł się nim posłużyć. Ułożył na ziemi kopkę trawy i wskoczył na nią, dalej ułożył kolejną, a zabrał starą. W taki sposób przebył kilkaset metrów, aż wreszcie uznał, że zatarł swoje ślady, rozrzucił zatem trawę tak, aby jej nie było widać, i pognął w wybranym przez siebie kierunku.

Nie miał kłopotów z orientacją w terenie. Umiejętności wyniesione z lat młodości,

kiedy to lubił błądzić po lasach, miesiące doświadczeń w świecie przyszłości oraz w czasach przeszłości wzmogły jego zdolności w tym względzie. Poza tym nauczył się rozpoznawać gwiazdy i teraz czytał z nich swobodnie. Przed sobą miał całą noc, obawiał się jednak nieprzewidzianych okoliczności, gdyż był napiętnowany jako niewolnik i każde spotkanie z człowiekiem niesło dla niego zagrożenie.

W ciągu nocy przebiegł wiele kilometrów; kiedy w gospodarstwie znajdą martwego nadzorcę i sprawdzą, że uciekł jeden z niewolników, niewątpliwie wyślą za nim pościg. Był jednak pewien, że nikt nie będzie podejrzewał, że zbiegły niewolnik kieruje się ku miastu, a nie w przeciwną stronę, w góry, w okolice wulkanu - Etny.

Świt zastał Donata wśród skał, na wzniesieniu oddalonym jakieś dwieście metrów od drogi. Nie powinien odbywać marszu w ciągu dnia, ponieważ mógł zostać dostrzeżony i ujęty, toteż poszukał kryjówki i postanowił przeczekać w niej do wieczora. Problemem stał się gnębiący go głód i pragnienie, ale w pobliżu kryjówki nie znalazł wody. Z pożywieniem powiodło mu się o tyle, że upolował przy pomocy miecza dwie jaszczurki, jedną z nich wypatroszył, a czyste mięso rozbił kamieniem na miazgę. Spróbował tej zdobyczy i okazało się, że da się to zjeść, po chwili skonsumował drugą jaszczurkę. Nie były zbyt duże, jednak jego organizm zyskał trochę kalorii po przebytych wysiłku.

Dzień upłynął spokojnie. Na drodze pojawili się jacyś ludzie, dlatego Donat starał się zbytnio nie wychylać. Najbardziej dokuczalo mu w upale pragnienie, musiał też uważać, aby nie poruszać mieczem, gdyż nagły rozbłysk światła mógłby sprowadzić nieproszonych gości.

Wraz ze zmrokiem zbieg kontynuował wędrówkę; poszczyło mu się także o tyle, że znalazł mały strumyk, w którym płynęło jeszcze trochę wody. Odkrycie to pozwoliło mu na zaspokojenie palącego pragnienia, opuchłe gardło z trudem przelykało płyn. Później Donat umył się trochę i ruszył w dalszą drogę. Nad ranem zobaczył ze wzniesienia odległe miasto, miał teraz do wyboru: maszerować dalej w poszukiwaniu swojej rzeki, albo poczekać z tym do zmroku. Wybrał tę drugą możliwość ze względu na niebezpieczeństwo spotkania ćwiczących gdzieś w pobliżu rzymskich żołnierzy.

Jednak nie było mu dane dotrzeć w ukryciu do wieczora. W południe, ukryty w skałach, oczekując mroku, odwrócił się i nagle z przerażeniem dostrzegł jakieś punkciki,

które zbliżały się w jego kierunku. Doszedł go daleki odgłos szczekania, musiał uciekać, prawdopodobnie był to pościg.

Mylił się jednak, to nie był pościg za zbiegłym niewolnikiem, tylko jeden z bogatych Rzymian postanowił zapolować rankiem na dziką zwierzynę. Skoro świt wyruszył w teren, prowadząc ze sobą niewolników z psami; sam, w otoczeniu ochrony, jechał konno za nimi. Polowanie na drobną zwierzynę przeciągnęło się do godzin południowych.

Donat zmuszony był uciekać dalej. Wystraszony, pobiegł teraz szybko na północ, chcąc z innej strony dotrzeć do szukanej rzeki. Sądził, że nie znajduje się ona już tak daleko, jednak nie znał topografii tego terenu. Kiedy tak biegł, usłyszał dalekie krzyki - to zauważyli go ludzie z psami. Zwiększył szybkość i kiedy wbiegł na kolejne wzniesienie, dostrzegł w odległości kilkuset kroków od tego miejsca swoją rzekę. Widok ten dodał mu nowych sił i kiedy jeźdźcy wbiegali na wzgórze, które opuścił, on krył się już w krzakach, rosnących nad rzeką.

Polujący zorientowali się szybko, że ich zwierzyną stał się nieoczekiwanie zbiegły niewolnik. Za zbiega można było dostać nagrodę, a i polowanie było o wiele ciekawsze. Porzucono zatem myśl o polowaniu na dziczyznę i podjęto pościg za uciekinierem.

Donat był już bardzo wyczerpany, nędzna strawa, którą go karmiono przez szereg miesięcy, i ciężka praca nadwładliły jego kondycję. Jednak świadomość, że znajduje się tak blisko celu, dodała mu sił. Za nic nie chciał wpaść w łapy Rzymian, zapewne skończyłoby się to dla niego ukrzyżowaniem.

Zorientował się wkrótce, że miejsce, w którym ukrył łódź, znajduje się o dwa kilometry dalej na północ, przedostał się zatem na drugi brzeg i biegł teraz co sił w górę rzeki. Został dostrzeżony przez jeźdźców, którzy nagle pojawili się na drugim brzegu, za nimi biegli niewolnicy z psami. Zagrzmiały trąbki, ogłaszając wszem i wobec, że w tej okolicy odbywają się łowy na ludzką zwierzynę. Z drugiej strony rzeki, z miejsca, gdzie odbywały się zazwyczaj ćwiczenia żołnierzy, odpowiedziały inne trąbki. Donat był wzięty w dwa ognie.

Kiedy wybiegł na łąkę, dostrzegł, że z lasu leżącego kilkaset kroków od niego wysunął się oddział żołnierzy i ruszył w stronę rzeki. Donat biegł dalej ostatkiem sił.

Konfiguracja terenu przysła mu nagle z pomocą, drugi brzeg stał się bardzo stromy, na przestrzeni kilkuset metrów nie można się było przeprawić na jego stronę. Obawiał się tylko strzał z łuków lub kamieni z proc. Gorzej wyglądała sprawa z żołnierzami - ci mieli go jak na patelni i zbliżali się dość szybko. Nagle usłyszał szczekanie - to jeden z psów przebył rzekę i biegł co sił w nogach w jego kierunku. Donat, nie zatrzymując się, sięgnął pod tunikę i ujął rękojeść miecza. Sandały przeszkadzały mu w biegu. Nagle jeden rozpadł się i zsunął z nogi, aby biec dalej, musiał zrzucić drugi. Biegając, kaleczył sobie stopy.

Wtem usłyszał szybki oddech za sobą. Odwrócił się nagle, uskakując w bok, obok niego przebiegł goniący go z wywieszonym jęzorem pies. Zatrzymał się raptownie i zawrócił, chcąc rzucić się na uciekiniera. Nie zdążył; cięty w kark, zwałił się ze skowytem na ziemię. Donat podążył dalej. Za najbliższymi krzakami ukazało się nagle znajome miejsce - to tutaj ukrył swoją łódź, ratunek był zatem blisko, należało tylko dotrzeć do stawu. Zsunął się z wysokiego brzegu nad wodę. Pięćdziesiąt metrów dalej rzeka rozszerzała się, tworząc małe jezioro, w nim ukryta była łódź Donata.

Myśliwi osaczyli zbiega z jednej strony rzeki, z drugiej rozciągnięci w długą tyralierę nadbiegali żołnierze, wydawało się, że dla uciekiniera nie ma już ratunku. Niektórzy żołnierze mieli łuki, potrząsali też nimi myśliwi. Donat przebiegł jeszcze te kilkadziesiąt metrów, zrzucił tunikę i wskoczył do wody, szybko wypłynął na środek stawu. Pierwsi żołnierze wbiegali właśnie na brzeg rzeki, ich dowódca krzychał coś do Donata, ale ten, nie zważając na nic, nabrał w płuca powietrza i gwałtownie zanurkował.

Łódź magnetyczna stała na swoim miejscu. Donat szybko odszukał ją na dnie, znalazł właz i położył rękę na burcie w oznaczonym miejscu; po ukazaniu się klawiatury, wcisnął kod, który powtarzał sobie w pamięci podczas biegu. Pancerna płyta rozsunęła się, ukazując okrągły zarys otworu zakrytego błoną. Donat, tracący już oddech, szybko przepchnął przez nią głowę, a później wciągnął się do wnętrza i błyskawicznie zamknął właz. Był uratowany.

Stojący na zewnątrz żołnierze i myśliwi długo czekali na pojawienie się głowy pływaka. Po chwili na rozkaz dowódcy kilku z nich, po zdjęciu zbroi i odłożeniu uzbrojenia, wskoczyło do wody.

Nagle w środku akwenu utworzył się duży wir, fala rozeszła się kręgiem po stawie,



zalewając stopy stojącym bliżej żołnierzom, później woda się uspokoiła. Przerażeni tym zjawiskiem, zaniechali dalszych poszukiwań, pomachali myśliwym i rozeszli się w górę i w dół rzeki, szukając zbiega lub ciała topielca.

Donat, siedzący w łodzi unoszącej się nad łąką, fotografował żołnierzy i myśliwych, później zawrócił, wzniósł się wyżej i skierował łódź do bazy - do Zielonego Psa leżącego na dnie morza.

Lot z najwyższą prędkością nie trwał długo, Donat nawet nie zbliżał się do płynących statków. W pewnym momencie maszyna obniżyła lot i osiadła na wzburzonej powierzchni morza, po chwili zanurzyła się. Gdy przed Donatem pojawiła się burta leżącego na dnie czasolotu, znikło maskowanie i już po chwili łódź zniknęła w luku jego ładowni.

Po procedurach odkażających i dokładnej kąpieli Donat, w samych tylko spodenkach, znalazł się na pokładzie medycznym. Droid sprawujący nadzór w przedziale szpitalnym, poprowadził go do sali konsultacji medycznych. Badany przez automatycznego doktora, rozebrany do naga Donat obserwował siebie w lustrze - był bardzo wychudzony i poraniony, ponadto jego policzek „zdobiło” wypalone piętno. Po chwili droid medyczny skierował go do komory reanimacyjnej, w której został ułożony i zamknięty w specjalnej wannie, odpowiadającej kształtem ciała człowieka. Poczuł, że zalewa go jakaś gęsta maź, która niesie ukojenie jego ciała. Kiedy po piętnastu minutach opuścił komorę reanimacyjną, nie mógł siebie poznać. Zniknęły blizny na plecach i wypalone znamię na policzku, jego ciało było zarumienione i odświeżone, poza tym nie czuł zmęczenia, lecz ogarnęła go senność i poczuł, że żołądek dopomina się o swoje prawa. Uszczęśliwiony, ubrał się w kombinezon, który podał mu droid, następnie udał się na pokład mieszkalny. Kiedy szedł alejką przez porastający go las, ogarnęła go euforia i czuł się szczęśliwy, że powraca do domu. Po kilku minutach stanął wreszcie przed jego drzwiami.

Po dostaniu się do wnętrza Donat skontaktował się przez domowy komunikator z komputerem administracyjnym i zażądał sprawozdania ze stanu chronolotu. Elektroniczna maszyna zameldowała mu, że statkowi nic nie zagraża, później składała mu kolejne meldunki z pracy urządzeń pokładowych, wewnętrznych i zewnętrznych. Donat poprosił o wyświetlenie widoku najbliższego otoczenia statku i już po chwili na ekranie siłowym ukazały się obrazy z każdej strony jego burty. Wyglądało na to, że nic się nie zmieniło w

czasie jego nieobecności i wszystko jest w należyтым porządku. Uspokojony tym faktem Donat mógł teraz przystąpić do przygotowania dla siebie kolacji. Bardzo mu się nie chciało tego robić, toteż zawezwał fembota i kiedy ten pojawił się w jego kuchni, zlecił mu to zadanie.

Żeński android sumiennie wywiązał się z nałożonego na niego zadania. Po krótkiej chwili potrzebnej na przygotowanie posiłku Donat zasiadł do stołu, na którym pojawił się chleb, gotowany bób, pieczona i gotowana ryba oraz kawałki pieczeni z gadziego mięsa. Za napój posłużyło najlepsze wino, jakie mógł kupić w Kartaginie. Po posiłku fembot uprzątnął naczynia, a najedzony i odprężony Donat mógł udać się do toalety, a później na spoczynek.

Donat zbudził się z uczuciem głodu. Jeszcze rozespany, spojrzął na chronometr i ze zdziwieniem stwierdził, że przespał prawie dwadzieścia godzin. Nic dziwnego, że żołądek upomniał się o swoje prawa. Wezwał fembota - ładną dziewczynę o ujmującej powierzchowności, której nadał imię Ivona, i polecił jej przygotowanie śniadania. Maszyna ta była doskonałym typem robota, jej twarz i cała postać były bardzo kobiece. Ivona potrafiła okazywać radość i smutek, zainteresowanie, rezygnację, zdumienie, żal i wiele innych ludzkich cech. Śmiała się perlстым śmiechem, umiała żartować i przekomarzać się, była chodzącą encyklopedią i miała zaprogramowane jeszcze inne właściwości, poza tym pięknie śpiewała. Donat patrzył na nią z przyjemnością i nie czuł się już tak bardzo samotny, zwłaszcza że ten fembot zdawał się ucieleśnieniem kobiecości. Powiedział „dziewczynie”, co chciałby zjeść i kiedy należy podać do stołu. Kiedy robot krzątał się po kuchni, Donat ogolił się i umył, później ubrał się w domowe ubranie i powrócił do kuchni. Dał znak Ivonie i ta zaczęła znosić na stół potrawy.

Na śniadanie była jajecznica z kurzych jaj, kawa zbożowa z wielbłądzim czy też oślim mlekiem, chleb oraz owcze i krowie sery. Donat pałaszował to wszystko z apetytem, wspominając nędzną strawę, jaką raczono go w niewoli. Po posiłku spędził resztę czasu na pokładzie bojowym Zielonego Psa.

Pokład ten znajdował się w dziewiątym piętrze czasolotu, wejście do niego było utrudnione, konieczne stało się wylegitymowanie specjalną kartą i podanie kodu. Oprócz tego automat strzegący wejścia porównywał wizerunek źrenicy oka i odcisków palców, mierząc

przy tym temperaturę ciała odwiedzającego.

Donat dostał się po dłuższej chwili do obwarowanego pokładu. Wzdłuż korytarza ciągnącego się przez całą długość statku z obu jego stron były rozmieszczone magazyny. Wejścia do nich nie były widoczne, nie było też wiadomo, co się za ich ścianami kryje. Na końcu korytarza znajdowała się sala operacyjna; aby do niej dotrzeć, trzeba było przejść przez cały korytarz, a w tym czasie idący był nadal kontrolowany przez aparaty chroniące to miejsce. Do pokonania długiego korytarza Donat posłużył się platformą magnetyczną, która wisząc nisko nad podłogą, przeniosła go w odległy koniec tego pokładu. Po dostaniu się do sali operacyjnej Donat zasiadł naprzeciw dużego ekranu, wcisnął mały przycisk, znajdujący się w zasięgu jego ręki, i w tej samej chwili automat wyświetlił symbole kolejnych magazynów. Wystarczyło wskazać właściwy symbol, aby automat wyświetlił jego zawartość, a po wskazaniu symbolu rzeczy lub przedmiotu dostarczył ją w odpowiedniej ilości do tego pomieszczenia. Na żądanie komputer wyświetlał na ekranie w przestrzeni trójwymiarowej zastosowanie tej broni w realu.

Donat widząc mnogość oznaczeń, miał utrudnione zadanie. Katalog piktogramów oznaczonych nomenklaturą magazynową podzielony był na wiele kategorii. Donat wciskając kolejno symbole, zaczął sprawdzać, jakie wyposażenie obronne znajduje się na pokładzie chronolotu. Przeglądał długo tę listę i był coraz bardziej zaskoczony, widząc osiągnięcia ludzi przyszłości w dziedzinie wytwarzania nowych broni.

W magazynach znajdowały się między innymi miotacze energii i infradźwięków, lasery, karabiny grawitacyjne, wycinacze przestrzeni, paralizatory. Z małych granatów wystrzeliwanych z granatników lub z karabinów tuż nad celem wysypywały się tysiące małych płatków, które opadając na cel, wytwarzały pole elektryczne, rażąc przeciwnika i niszcząc znajdujące się tam urządzenia. Inne rozpościerały nad dużą powierzchnią pajęczą siatkę, która lepiała się do ludzi i broni, uniemożliwiając poruszanie się. Jeszcze inne rozpylały mgłę, która opadając, rozpuszczała znajdujące się w jej zasięgu istoty żywe.

Ciekawa była broń wytwarzająca energię psycho. Po wybuchu małego granatu znajdujący się w zasięgu jego rażenia ludzie wybijali się wzajemnie w morderczej i bezpardonowej walce, lub w popłochu uciekali.

W pomieszczeniach magazynowych znajdowało się także tysiąc robotów bojowych, wyposażonych w najróżniejszą broń, przeznaczonych do zwiadu, walki bezpośredniej czy jeszcze innych zadań. Można je było tworzyć w nieskończoność, ponieważ zapisana informacja atomowa ich budowy znajdowała się w elektronicznym archiwum, co pozwalało w każdej chwili aktywować dowolną liczbę robotów poprzez portal.

Poza tym sale magazynowe skrywały także pojazdy bojowe: latające, w tym kosmiczne, pływające oraz naziemne. Zielony Pies wyposażony był także w broń jądrową, anihilatory oraz bronie kosmiczne. Jednym słowem, czasolot zdolny był do unicestwienia całej ludzkości, jego sile nie mógł oprzeć się żaden kraj we współczesnym Donatowi świecie. Podróżnik spędził na tym pokładzie wiele godzin, zapoznając się z zawartością kolejnych hal magazynowych.

Po dwóch dniach odpoczynku Donat rozpoczął przygotowania do kolejnej eskapady. Czuł się upokorzony faktem, że zrobiono z niego niewolnika i tak bardzo go sponiewierano. Postanowił zatem ukarać swoich gnębieli. W tym celu wybrał na towarzyszy dwa roboty bojowe, które wyglądem nie różniły się od człowieka, i ubrał jednego z nich w strój rzymskiego żołnierza, drugiego zaś w typową rzymską tunikę. Sam założył na siebie specjalny kombinezon, którego cienka powłoka przylegała ściśle do ciała, przez co stawała się nie do odróżnienia od naturalnej skóry. Chroniła ciało przed wszelkimi ciosami i pociskami, ponadto wzmacniała siłę okrytego nią człowieka. Na kombinezon Donat narzucił zwykłą tunikę, na nogi założył ściśle dopasowane sandały. W pasie ukrył plazmowy miecz, mały miotacz infradźwięków oraz hipnotyzujący żeton. Już przebrany, obejrzał siebie dokładnie w lustrze, szukając mankamentów, i po dłuższej chwili uznał, że może się w takim stroju pokazać Rzymianom.

Rankiem następnego dnia z luku transportowego Zielonego Psa, leżącego na dnie morza, wydostał się podobny do łodzi magnetycznej transporter, różnił się on jednak od niej wielkością i możliwościami. Kierowanie tą maszyną sprowadzało się do wydawania głosem lub telepatycznie, a także przy pomocy klawiatury poleceń pokładowemu komputerowi sterującemu lotem. Telepatyczne przesyłanie rozkazów umożliwiał specjalny hełm pilota z wmontowanymi urządzeniami służącymi do tego celu. Możliwe było także ręczne sterowanie transporterem przy pomocy wolantu lub kierownicy, w zależności od okoliczności, ponadto maszyna, tak jak i inne, była wyposażona w system antykolizyjny.

W kierunku brzegów Sycylii transporter przez kilka kilometrów płynął pod wodą na głębokości dziesięciu metrów. Donat obracał się wraz z fotelem w przezroczystej po dokonaniu polaryzacji ścian kabiny, obserwując otaczający go wodny przestwór. Na tej głębokości było mniej ryb, jednak kiedy dno morza podniosło się, pojawiło się ich więcej. Kiedy zrobiło się jeszcze płycej, zamaskował pojazd, czyniąc go niewidzialnym, i powoli wypłynął na powierzchnię.

Przez dłuższą chwilę Donat wpatrywał się w przestrzeń, chcąc zorientować się w sytuacji. Kiedy się obrócił w fotelu, oczom jego ukazał się okręt, płynący wprost na wynurzoną maszynę, po chwili znalazł się kilkanaście metrów przed nim. Zmierzał w kierunku bliskich Syrakuz. Donat widział podnoszące się równomiernie wiosła i słyszał dochodzące z pokładu głosy załogi. Automatyczny pilot kierujący transporterem wznosił go ponad morze i zatrzymał na wysokości stu metrów. Teraz widok był rozleglejszy i zaraz okazało się, że morze nie jest puste, a jest na nim rozrzuconych więcej statków, zmierzających do nieodległego portu. Donat skierował teraz maszynę w stronę miasta i już po chwili przelatując nad jego rynkiem, ze zdziwieniem spostrzegł, że mimo wczesnej pory pojawili się już pierwsi sprzedawcy. Otwierano stragany, wyładowywano z wozów towary, prowadzono pierwszych niewolników - zapewne tego towaru będzie później więcej, kiedy do portu zawiną statki. Dawało się jednak odczuć, że to miasto, będące od pół wieku pod panowaniem rzymskim, wygląda jednak inaczej niż wolna Kartagina.

Donat pamiętał z czytanych materiałów, że przeważające części zysków i dochodów Punijczyków pochodziły z handlu, który mógł się rozwijać dzięki wolnemu morzu. Kiedy Rzymianie opanowali Morze Śródziemne, Punijczycy musieli ograniczyć handel, co wcale nie przeszkodziło ich prześladowcom, ponieważ w odróżnieniu od kartagińskiego państwa wolnych kupców, Rzymianie czerpali dochody z podatków.

Donat odpłynął znad miasta i skierował teraz maszynę nad pole, na którym powinni już się znajdować żołnierze rzymscy. Sunąc wysoko nad ziemią, dostrzegł maszerującą na pole ćwiczeń centurię. Przybliżył obraz i z radością spostrzegł, że są to ci sami żołnierze, którzy go pojмали, a potem ścigali, i że prowadzi ich znany mu dobrze dowódca.

Wyprzedził ich i opuścił maszynę nad plac ćwiczeń, po chwili zawiesił ją w powietrzu

nad ziemią i wraz z jednym robotem opuścił się na pasie grawitacyjnym na poziom gruntu. Drugi android pozostał w maszynie stanowiąc dodatkowe ubezpieczenie. Transporter uniósł się teraz jeszcze wyżej i wisiał nad swoimi pasażerami. Donat mógł go zobaczyć tylko wtedy, kiedy zakładał na oczy specjalne okulary. Następnym jego posunięciem było znalezienie dla siebie i towarzyszącego mu robota jakiegoś miejsca, w którym mogłoby spokojnie poczekać na zmierzających na pole ćwiczeń żołnierzy.

Po dwudziestu minutach spomiędzy drzew wyłonili się idący w szyku marszowym oczekiwani przez niego żołnierze rzymscy, oczywiście prowadził ich znany Donatowi dowódca.

Centurion wychodząc z lasu, dostrzegł na polu ćwiczeń dwóch cywili, siedzących na ziemi. Widok ten rozgniewał go, gdyż był to teren zastrzeżony dla wojska. Znalazłszy się na polu, zatrzymał oddział i wydał komendę: *ad gladium clina* (frontem w prawo), co spowodowało, że żołnierze ustawili się w dwuszeregu. Przejrzał szyk i po chwili wywołał z szeregu dwóch żołnierzy, którym wydał rozkaz usunięcia cywili z miejsca ćwiczeń, pozostali oczekiwali z zainteresowaniem na dalszy rozwój wypadków.

Kiedy żołnierze podeszli do siedzących, jeden z nich, nie wstając, podniósł rękę i podsunął ją przed ich oczy. Centurion i jego żołnierze widzieli tylko, jak dwaj posłańcy wpatrują się w rękę i nic nie robią, po chwili bez słowa zawrócili i wstąpili do szeregu. Sytuacja ta zaskoczyła centuriona, kazał wystąpić tym dwóm swoim podwładnym i zapytał ich ze złością w głosie, dlaczego nie wykonali jego rozkazu. Żołnierze nie mogli jednak przypomnieć sobie wydanego polecenia. Wściekły centurion na czele trzech żołnierzy ruszył w kierunku siedzących. Ci, widząc idących w ich kierunku żołnierzy, podnieśli się. Dopiero teraz centurion rozpoznał w jednym z nich swojego wcześniejszego więźnia. Ucieszył się z tego spotkania i wydał rozkaz schwymania tych ludzi.

Kiedy żołnierze wyciągnęli ręce do Donata i chcieli schwytać jego towarzysza, zostali nagle powaleni przez nich z dużą siłą na ziemię. Kiedy się podnieśli, sytuacja powtórzyła się. Centurion wezwał pozostałych żołnierzy i rozgorzała bitwa pomiędzy dwoma nieuzbrojonymi cywilami a rzymskimi żołnierzami.

Stojący teraz na uboczu centurion z zaskoczeniem przyglądał się, jak jego podwładni

są rozrzucający na wszystkie strony przez dwóch nieuzbrojonych ludzi. Widząc bezcelowość wysiłków żołnierzy, wydał komendę użycia broni. Na ten rozkaz żołnierze pochyliłi włócznie i osłonięci tarczami, ławą ruszyli na swoich przeciwników. Ich broń nie miała się jednak ciał atakowanych, jakoś dziwnie odbijała się od nich i ześlizgiwała, przy czym czuli oni w dłoniach mrowienie. Przestraszeni, coraz bardziej tracili ochotę do walki, i nie minęło wiele czasu, kiedy ponownie zostali rozrzucający po polu, a tarcze niektórych z nich zostały ze straszliwą siłą porwane na kawałki.

Na kolejną komendę: orbem formate, podnoszący się z ziemi żołnierze skupili się i utworzyli obronne koło, osłonięte tarczami i najeżone włóczniami. Wtedy jeden z broniących się wydobył jakiś dziwny przedmiot z za pasa, skierował go na żołnierzy i w tej samej chwili cały oddział został nakryty nieprawdopodobnie cienką siecią, która ich unieruchomiła. Nieporadne próby uwolnienia się z pułapki spełzły na niczym, nici sieci lepiły się do zbroi, ciał, broni oraz ziemi, ograniczając wszelkie szybkie ruchy. Centurion widząc, co się dzieje, podbiegł z dobytym mieczem i próbował rozciąć sieć, ale nie udało mu się to, a ponadto nici przylepiły się do broni i nie mógł jej od nich uwolnić.

Za chwilę dowódca, uchwycony silną ręką robota, został z dziecinną łatwością rzucony na ziemię. Przed centurionem stanął teraz jego wcześniejszy więzień i przemówił do niego.

- Aemiliusie Porciuszu, czy poznajesz mnie?

Ten potaknął głową.

- Ograbiłeś i sprzedałeś w niewolę wolnego człowieka - pokazał palcem na siebie. - Teraz nadszedł czas kary. Zwrócisz zagrabione mi pieniądze, później zostaniesz na oczach żołnierzy wychłostany.

Przestraszony Aemilius nie oponował, patrzył tylko ze zdziwieniem na pytającego.

- Nie mam już tych pieniędzy - odrzekł po chwili.

- Skoro tak, to może powinienem zaprzedać cię w niewolę, tak, abyś na własnej skórze

poznał jej smak.

Porcius nie odpowiedział, spoglądał tylko osłupiałym wzrokiem na pytającego.

- No dobrze, nie będę taki bezwzględny, ale w takim razie zadowolę się bronią i kirysami twoich żołnierzy.

Towarzysz pytającego podszedł do zmagających się z siecią ludzi i podniósł rękę, pokazując im w niej coś, po chwili Rzymianie znieruchomieli. W tym momencie wydobył zza pasa jakiś inny mały, okrągły przedmiot i skierował go na grupę powiązanych mężczyzn. Krótki błysk i nagle sieć zniknęła, tak jakby jej nigdy nie było. Żołnierze byli wolni, lecz nadal stali nieruchomo w kole, dopiero po chwili zaczęli składać broń na stos i zdejmować kirysy.

Centurion został wychłostany przez kilku swoich żołnierzy i Donat, syty zemsty, polecił robotowi wybrać co lepsze miecze i włócznie oraz zbroje i zanieść je do lasu, skąd miały być wrzucone do ładowni transportera. Po chwili sam opuścił plac musztry.

Wiszący w górze transporter został sprowadzony przez kierującego nim robota na leśną polanę. Po załadowaniu do niego zdobyczy i zajęciu miejsc przez Donata i towarzyszącego mu androida, uniósł się w powietrze. Pierwszą sprawę Donat miał już za sobą, teraz należało odszukać siedzibę właściciela folwarku, w którym Donat był więziony.

Tullius Verrucosus obudził się późno, po rannej kąpieli kazał sobie podać śniadanie, na które składał się chleb i ser. Ciepłe mleko z rannego udoju podane było w glinianym dzbanie, obok stała mała amfora, napełniona aromatycznym winem. Na stole pojawiły się także płatki jęczmienne, pszeniczne placki oraz owoce. Leżącego na łożu Tulliusa obsługiwało dwóch młodych niewolników - podawali mu potrawy i wino, trzeci sprzątał rzucone na podłogę resztki jedzenia.

W pewnej chwili do atrium, czyli centralnej części domu, weszło zdecydowanym krokiem dwóch ludzi. Jeden z nich nosił na sobie strój rzymskiego żołnierza, drugi ubrany był w białą tunikę. Obaj wyglądali młodo, z ich ruchów biła pewność siebie. Po chwili zatrzymali się przy łożu Tulliusa Verrucosusa.



- Verrucosusie, czy pamiętasz mnie? - Z tym pytaniem zwrócił się do leżącego młodzieniec ubrany w tunikę.

- Kim jesteście i w jakiej sprawie tu przyszliście? - Tullius był wściekły, że do jego prywatnego pokoju bez zapowiedzenia wdarło się dwóch intruzów. Będzie musiał ukarać odpowiedzialnych za bezpieczeństwo domu strażników.

- Nie tak dawno w jednym ze swoich folwarków kazałeś mnie wychłostać i wypaliłeś mi piętno na policzku.

Zaskoczony tymi słowami Tullius wpatrzył się z niedowierzaniem w twarz mówiącego, po chwili przypomniał sobie tego człowieka.

- Jak śmiesz się tak do mnie odzywać, niewolniku - wysapał ze złością. Później zwrócił się z pytaniem do żołnierza: - Odnalazłeś zbiega i przyszedłeś po nagrodę, tak?

Żołnierz nie odpowiedział, młodzieniec roześmiał się i odrzekł:

- A jednak musisz ze mną rozmawiać, ten żołnierz słucha tylko moich rozkazów.

Tullius nic z tego nie rozumiał, cała sytuacja denerwowała go. Żeby ją zakończyć, klasnął w dłonie, aby przywołać służbę i zrobić porządek z nieproszonymi gośćmi. Na ten odgłos do atrium wbiegło trzech niewolników, jeden z nich uzbrojony był w krótką pałkę. Kiedy zobaczyli, co się dzieje, dwóch z nich pozostało, natomiast jeden wycofał się, biegnąc po pomoc. Po kilku chwilach do pomieszczenia wpadli liczni uzbrojeni strażnicy.

Donat powitał wchodzących promiennym uśmiechem i podniósł rękę. Wchodzący zatrzymali się, zaskoczeni, wpatrując się w nią. Za chwilę z małego przedmiotu trzymanego w dłoni wyprysnął oślepiający błysk i wszyscy niewolnicy i strażnicy, do których dotarło światło, w nagłej panice wybiegli z pomieszczenia, rzucając niesione przedmioty, tłocząc się, przepychając i tratując w drzwiach.

- Tulliusie - młodzieniec zwrócił się ponownie do ekwity - nikt ci w tym domu nie

pomoże, jesteś całkowicie zdany na moją łaskę. Przybyłem tutaj, aby cię za twoje niecne uczynki ukarać.

Tullius poderwał się gwałtownie z łoża, ale w tej samej chwili drugi z przybyszy, ubrany w strój rzymskiego żołnierza, ujął go za rękę i silnym rzutem zwałił na łożo. Stojący obok dwaj niewolnicy, którzy obsługiwali dotąd swojego pana, rzucili mu się na ratunek, wiedzieli bowiem dobrze, że za nieudzielenie pomocy swemu właścicielowi, zgodnie z rzymskim prawem, mogą zostać ukarani. Kara w tym wypadku byłaby zbiorowa i ucierpieliby wszyscy niewolnicy przebywający w tej rezydencji. Jednak w tej samej chwili drugi z przybyszy podsunął im przed oczy mały żeton. Stanęli, wpatrując się w niego, mały krążek pulsował i emanował jakimś dziwnym światłem. Siedzący na łożu Tullius patrzył na to wszystko osłupiałym wzrokiem.

- Tulliusie - odezwał się do niego mężczyzna w tunice - zostaniesz teraz wychłostany, a na twoim policzku wypalę ci znak niewolnika.

Za chwilę niewolnicy zdarli z ekwity szatę, android wręczył jednemu z nich różgę, drugi z niewolników unieruchomił na łożu karanego, teraz Donat skinieniem ręki kazał rozpocząć chłostę. Po wykonaniu wyroku Donat wydobył zza pasa małą pałeczkę i przyłożył jej koniec do policzka ekwity, wypalając jej końcem piętno na jego twarzy. Po wykonaniu tej czynności zwrócił się do leżącego:

- Tulliusie, jako niewolnik pracowałem w twoim folwarku przez szereg miesięcy. Z tego powodu należy mi się zapłata. Nie potrzebuję złota, zadowolę się zawartością twojej spiżarni. Żegnaj - już nigdy się nie spotkamy, chyba byś tego nie chciał?

Po tych słowach obaj mężczyźni wyszli z atrium. Upokorzony Verrucosus leżał przez jakiś czas nieruchomo, później zwrócił oczy na obu niewolników. Nadal stali, patrząc w dal nieprzytomnymi oczyma, dopiero kiedy ich zawołał, zwrócili głowy w jego kierunku. Ich odpowiedzi były nieskładne i niezrozumiałe, wyglądało na to, że przez jakiś moment nie wiedzieli, co się z nimi działo i niczego nie pamiętali. Tullius kazał im sprawdzić, czy nieznajomi opuścili jego willę, i wezwać straż. Po kilkunastu minutach pojawili się inni niewolnicy i domownicy, wpatrując się w niego rozszerzonymi oczami. Tullius przebrał się w świeżą tunikę i podszedł do lustra, na policzku dostrzegł niewolnicze znamię.

Rozwścieczony, wezwał swoich strażników i nakazał im przeprowadzenie śledztwa i pościg za napastnikami. Poleciał także zawiadomić garnizon rzymski w najbliższym mieście. W jego rezydencji nie zginęło nic wartościowego, jedynie spiżarnia została ogołocona ze złożonej w niej żywności. Brakowało także najlepszych win z piwnicy. Widok ten doprowadził do pasji Tulliusa Verrucosusa; nie dość, że został publicznie upokorzony i ośmieszony na oczach domowników i służby, przez co jego reputacja legła w gruzach, to został jeszcze okradziony. Dlatego pragnął zemsty i czynił starania, aby ludzie, którzy to uczynili, zostali schwytani. Niestety, mimo wielu wysiłków nie udało się szukającym dopaść poszukiwanych, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Rzymianina.

Kiedy Tullius Verrucosus rozglądał się po swojej rezydencji, kierowany przez androida transporter leciał niewidzialny nad dawną trasą ucieczki Donata z folwarku. Dopiero z wysokości można było rozpoznać teren, zobaczyć rozległość uprawnych pól i pracujących na nich niewolników, a także obliczyć odległość dzielącą go od miejsca uwięzienia do miejsca ukrycia łodzi magnetycznej. Przy okazji Donat przeleciał jeszcze raz nad placem musztry żołnierzy rzymskich, jednak nie było już na nim żadnego wojska, centuria powróciła do koszar. Zadowolony ze swojej misji, skierował transporter w stronę Zielonego Psa, spoczywającego na dnie morza.

Po dostaniu się do środka statku i rozładowaniu transportera powędrował do swojego domu na pokładzie mieszkalnym. Miał już dość wrażeń, postanowił zatem odpocząć trochę od ludzi i w tym celu musiał znaleźć jakieś odpowiednie ku temu miejsce. Przyszła mu do głowy myśl odwiedzenia Wyspy Wielkanocnej, leżącej na Oceanie Spokojnym; zafascynowany tym pomysłem, polecił komputerowi odnaleźć odpowiednie informacje o tym skrawku lądu.

Okazało się, że Wyspa Wielkanocna powstała niedawno w skali geologicznej, bo tylko jakieś pół miliona lat temu i w obecnych czasach, do których dotarł Donat, powinna być całkowicie bezludna. Wyspa ta wchodzi w skład Grzbietu Wschodniopacyficznego, zajmującego obszar o szerokości czterech tysięcy kilometrów szerokości i piętnastu tysięcy długości. Dwanaście tysięcy lat temu od kontynentu Ameryki Południowej ciągnął się w jej stronę pas gujotów. Donat zdecydował się na jej odwiedzenie i w nocy poderwał Zielonego Psa do lotu.

Statek pilotowany przez Donata wynurzył się z fal Morza Śródziemnego, wzbił w powietrze na wysokość stu kilometrów ponad Ziemię i skierował do wskazanego punktu. Jego kamuflaż nie był już potrzebny. Lot z szybkością kosmiczną nie trwał długo i wkrótce chronolot znalazł się nad Wyspą Wielkanocną oddaloną o trzy tysiące pięćset dziewięćdziesiąt dziewięć kilometrów od wybrzeży Ameryki Południowej. W tym zapomnianym przez Stwórcę zakątku świata, położonym na dwudziestym siódmym stopniu szerokości geograficznej południowej i sto dziewiątym stopniu długości geograficznej zachodniej, kończyła się właśnie noc.

Kosmolot obniżał powoli lot, po kilkunastu minutach znalazł się na wysokości pięciu kilometrów nad wyspą. Mimo panującego jeszcze mroku urządzenia elektroniczne statku wyświetlały na siłowej osłonie kabiny pilota widzialny obraz terenu - technika przyszłości pozwalała bez problemu zamienić noc w dzień.

Donat, siedzący w przezroczystej kuli za konsolą sterującą, wpatrywał się w wyłaniającą się pod nim wyspę, przypominającą kształtem trójkąt. Rzucił pytanie komputerowi i już po chwili wiedział, że miała powierzchnię nieco większą niż sto siedemdziesiąt jeden kilometrów kwadratowych. Rzucaly się w oczy cztery stożki wulkaniczne, w tym trzy na każdym wierzchołku trójkąta - masywne i łagodnie zaokrąglone, szczyt najwyższego z nich przekraczał pięćset metrów ponad poziom morza. Południowa i wschodnia część wyspy pochylała się ku wybrzeżu oceanu, a cała wyspa, łącznie ze stożkami wulkanów, pokryta była lasem lub krzewami, tworzącymi zielony dywan; na kamienistych plażach tłoczyły się chyba tysiące ptaków.

Donat wybrał odpowiednie do lądowania miejsce pod stożkiem najwyższego z wulkanów, wolne od wyższych drzew, i wskazał je komputerowi sterującemu lotem; ten przeprowadził szybko analizę terenu i obliczył parametry lotu, po czym wyraził zgodę na lądowanie.

Opuszczający się powoli na ziemię statek sprawiał z daleka niezwykle wrażenie. Nie poruszał się tak, jak znane w dwudziestym pierwszym wieku maszyny latające, wydawać by się mogło, że jego lot przeczy wszelkim regułom grawitacji, a jednak wkrótce opuścił się powoli, bez żadnych przeszkód, nisko nad lądowisko. Na odpowiedniej wysokości wysunęły się z kadłuba statku cienkie wysięgniki, które na końcu rozszerzyły się w płaskie i okrągłe

podstawy. Grunt nie był równy, toteż gdy statek osiadł w idealnej równowadze na ziemi, utrzymujące go sześć metrów nad powierzchnią gruntu wsporniki miały różną długość. Po wylądowaniu i zakończeniu wymaganych procedur wszystko wróciło do normy, ściany pomieszczenia stały się znowu nieprzezroczyste, a konsola sterująca skryła się w podłodze - Donat mógł teraz spokojnie opuścić kabinę pilotów. Na tej ziemi nie było śladu człowieka, o czym mu wcześniej zakomunikował komputer, prowadzący z powietrza badanie wyspy. Uspokojony tą wiadomością Donat postanowił wyruszyć na jej penetrację na skuterze magnetycznym. Do świtu brakowało jednak kilkunastu minut, toteż do tego czasu postanowił przekąsić coś niecoś w swoim domu i przygotować prowiant na drogę, ponieważ nie planował szybkiego powrotu na statek.

Ze względu na wysokie drzewa skuter magnetyczny był bardzo wygodnym środkiem lokomocji - dostatecznie szeroki, z bagażnikami mieszczącym się pod siodełkiem i umocowanymi z obu jego boków, pozwalał bez problemu wślizgnąć się w największy leśny gąszcz. Rozwijał szybkość do trzystu kilometrów na godzinę, można nim było zarówno jeździć po ziemi, jak i ślizgać się w powietrzu, a wtedy wzbijał się na wysokość do stu pięćdziesięciu metrów ponad powierzchnię gruntu lub wody. Kiedy nabierał szybkości, z jego przedniej części wysuwała się przezroczysta osłona, chroniąca prowadzącego przed pędem powietrza.

Kiedy Donat wyprowadził maszynę z luku na dachu Zielonego Psa, właśnie pierwsze promienie słońca rozjaśniły ciemności nocy i uaktywniły rozbudzone ptactwo. Głośnym echem niosły się dalsze i bliższe ptasie trele, skrzeczenia i piski. Donat wzniosł się na skuterze czterdzieści metrów nad statek i z tego poziomu rozejrzał się ciekawie dookoła. Przed nim roztaczał się niezmiernie piękny widok wyspy, teren obniżał się w kierunku południowo-wschodnim, a razem z nim leśny kobierzec, który stanowiły dorodne i wysokie palmy; wśród nich ukrywały się inne niższe rośliny i krzewy. Donat zwrócił teraz wzrok na statek. Chronolot z wysokości kilkudziesięciu metrów wyglądał jak statek kosmiczny nieznannej cywilizacji pozaziemskiej. Długi na sto osiemdziesiąt metrów, wysoki na trzydzieści i szeroki z przodu na sześćdziesiąt, a z tyłu na osiemdziesiąt metrów, wyglądał jak okręt wyrzucony na brzeg lub długi budynek o opływowych kształtach. Za moment komputer pokładowy włączył kamuflaż kameleona i obraz statku zmienił się nie do poznania, po prostu jego obudowa zlała się z otoczeniem, wtapiając się w elementy naturalnego krajobrazu.

Donat skierował skuter w dół nad wyspę, chcąc dotrzeć do brzegu oceanu na jej odległym krańcu i wylądować na plaży. Obniżył lot i leciał teraz nad wierzchołkami przedziwnych, gigantycznych palm, sięgających dwudziestu pięciu metrów wysokości. Skierował ryjek aparatu na jedną z nich i po chwili otrzymał świetlny zapis - *Paschalococos disperta*, nazywana wcześniej *Jubea disperta*, palma archaiczna z rodziny arekowatych, porastająca wyspy Polinezji, występująca także na Wyspie Wielkanocnej. I dalsze szersze opisy tego okazu flory. Donat nie czytał wszystkiego, musiał zająć się pilotażem. Ominął pierzaste korony tych palm, porośnięte dużymi liśćmi, z widocznymi pęczkami niezbyt dużych orzechów, i opuścił się niżej, do podstawy giganta. Gdy znalazł się już nad ziemią, ujrzał wielką liczbę cienkich, prostych korzeni, odchodzących bezpośrednio od pnia, co było cechą charakterystyczną tych drzew. Zadowolony z rozpoznania, poderwał skuter do góry ponad korony drzew i kontynuował lot. Za moment znalazł się nad niewielkim źródłem wody, skrytym wśród obrastających go niewysokich, ale za to przepięknych, zielonych paproci. Wokół niego zgromadziło się mnóstwo różnorodnego ptactwa, które biło się o dostęp do słodkiej wody, ich głośnie wrzaski roznosiły się wokoło. Donat skierował ryjek swojego przenośnego penetratora na to ptasie kłębowisko i po chwili odczytał wskazania aparatu. Okazało się, że w tym miejscu zgromadziły się derkacze, papugi, gołębie, czaple, faetony czerwonosterne oraz inne ptaki latające i nietoty.

Bogactwo żyjącego tu ptactwa zdumiewało, ale nie było się co dziwić, przecież przed przybyciem człowieka wyspę tę zamieszkiwało o wiele więcej ptaków, w tym od siedmiu do dziesięciu gatunków endemicznych nietotów.

Donat ominął to hałaśliwe miejsce, wzniósł się wyżej, aby ogarnąć wzrokiem większą przestrzeń, i szukał jakiejś małej polany, na której mógłby wylądować. Po jakimś czasie dojrzał taką i skierował w tym kierunku skuter. Po czterech minutach znalazł się już na środku polany. Zsiadł teraz z maszyny i ruszył w pralas. Skuter posłusznie sunął za nim, unosząc się dwa metry nad ziemią, miał możliwość wybierania łatwiejszej drogi niż ta, którą kroczył Donat.

Pralas był zachwycający, w odległą dal ciągnęły się kolumny olbrzymich palm i zatracaly się gdzieś w przestrzeni, niżej rosły archaiczne gatunki roślin, charakterystyczne dla tej wyspy. Palmy miały bardzo grube pnie. Kiedy zmierzył średnicę jednej z nich, z gatunku *Jubea disperta*, z zaskoczeniem stwierdził, że wynosi ona aż sto osiemdziesiąt centymetrów.

Od razu wspomniał kredowe lasy, które przemierzał w poprzedniej wyprawie czasowej. Naukowcy badający w dwudziestym wieku tę wyspę doliczyli się czterdziestu ośmiu miejscowych gatunków. Okazało się przy tym, że połowa z nich trafiła tutaj dzięki ptactwu, które przeniosło w upierzeniu i swoich żołądkach nasiona tych roślin, jedna trzecia gatunków została przyniesiona na wyspę przez wiatr, jedna szóstą przez fale oceanu. Były tutaj też rośliny rodzime, do których zaliczało się drzewo bardzo podobne do krzewu, nazwane Sophora toromiro.

Donat zachwycony tym pralasem, wędrował w dół stoku, aż w pewnym miejscu drogę zagroziła mu mała rzeka, tocząca swe wody gdzieś w dal. Zadowolony z tego spotkania, postanowił się wykąpać, wiedząc, że teren jest bezpieczny. Ubrany był w krótkie szorty oraz luźną koszulę, głowę zabezpieczał kapelusz z szerokim rondem. Po chwili zrzucił ubranie i goły wszedł do wody. Stopy ogarnął przyjemny chłód. Szukał głębszego miejsca i po chwili znalazł takowe - było to dość spore wgłębienie w ziemi, które całkowicie wypełniły wody rzeki. Za moment zanurzył się w wodzie po szyję.

Odświeżony, spędził w tym miejscu prawie godzinę, wylegając się na trawie ocienionej liśćmi drzew, obok niego stał jego środek lokomocji. Wpatrując się w wody rzeki, ze zdziwieniem odkrył, że żyją w niej ryby, nie zamierzał jednak zająć się ich łowieniem. Nagły szelest zwrócił jego uwagę. Przez niskie paprocie przedzierało się w jego kierunku przedziwne ptaszysko. Po chwili Donat zorientował się, że był to dość duży nietop, chyba większy od łabędzia. Bardzo kolorowy gość okazał się też bardzo ciekawski, zupełnie nie bał się intruza, natomiast zainteresowało go jego ubranie i wyposażenie, a zwłaszcza skuter. Był tak natrętny, że zmusił w końcu Donata do założenia butów i ucieczki z tego miejsca, ale nawet wtedy ptaszysko nie darowało mu i podążało jego tropem. Dopiero szybki bieg w las uwolnił go od jego towarzystwa.

Rozbawiony tym spotkaniem Donat zagłębiał się w leśny gąszcz, zupełnie nie przejmując się utrzymaniem kierunku - przecież w każdej chwili mógł wsiąść na skuter, który za nim podążał, i powrócić do bazy.

W dalszej drodze oddał się obserwacji flory i fauny tej niezwyklej wyspy. Las był bogaty, można było w nim znaleźć jakieś owoce, na gałęziach niższych drzew i krzewów uwijały się papugi oraz inne leśne ptactwo. Z informacji komputerowej bazy danych statku

wynikało, że przed pojawieniem się na wyspie człowieka zamieszkiwało ją dwadzieścia pięć gatunków ptaków, pochodzących ze stref: tropikalnej, umiarkowanej i subpolarnej, w tym sześć gatunków ptaków lądowych. W początkach dwudziestego pierwszego wieku na Wyspie Wielkanocnej, zwanej przez Polinezyjczyków Rapa Nui, naukowcy doliczyli się już tylko jedenastu gatunków, pozostałe zostały wytrzebione. Wśród traw, na pniach drzew i na liściach krzewów panoszyły się owady. Występowały tu także małe ślimaki - Hotumatna anakenona, stanowiły pokarm dla niektórych ptaków.

Przez pralasy Donat wędrował przez dwie godziny, kierując się ciągle w dół, aż dotarł do niego szum fal - zbliżał się do brzegów wyspy. Już w dole dostrzegł kilka żółwi, które skryły się wśród krzewów, a także ptasie gniazda. Lawirował pomiędzy ptakami, próbującymi uszczypnąć go dziobami, gdy zbliżał się zbyt blisko do ich gniazd. Kiedy wyszedł na skraj lasu, ujrzał rozległy pas kamienistej plaży, porośniętej kępami traw, na której ciągnęło się niekończące się pole lęgowe ptaków. Na wolnej od drzew przestrzeni ogarnął go słony powiew wiatru wiejącego od oceanu i niosącego rozpylone krople wody. Chciał dotrzeć bliżej wody, jednak drogę zagradzały mu ptaki - jedne z nich siedziały w gniazdach, inne unosiły się w powietrzu, pozostałe oddawały się polowaniu na ryby. Skierował ryjek penetratora na nie i już po chwili wiedział, że to ptasie kłębownisko tworzą albatrosy, burzyki, mewy arktyczne i głuptaki. Nie brakowało także rybitw czarnogrzbitych, popielatych i szarosternych, uwijały się petrele, faetony i fregaty. To był istny ptasi raj - mieszkało tu chyba kilka milionów ptaków.

Donat znalazł się na wyspie w listopadzie, i akurat w tym wiosennym miesiącu wiały nad wyspą ciepłe wiatry z północy i północnego zachodu.

Marsz wzdłuż plaży nie był możliwy z powodu niezliczonego mrowia ptaków, powrócił zatem do lasu, później wsiadł na magnetyczny skuter i poszybował nim ponad drzewami. Przy okazji odkrył jeszcze jedną rzekę i przepiękne skupisko potężnych palm. Wylądował tam i rozłożył się obozem. W tym miejscu nie było ptaków, mógł zatem spokojnie zjeść śniadanie i rozejrzeć się po okolicy.

Po południu postanowił powrócić na statek. Sprawdził na elektronicznym lokatorze miejsce jego pobytu, a później wyznaczył sobie na elektronicznej mapie wyspy marszrutę. Wędrując pieszo przez rozległe lasy, miał okazję zapoznania się z nią, przy okazji odkrył



jeszcze jedno źródło wody oraz zobaczył wiele ptasich nietotów. Jego nogi, obute w wygodne i w miarę wysokie buty, poruszały się lekko wśród traw i wystających z nich kamieni. Kiedy pod wieczór dotarł do Zielonego Psa, usłyszał pohukiwanie sów.

Na Wyspie Wielkanocnej Donat spędził cały miesiąc, który upłynął mu na nieustających wędrówkach. Na wyprawy wybierał się pieszo z plecakiem oraz z plazmowym mieczem przy pasie. W przypadku jakiegoś nieprzewidzianego zdarzenia zawsze mógł wezwać pomoc ze statku. Przy okazji spenetrował trzy kraterowe jeziora, znajdujące się na trzech wierzchołkach trójkąta, jakie stanowiła wyspa. Późniejsi mieszkańcy, z których pierwsi na wyspie pojawili się już około czterechsetnego roku naszej ery, nazwali je Rano Kau, Rano Raraku, Rano Aroi. Największe jezioro leżące w kraterze wulkanu, Rano Raraku, było szerokie na dwieście metrów, po jego powierzchni pływało mnóstwo wodnego ptactwa.

Dopiero po tym „urlopie” Donat, syty wrażeń, postanowił wyruszyć w podróż dookoła tego antycznego świata, chcąc zobaczyć istniejące już lub dopiero powstające cywilizacje Azji, Afryki i obu Ameryk. W tym czasie nie istniała jeszcze co prawda cywilizacja Majów, której początki datuje się na rok trzechsetny naszej ery, a upadek na rok tysiąc pięćset czterdziesty drugi. Nie istniały też jeszcze kultury Zapoteków, Misteków, Azteków w Mezoameryce, czy też Inków w Andach. Zapewne pozostały jakieś ślady po Olmekach, chociażby wielkie kamienne głowy, bo przecież ich cywilizacja skończyła się w roku czterechsetnym przed naszą erą. Jednak na pewno na terenach rozciągających się wzdłuż Missisipi istniały już pierwsze społeczności, począwszy bowiem od setnego roku przed naszą erą w południowo-wschodniej części lądu Ameryki Północnej zaczęły powstawać kultury wznoszące kopce grobowe zwane tumulusami. Gdzieś tak na przełomie ósmego i dziewiątego wieku zaczęły się krystalizować na tych terenach kultury tak zwanych Budowniczych Kopców Świątynnych, które upadły około tysiąc czterechsetnego roku naszej ery.

Donat chciał się też zanurzyć w puszcze Amazonii, a później sprawdzić, jakie to państwa istniały w tym czasie na Półwyspie Dekkańskim i Indochińskim. Przecież w tej epoce rozległe tereny w Azji Środkowej, Afganistanie i Indiach zajmowało królestwo Greków Baktryjskich, zwane Greko-Baktrią, które od połowy drugiego wieku przed naszą erą chyliło się już ku upadkowi. Istniała już Armenia, Media, Królestwo Partów, północne tereny Azji zamieszkiwały plemiona koczownicze. Na pewno rozwijały się Chiny, a przecież to tam budowano chiński mur, a wcześniej powstała największa w świecie piramida, zwana „Białą

Piramidą”.

W tym okresie Donat pozostał prawie rok, penetrując zakątki ówczesnej Ziemi w poszukiwaniu nowych wrażeń. Wszystkie swoje wyprawy dokumentował filmami oraz zbiorami. Kiedy chciał odpocząć, powracał na Wyspę Wielkanocną. Nie zawsze mógł się zapuszczać do miast, śledził jednak życie ich mieszkańców z łodzi magnetycznej lub transportera grawitacyjnego. Wieczory spędzał w Zielonym Psie, najczęściej na salach treningowych, nadal rozwijając swoje umiejętności w sztukach walki. Podczas kolejnych eskapad polował na bizona na preriach Ameryki Północnej oraz na tury w lasach Europy. Zajrzał także nad prastarą Wisłę, płynącą przez ziemie zamieszkane wówczas przez plemiona germańskie. Wreszcie uznał, że ma już dość tej epoki i zapragnął odmiany. Postanowił zdobyć się na jeszcze jeden śmiały wyczyn, którego dokonanie umożliwiła mu technika przyszłości - zaplanował lot na Marsa.

Do tego lotu przygotował się starannie, przeprowadził inspekcję czasolotu oraz uzupełnił informacje o Czerwonej Planecie, wreszcie wyznaczył termin podróży kosmicznej.

Start Zielonego Psa w kosmos nastąpił z powierzchni Oceanu Indyjskiego o godzinie ósmej rano czasu pokładowego. Po niewielu minutach kosmolot przedostał się na orbitę Ziemi, wykonał dwa okrążenia wokół niej, a następnie skierował się w kierunku odległego o miliony kilometrów Marsa. Nie była to odległość najbliższa tej planety od Ziemi. Mars zbliżał się bowiem w swoim biegu do niej na najbliższe odległości mieszczące się w przedziale od pięćdziesięciu czterech do stu trzech milionów kilometrów tylko wtedy, gdy był w opozycji, to znaczy Ziemia znajdowała się dokładnie pomiędzy nim a Słońcem. Automaty sterujące i koordynujące lot kosmolotu wyliczyły trajektorię lotu Zielonego Psa. Okazało się, że Czerwona Planeta znajduje się w swoim biegu dookoła Słońca o wiele dalej i kosmolot będzie musiał wyjść jej na spotkanie.

Statek kosmiczny, odbywając dalsze loty międzygalaktyczne, mógł podróżować z prędkością światła. Mógł też ją przekraczać, jednak szybkości te były zarezerwowane do lotów na duże odległości, kiedy prędkość światła nie była wystarczająca do osiągnięcia celu. O tym, że możliwe jest przekroczenie bariery prędkości światła, przekonano się już w początkach dwudziestego pierwszego wieku, kiedy to prowadzone doświadczenia wykazały, że niepozorne neutrino poruszają się szybciej. Jednak w tym wypadku lot na Marsa nie

wymagał aż takiego rozpędzenia statku, toteż podróż kosmolotu potrwa zapewne kilka lub kilkanaście godzin.

Donat poprosił komputer pokładowy o podanie szczegółów podróży i już po chwili JANO poinformował go, że kosmolot rozpędzi się do prędkości jednej dziesiątej prędkości światła, a sam lot potrwa około czterech godzin. Maszyna cyfrowa korzystała z zasobów bazy danych wehikułu, bo przecież w przyszłości takie loty na planety Układu Słonecznego odbywały się stale i korzystano z od dawna przetartych kosmicznych szlaków.

Donat, siedzący wygodnie w fotelu w sterowni, wydał zgodę na start i teraz, ulokowany w przezroczystej kuli, napawał się widokiem kosmosu. Zawieszony w międzyplanetarnej pustce, obserwował oddalającą się Ziemię, która wkrótce zamieniła się w punkt na rozgwieżdżonym niebie i gdyby nie wskazania komputera, zniknęłaby mu całkowicie z oczu. Wkrótce automatyczny pilot zameldował Donatowi osiągnięcie prędkości docelowej, wzrost ciężenia spowodowany przyspieszeniem nie był jednak odczuwalny na statku kosmicznym, ponieważ przeciwdziałała mu antygravitacja, wytwarzana przez urządzenia pokładowe. Statek był dodatkowo chroniony przez pole magnetyczne, zawieszony był w nim jak kropla rtęci w próbówce, która pokonywała przestrzeń.

Kosmolot mknął z potworną szybkością w stronę Czerwonej Planety, uczucie zawieszenia w próżni stało się wkrótce dla Donata stanem nie do zniesienia. W tej sytuacji wydał polecenie zaprzestania polaryzacji i pozostawienia w sterowni tylko przednich i bocznych szyb. Po chwili kabina wróciła do normalności i stan psychiczny Donata poprawił się z tą chwilą znacznie, zniknęło uczucie koszmarnej pustki.

Komputer sterujący lotem Zielonego Psa informował pilota o napotkanych podczas przemieszczania się rakiety pasach radiacyjnych, skupiskach gazu międzyplanetarnego wyrzucanego przez Słońce pod postacią wiatru słonecznego, a także o wykrytym pyłe meteorytowym i kosmicznym gruzie. Rejestrowane były także zmiany w polu magnetycznym i grawitacyjnym, występującym w przestrzeni kosmicznej.

Donat przesiedział w skupieniu kilka godzin w sterowni statku. Przed upływem czterech godzin w pomieszczeniu rozbrzmiał głos automatycznego pilota, informującego o zmniejszeniu prędkości kosmolotu do szybkości stu kilometrów na sekundę. Po chwili na

polu siłowym szyby wyświetlił się obraz planety, do której zmierzał statek. Odległy punkt w przestrzeni powiększał się stale, aż wreszcie przybrał rozmiary dużego jabłka. Automatyczny pilot znowu zmniejszył prędkość i po kilkunastu minutach kosmolot wszedł na orbitę Marsa w jego pasie równikowym.

Zielony Pies krążył przez około trzy godziny po orbicie okołomarsjańskiej z szybkością sześćdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę i po każdym okrążeniu zmieniał trajektorię lotu, co pozwalało na lepsze rozpoznanie skalistego krajobrazu planety. Powierzchnia Marsa, zryta kraterami, znacznie mniejsza od powierzchni łądów na Ziemi, miała barwę karmelową, ale odznaczały się na niej żółte, pomarańczowe i czerwone plamy, ich jasność ulegała zmianom. Donat, przyglądając się z kosmosu planecie, przypomniał sobie czytane w dzieciństwie książki Františka Běhounka<sup>2</sup>, w których autor opisał marsjański kataklizm, prowadzący do zmiany zabarwienia globu. Po chwili na ekranie siłowym wyświetliły się informacje dotyczące tej planety, komentowane jednocześnie przez maszynę. Z danych wynikało, że jej atmosfera jest rzadka, a zawartość tlenu w powietrzu minimalna, za to najwięcej jest w nim dwutlenku węgla - aż dziewięćdziesiąt pięć procent, resztę stanowił azot, argon, a także tlenek węgla, para wodna, neon, krypton, ksenon, a także metan. Średnica Marsa wynosiła tylko pięćdziesiąt trzy procent średnicy Ziemi, wokół niego krążyły dwa księżyce: Phobos i Deimos. Za moment na bocznym ekranie siłowym wyświetlił się obraz termiczny i magnetyczny planety.

Donat wydał komputerowi sterującemu polecenie lądowania w równinnej strefie równikowej Marsa, wolnej w tym czasie od burz i oświetlonej światłem słonecznym. Maszyna przyjęła polecenie i wskazała trajektorię lotu do akceptacji, po chwili statek zszedł z orbity, zanurzył się w atmosferę planety i schodził do lądowania. Po kilkunastu minutach znalazł się tuż nad powierzchnią marsjańskiego globu. Teraz wysunęły się wsporniki, statek kosmiczny osiadł na nich i zakończył manewr lądowania. Po chwili automat zameldował o tym fakcie i przeprowadzał procedury dotyczące bezpieczeństwa statku, ich zakończenie zameldował pilotowi.

Donat nie wychodził od razu na zewnątrz, przed eskapadą chciał coś zjeść i odpocząć, niezwykle lot znużył go bardzo. Pozostawił zatem kwestię bezpieczeństwa automatom kosmolotu, a sam udał się na pokład mieszkalny.

Marsjańska doba jest tylko trochę dłuższa od ziemskiej i liczy sobie dwadzieścia cztery godziny i trzydzieści siedem minut, toteż kiedy Donat wydostał się z luku Zielonego Psa, było jeszcze całkiem widno, aby można było podjąć próbę penetracji planety. Donat poruszał się transporterem planetarnym przystosowanym do przebywania na obcych planetach. Miał on długość dziesięciu metrów i szerokość trzech. Mógł ślizgać się ponad powierzchnią gruntu lub wznosić na wysokości orbitalne, w jego ścianach ukryte były trzyczłonowe zestawy kół, pozwalające poruszać się także po powierzchni.

Zielony Pies stał na czerwonej, kamienistej pustyni, osadzony na szesnastu wspornikach; ich zakończenia oparte o grunt zostały napompowane i mogły dostosować się plastycznie do podłoża. Ciężenie na planecie było trzykrotnie mniejsze od ziemskiego, temperatura przy powierzchni gruntu sięgała plus dwunastu stopni Celsjusza, czyli była w miarę znośna, na płowym niebie przesuwwały się gnane wiatrem szare obłoki, tak różne od ziemskich. W lekkim półmroku - bo przecież na Marsa docierało tylko czterdzieści trzy procent energii słonecznej Ziemi - kosmolot wyglądał niezmiernie.

Donat, ubrany w skafander przeznaczony do badań planetarnych, siedząc wygodnie w fotelu, skierował maszynę w odległą i monotonną dal; automaty nie sygnalizowały mu żadnego niebezpieczeństwa. Po przebyciu stu kilometrów z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę transporter nadal znajdował się na czerwonej, kamienistej pustyni, której wygląd nie uległ żadnej istotnej zmianie. Donat zatrzymał pojazd, który osiadł na sześciu wspornikach na powierzchni gruntu, i przygotował się do jego opuszczenia. Po założeniu hełmu wszedł do śluzu. Po wypompowaniu z niej powietrza i sprawdzeniu szczelności skafandra otworzył właz i już po chwili znalazł się na zewnątrz. Od razu odczuł zmniejszoną grawitację, ale nie miał takich trudności z poruszaniem się, jak podczas pobytu na Księżycu. Tutaj ciężenie było większe, a ponadto skafander stabilizował w jakiś przedziwny sposób jego nieudolne ruchy.

Sam skafander był arcydziełem techniki - lekki, wytrzymały, zmieniający barwy, posiadający resorowane podeszwy, będące jednocześnie małą elektrownią, zasilającą w razie potrzeby jego elektronikę. Zgrubienie w pasie zawierało urządzenie grawitacyjne, pozwalające na unoszenie się i przemieszczanie w atmosferze, natomiast siłowniki w ramionach na unoszenie dość znacznych ciężarów. Na plecach wmontowany był tornister - zminiaturyzowane cudo inżynierii precyzyjnej, w którym znajdowało się źródło prądu,

wytwarzane z miniaturowego reaktora jądrowego. Ponadto w tornistrze można było znaleźć urządzenia do skraplania tlenu i recyrkulacji wody oraz system podtrzymywania życia. Zawierał on także butlę z tlenem oraz aparat do odzyskiwania tego gazu z dwutlenku węgla, który mógł być również wykorzystany do pobierania go z otaczającej atmosfery i przystosowywania do oddychania dla kosmonauty. To ostatnie urządzenie miało wbudowany miniaturowy katalizator, który umożliwiał przeprowadzenie procesów biochemicznych, pozwalających na odzyskanie tlenu z innych związków chemicznych. Także hełm był bardzo pomocny dla kosmonauty. Zawierał zabezpieczenia przeciwślepieniowe, działające na bazie kryształu samopolaryzacyjnego, ponadto miał wbudowany komunikator, mały komputer, peryskop binokularny wysuwany na teleskopowej nóżce ze szczytu hełmu oraz kamerę. Jego urządzenia były sterowane z aparatu umieszczonego na ręce lub z zamkniętej tablicy, wbudowanej w skafander na piersiach.

Spacer po kamienistym podłożu dla nieprzygotowanego do tego człowieka nie był przyjemny. Donat potykał się stale i miał kłopot z utrzymaniem równowagi, toteż rozłuszczony swoją nieudolnością, uruchomił pas grawitacyjny i przemierzał teraz przestrzeń, unosząc się metr nad gruntem.

Kamienie, czerwony piach i niekończąca się dal stresowały Donata i wywoływały niesamowite uczucie pustki i osamotnienia. Nawet krajobraz pustynny świata przyszłości, do którego trafił Donat po pierwszej podróży w czasie, jeszcze przy pomocy chronoskafu, nie był taki przygnębiający. I pomyśleć, że jakieś trzy miliardy lat temu Mars był planetą ciepłą, po jego powierzchni rozlewały swe wody rzeki, morza, oceany, pokryty był roślinnością, a być może istniała tam i jakaś marsjańska fauna, tym bardziej że w atmosferze znajdowało się wtedy dużo tlenu.

Donat obleciał dookoła po dużym okręgu oczekujący na niego penetrator planetarny, przy okazji natknął się na rozległy krater meteorytowy i skierował się ku jego krawędziom. Rozległe wgłębienie o średnicy kilometra pełne było skalnych odłamków. Wleciał w jego głąb i wkrótce stanął na samym środku krateru. Dookoła niego piętrzył się kamienny wał, spoza niego nie było widać pojazdu.

Nagle odezwał się głos w słuchawkach: - Uwaga. Czujniki Zielonego Psa wysledziły burzę piaskową, zbliżającą się w jego kierunku. Dotrze ona do kosmolotu za trzy godziny,

zalecany jest zatem powrót załogi do bazy.

Donat potwierdził odebranie komunikatu, wziął do ręki kilka kamieni i umieścił je w torbie zawieszanej u pasa. Po chwili wzniósł się w powietrze i skierował do penetratora. Już na miejscu otworzył jego właz i znalazł się w śluzie, po zatrzaśnięciu włazu automat oczyścił skafander, usunął marsjańską atmosferę, następnie wpompował powietrze i ostatecznie otworzył właz do wnętrza pojazdu.

Donat zdjął hełm, zasiadł w fotelu i dał sygnał do powrotu. Penetrator wzniósł się na większą wysokość i już po półgodzinie znalazł się nad Zielonym Psem. Jeszcze w trakcie lotu Donat rozglądał się uważnie wokół - rzeczywiście, niebo na północy nabrało ciemniejszej barwy, zerwał się także wiatr, co można było poznać po wzbijanym w górę czerwonym pyłem. Wkrótce penetrator powrócił do śluzy, został oczyszczony i odkażony, a później przetransportowany tunelem na swoje miejsce w ładowni. Gdy tak się stało, wewnątrz maszyny rozległ się głośny sygnał, a automat oznajmił zakończenie misji. Donat opuścił pojazd i w chwilę później po odkażeniu i zdjęciu skafandra teleportował się do części mieszkalnej statku.

Burza zbliżała się szybko i aby zabezpieczyć kosmolot przed nią, komputer pokładowy opuścił Zielonego Psa tuż nad powierzchnię gruntu i okrył go polem ochronnym. Po chwili dotarła do niego burza piaskowa, a na zewnątrz zapanował mrok; prędkość wiatru osiągnęła sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Kosmolot stał jednak bezpieczny, ukryty za polem siłowym, z którego osuwały się niezliczone ziarenka piasku.

Donat spędził na Czerwonej Planecie dwa miesiące. W tym czasie spenetrował ją w miarę dokładnie, kierując się wskazaniem komputera, który przekazywał mu informacje z rozległej bazy danych statku. Mars obiegał Słońce w ciągu sześciuset osiemdziesięciu siedmiu dni i w tym czasie występowały na nim cztery pory roku podobne do ziemskich, tylko dwa razy dłuższe. Orbita planety nie była równa, jej odchylenia od Słońca dochodziły do około czterdziestu milionów kilometrów.

Wieczorami w bibliotecznej hali komputer wyświetlał Donatowi mapę Marsa zagospodarowanego przez cywilizację przyszłości. Po podziale planety pomiędzy poszczególne kraje kolonizujące słoneczny układ planetarny najwięcej osiedli pobudowano na

półkuli północnej, na terenach równinnych, zwanych Vastitas Borealis, obejmujących prawie czterdzieści procent powierzchni Marsa. Ludzkie osiedla powstały także w wielkim kanionie, zwanym Valles Marineris. Na najwyższej górze Marsa - Olympus Mons zbudowano lotniska i pasy startowe statków kosmicznych. W późniejszych tysiącletniach odtworzono na Czerwonej Planecie atmosferę i stworzono pola uprawne, wykorzystano na wielką skalę jej zasoby mineralne. Donat oglądał filmowe zdjęcia tych miast i mieszkających w nich ludzi, zdumiewały go niekończące się pola uprawne i zwierzęta hodowlane nowej generacji, stworzone za pomocą inżynierii genetycznej. Oglądał zabytki, filmy, zapoznawał się z dziełami marsjańskich twórców. Niestety, kres tej niezwyklej cywilizacji marsjańskiej położyła wielka wojna, która wybuchła na Ziemi i przeniosła się w kosmos. Glob marsjański, pokryty kraterami, powstałymi po wybuchach bomb wodorowych i innych, oraz nakierowywanych na niego meteoroidów z przestrzeni międzyplanetarnej, został doszczętnie zniszczony, a marsjańska ludzkość utraciła kontakt z rodzimą Ziemią i ostatecznie została unicestwiona.

Po wielu tygodniach Donat miał już dosyć pobytu na Marsie, pragnął powrócić na Ziemię, zobaczyć zieleń lasów, ujrzeć błękit nieba i wód, chciał poczuć we włosach świeży powiew wiatru. Korciła go jednak trochę myśl, aby przenieść się w czasie te trzy miliardy lat wstecz, aby zobaczyć Marsa „żywego”, z oceanami, rzekami, florą i fauną, ale po konsultacji z JANO zrezygnował z tego pomysłu. Taka wyprawa byłaby trudna dla wehikułu i zarazem niebezpieczna, ponieważ nie były rozpoznane wszystkie niebezpieczeństwa, jakie mogłyby się przytrafić Zielonemu Psu w tak odległej podróży czasowej.

Ostatecznie start kosmolotu nastąpił z bieguna północnego Marsa. Po paru minutach statek znalazł się na orbicie okołomarsjańskiej, a później, po obliczeniu przez komputer pokładowy trajektorii lotu, wyruszył w stronę Ziemi. Do rodzinnej planety Zielony Pies dotarł po kilku godzinach, po osiągnięciu i wejściu na orbitę okołozemską opuścił się nad Ocean Spokojny i osiadł na największej wyspie w archipelagu Galapagos, w tej samej epoce, z której wyruszył w kosmiczny rekonesans.

## **Powrót do czasów współczesnych**



Na Wyspach Żółwich, jak inaczej zwano rozległy archipelag wygasłych i czynnych wulkanów Galapagos, Donat pozostał przez kilka tygodni, odwiedzając jego kolejne wyspy i nurkując w okalających je wodach. Stąpając po nieskalanych do tej pory ludzką stopą ziemiach, Donat odczuwał niezwykłą satysfakcję. Jako pierwszy człowiek mógł z bliska przyglądać się olbrzymim żółwiom słoniowym, legwanom lądowym i morskim, obserwował gekony, jaszczurki lawowe oraz nietlone kormorany, śledził ptaki charakterystyczne dla tych zaczarowanych wysp. Najbardziej jednak zdziwił go żółw, który chowając głowę pod skorupą, składał ją w bok, inaczej niż znane mu do tej pory żółwie, natknął się także na endemicznego węża.

U wybrzeży Galapagos spotykają się ważne prądy: Południoworównikowy - ciepły i Peruwiański - zimny, dlatego można tu zobaczyć zarówno podbiegunowe mchy, lwy morskie i ptactwo z Antarktyki, jak i ciepłolubne ptaki zamieszkujące dżunglę, owady i skorpiony. Przypuszcza się, że wcześniej archipelag ten stanowił jeden zwarty obszar i zanim rozsypał się na szereg wysp, miał jakieś połączenie ze stałym lądem.

Gdy minął czas fascynacji tymi wyspami, Donat rozpoczął przygotowania do podróży czasowej - zamierzał przenieść się w czasy sobie współczesne. Do takiej krótkiej podróży czasowej nie był konieczny lot na Księżyc, można było tego dokonać z powierzchni Ziemi. Zresztą jego lot z Księżyca na Ziemię po dokonanych przeskoku mógłby zostać dostrzeżony przez astronomów śledzących przestrzeń okołoziemską. Po konsultacji z komputerem pokładowym Donat zgodził się z sugestią, że przeskok czasowy powinien być dokonany pod pokrywą lodową, okrywającą Ocean Lodowaty Północny.

Następnego dnia Zielony Pies wystartował i po kilkugodzinnym locie w stratosferze na wysokości czterdziestu kilometrów osiadł na lodach Oceanu Arktycznego w odległości czterdziestu pięciu kilometrów od bieguna północnego. W Arktyce trwała właśnie noc polarna, mrok nie stanowił jednak żadnej przeszkody dla automatów wehikułu czasu. Aby się zanurzyć w wodach oceanu, pole siłowe statku stopiło wierzchnią pokrywą lodową, przez co zanurzył się on w odmętach i zawisł w połowie odległości pomiędzy dnem oceanu a jego powierzchnią. Po chwili Donat otrzymał komunikat komputera pokładowego o ustawieniu chronolotu w miejscu zaplanowanego transferu czasowego.

Donat udał się teraz do centrum dowodzenia statkiem. Kiedy portal teleportacyjny zamknął się za nim, obszerne pomieszczenie rozbłysło przyjemnym dla oka światłem. Donat zasiadł przy konsoli sterującej podróżami czasowymi, po wciśnięciu odpowiednich klawiszy ściany hali rozbłysły ekranami. Donat wcisnął kolejne klawisze, a pokładowy komputer zameldował mu gotowość wehikułu do transferu czasowego. Na ekranie przedniej ściany wyświetliła się mapa Ziemi, a maszyna cyfrowa prosiła o podanie szczegółów przemieszczenia.

Czas transferu był krótki, tylko osiem minut, toteż Donat zdziwił się niepomernie, gdy po upływie wyznaczonego czasu komputer sterujący podróżami czasowymi zameldował mu jej dokonanie i wyświetlił szczegóły, jednocześnie je omawiając. Donat wyłączył konsolę i teleportował się do kabiny pilota. Kiedy zasiadł w fotelu, nastąpiła polaryzacja ścian i wokół niego otworzył się przestwór wód. Rozpoczął wynurzanie okrętu.

Zielony Pies, osłonięty maskującym polem, znalazł się wkrótce na powierzchni oceanu - okazało się, że na zewnątrz panował polarny dzień. Statek przebił pokrywą lodową, jego automaty przeprowadziły analizę otaczającego go terenu i nie odkrywając żadnych zagrożeń, ustawiły go wśród lodowego pola. Elektroniczne urządzenia statku zlokalizowały teraz gwiazdy i ustaliły datę pojawienia się czasolotu w tym świecie na dwunastego lipca dwa tysiące jedenastego roku. Po chwili od kadłuba oderwały się trzy sondy grawitacyjne, nie większe od piłki futbolowej, które pomknęły w kosmos; po niedługim locie, niewidzialne i niewykrywalne przez urządzenia techniczne cywilizacji tego świata, zawisły kilkaset kilometrów ponad Ziemią i rozpoczęły odczyty ziemskich informacji. Technika ludzkości z przyszłości była tak dalece rozwinięta, że wykrycie, dotarcie, a później odczytanie zasobów elektronicznej informacji, nawet skrytych w murach budowli czy pod ziemią lub wodą nie stanowiło dla sond żadnych przeszkód. Poza tym istniejące na Ziemi cywilizacje w okresie od dwudziestego pierwszego do trzydziestego wieku metodycznie wystrzeliwały w kosmos rakiety z pojemnikami zawierającymi wszystkie najważniejsze materiały dotyczące historii Ziemi. Zostały one odnalezione przez następne pokolenia oraz tworzące je cywilizacje i uzupełniane o nowe dane, które także wystrzelono w swoim czasie w zasobnikach w kosmos. Stąd Zielony Pies dysponował w miarę dokładnymi informacjami dotyczącymi historii cywilizacji zamieszkujących naszą planetę.

Po upływie niedługiego czasu do komputerów Zielonego Psa zaczęły nieprzerwanie

napływać grawitacyjne impulsy wielce skondensowanej informacji, która była następnie rozkodowywana, analizowana i przetwarzana przez automaty z archiwalnych baz danych statku.

Donat, mając dość bezruchu, postanowił wyjść na zewnątrz i zapoznać się z najbliższą okolicą. Tu, w pobliżu bieguna północnego, na ziemiach międzynarodowych nie powinien obawiać się wykrycia przez polarników, tym bardziej że urządzenia ochronne wehikułu nie sygnalizowały takiej możliwości, a przecież penetrowały także głębiny morskie i przestrzeń powietrzną. Automaty sygnalizowały tylko przemieszczanie się na dużej wysokości samolotów pasażerskich, ponieważ przez biegun prowadziła z Europy najkrótsza droga do Azji i Ameryki.

Zielony Pies, wynurzony tylko do jednej trzeciej swojej wysokości, upodobił się do postrzępionej góry lodowej. Kiedy Donat opuszczał bezpieczne wnętrze, oczom jego ukazało się rozległe pole lodowe, biel, biel i tylko śnieżna biel wokół. Zabezpieczony grawitacyjnym pasem i ubrany w ocieplający kombinezon Donat opuścił się ze skrzydła statku wprost na lodowe pole. Zachłysnął się rześkim, polarnym powietrzem. Na zewnątrz było kilka stopni powyżej zera. Zagarnął w ręce trochę śniegu, chcąc zrobić z niego pigułę. Nie udało mu się to, śnieg był za twardy. Cieszył się swobodą ruchów, ponieważ jako uzbrojenie miał przy sobie tylko plazmowy miecz, karabin nie był mu na tym pustkowiu potrzebny. Krocząc przez lodowe pole, wymijał zamrożone śnieżne pagórki i uważał, aby nie wpaść w lodową szczelinę. Przed ugrzęźnięciem chroniły go otwierane od czasu do czasu karple, czyli owalne obręcze wplecione w środku zapobiegające zapadaniu się nóg w głębokim śniegu, które wysuwały się z butów, tworząc szerszą i chropowatą powierzchnię.

W świetle polarnego dnia, przy dobrej pogodzie Donat maszerował przez śnieżne pole około dwóch godzin. Kiedy się odwrócił, chcąc zobaczyć swój wehikuł, nie odnalazł go wzrokiem, zakamuflowany, rozplynął się w śnieżnym krajobrazie. Dopiero specjalne urządzenie namierzające wskazało mu właściwy kierunek, chociaż nadal statek nie był widoczny. Poczuł głód, wyciągnął z kieszeni kombinezonu kanapkę - po tym małym wysiłku bardzo mu smakowała. Ogrzewany kombinezon był lekki i nie utrudniał jego ruchów, dobra pogoda zachęcała do dalszej wędrówki.

Nagle dotarł do niego komunikat komputera pokładowego, który poinformował go, że

zbliżała się zmiana pogody, od południa nadciąga śnieżycą. Donat spojrzął na przypominające kształtem współczesny zegarek urządzenie na lewej ręce, dotknął małego guzika na jego krawędzi, co spowodowało, że wyświetlił mu się w polu siłowym obraz najbliższej okolicy. Rzeczywiście, w lewym górnym rogu widać było zbliżającą się chmurę, nadciągała od strony czasolotu. Czas było zatem wracać, tym bardziej że chmura przemieszczała się szybko w jego kierunku.

Po półgodzinnym marszu burza śnieżna dosięgnęła Donata, silny wiatr przygiął go do lodu, a syjący gęsto śnieg ograniczał widoczność. Górna część kombinezonu wyposażona była jednak w elastyczny hełm, przypominający czapkę z nasznikami. Po przesunięciu suwaka w kołnierzu hełm zeszywniał, a twarz Donata została zasłonięta przyłbicą z cienkiego, przezroczystego materiału plastycznego. Jednocześnie minikomputer włączył urządzenie przywracające doskonałą widoczność, jedynym problemem był tylko marsz naprzód pod wiatr.

Donat, naprowadzany przez urządzenie elektroniczne, dotarł do statku po około trzech godzinach. Śnieg osiadający na kombinezonie był momentalnie odpychany, toteż nie było potrzeby otrząsać się z niego. Po otwarciu wjazdu Donat z ulgą przedostał się przez błonę zabezpieczającą dostęp do wnętrza i znalazł się w luku wejściowym. Ściana za nim zamknęła się. Donat przeszedł teraz do drugiej ściany pomieszczenia i przyłożył rękę do czerwonego kwadratu, a kiedy obok niego objawił się niebieski kwadrat klawiatury dotykowej z symbolami, wcisnął palcami drugiej ręki kod. Miejsce w ścianie, w którym znajdowały się kolejne drzwi, stało się nagle przezroczyste. Po naciśnięciu jednego z wyświetlonych symboli drzwi grodzi otworzyły się i Donat wszedł do kolejnego pomieszczenia. Po zrzuceniu kombinezonu wydostał się na korytarz i pomaszerował do windy, aby dotrzeć nią na piętro mieszkalne. Kiedy tak się stało, wysiadł i przeszedł szerokim korytarzem do wyświetlonego na ścianie obrazu drzwi. Przyłożył rękę do czerwonego kwadratu i wprowadził kod je otwierający. Przechodząc przez nie, poczuł jak zawsze, kiedy to czynił, lekkie mrowienie, i owiał go strumień powietrza. Po drugiej stronie otworzył się przed nim widok przepięknego, kredowego krajobrazu, w oddali widoczne były zamglone szczyty porośniętych sekwojami gór, z drugiej strony rozpościerała się nadmorska plaża, nad morzem unosiły się latające gady. Nad tym przywołanym z pamięci komputera holograficznym światem wisiało olbrzymie słońce, było ciepło i słychać było bezustanny szum fal i od czasu do czasu krzyki szybujących gadów.

Donat kroczył powoli wzdłuż ogromnej sali, rozkoszując się urzekającym krajobrazem, którego widok wpływał przyjemnie na jego samopoczucie po niedawnej wędrówce po śnieżnej pustyni. W domu zlecił fembotowi przygotowanie obiadu, a sam pomaszerował do łazienki. Kiedy odświeżony po kąpieli dotarł do kuchni, obiad już na niego czekał. Resztę dnia Donat spędził w sali treningowej i na basenie, później udał się na spoczynek.

O godzinie ósmej rano czasu pokładowego, zaraz po śniadaniu, zszedł do kabiny pilotów z postanowieniem opuszczenia tych niegościnnych stron. Zamierzał skierować statek na wody Morza Północnego, a stamtąd przedostać się przez Cieśniny Duńskie na wody Bałtyku. Przed wyruszeniem w podróż odbył konsultacje z komputerem pokładowym i zgodził się z jego zaleceniami, żeby podróż odbywać pod wodą. Także uważał, że lepiej byłoby przemieszczać się skrycie, pomimo że zdolności kamuflażowe czasolotu pozwalały na niewykrywalny przez urządzenia techniczne cywilizacji początków dwudziestego pierwszego wieku przelot w dowolne miejsce na Ziemi.

Donat rozsiadł się teraz wygodnie w fotelu pilota i wydał komendę, po której wynurzyła się przed nim konsola przeznaczona do żeglugi wodnej i podwodnej. Wcisnął w niej odpowiedni guzik i w tym samym momencie komputer zameldował mu szczelność statku i jego gotowość do startu; na ekranie siłowym wyświetliła się trasa podwodnej podróży. Donat skorygował ją nieco i przeszedł na sterowanie automatyczne. Po chwili statek zsunął się w głębinę, a jego kamuflaż zniknął.

Przekształcony w łódź podwodną czasolot miał nieograniczone możliwości techniczne, niestraszne mu były głębiny, posiadał napęd grawitacyjny, który umożliwiał mu zarówno błyskawiczne wynurzenie się, jak i zanurzenie. Podwodny radar wyświetlał na ekranie siłowym ukształtowanie terenu morskiego i poruszających się w nim żyjących stworzeń, jak i przedmiotów. Zielony Pies, chroniony polem siłowym, znalazł się wkrótce sto pięćdziesiąt metrów ponad morskim dnem i płynął z dużą prędkością przez Morze Barentsa w stronę wybrzeży Skandynawii. Przed pilotem otwierał się rozległy i przejrzysty widok podmorski oceanu.

Po dwóch godzinach rejsu urządzenia obronne zasygnalizowały pilotowi wykrycie

dwóch okrętów podwodnych, komputer wyświetlił na ekranie siłowym ich obraz, podał kurs i przynależność. Były to duże rosyjskie okręty atomowe, zmierzające na głębokości dwustu metrów w stronę bieguna, komputer wyświetlał bezustannie dane dotyczące stanu jednostki, ich uzbrojenia oraz wyposażenia. Mimo że były odległe o około sto pięćdziesiąt kilometrów od czasolotu, JANO bez żadnego trudu powiększył obraz okrętów i wyświetlił obraz ich wnętrza, nagłośnił nawet rozmowy rosyjskich marynarzy. Nad obszar wykrytych obiektów przemieściła się jedna z kosmicznych sond Zielonego Psa. Po chwili jej czułe urządzenia czytały dane z komputerów pokładowych jednostek i przesyłały je do bazy, przedstawiając Donatowi wybrane szczegóły. Okazało się, że te okręty zostały wysłane z misją rozpoznawczą na wody grenlandzkie, na których miały śledzić ćwiczenia okrętów amerykańskich, operujących na tym akwenie. Donat postanowił zabawić się kosztem Rosjan, zastanawiał się tylko, jakie możliwości ingerencji w systemy obcych jednostek mają urządzenia obronne Zielonego Psa. W tym celu skonsultował się z komputerem pokładowym.

JANO zrobił Donatowi dłuższy wykład na ten temat, okazało się bowiem, że możliwości było bez liku, od fizycznego zniszczenia obcego okrętu aż po ingerencję w jego systemy pokładowe, bazy pamięci elektronicznej, systemy łączności i naprowadzania, a także poprzez oddziaływanie na załogę. Zdaje się także, że odległość od celu nie miała tu istotnego znaczenia dla automatów czasolotu.

Po przeprowadzeniu rozeznania Donat postanowił przyjrzeć się urządzeniom szyfrującym obcych jednostek. Do utajnienia zapisów stosowały one specjalne kody i maszyny szyfrujące, pracowały też na zastrzeżonych kanałach łączności satelitarnej oraz miały wyznaczone godziny nadawania i nasłuchu.

Siergiej Kuropatkin - dowódca większego z rosyjskich okrętów atomowych - wydał właśnie rozkaz wynurzenia się na mniejszą głębokość w celu wyrzucenia boi komunikacyjnej na powierzchnię oceanu. Zbliżał się bowiem czas kolejnego seansu łączności z bazą. Skondensowany impuls laserowy z zakodowaną informacją miał trafić bezpośrednio do systemu łączności krążącego nad oceanem rosyjskiego satelity. Przed wypuszczeniem z okrętu boi jego dowódca zszedł do kabiny łączności, aby przygotować wiadomość, z jego rąk notatka trafiła bezpośrednio do komórki szyfrującej i wtedy zaczęło się piekło.

Wśród wielu technik szyfrowania rozróżnia się szyfry podstawieniowe,

przetawieniowe, maszynowe algorytmy oraz inne. Rosyjska maszyna kodowała tekst, posługując się algorytmem z kluczem jednorazowym, co powodowało, że bez znajomości właściwego klucza żadna informacja jawna nie mogła być wydedukowana z kryptogramu.

Oficer kierujący działem szyfrów i łączności miał za zadanie zaszyfrowanie we właściwy sposób uzyskanej notatki, w tym celu opracował odpowiednio materiał i tak uzyskaną informację wprowadził do komputera. Jednak po zakodowaniu przez maszynę informacji, ku osłupieniu szyfranta, wyświetlił się na ekranie zupełnie nietypowy zapis, stosowane znaki kodu przypominały chińskie pismo. Szyfrant skasował zapis i powtórzył operację, ku jego zaskoczeniu znaki powtórzyły się. Przez kilka chwil próbował wyjaśnić zaistniałą sytuację, później zameldował o tym wypadku swojemu przełożonemu.

Nad rozwiązaniem tej łamigłówki żołnierze odpowiedzialni za utrzymanie łączności pracowali przez wiele godzin. W pewnym momencie na ekranie monitora pojawiły się zabawne napisy, odwołujące się imiennie do załogi okrętu i wyświetlające rozkaz dowództwa dotyczący prowadzonej misji z rozkazem powrotu. Wywołało to olbrzymią konsternację oficerów kierujących łodzią, którzy uznali, że wszelkie kody i szyfry albo zostały ujawnione jakiemuś obcemu mocarstwu, albo ktoś z bazy zabawia się ich kosztem. W tej sytuacji kapitan uznał za stosowne zarządzić powrót okrętów do bazy.

Donat, zadowolony ze splełania Rosjanom figła, śledził przewijający się przed nim podwodny krajobraz. Z utęsknieniem czekał na sygnał oznajmiający wykrycie przez urządzenia penetrujące statku wraków na dnie. Z historycznym materiałow archiwalnych czasolotu, z którymi się zapoznał, wynikało bowiem, że w początkach dwudziestego pierwszego wieku dna mórz i oceanów zalegało około miliona wraków. Niektóre z nich przewoziły cenne ładunki, takie jak kruszce, zabytki lub arcydzieła sztuki. Okazało się też, że najwięcej zatoneło ich podczas obu wojen światowych, prowadzonych w dwudziestym wieku. Losy niektórych są znane, wiadomo, kto je zatopił i gdzie to nastąpiło, wiele jednak przepadło bez wieści. Jednak los innych statków, zaginionych na morzach i oceanach w okresach wcześniejszych, pozostał nieznany, przepadły bez wieści. Toteż nic dziwnego, że wiele krajów, prowadzących badania oceanograficzne, starało się zlokalizować wraki i wydobyć ich cenną zawartość. W późniejszych wiekach wiele z nich jeszcze odnaleziono, wykorzystując nowocześniejszą technikę, i odzyskano ładunek. Z tego powodu Donat musiałby skomunikować się z archiwalną bazą danych statku, aby nie naruszyć zasad obowiązujących

w podróżach czasowych i nie eksploatować znalezisk.

Zielony Pies przesuwał się szybko w wodach Morza Barentsa i już niebawem wpłynął na wody Morza Norweskiego, aby później przemieszczać się z dużą szybkością pod jego powierzchnią jeszcze dalej na południe, wzdłuż wybrzeży Norwegii. Urządzenia penetrujące sygnalizowały obecność wielu wraków na dnie, lecz że były to najprawdopodobniej jednostki zatopione podczas ostatniej wojny światowej, Donat nie zwracał na nie uwagi. Po wielu godzinach rejsu Donat, chłonący niezwykle podmorskie widoki, był już zmęczony, postanowił zatem wstrzymać dalszą podróż. Wydał odpowiednie polecenia komputerowi sterującemu i już po chwili statek wypłynął na głębokość pół kilometra od powierzchni i zawisł nieruchomo w wodnej otchłani. Donat miał teraz czas na posiłek oraz odpoczynek.

Kolejnego dnia podwodna podróż była kontynuowana i wkrótce czasolot wpłynął na wody Morza Północnego. Morze to, o powierzchni pięciuset sześćdziesięciu pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych, należy do mórz płytkich, jego średnia głębokość waha się w granicach osiemdziesięciu siedmiu metrów i tylko na jednej trzeciej jego głębokości przekracza sto metrów. Wcześniej te płytkie wody były stałym lądem, który został zalany przez wezbrane wody Atlantyku po ustąpieniu epoki lodowcowej. W tym morzu Donat zdecydował się także na kontynuację penetracji dna morskiego, zamierzał bowiem odszukać polski okręt podwodny „Orzeł”, który zaginął prawdopodobnie pomiędzy dwudziestym piątym maja a ósmym czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku<sup>3</sup>. Z danych historycznych wynikało, że okręt ten podejmował działania patrolowe, skupiające się na akwenie obejmującym obszar na zachód od wylotu cieśniny Skagerrak pomiędzy południowym wybrzeżem Norwegii a wschodnim wybrzeżem Szkocji. Do tej pory nie udało się zlokalizować jego wraku. Jednak przy wykorzystaniu nowoczesnych penetratorów Zielonego Psa wykrycie łodzi nie powinno przedstawiać zbyt dużych trudności, tym bardziej że do pomocy zostały wykorzystane wystrzelone wcześniej sondy, które objęły obserwacją akwen zawierający się pomiędzy pięćdziesiątym szóstym a pięćdziesiątym siódmym równoleżnikiem, przebiegającym przez Morze Północne. Poszukiwania trwały jednak długo, bo aż trzynaście godzin, zanim Donat, przebywający właśnie na pokładzie sportowym, otrzymał wiadomość o znalezieniu poszukiwanego okrętu. Jego wrak został zlokalizowany przez sondę na głębokości stu czterdziestu pięciu metrów na dnie morza w pobliżu wybrzeży Norwegii.



Donat skierował tam czasolot i po dwóch godzinach znalazł się w pobliżu „Orła”. Łódź podwodna leżała na dnie, wkliniowana dziobem pomiędzy dwie skały i skryta częściowo w mule, musiał więc włączyć lokalizatory, które wyświetliły w polu siłowym klarowny obraz wraku. Dokładnie można było zobaczyć tablicę pamiątkową przytwierdzoną na lewej burcie kiosku, którą w dniu dziesiątego lutego tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku uroczystie odsłonił generał broni Kazimierz Sosnkowski. Została ona dokładnie sfilmowana i uwieczniona w archiwum. Po włączeniu podwodnego tomografu komputer Zielonego Psa metr po metrze prześwietlał zatopioną łódź. Ku zdziwieniu Donata, urządzenie nie odkryło żadnego śladu jej uszkodzenia, wewnątrz okrętu nie zostało zalane wodą, co jednoznacznie sugerowało, że nastąpiła jakaś awaria i załoga straciła kontrolę nad nim podczas szybkiego zanurzania. A zatem potwierdziła się jedna z hipotez zaginięcia „Orła”.

Donat zakończył wkrótce prace przy wraku i zdecydował się przedostać na Morze Bałtyckie. Z powodu płyeczny Cieśnin Duńskich nie było możliwe dokonanie tego pod wodą, pozostawała droga powietrzna. Odczekał do nocy i kiedy zrobiło się już zupełnie ciemno, przeleciał zamaskowanym statkiem z Morza Północnego na Bałtyckie. Lot trwał tylko pół godziny, po czym Zielony Pies skrył się pod powierzchnią nowego akwenu i podążył w kierunku wybrzeży polskich.

Zamierzeniem Donata było pozostawienie zamaskowanego wehikułu na dnie Bałtyku, sam chciał się wydostać na brzeg w okolicach Mielna. Nie mógł wykorzystać do tego celu pojazdów Zielonego Psa, toteż udał się na pokład fabryczny, aby dopilnować zbudowania pojazdu imitującego używane w tym czasie. Po przejrzeniu wielu samochodowych prospektów, ściągniętych przez komputer statku z internetu, powstał minibus marki Mercedes, który tylko z wyglądu przypominał oryginał, natomiast jego właściwości i możliwości były zupełnie nietypowe dla tego rodzaju samochodu. Pojazd ten mógł pływać, zanurzać się w wodzie, unosić w powietrzu, a także kamuflować się, do jego konstrukcji androidy fabryczne posłużyły się materiałami z przyszłości, także napęd posiadał grawitacyjny.

„Produkcja” samochodu i jego wyposażenie zajęło androidom tylko kilka godzin, po tym czasie przed Donatem pojawił się prześliczny, zielony pojazd wyposażony w tablice rejestracyjne. Do samochodu został dołączony plik potrzebnych dokumentów, do których dane zostały ściągnięte z polskich rejestrów urzędowych. Donat został także wyposażony w

nowy dowód osobisty, jego spreparowaniem zajął się droid z pokładu wywiadowczego. Teraz można było myśleć o wydostaniu się na brzeg.

Pewnego lipcowego dnia dwa tysiące jedenastego roku około godziny piątej rano na leśnej drodze w okolicach Łaz zmaterializował się samochód marki Mercedes-Benz Vito, w którym znajdowały się dwie osoby. Jedną z nich, siedzącą za kierownicą, był Donat, drugą, nazwaną przez niego Weroniką, robot bojowy, który przybrał postać młodej, ładnej i dobrze ubranej dziewczyny. Po chwili kierowca wysiadł z wozu i wolnym krokiem przechadzał się po drodze, rozkoszując się pachnącym, leśnym powietrzem oraz omijając kępy trawy, zmoczonej poranną rosą. Niedługa droga dochodziła do szosy, łączącej Łazy z Unieściem i z Mielnem, a dalej z Koszalinem. Donat planował przybycie do dużego miasta nieco później, gdyż nie chcąc podrabiać polskiej waluty, zamierzał sprzedać w lombardach i kantorach „wyprodukowane” przez syntetyzator atomowy Lampy Alladyna sztabki złota i inne wyroby z tegoż metalu. Sztabek w samochodowym sejfie miał około trzydziestu, ważyły od dwudziestu do tysiąca gramów, inne, lokacyjne, pochodzące według oznaczeń z Australii lub Niemiec, po dziesięć uncji. Ponadto dysponował kilkudziesięcioma złotymi dwudziestodolarówkami i rosyjskimi dziesięciorublowymi imperiałami sprzed roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego, „wyprodukowanymi” w podobny sposób. Monety te nie miały wybitych numerów, zatem można je było bez większych problemów sprzedać. Dzień zapowiadał się słoneczny, a do planowanej godziny odjazdu brakowało jeszcze kilku godzin, toteż Donat postanowił przespacerować się po lesie, a potem pojechać do Łaz i zejść na nadmorską plażę.

W miasteczku zaparkował na ulicy samochód i pozostawiwszy w nim robota, powędrował w stronę zejścia na plażę. Morze wyglądało przepięknie, lecz piasek nie był zbyt czysty. O tak wczesnej porze na plaży było zupełnie pusto. Donatowi nie za bardzo podobało się to morze, ponieważ przywykł już do innych widoków i klimatów. Ciągle łapał się na tym, że wytęża swoje zmysły w oczekiwaniu na jakieś niebezpieczeństwo, które jednak nie nadchodziło. To były nawyki z jeszcze wcześniejszych wypraw. Po dwugodzinnym spacerze powrócił do miasteczka i rozpoczął poszukiwania jakiejś restauracji, w której mógłby spokojnie zjeść śniadanie, a potem posiedzieć dłuższą chwilę przy kubku kakao lub czekolady. Nie było to trudne, bez problemów znalazł takową i przesiedział w niej trzydzieści pięć minut, później powędrował do zaparkowanego samochodu.

W Koszalinie znalazł się o godzinie dziewiętej trzydzieści i rozpoczął poszukiwanie kantorów i lombardów. Udało mu się sprzedać kilka sztabek złota, każdą w innym punkcie skupującym ten metal, gdyż musiał uważać, aby nie przekroczyć limitu sprzedaży, po którym transakcja musiałaby być udokumentowana.

Dysponując grubszą gotówką, powrócił do Unieścia leżącego na wąskiej mierzei pomiędzy Morzem Bałtyckim a jeziorem Jamno. Jadąc wąską główną ulicą, odczytywał ogłoszenia o wynajmie pokoi, po pewnym czasie znalazł odpowiadające mu i skręcił tam. Co prawda w Unieściu znajdował się hotel, lecz o tej porze roku musiał być zapewne zapchany, toteż lepiej było wynająć sobie kwaterę prywatną.

W pokoju Donat zameldował się wraz z ochraniającym go robotem, którego przedstawił jako swoją żonę. Dowody osobiste okazały się w porządku, toteż nie było żadnych problemów przy meldowaniu. Po sprowadzeniu się Donat pozostawił Weronikę w pokoju, a sam udał się na rekonesans. Miasto, po którym spacerował, było niebywale zatłoczone, ale tym razem nie przeszkadzało mu to wcale. Po blisko dwuletniej samotności chciał się znaleźć wśród rodaków, rozmawiać w ojczystym języku i jeść potrawy, do których przywykł przez kilkadziesiąt lat swojego wcześniejszego życia. Z przyjemnością zjadł obiad w lepszej restauracji, napił się piwa, a później spacerował wzdłuż głównej ulicy Mielna i Unieścia. Nie zamierzał schodzić na nadmorską plażę, tym bardziej że na wysokim brzegu znalazł kawiarnię, w której serwowano gorącą szarlotkę oraz napoje.

I tak upływał dzień za dniem, ku radości Donata, który musiał wszakże zwracać uwagę na to, aby w żaden sposób nie zdemaskować chroniącego go robota, a przecież nie mógł trzymać go całe dnie w zamknięciu. Istniała jeszcze możliwość odsyłania go i wzywania z Zielonego Psa poprzez portal teleportacyjny, jednak w jego obecności czuł się bezpieczniej.

Któregoś dnia Donat wraz z Weroniką spacerował, oglądając witryny sklepików i rozłożonych wzdłuż głównej ulicy Mielna straganów, kiedy zainteresowało go stoisko z przeróżnymi gadżetami. Oglądał je, gdy nagle ktoś przepchnął się przed niego, odsuwając go brutalnie od stołu. Raptem przy stoisku pojawiło się kilku wysokich i barczystych osiłków, ubranych w plażowe szorty i różnokolorowe koszulki. Ogolone głowy i szerokie karki znamionowały przynależność do jakiejś nieformalnej grupy. Za chwilę zaczęli rozpychać oglądających towar ludzi i wypowiadać się negatywnie o sprzedawczyń. Przestraszona

kobieta próbowała w grzeczny sposób załagodzić sprawę, lecz kiedy to nie pomogło i spotykała się nadal z wulgarnymi docinkami, zagroziła wezwaniem policji. Jej groźba spowodowała lawinowy wybuch śmiechu osiłków.

- Policję to ja mam w kieszeni - zakomunikował jej jeden z nich, wyjmując plik zwiniętych stu - i dwustuzłotówek z kieszeni.

Nikt z obecnych nie odzywał się, ludzie ostrożnie usuwali się z tego miejsca. Tak samo chciał postąpić i Donat, jednak łobuzom wpadła w oko towarzysząca mu Weronika. Padły niedwuznaczne propozycje, których Donat nie mógł pozostawić bez komentarza.

- Panowie, zostawcie moją dziewczynę w spokoju - powiedział. - Ona jest ze mną - dodał po chwili.

Rozległa się salwa ordynarnego śmiechu i posypały się kolejne docinki i niedwuznaczne propozycje.

- Taka ładna dziewczyna potrzebuje prawdziwego mężczyzny, a nie takiego wymoczka jak ty - rzucił jeden z nich i próbował objąć Weronikę.

Robot wykonał unik i odsunął się od stoiska, wymykając się płynnie prześladowcy.

- Nie muszę jej bronić, ona potrafi to zrobić lepiej, zatem nie zaczepiajcie jej, jeśli nie chcecie doznać uszczerbku na zdrowiu - ripostował.

- To co nam zrobi? Pewnie jest dobra w łóżku - zaśmiał się obleśny typ w czerwonej koszulce, poznaczonej jakimiś napisami.

Kiedy kolejny typek próbował złapać za pasek od spodni jego towarzyszkę, Donat zwrócił się do niej słowami:

- Przepędź ich, niech nikomu już więcej nie wchodzi w drogę, tylko nie połam ich, bo w tym mieście trudno o leczenie, trzeba byłoby wieźć łobuzów do Koszalina.

To, co się następnie wydarzyło, przerosło najśmielsze oczekiwania bandy osiłków i obserwujących zdarzenie gapiów. Napastowana dziewczyna zwinnymi, płynnymi ruchami, które wyglądały tak, jakby były wykonywane w zwolnionym tempie, wsunęła swoje ręce w wyciągnięte ręce napastującego ją mężczyzny i po ich uchwyceniu w nadgarstkach skrzyła je, ruch ten, poparty obrotem ciała, powalił go z dużą siłą na ziemię. Kolejny łobuz został kopnięty z półobrotu w udo, cios był tak silny, że zwałił go z nóg. Następnie Weronika zastosowała znaną Donatowi z aikido „wirującą kulę” i zwała na chodnik, ostatni dwaj zostali powaleni celnymi i silnymi uderzeniami, wymierzonymi w korpus ciała.

Oszołomieni tym niespodziewanym atakiem napastnicy z niedowierzaniem spoglądali na siebie i drobną dziewczynę, z tłumu gapiów rozległy się gromkie brawa. Odgłos ten wywołał kolejny napad złości u osiłków, dwóch z nich, którzy odnieśli lżejsze obrażenia, ruszyło ponownie na dziewczynę. Donat, obserwując ten atak, wsunął na obie ręce bransolety wzmacniające siłę mięśni; zawsze nosił je ze sobą w torbie - teraz się przydadzą. Po krótkim starciu napastnicy wylądowali ponownie na ziemi, a kolejni zawahali się, widząc los swoich kolegów. Donat wyrwał metalowy słupek drogowy z chodnika i trzymając go w ręku, podszedł do najbardziej agresywnego z łobuzów, tego samego, który naśmiewał się wcześniej z niego. Leżał on właśnie na ziemi, nie mogąc powstać.

- To jak, czy ty na pewno jesteś mężczyzną? - zapytał.

Osilek zwrócił twarz ku niemu, w jego oczach widać było jeszcze oszołomienie. Donat chwycił słupek, przykucnął i okręcił go wokół szyi leżącego, później skrzył jego końcówki.

- To ci pomoże przemyśleć całą sprawę - powiedział, pukając w słupek. - W przyszłości będziesz zapewne ostrożniejszy w ocenianiu ludzi. Może też staniesz się mniej agresywny.

Po tych słowach Donat wstał, skinął na Weronikę i oddalił się z miejsca zdarzenia, żegnany oklaskami. Reszta dnia upłynęła w spokoju.

Następnego dnia Donat spotkał na trawiastym placu nad jeziorem młodą kobietę, opiekującą się z wyglądu pięcioletnią dziewczynką. Zwróciła jego uwagę, ponieważ

obserwował, jak to małe dziecko nasłuchuje melodyjnych dźwięków metalowych pręcików, zawieszonych na drzewie. Jej zachwyty był wzruszający, dziewczynka całym swoim ciałem wyrażała radość, jej twarz promieniała uśmiechem. Matka, zadowolona z zachowania córki, uderzała lekko patykiem w pręciki, wystukując jakąś melodię. Sama, w przeciwieństwie do małej istotki, miała smutną twarz, przez którą przebiegały od czasu do czasu skurcze uśmiechu - dopiero teraz Donat dostrzegł, że dziewczynka jest niewidoma. Przyglądał się jej przez dłuższy czas i, wzruszony dziecięcą radością, poczuł nieprzepartą chęć udzielenia jej za wszelką cenę pomocy. Przecież na pokładzie medycznym Zielonego Psa znajdowały się urządzenia z przyszłości. Widział, co zrobiły z nim - przywróciły mu młodość i usunęły genetyczne mankamenty jego organizmu. Był zatem przekonany, że nie będzie najmniejszego problemu z przywróceniem wzroku dziecku. Należało tylko zabrać dziewczynkę na pokład chronolotu i poddać leczeniu. Tylko jak się do tego zabrać? Porozumiał się z cyborgiem, z jego ręki wyfrunęła miniaturowa muszka, która poszybowała w stronę matki i córki. Od tej pory para ta była śledzona, a informacje wraz z obrazem przesyłane bezpośrednio do towarzyszącemu Donatowi cyborga.

Mała Beata była tego dnia bardzo szczęśliwa, jej kochana mama zabrała ją na wakacje nad morze z ośrodka dla dzieci niewidomych, w którym się uczyła. Nie zdawała sobie jeszcze sprawy z potwornego kalectwa, które ją dotknęło, czuła jednak, że inne dzieci, które tu spotkała, zachowują się inaczej od tych w ośrodku. Były bardziej pewne siebie, biegały, grały w piłkę, skakały, oglądały telewizję, mówiły o rzeczach, których nie rozumiała. Jej dobra i kochana mama starała się stworzyć swojej córce jak najlepsze warunki, jednak patrząc na inne rozbawione i rozbrykane maluchy, żałowała, że jej dziecko jest tak bardzo upośledzone. Kiedy po kolacji dziewczynka spoczęła w swoim łóżeczku, mama czytała jej bajeczki na dobranoc. Beatka wiedziała już, że w świecie bajek dobre dzieci i ludzie, a także takie same zwierzątka zawsze spotykała nagroda, złe istoty były zaś karane. Beatka bardzo kochała swoją mamę, która była dla niej całym światem, podświadomie jednak czuła, że mama wiecznie się czymś martwi.

Kiedy dziewczynka wreszcie zasnęła, a jej mama także spoczęła w łóżku w pokoju, objawiła się miniaturowa mechaniczna muszka. Spenetrowała małe pomieszczenie (rodziców dziewczynki nie było stać na większy pokój) i zawisła nad głową matki dziecka. Za chwilę kobieta zapadła w twardy sen, który miał trwać aż do rana. W ślad za muszką przez uchylone okno wpłynął mały pręcik, z którego rozwinęła się płachta metalicznie lśniącej materii,

stanowiąca wejście do tunelu teleportacyjnego. Śpiące dziecko, unoszone nieznaną siłą, wpłynęło w materię i zniknęło z pokoju, a pręt zwinął rulon materiału i ukrył się teraz pod sufitem, za ramą karnisza, zlewając się z tłem otoczenia.

Portal teleportacyjny zanurzonego w wodach Bałtyku Zielonego Psa przerzucił dziecko na pokład medyczny. Kiedy śpiąca dziewczynka pojawiła się na siłowej podstawie portalu, przepuszczona przez urządzenia kontrolujące bezpieczeństwo na statku, Donat przekazał dziecko pod opiekę droida medycznego, który je przeniósł na platformie pola siłowego do pokoju badań. Beata nadal spała i nie wiedziała, że jest poddawana intensywnemu badaniu przez aparaturę medyczną. Po badaniu droid palcami dłoni wcisnął jakiś kod w klawiaturze aparatu i w tym samym momencie w ścianie obok niego otworzyło się wejście do tunelu, po wciśnięciu kolejnego kodu zostało ono zasłonięte ścianą, przypominającą żywe srebro.

Droid uruchomił platformę siłową, na której leżało dziecko, a ta wsunęła się wraz z leżącą na nim dziewczynką w zakryty srebrną kurtyną tunel.

Ciało śpiącego malucha po wsunięciu w medyczny korytarz w jednej chwili rozpadło się na atomy, a zapis jego genomu został utrwalony w medycznej bazie danych aparatu. Inne urządzenie medyczne przejmie tę informację i wprowadzi korekty w zapisie DNA i genotypie, niwelując stwierdzone usterki. Korekta genotypu spowoduje przywrócenie wzroku dziecku i poprawi jego sprawność fizyczną i umysłową, a jednocześnie nie naruszy ośrodków w mózgu, odpowiedzialnych za pamięć, co spowoduje, że Beata nie utraci wspomnień sprzed procesu odtwarzającego.

Dziecko zmaterializowało się po ośmiu minutach, tyle bowiem czasu trwał proces naprawczy. Droid medyczny nakrył ciało Beatki płytą aparatury i coś tam sprawdzał, po chwili zameldował Donatowi.

- Korekta ciała powiodła się, dziecko odzyskało wzrok, usunięte zostały także inne mankamenty zdrowotne.

Donat zwrócił się do droida:

- Pozostaw jej jakąś pamiątkę od Zielonego Psa, najlepiej, aby na jej ramieniu pojawiło się małe znamię, przedstawiające obraz takiego mitycznego zwierzątka.

Droid potwierdził polecenie i wystukał jakiś kod na platformie, na ekranie pojawił się najpierw obraz znamienia, później wysunął się z niej przewód z małą igielką i promień lasera wypalił na ramieniu dziewczynki żądany szczegół.

Nadszedł czas przesłania Beaty przez portal teleportacyjny z powrotem do pokoju, w którym mieszkała z matką. Donat jednak chciał jej zostawić jakąś pamiątkę także od siebie. Pozostawił dziecko pod opieką droida, a sam udał się na pokład przemysłowy i uruchomił Lampę Alladyna. Podał szczegóły zamówienia i już po chwili na ekranie siłowym maszyny wyświetlać się zaczęły kolejne obrazy przedmiotów w ujęciu trójwymiarowym. Donat wybrał jeden z nich, skorygował dane i już po chwili śliczna, mała bransoleta wykonana z białej platyny i wysadzana szmaragdami, przypominającymi kształtem głową zielonego psa, pojawiła się na stole. Na jej spodniej stronie wygrawerowany był napis - dla Beaty, obok napisu przedstawiony był ryt jej małej twarzyczki i zapis - bądź dobra. Za napisem umieszczony był ryt jej twarzy, kiedy będzie miała osiemnaście lat. Bransoleta zapinała się tylko na rękę Beaty, nikt inny nie mógłby jej nosić.

Donat zabrał prezent i powrócił z nim na pokład medyczny, za chwilę znalazł się przy dziecku. Maleństwo spało jeszcze, kiedy wkładał na jego rączkę bransoletę. W jej metalu zapisany był kod, pozwalający odszukać ją w każdej chwili, gdyby się zdarzyło, że została zgubiona lub ukradziona.

Teraz nadszedł czas do odesłania dziecka do matki. Droid uruchomił platformę pola siłowego i przemieścił dziewczynkę na portal teleportacyjny, później uruchomił go, co spowodowało, że w jednej chwili ciało zostało wchłonięte przez urządzenie, a zapis informacji przesłany do portalu znajdującego się w pokoju matki dziecka.

Obraz przekazywany przez małą muszkę z pokoju dziecka potwierdził przekazanie żywego ładunku. Beata leżała teraz w swoim łóżeczku, a zatem zadanie zostało wykonane.

Kiedy nadszedł świt, matka Beaty ocknęła się ze snu, jeszcze zmartwiona przeżyciami ostatnich dni, odruchowo spojrzała w kierunku łóżeczka i ze zdziwieniem zobaczyła, że nie



ma w nim dziecka. Rozejrzała się po pokoju. Jej mała córeczka stała przy oknie, zasłaniająca je firanka była odsunięta i wyglądało to tak, jakby dziecko się w coś usilnie wpatrywało. Kiedy odwróciła trochę głowę, matka zauważyła na jej twarzy nieukrywany zachwyty.

- Co się stało, Beatko? - spytała przestraszona.

- Te drzewa są bardzo kolorowe, a na nich siedzą ptaki - są takie śliczne. A te żółte plamy na parapecie są takie ciepłe - odpowiedziała miłym, dziecięcym głosem pełnym nieukrywanej radości.

Kobieta znieruchomiała, coś w niej drgnęło, jakaś nieśmiała myśl wydobyta z najgłębszych pokładów marzeń zakiełkowała nagle w jej świadomości. Wpatrywała się z narastającym napięciem w córkę, która nadal tkwiła przy oknie i szczebiotała do niej srebrzystym głosem.

- Mamo, popatrz - klaskała w ręce - ptaszki odleciały, o, jak wysoko wzbiły się w górę. Nie widać ich już, bo słońce świeci mi w oczy.

Na te słowa matka zerwała się z łóżka i podbiegła do córki, objęła ją i odwróciła do siebie. Twarz dziecka jaśniała szczęściem, ale najbardziej błyszczały jego zielone oczy, rozlewał się w nich cały ocean blasku i radości.

- Ty widzisz - wyszeptała z niedowierzaniem.

- Tak, widzę, to ty jesteś moją mamą, poznaję twój głos - jaka ty jesteś ładna - krzyknęła Beata i zarzuciła mamie ręce na szyję, tuląc się jednocześnie do niej całym ciałem. Matka, obejmując ją, czuła, jak ciało dziecka dygoce z radości i podniecenia.

Drżąc ze wzruszenia, kobieta tuliła córeczkę do siebie, wpatrując się w jej twarz i całując ją, na jej policzkach pojawiły się łzy, które ściekały na ręce obejmujące dziecko. Nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu, które nagłym ciepłem zalało jej duszę. Tuliła dziecko do siebie, jakby chciała jak najdłużej zatrzymać tę szczęśliwą dla nich chwilę i bała się jednocześnie, że to tylko senne złudzenie.

Dziecko wyrwało się teraz matce i biegało po pokoju, wszystko je interesowało, nie można go było utrzymać na miejscu. Matka wpatrywała się w córeczkę z radością i niedowierzaniem.

Dopiero po upływie godziny obie kobiety uspokoiły się, ten dzień zaczął się dla nich niezwykle szczęśliwie. Kiedy opadły emocje, matka poprowadziła Beatkę do łazienki i rozbierając ją - zauważyła na jej lewej ręczce przedziwną bransoletę. Nie kupowała dziecku takiego upominku. Zaskoczona, zdjęła ją i dokładnie obejrzała oraz odczytała napisy. Wyraz niezmiernego zdumienia rozlał się na jej twarzy. Tę przepiękną ozdobę, wysadzaną szmaragdami, подарowano jej dziecku, świadczył o tym napis i wyryty na niej portret Beaty. Ten podarunek sam w sobie był niezwykle i zapewne bardzo drogi, jej nigdy nie byłoby na coś takiego stać. Jeszcze większe zdziwienie wywarło odkryte podczas kąpieli znamię na ramieniu dziewczynki, wyobrażające śmiejącego się, zielonego psa.

Jeśli istniał Bóg, to on był zapewne uzdrowicielem jej dziecka, jednak przecież Bóg nie daje takich prezentów. Całe to zdarzenie nosiło w sobie znamiona wielkiej tajemnicy. Kiedy kobieta snuła kolejne przypuszczenia, mała Beata szalała, było jej teraz wszędzie pełno, słyhać było bez przerwy tupot jej małych nóżek i radosne okrzyki. Jeszcze większa radość zapanowała później, kiedy Beata mogła zobaczyć wszystkie mieszkające w domu dzieci. Te także były zdziwione tym zdarzeniem, ich rodzice gratulowali matce Beaty niezwyklego wyzdrowienia i ściskali czule dziewczynkę. W jednej chwili rodzina ta stała się obiektem największego zainteresowania, które objawiło się w dawanych im podarunkach. Przy śniadaniu mała nie mogła usiedzieć w miejscu, chciała ciągle biegać i poznawać otoczenie. Kiedy śniadanie dobiegło końca, mama zabrała ją do kościoła, w którym długo i żarliwie modliła się, dziękując Bogu za okazany cud, który tak bardzo odmienił życie i jej i dziecka. Wychodząc z kościoła, przypomniała sobie, że w ferworze tych niezwykle wydarzeń zupełnie zapomniała zadzwonić do swojego męża. Kiedy znalazła się na ulicy, nadrobiła to zaniedbanie. Jej mąż najpierw nie uwierzył, ale kiedy zaczął rozmawiać przez telefon z córką, zrozumiał, że stało się w jego życiu i życiu jego najbliższych coś niezwyklego. Wkrótce o szczęśliwym zdarzeniu dowiedziała się cała rodzina i przyjaciele.

W następnych dniach rodzice Beaty skontaktowali się z lekarzami - ci jednak w żaden sposób nie mogli wytłumaczyć tak cudownego uzdrowienia, tym bardziej że u dziewczynki nie wykształciły się gałki oczne. Poza tym bez śladu zniknęły inne choroby, które wcześniej

nękały dziecko. W późniejszych latach zauważono, że Beatka jest niezwykle sprawna i inteligentna. Bez wysiłku uczyła się i zapamiętywała najtrudniejsze rzeczy, opanowała szybko i bez trudu wiele języków, a najdziwniejsze było to, że nie miały się jej żadne choroby wieku dziecięcego. Nawet wtedy, kiedy w przedszkolu lub w szkole wszystkie dzieci chorowały, jej udawało się tego uniknąć.

Lekarze bardzo interesowali się tym niezwykłym przypadkiem i rodzina była zapraszana na coraz to nowe spotkania konsultacyjne ze znanymi lekarzami, aż wreszcie rodzice Beaty uznali, że należy z tym skończyć, i przestali odpowiadać na zaproszenia. Beata na zawsze zapamiętała ten cudowny dzień ozdrowienia, czuła się wyróżniona i dlatego z dumą spoglądała na wytłoczony na jej ramieniu wizerunek zielonego psa, zaś bransoletę nosiła stale na rękę, gdyż czuła instynktownie, że otrzymała ją od nieznanego uzdrowiciela na szczęście, a może też jako znak rozpoznawczy. Może kiedyś odnajdzie go i wtedy będzie mogła mu osobiście podziękować. Przeczucie jej nie zawiodło, kiedyś, gdy będzie już dorosła, rzeczywiście spotka swojego wybawcę.

Beata czuła się niezwykle szczęśliwa, była pełna życia, uśmiech nie schodził z jej coraz to ładniejszej buzi, wiedziała jednak, że została wybrana spośród tysięcy dzieci. Była też pewna, że KTOS roztoczył nad nią opiekę, ponieważ jej mama dostała informację z dużego i poważanego banku, że dziewczynka ma założone w nim konto w obcej walucie, które będzie dla niej dostępne z chwilą uzyskania pełnoletności.

Donat wstał tego dnia dość wcześnie, od rana czuł się radośnie, bardzo interesowała go reakcja dziecka i jego matki na to „cudowne” ozdrowienie. Podczas śniadania oglądał na ekranie pola siłowego wyświetlane obrazy z życia tych dwóch tak bardzo szczęśliwych dzisiaj istot. Był zadowolony z tego, czego dokonał. Niestety, nie mógł podarować tych urządzeń nikomu, bo to miałyby niewątpliwie wpływ na bieg wydarzeń w przyszłości i mogłyby zmienić rzeczywistość. Z drugiej strony był przekonany, że obecny stan wiedzy technicznej nie pozwoli na skopiowanie takiego urządzenia. Poza tym z informacji archiwalnych Zielonego Psa dowiedział się, że było to urządzenie prototypowe, wyprodukowane przez cywilizację przyszłości tylko w kilku egzemplarzach.

Kolejne dni sierpnia dwa tysiące jedenastego roku były deszczowe, toteż Donat nie miał zbyt wielu możliwości, aby pochodzić sobie po nadmorskiej plaży. Gdy mu się znudził

pobyt w Unieściu, pojechał do Międzyzdrojów, obejrzał tamtejsze zoo w Wolińskim Parku Narodowym, a potem udał się do Świnoujścia. Pod koniec sierpnia postanowił powrócić do Warszawy, aby zobaczyć, jak teraz wygląda miasto, w którym się urodził kilkadziesiąt lat temu, i sprawdzić, czy jeszcze ktoś o nim pamięta i co się stało z jego majątkiem. Chciał także zachować obrazy ze znanych sobie stron, aby mógł w dowolnym czasie przywoływać je i wyświetlać w polu siłowym na pokładzie mieszkalnym Zielonego Psa.

Kiedy Donat jechał wraz z robotem do Warszawy, chronolot pozostał ukryty w wodach Bałtyku. Powróciły już do niego dwie wystrzelone wcześniej sondy, natomiast trzecia, niewidoczna i niewykryta przez jakiegokolwiek urządzenia techniczne, zawisała nad terytorium Polski. Po drodze zawitał do Biskupina, przejechał się kolejką wąskotorową do Żnina i do Gąsawy, zwiedził muzeum kolejnictwa w Wenecji, następnie, syty wrażeń, przenocował w gospodarstwie agroturystycznym w Wenecji i rankiem drugiego dnia kontynuował podróż.

Na drodze z Płocka do Warszawy natknął się na patrol policyjny, który go zatrzymał. Sprawę załatwił robot, podsuwając pod oczy funkcjonariuszy drogówki hipnotyzujący żeton. W dalszej drodze Donat miał nieprzyjemne wydarzenie ze ścigającymi się motocyklistami, wyczyniającymi niezwykle harce na drodze, stwarzając tym samym zagrożenie dla podróżnych. Donat odetchnął z ulgą, kiedy motocykle go wyprzedziły i pognały w dal. Niestety, po kilkunastu kilometrach natknął się na nie ponownie w przydrożnym zajeździe. Kierowcami byli młodzi i bardzo pewni siebie młodzieńcy.

Donat nie zatrzymywał się w tym miejscu, patrzył tylko na grupę mężczyzn szczyjących się swoimi motocyklami. Za chwilę w tylnym lusterku ujrzał zbliżające się ku niemu maszyny, postanowił zatem dać chłopakom nauczkę. Kiedy motocykliści w szaleńczym pędzie zaczęli wyprzedzać jego samochód, robot uruchomił urządzenie wygaszające silniki tych pojazdów. Widać było, jak zaczęły zwalniać i po pewnej chwili kolejno nieruchomiały na poboczu. Donat mijał motocyklistów, śmiejąc się w kułak. Silniki ich maszyn odzyskują sprawność dopiero po dwóch godzinach, do tego czasu nie da się ich w żaden sposób uruchomić. Jednocześnie robot wyciszył ich telefony komórkowe i połączył je ze sobą, w słuchawkach rozległ się głos, który pouczał ich właścicieli przed jazdą z nadmierną szybkością i niestosowaniem się do obowiązujących przepisów ruchu.

Do stolicy Donat dotarł przed południem. Robot nie był mu już potrzebny, jeszcze przed miastem zatrzymał się i odesłał go poprzez portal teleportacyjny na pokład czasolotu. Będzie mógł go wezwać w każdej chwili, w tym celu zatrzymał sobie przecież mały pręt z ukrytym w nim urządzeniem przesyłowym. Donat zatrzymał się w hotelu na ulicy Jana Pawła II 21. Hotel był pięciogwiazdkowy i nosił nazwę The Westin Warsaw. Pokój kosztował go dwieście siedemdziesiąt pięć złotych za dobę, pieniądze nie stanowiły jednak dla niego problemu - zabrał ze sobą wiele wyrobów ze złota, które mógł w razie potrzeby spieniężyć w lombardzie lub w kantorze. W każdej chwili mógł też otrzymać nowe dostawy takich wyrobów ze statku, wystarczyło tylko przesłać informację do bazy i na sygnał otworzyć portal.

Ten dzień Donat spędził na mieście, a kiedy wrócił, zjadł obiad w hotelowej restauracji. Warszawy nie widział od prawie dwóch lat, jednak przez rok od jego zniknięcia tak wiele się w niej nie zmieniło. Zastanawiał się tylko, czy ludzie, którzy go znali wcześniej, poznaliby go teraz - przecież zmienił się bardzo, był obecnie młody i bogaty.

Kolejne dni spędził na wycieczkach po mieście, odwiedził miejsca, które znał, osiedla, w których mieszkał, sfilmował wszystko, przy okazji zakupił wiele książek, które poprzez portal przesłał na statek. I tak zeszło mu w tym mieście półtora tygodnia. Kiedy znudził się Warszawą, postanowił pojechać do Kudowy Zdroju, ponieważ lubił tę miejscowość i znał okoliczne górskie szlaki, stamtąd można było bez problemu przedostać się na drugą stronę granicy do Náchodu, leżącego w Republice Czeskiej, i jeszcze dalej. Donata szczególnie nęcił górski szlak wiodący wzdłuż linii umocnień czechosłowackich z tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku. Lubiał patrzeć i zwiedzać te stare bunkry, można było się przejechać podziemną kolejką łączącą je, z góry natomiast otwierał się widok na Karkonosze. Poza tym Czesi wytwarzali bardzo dobre piwo, sprzedawane taniej niż w Polsce, czeska kuchnia także odpowiadała Donatowi.

Zanim jednak wybrał się w tę daleką podróż, pojechał jeszcze nad Zalew Zegrzyński do Białobrzegów, w których odbywał kiedyś służbę wojskową. Przy okazji chciał powąłęsać się po okolicznych lasach, obfitujących w grzyby i borówki. Tego dnia wstał wcześniej, zjadł śniadanie w hotelowej restauracji, później wyruszył swoim samochodem przez zapchane ulice na północ. Kiedy znalazł się wreszcie nad zalewem, pojechał dalej, minął Rynię, skręcił w betonową drogę prowadzącą przez sosnowy las do Beniaminowa i zatrzymał wóz na leśnym

parkingu. Opuszczając samochód, Donat włączył urządzenia ochronne; mercedes żył teraz swoim własnym życiem. Wyleciała z niego niewidoczna dla otoczenia miniaturowa muszka kameleon, która ukryta wśród kory najbliższej sosny, przekazywała obraz i dźwięk bezpośrednio na jego odbiornik, przypominający z wyglądu telefon komórkowy. Po skończonej akcji powróci niezauważalnie do pojazdu Donata.

Donat spacerował przez półtorej godziny po lesie, zapuszczając się w znane sobie od lat zakamarki i przypominając sobie stare czasy, kiedy w pewnej chwili otrzymał informację i telewizyjny przekaz z zaparkowanego samochodu. Okazało się, że jego wóz stał się obiektem zainteresowania kilku osiłków, którzy wjechali na parking swoimi samochodami. Nadszedł zatem czas powrotu, jednocześnie Donat ciekawy był, jak jego mercedes poradzi sobie ze złodziejami. Ci obeszlą zaparkowany wóz dookoła. Jeden stał na warcie, obserwując najbliższą okolicę, a kiedy uznali, że nikt ich nie obserwuje, przystąpili do działania.

Wóz, zbudowany z materiałów przyszłości, był odporny na wszystkie wysiłki włamywaczy. Otoczony wokół karoserii kilkumilimetrowym polem siłowym, był nie do zdobycia. Wszelkie wysiłki złodziei okazały się daremne, nie pomogły wypróbowane dawniej metody, także łom nie był w stanie zarysować karoserii, a szyby nie dały się wybić. W tej sytuacji spróbowano zabrać z parkingu samochód, przyczepiając go do innego. Okazało się jednak, że o ile da się zamocować linę holowniczą na samochodzie terenowym złodziei, o tyle jej umocowanie na mikrobusie było niemożliwe, lina stale się ześlizgiwała. Próbowano zatem wypchnąć samochód, lecz okazał się tak śliski, że nie można go było w żaden sposób uchwycić. W tej sytuacji szef bandy rozkazał pozostawić pojazd w spokoju, chciał gdzieś w pobliżu poczekać na jego właściciela lub właścicieli. Był pewien, że dadzą sobie radę, ponieważ byli uzbrojeni, herszt szajki posiadał pistolet. Nie wiedzieli jednak, z kim mieli do czynienia i co ich czeka.

Donat był doskonale poinformowany o tym, co się dzieje, ponieważ stale obserwował telewizyjny przekaz przesyłany z małej muszki. Po dwudziestu minutach wyszedł na drogę prowadzącą do swojego wozu, na wszelki wypadek włożył na ręce pierścienie wzmacniające siłę. Nie obawiał się wystrzelonej kuli, ponieważ założył na głowę specjalną czapkę, która wytworzyła wokół niego niewidzialne pole siłowe, reagujące na twarde i ostre materiały. Mógł przy tym brać wszystkie przedmioty do ręki, witać się, jednak każda kula wystrzelona w jego kierunku czy też wytworzone przez wybuchający granat lub bombę zmiany ciśnienia

oraz odłamki zatrzymywały się lub grzęzły bezpowrotnie w tym polu.

Zbliżył się do swojego pojazdu i otworzył drzwi do szoferki, w tej samej chwili z samochodów wysiedli złodzieje i ruszyli w jego kierunku. Było ich razem sześciu, po dwóch w każdym samochodzie. Donat wsiadł do wozu i spoczął na fotelu, drzwi zabezpieczyły się automatycznie polem siłowym. Najgrubszy z bandy próbował go uchwycić za ubranie i wyciągnąć z kabiny, lecz nie udało mu się to, ponieważ jego ramię nie pokonało siłowej przegrody. Kolejny chwyt także był nieudany.

- Panowie, o co chodzi, czego chcecie ode mnie i mojego wozu? - rzucił pytanie Donat.

- Wysiadaj, ale to już, albo dostaniesz kulkę - odpowiedział podniesionym głosem herszt bandy, wyciągając pistolet i kierując go w jego stronę.

Rozległy się teraz groźby i przekleństwa wypowiedane przez jego kompanów.

- A więc o to chodzi, chcecie mnie ograbić. Ale niedoczekanie wasze, zetknęliście się z siłą, której nie poradzicie, a ja oczyszczę trochę ten kraj z oprychów - powiedział spokojnym głosem Donat.

W chwili, kiedy wypowiadał te słowa, jego ręka szybkim ruchem pokonała siłową kurtynę, a zaciśnięta pięść wylądowała na twarzy prowadzącego. Uderzony, poleciał w tył i zwałił się na ziemię. W tej samej chwili inny próbował uchwycić atakującego, lecz zapora okazała się dla niego nie do przebycia. Kolejny widząc, co się dzieje, podniósł pistolet i strzelił do Donata. Kula ugrzęzła w polu siłowym i opadła na ziemię. To samo stało się z dwoma innymi pociskami. W tej samej chwili Donat rozszerzył zasięg pola, które objęło atakujących i zamknęło ich w paraliżującym uścisku.

Wysiadł teraz z samochodu i podchodził kolejno do unieruchomionych bandytów. Na niego siłowa zapora nie działała. Mógł ich także sparaliżować poprzez oddziaływanie na ich mózgi, ale zastosowane rozwiązanie było w tej chwili dogodniejsze. Po kolei rewidował zastygłych w dziwnych pozach mężczyzn i wyrzucał na ziemię zawartość ich kieszeni. Zabrał pistolet, znalazł kilka kastetów, łom, dwie maczety i dwie pałki typu tonfa oraz sześć noży,

osobno potraktował znalezione przy nich pieniądze. Oprócz praw jazdy i dowodów rejestracyjnych ci panowie innych dokumentów nie mieli, a i te zapewne były sfalszowane.

- No tak, wszyscy uzbrojeni, zapewne w samochodach znajdzie się więcej takich rzeczy, ale samochody jednak stracie - zakomunikował Donat, kończąc rewizję.

Po tych słowach wy dobył z samochodu mały aparat, przypominający latarkę wielkości wiecznego pióra, skierował jego wylot na leżące przedmioty i wcisnął guzik. Przedmioty w mgnieniu oka rozpadły się w pył. Teraz pozostawił zasklepionych w polu złodziei i kolejno sprawdzał ich samochody. To, co w nich znalazł, utwierdziło go w przekonaniu, że ma do czynienia z niebezpieczną bandą. Skierował na pierwszy samochód latarkę i patrzył, jak zamienia się on w pył, po chwili to samo stało się z innymi wozami. Powrócił teraz do stojących mężczyzn, z samochodu wyjął drugi aparat i skierował go na głowę prowadzącego, za moment otrzymał dane.

- Ireneusz Kleisty, urodzony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku, w... - odczytywał kolejne informacje. Później szczytał dane personalne członków jego bandy.

- No to już wiemy, z kim mamy do czynienia - o ile się nie mylę, to nazwiska i adresy na dowodach rejestracyjnych i prawach jazdy były jakieś inne - rzucił. Później odczytywał im, jakie popełnili wykroczenia. - Przekazuję te dane wraz ze zdjęciami do bazy danych policji, najlepiej byłoby jednak, abyście sami się tam zgłosili - powiedział. - Na pamiątkę tego spotkania zostawię wam wizytówki - wypowiadając te słowa, kierował kolejno wylot płaskiego urządzenia w stronę ich twarzy i wypalał na czołach każdego z nich kreskowy kod przypisanych im numerów PESEL. Później, aby zademonstrować im swoją siłę, podszedł do złamanej dość grubej sosny, bez trudu wyrwał jej pień z ziemi i rzucił go na drogę.

Kiedy skończył, wszedł do samochodu, uchylił okno i wyłączył pole siłowe. Uwolnieni mężczyźni zwalili się na ziemię.

- Chyba nie chcecie się już więcej ze mną spotkać? - zaśmiał się przymilnie, wpatrując się w twarze leżących. - Nie mogę już na was patrzeć, dlatego wypędzam was z tego miejsca.

Po tych słowach wyrzucił na ziemię mały, okrągły przedmiot. Kiedy samochód



odjechał kilka metrów dalej, błysnęło coś z tyłu i w tej samej chwili jakby diabeł wstąpił w ciała mężczyzn. Z panicznym strachem na twarzach zerwali się gwałtownie z ziemi i z niesamowitą prędkością, nie zważając na doły, kałuże, krzaki i inne przeszkody, rozbiegli na wszystkie strony, przewracając się w tym szaleńczym biegu i natychmiast podnosząc, aby gnać dalej. Donat wiedział, że będą tak pędzić na złamanie karku przez około pół godziny, zanim ostatecznie ustanie działanie fal psycho, oddziaływujących na ich mózgi. Promień rażenia granatu był dość duży i mógł być regulowany przed wyrzuceniem lub wystrzeleniem, jednak sam czuł się bezpiecznie, gdyż jego samochód był chroniony przed ich działaniem.

Do Kudowy Zdroju Donat udał się następnego dnia. Nie spieszył się zupełnie, bo i po cóż, raz jechał głównymi drogami, raz podrzędnymi, ponieważ chciał przyjrzeć się mijanej okolicy. W pewnej chwili natknął się na patrol policji, ci zatrzymali go, a później poprosili o dokumenty. Donat chciał sprawdzić, czy będą w stanie doszukać się jakichś błędów w spreparowanych przez droidy wywiadowcze papierach. Miały one wmontowany w plastik lub w papier niewidoczny, mikroskopijny chip, który powodował, że każdy odczyt lub zapis w dowolnym urządzeniu elektronicznym potwierdzał zapisane na dokumentach dane. Po upływie kilku minut zapis był też automatycznie wymazywany na dysku komputera obsługującego dokumenty. Okazało się jednak, że wszystko jest w należyтым porządku i policjanci pozwolili mu odjechać.

Do miejsca przeznaczenia dojechał późnym popołudniem, znalazł sobie kwaterę, a później poszedł na miasto, aby zjeść kolację w jakiejś restauracji.

W Polsce Donat przebywał wiele miesięcy. Nie miał problemów finansowych, dysponując dużymi kwotami. Wspomógł pieniędzmi hospicja i domy opieki społecznej oraz sierocińce. Żyjąc w cywilizowanym świecie, chciał rozpoznać możliwości urządzeń Zielonego Psa, pochodzących z tak odległej czasowo przyszłości. W tym celu postanowił zająć się penetracją baz danych ważniejszych instytucji, wcześniej dokonały tego wystrzelone ze statku sondy. Teraz należało tylko przejrzeć i posegregować te informacje.

Przy okazji weryfikacji danych dobrał się do skóry kilku szajkom przestępczym, które pomogła mu wykryć unosząca się nad krajem sonda. Odczytała dane osobowe przestępców z policyjnych baz danych, inne urządzenia wywiadowcze przeprowadziły rozpoznanie na miejscu i skopiowały zawartość pamięci mózgow wybranych osób. Kiedy okazało się, że

mają coś na sumieniu, spenetrował ich konta bankowe i przelał złożone tam pieniądze na konta ośrodków pomocy i inne. Nie było to trudne, ponieważ wszystkich manipulacji dokonywały automatycznie urządzenia Zielonego Psa i współpracującej z nim sondy.

Donat do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak wielkie posiadał możliwości ingerowania w ten świat. Czasami, dla sprawdzenia sprawności swoich robotów, wysyłał je w teren - podszywały się pod przestępców i przesyłały z poczty przekazy oraz dokonywały przelewów w bankach. Wyobrażał sobie przy tym wściekłość przestępcy, kiedy sprawa wychodziła na jaw, a zarówno śledztwo prowadzone przez poszkodowanego, jak i weryfikacja podpisów wskazywały, że przelewu dokonał on sam osobiście.

Z innych dokonań należałoby wspomnieć penetrację zawartości dysków komputerów ambasady rosyjskiej w Polsce i przesłanie danych do placówki polskiego kontrwywiadu w stolicy.

Donat lubił lasy, toteż kiedy w swoich leśnych wędrówkach spostrzegł, jak strasznie są zaniedbane i zdewastowane, a przecież miał porównanie z lat dzieciństwa, bawił się czasami w straszenie myśliwych polujących na zwierzęta. Napuszczał wtedy na nich robota lub roboty, które przybierały postacię wielkich, czarnych lwów. Z przyjemnością obserwował na ekranie swojego odbiornika przestraszonych i paniczną ucieczkę pewnych siebie mężczyzn. Nawet wspinaczka na ambony nie pomagała, ponieważ „zwierzęta” potrafiły je obalić lub poprzegryzać podpory. Myśliwi zawsze wychodzili z tych opałów cało, jednak polowania w nawiedzonych lasach ustały, natomiast policja i służby leśne rozpoczęły penetracje terenów w poszukiwaniu niebezpiecznych zwierząt. Straszyl też upodobnionymi do leśnych strażników robotami osoby dokonujące dewastacji lasów i środowiska, a zwłaszcza tych rozjeżdżających quadami leśne drogi.

W ten sposób zdobył niezbędną wiedzę na temat możliwości urządzeń swojego statku. Prawdę zatem mówił witający go w nim fembot - Donatowi głęboko w pamięć zapadły wtedy jego słowa, wypowiedane miękko i melodyjnym głosem: Dysponując tym statkiem, staniesz się niewątpliwie najpotężniejszą istotą na Ziemi. Mamy nadzieję, że mądrze wykorzystasz posiadaną władzę.

Donat postanowił spenetrować pozostałe zakątki tego świata, oglądał telewizyjne

przekazy, interesował się wybuchającymi konfliktami i zaistniałymi kataklizmami. Z raportów przygotowanych dla Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców (UNHCR), z którymi się zetknął, wynikało, że nadal istniało niewolnictwo, które przynosiło handlarzom ludźmi miliardowe zyski, najbardziej w tym niechlubnym procederze były poszkodowane istoty najsłabsze - kobiety i dzieci. Mając na uwadze te wszystkie wydarzenia, zastanawiał się, jak tym wszystkim ofiarom może pomóc i jak w tych dokonaniach pomocny mu będzie Zielony Pies i jego wyposażenie.

Nie chciał jednak mieszać się w ziemskie wojny tej epoki, ponieważ znał wprost nieograniczone możliwości swojego statku. Ujawnienie jakiejś niezwyklej broni mogłoby mu przynieść więcej szkody niż pożytku, musiał być zatem bardzo ostrożny i przewidujący. W tej sytuacji postanowił rozejrzeć się na kontynencie afrykańskim, gdzie dochodziło do najdrastyczniejszych zdarzeń.

Aby powrócić na pokład Zielonego Psa, Donat musiał udać się nad Bałtyk. Daleka to była droga (jego ostatnim miejscem pobytu był Kraków). Mógł ją przebyć bardzo szybko, lecąc na małej wysokości nad ziemią, wybrał jednak inny wariant. Nie wiedząc, kiedy jeszcze wróci do kraju, wybrał podróż na północ swoim samochodem.

Siedząc za kierownicą, obserwował mijany krajobraz. Było już bardzo chłodno, ponieważ nadszedł początek lutego, drogi śliskie i ośnieżone, jednak dla samochodu przyszłości nie stanowiło to żadnego problemu. Obraz szosy widziany przez szyby wozu był bardzo wyraźny, komputer włączył bowiem przekaz elektroniczny. Nie było także kłopotu z przyczepnością kół, ponieważ pojazd napędzany był silnikiem grawitacyjnym, a komputer dbał o bezpieczeństwo maszyny, niwelując wszelkie poślizgi w ten sposób, że unosił ją w takiej sytuacji minimalnie ponad drogę.

Pilotujący wóz komputer ostrzegał go także o wszelkich niebezpieczeństwach, takich jak zakręty, dziury w nawierzchni, a także o stojących na poboczu patrolach. Zresztą, prawdę mówiąc, samochód prowadził automatyczny kierowca, rola Donata sprowadzała się tylko do obserwacji terenu.

Po kilku godzinach jazdy w deszczu pojazd wjechał na drogę prowadzącą do Gdańska, teraz pojechało się szybciej. W okolicach Bydgoszczy dostrzegł go dwuosobowy patrol

policyjny. Jeden z policjantów wyskoczył na szosę z lizakiem, samochód potoczył się wolniej, jednak Donat nie miał ochoty na rozmowę i kazał policjanta ominąć. Zaskoczony tym nieoczekiwanym manewrem funkcjonariusz powrócił do swojego radiowozu, komputer przejął jednak rozmowę i zablokował przesłanie informacji dalej. Radiowóz ruszył w pościg za nim, jednak mimo że policjanci starali się jechać szybko, nie mogli dogonić uciekającego wozu. Po podjechaniu na odległość dwudziestu metrów silnik radiowozu tracił nagle moc i pojazd zwalniał. Spróbowali namierzyć i sfotografować uciekiniera, jednak na ekranie fotoradaru nie pojawiał się obraz samochodu, a tylko szosa przed nimi. Nawet przez lornetkę nie udało się zobaczyć kierowcy ani odczytać numerów rejestracyjnych, wszystko zlewało się jakoś dziwnie i pulsowało w oczach.

Donat ucieszył się z tej chwilowej rozrywki. Samochód miał jeszcze wiele ukrytych niespodzianek, które chciał zaprezentować policjantom. Aby oderwać się od pościgu, kazał automatycznemu kierowcy zjechać na najbliższym zakręcie na orne pole. Maszyna bez najmniejszego problemu pokonała rów i „jechała” spokojnie po zagonach gdzieś w dal. Radiowóz musiał jednak zahamować.

Kiedy samochód stał się niewidoczny z drogi, Donat włączył urządzenia maskujące, co spowodowało, że samochód zrobił się niewidzialny. Powrócił teraz na szosę w miejscu, gdzie już jechał, zrzucił maskowanie i ruszył ponownie w drogę. Po chwili natknął się na stojący radiowóz i zdezorientowanych policjantów. Podjechał bliżej i zamrugał na nich światłami. Ośłupieli na moment, ale po chwili sięgnęli po broń i skierowali ją w stronę wozu. Samochód otoczył się polem siłowym i kontynuował jazdę, wystrzelone pociski nie zostawiły na nim najmniejszego śladu. Policja kontynuowała pościg, starając się jednocześnie poinformować bazę o zdarzeniu. W tej sytuacji komputer wozu Donata stał się bazą, wyciszając wysyłane przez radiostację radiowozu sygnały radiowe.

Zabawa trwała dalej. Mimo że Donat nie jechał szybko, policyjny radiowóz nie był w stanie go wyprzedzić, choć nie stanowiło to problemu dla innych aut. Po chwili komputer uruchomił pole grawitacyjne z tyłu samochodu, które rozciągnęło się na trzydzieści metrów za nim, „tworząc” nierówności terenu. Stanowiło to zupełne zaskoczenie dla policjantów, kiedy ich samochód trząśł się na „równej” drodze i wpadał w niewidoczne koleiny. Droga prowadziła teraz przez las; wtedy uciekający samochód przyspieszył nagle i zniknął za najbliższym zakrętem. Kiedy radiowóz minął zakręt, szosa okazała się pusta.

Zdezorientowani policjanci zwolnili i zaczęli śledzić pobocza, jednak nigdzie nie było zjazdu na leśną drogę, a mimo to ścigany pojazd zniknął bezpowrotnie, tak jakby się rozplynął w powietrzu.

Wóz Donata objawił się na szosie dziesięć kilometrów dalej - tę odległość pokonał w powietrzu, lecąc na wysokości kilkudziesięciu metrów nad drogą, niewidoczny dla nikogo. Donat miał już na dzisiaj dość zabawy i starał się teraz nadrobić stracony czas.

Nad morzem znalazł się po południu. Bałtyk był wzburzony, wiał silny wiatr, niepogoda nie stanowiła jednak przeszkody dla pojazdu Donata - w ustronnym miejscu samochód stał się niewidzialny. Automatyczny pilot prowadził teraz wóz nad wzburzonym morzem na wysokości stu metrów, grawitacyjny sygnał wysyłany z Zielonego Psa wiódł go bezbłędnie do celu. Po chwili zanurzył się i na głębokości trzydziestu metrów dotarł do luku towarowego chronolotu, a za moment zniknął w burcie statku, która się za nim bez śladu zasklepiła.

Donat cieszył się bardzo z powrotu. Najpierw jednak przeszedł dezynfekcję, odesłał pojazd do luku transportowego, a towarzyszącego mu przy wcześniejszych czynnościach robota do hali magazynowej, potem w sterowni poprosił komputer pokładowy o sprawozdanie ze stanu urządzeń statku. Wysłuchał informacji, okazało się jednak, że wszystko jest w porządku, zatem Donat udał się na pokład mieszkalny. Kiedy otworzyły się podwoje tego piętra, zobaczył z przyjemnością swój ulubiony krajobraz z Wyspy Wielkanocnej. Powędrował teraz do ukrytego w oddali domku, w którym czekał już na niego fembot domowy.

Powiedział „dziewczynie”, co chciałby zjeść i kiedy należy podać do stołu. Kiedy robot krzątał się po kuchni, Donat wykapał się, później przebrał się w domowe ubranie i powrócił do kuchni. Dał znak Iwonie i ta zaczęła znosić na stół potrawy. W czasie kiedy przebywał w swoim ojczystym kraju, codziennie przysyłał przez portal teleportacyjny do magazynów Zielonego Psa zakupione artykuły. Gromadzone one były, w zależności od przeznaczenia, albo w spizarni, albo w bibliotece lub w magazynach. Dzięki temu spizarnia czasolotu była dobrze zaopatrzona w najwykwintniejsze artykuły spożywcze: słodczyce, kawę, herbatę, alkohole.

Donat spędził przyjemny wieczór. Zielony Pies stał się jego domem, do którego zawsze wracał z przyjemnością. Rankiem pojawił się w sterowni, aby kontynuować podróż.

Statek przemieszczał się pod wodą, jednak Cieśniny Duńskie pokonał w powietrzu, zamaskowany i w ulewnym deszczu. Kiedy zanurzył się w wodach Morza Północnego, popłynął przez Cieśninę Kaletańską, oddzielającą Francję od Wielkiej Brytanii. Komputer podpowiedział mu, że w okresie obliczanym na dwieście-czterysta pięćdziesiąt tysięcy lat temu, trwająca w jakimś tysiącleciu przez szereg miesięcy, a może i dłużej olbrzymia powódź, spowodowana przez wody wyciekającego na zachód polodowcowego jeziora, przebiła stary, kredowy grzbiet, łączący dawniej Brytanię z kontynentem, i uczyniła ją wyspą. Po wypłynięciu na szerokie wody Oceanu Atlantyckiego statek zmierzał w kierunku Wysp Kanaryjskich i jeszcze dalej.

Donat w młodości zaczytywał się książkami Juliusza Verne'a, bardzo mu się podobało jego Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi. Przypomniał sobie zatem, jak któregoś dnia kapitan Nemo zaprosił profesora Piotra Aronnaxa na podwodną eskapadę po zatopionym kontynencie Atlantydy. Donatowi bardzo się podobała ta opowieść i koniecznie chciał sprawdzić, czy rzeczywiście kapitan Nemo się nie mylił. Poza tym zastanawiał się, czy uda mu się odkryć taką wspaniałą kryjówkę w podmorskim wulkanie. Ta fikcyjna postać powinna być bliska sercu każdego Polaka, ponieważ Verne w swoim rękopisie nadał kapitanowi polskie obywatelstwo. Był to według niego arystokrata, powstaniec, któremu rosyjscy żołnierze okrutnie potraktowali rodzinę, a przyjaciele zesłali na Syberię, on sam natomiast zmuszony był udać się na banicję. Jednak z obawy o utratę rynku rosyjskiego wydawca zmienił obywatelstwo głównego bohatera.

Niestety, nie udało się Donatowi przeżyć takich wspaniałych chwil jak wymienieni bohaterowie Nautilusa, podróżujący nad zatopionym lądem Atlantydy. Nie napotkał też podmorskiego wulkanu, stanowiącego bazę dla tego okrętu, toteż kiedy znalazł się u wybrzeży Afryki w Zatoce Gwinejskiej, zaczął się zastanawiać, co ma czynić dalej. Kusiła go Gambia jako państwo, w którym powstała w połowie siedemnastego wieku kolonia lennika Polski - Zakonu Kawalerów Mieczowych. Polską historię miał także Kamerun, w którym w początkach lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku polski podróżnik - Stefan Szolc-Rogozieński - czynił starania, aby rząd brytyjski w Londynie uznał odkryte i zbadane przez niego tereny tego kraju za polską kolonię. W latach trzydziestych dwudziestego wieku

władze polskie również marzyły o zdobyciu kolonii zamorskich, w tym celu utworzono nawet „Ligę Morską i Kolonialną”. Planowano zdobycie kolonii dla Polski między innymi w Afryce, i to w takich krajach jak: Liberia, Angola, Mozambik, a także Togo i Kamerun oraz Madagaskar, niestety bez powodzenia.

Do Zatoki Gwinejskiej wpadały dwie wielkie rzeki afrykańskie: Niger i Wolta. Donat postanowił przedostać się czasolotem bardziej w głąb kraju, na obszary położone na styku schodzących się granic Republiki Federalnej Nigerii z Republikami Czadu, Kamerunu i Nigru. W ciągu nocy Zielony Pies przemieścił się w wybrane miejsce, lecz ponieważ teren był zbyt nizinny, Donat skierował statek nieco wyżej, gdzie przy granicy Kamerunu z Republiką Środkowoafrykańską rozpościerały się większe pasma górskie, z najwyższym wzniesieniem przekraczającym tysiąc czterysta metrów. Od kwietnia następował tutaj początek pory deszczowej, a to sprzyjało ukryciu czasolotu, okoliczne drogi stawały się nieprzejezdne. Szata roślinna tych terenów była raczej skąpa, toteż Donat trochę musiał się natrudzić, zanim znalazł odpowiednie miejsce do posadzenia na nim statku. Ostatecznie ukrył go we wgłębieniu na trudno dostępnej górze i zakrył kurtyną holograficzną; nikt spoglądający na ten teren nie domyśliłby się, co skrywa szczyt góry. Od chwili wylądowania to miejsce stało się bazą wypadową dla Donata, zamierzającego rozejrzeć się po krajach Afryki.

Donat odbywał dość długie eskapady zwiadowcze, zwykle posługiwał się przy tym transporterem, który zamaskowany polem ochronnym, był niewykrywalny zarówno przez ludzkie oczy, jak i radary. W podróży towarzyszyły mu dwa roboty bojowe, sam także ubierał się w kombinezon, który zapewniając mu bezpieczeństwo, chronił go jednocześnie przed upałem. Donat obserwował toczony przez sąsiadujące ze sobą afrykańskie kraje lokalne wojny, widział nędzę i głód mieszkańców Afryki. Czasami starał się im pomóc, sprowadzając deszcz na wyschnięte tereny lub niszcząc szarańczę. Nie miał z tym najmniejszych problemów, ponieważ urządzenia techniczne, w które wyposażony był transporter, pozwalały mu na podejmowanie różnorodnych działań. Sztuczne pole grawitacyjne ściągnęło na wybrany teren burzowe chmury, szarańczę zniszczył mikrofalami nastrojonymi na DNA tych żarłocznych owadów. Zawsze jednak starał się, aby nikt nie odkrył jego transportera.

Podjął także walkę z zagranicznymi firmami eksploatującymi surowce Afryki. Właściciele tych firm i ludzie nimi zarządzający absolutnie nie liczyli się z odczuciami miejscowej ludności, mało tego, często traktowali Murzynów jak niewolników. W takiej

sytuacji Donat starał się ściągnąć odpowiednie sumy z kont takich firm i przekazywał je na konta placówek misyjnych, działających na tych terenach. Starał się także, aby powstawały nowe. Był bardzo zatroskany losem dzieci, które często były traktowane jak mali niewolnicy, sprzedawane w niewolę lub na ofiary dla murzyńskich szamanów czy wykorzystywane seksualnie. W takiej sytuacji straszył handlarzy ludzkim towarem, a zwłaszcza krwiożerczych szamanów, tym bardziej że Afryka miała także swoje tajemnice. Mówiło się o nieznanym drapieżniku, nazywanym w różnych obszarach tego kontynentu Chimisit, Mngwa, niedźwiedź z Nandi - i wiele innych<sup>4</sup>.

Na trudno dostępnych terenach Republiki Środkowoafrykańskiej oraz w górach rozciągających się na północy Republiki Czadu żyć miały jeszcze obecnie także jakieś przeżytki tygrysów szabłozębnych.

Donat wykorzystywał te pogłoski dla własnych celów i czasami przemieniał robota w takie legendarne zwierzę i naprowadzał na tereny, gdzie działali szamani lub handlarze niewolników. „Zwierzęta” te stawały w obronie ludzi prześladowanych, odbierały niewolników, a czasami wymierzały dotkliwe kary. Jednego razu Donat użył specjalnej broni, aby zniszczyć oddziały murzyńskich najemników, zmierzające do rozprawienia się z mieszkańcami sąsiednich wsi, zamieszkałych przez ludność z innego plemienia. Pamiętał przecież, co działo się w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym w Rwandzie i Burundi, podczas wojny plemiennej pomiędzy Tutsi i Hutu, kiedy poniosło śmierć prawie milion ludzi. Zupełnie przypadkowo, podczas jakiegoś przelotu, urządzenia zwiadowcze transportera wykryły otaczające murzyńską wieś uzbrojone oddziały; Donat zatrzymał transporter i skierował go w tym kierunku. Kiedy rozpoczęło się ostrzeliwanie wioski przez napastników, Donat wystrzelił z transportera kilka małych pocisków, które rozrywając się nad ziemią, nad głowami napastników, wyrzuciły z siebie biały dym. Miał on chyba coś wspólnego z antymaterią, ponieważ kiedy opary opadły na ludzi, ich ciała zaczęły się rozpadać, wśród błękitnych wyładowań zamieniając się błyskawicznie w pył. Po kilku minutach pozostały po nich tylko ubrania, wyposażenie i broń, ciała zniknęły bez śladu.

Donat zdawał sobie doskonale sprawę, że nie zbawi świata. O takiej walce z wiatrakami przeczytał kiedyś w książce braci Arkadego i Borysa Strugackich Trudno być bogiem. Przypomniawszy sobie, jak to wysoko zaawansowana cywilizacja wysyłała swoich przedstawicieli na inne planety, mniej rozwinięte technicznie i społecznie lub wręcz



pogrążone w mrokach barbarzyństwa, w celu śledzenia zachodzących na nich zmian i stymulowania postępu. Jeden z tych wysłanników próbował ingerować w rozwój cywilizacyjny istniejących królestw, chcąc ochronić świątłych i uczonych ludzi przed próbującymi ich zniszczyć barbarzyńcami, obawiającymi się istotnych przemian społecznych. W ostatecznym rozrachunku ponosi jednak totalną klęskę, gdyż władcy feudalnych królestw okazują się bardziej przebiegli i inteligentni od wysłanników kosmicznej cywilizacji. Ciekawa też była dyskusja na temat społeczeństwa szczęśliwego, prowadzona przez miejscowego uczonego, Budacha, z tym ziemskim wysłannikiem, który przybrał „roboczy” tytuł szlachcica Rumaty z rodu Rumatów Estorskich.

Czy Donat mógłby coś zmienić w życiu ludzi zamieszkujących Ziemię różnych epok, i to w sposób niemający wpływu na ingerencję w przyszłość? Zastanawiał się długo nad tym problemem, lecz nie znalazł na to pytanie odpowiedzi, postanowił jednak, że w przyszłości, kiedy zdobędzie bardziej dogłębną wiedzę w obszarze tematyki społecznej, powróci do tego tematu. Na pewno pomocne mu w tym będą zbiory archiwalne złożone w bibliotece Zielonego Psa. Przecież tak rozwinięta cywilizacja przyszłości musiała wypracować jakieś rozwiązania społeczne. A może tymi rozwiązaniami okazała się budowa kosmicznych miast i ucieczka wybrańców w odległy kosmos, a później zbudowanie wehikułu czasu?

Donat spędził jeszcze kilka miesięcy w tym czasie, podróżując po różnych kontynentach i obserwując zachodzące zmiany zarówno w środowisku geograficznym, jak i społeczne. Bardzo martwił się postępującą degradacją środowiska naturalnego, pamiętał bowiem, jak wyglądała Ziemia w epokach, które zwiedzał w przeszłości. Bardzo podniecała go także świadomość, że dzięki wehikułowi czasu będzie miał możliwość rozwikłać wiele zagadek z przeszłości Ziemi i powstania rodzaju ludzkiego. Natchniony tą myślą, postanowił opuścić współczesny czas i zagłębić się w jego otchłań.

## **Wrota czasu**

Z chwilą pozyskania Zielonego Psa, który stanowił klucz do wrót czasu, jego ocean otworzył się przed Donatem. To była wielka, niezmierna głębia, w której zatonała mityczna

wyspa Mu, Atlantyda oraz inne legendarne krainy. Wehikuł czasu stwarzał mu niepowtarzalną okazję do rozpoczęcia takich poszukiwań, a przy okazji możliwości dotarcia w czasie do starożytnego Sumeru, naocznego sprawdzenia, kto i w jaki sposób zbudował piramidy Egiptu, jak powstało Mohendžo-Daro nad Indusem i czy miasto to rzeczywiście zbudowali Drawidowie. Dzięki niezwyklej maszynie będzie mógł zapoznać się ze zbiorami bibliotek starożytności, między innymi babilońskiej i aleksandryjskiej, pozwoli mu ona także poznać cywilizacje kontynentu amerykańskiego. Zaistnieje możliwość sprawdzenia, kim byli pierwsi mieszkańcy Ameryki Północnej, czy oprócz przybyszy z Azji dotarli tam podczas zlodowacenia także jacyś ludzie z Europy. Jaki przebieg miało zasiedlanie tego olbrzymiego kontynentu i czy kolonizacja Ameryki Południowej przebiegała także od zachodu i była związana z zasiedlaniem wysp Pacyfiku?

Donat marzył o poznaniu budowniczych Tiahuanaco i sprawdzeniu, czy założycielami „miasta cyny” (TI. ANAKU) byli rzeczywiście bogowie. Chciał też zobaczyć, jak przebiegało zniszczenie pozostałości tego starożytnego miasta w roku tysiąc sześćset dwudziestym piątym, dokonane przez kościelną Komisję do spraw Zniesienia Bałwochwalstwa i Pokuty, ustanowioną przez Hiszpanów, a stanowiącą pretekst do szukania ukrytych skarbów<sup>5</sup>. Interesującym byłaby także historia powstania na północy Peru u stóp Andów, na stokach Cajamarquilla, dziwnego pasa wyglądającego z góry jak perforowana taśma, wykonana przez jakąś maszynę, ciągnącego się kilometrami przez wzgórza i wzniesienia. Każda z tych dziur w „taśmie” ma bowiem około sześćdziesięciu centymetrów średnicy i metr siedemdziesiąt głębokości<sup>6</sup>. Będzie też miał okazję dotrzeć w czasie do cywilizacji Olmeków i sprawdzić, czy prawdą było, że przybyli oni z odległej Afryki.

Donata szczególnie interesowało, czy Gavin Menzies w swoich dwóch książkach<sup>7</sup> dokonał odkryć, które powinny zmienić historię świata. Czy rzeczywiście istniał w opisanych przez autora czasach kanał żeglowny, łączący Morze Czerwone z Nilem? Jak wtedy wyglądał Kair? Czy chińską flotę zniszczyło tsunami, spowodowane upadkiem meteorytu przy wybrzeżach Nowej Zelandii? Bardzo ciekawe byłoby także sprawdzenie, jakie cywilizacje istniały przed rokiem tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim w obu Amerykach. Charles C. Mann<sup>8</sup>, opierając się na najnowszych badaniach archeologicznych, dowodzi, że na kontynentach obu Ameryk żyło przed Kolumbem więcej ludzi niż w ówczesnej Europie. Jednakże prawie dziewięćdziesiąt pięć procent tej indiańskiej populacji wyniszczyły olbrzymie pandemie chorób, przywleczonych przez białych i ich zwierzęta. W tysiąc pięćset

dziewiętnastym roku obszar połowy miliona kilometrów kwadratowych w Meksyku zamieszkiwało ponad dwadzieścia pięć milionów ludzi, sto lat później z tej liczby pozostało tylko siedemset trzydzieści tysięcy, podobne pandemie dotknęły indiańskie królestwa Ameryki Północnej i Południowej. Jedna czwarta Amazonii była wykorzystywana przez Indian rolniczo - wypalali oni dżunglę w sposób, który użyźniał jej gleby, oraz sadzili w puszczy drzewa owocowe. Przed napływem białych ludzi dwie trzecie terytorium obecnych Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej stanowiły tereny wykorzystywane gospodarczo i rolniczo przez Indian. Olbrzymie stada bizonów, jeleni wapiti, gołębi wędrownych, a także więcej niż stuletnie puszcze były zjawiskiem wtórnym, powstałym po rozregulowaniu się ekosystemu, spowodowanym wymarciem prawowitych mieszkańców tych ziem. Tereny uprawne Indian zarosły roślinami, sprowadzonymi przez białych kolonizatorów, i na dużych obszarach wyparły rośliny rodzime.

Dzięki możliwościom technicznym Zielonego Psa będzie możliwe poznanie osiągnięć nauki i kultury cywilizacji, które zginęły już bezpowrotnie dla świata. Donat na przykład bardzo chciałby poznać przebieg dysputy religijnej, jaką w tysiąc pięćset dwudziestym czwartym roku w stolicy podbitego przez Hiszpanów państwa Azteków - Tenochtitlanie - zainicjował Hernán Cortéz. Dysputa odbyła się pomiędzy dwunastoma kapłanami México i odpowiadającej im liczbie franciszkanów, przybyłych z Europy na misję, którą zatwierdził papież Hadrian VI. Misja miała na celu udowodnienie wyższości religii katolickiej nad tą wyznawaną przez ludność Meksyku i spowodowanie, aby kapłani azteccy przyjęli chrześcijaństwo i krzewili je wśród ludności podbitego państwa. Z drugiej strony będzie miał możliwość bezpośredniej obserwacji toczonych bitew, a zwłaszcza tych najbardziej znanych w historii. Także te toczone na ziemiach polskich doczekają się wreszcie sfilmowania i zamieszczone będą w archiwum Zielonego Psa, na przykład bitwy pod Cedyną, Płowcami, Grunwaldem, Kirchholmem, Kłuszynem, Beresteczkiem, a także Bitwa Warszawska i szereg innych. Bardzo interesujące będzie obejrzenie i sfilmowanie bitwy pod Przeclawą, gdzie w roku tysiąc pięćdziesiątym szóstym Słowianie połabscy odnieśli druzgocące zwycięstwo nad wojskami Świętego Cesarstwa Rzymskiego, a które to zwycięstwo stało się przyczyną wybuchu wojny domowej i tym samym doprowadziło do upadku słowiańszczyzny zachodniej.

Na Donata oczekiwało jeszcze wiele, bardzo wiele niezwykłych wydarzeń z zamierzchłych epok, lecz czy starczy mu życia, aby do tych wszystkich interesujących

wydarzeń dotrzeć?

Donat buszował w czasie kilkanaście lat i zgłębił tajemnice niedostępne zwykłym śmiertelnikom. Bogatszy o pozyskaną wiedzę, wybrał dla siebie w oceanie czasu mały zakątek Ziemi, w którym czuł się bezpieczny i do którego dość często powracał, budując tam bazę wypadową w inne epoki czasowe. Miejsce to Donat odkrył zupełnie przypadkowo w swoich podróżach, znajdowało się na północy Półwyspu Dekkańskiego. Była to dość rozległa, niedostępna, skalna równina, wznosząca się kilkaset metrów ponad poziom falistego gruntu, porośniętego bujną dżunglą. Przyroda i Donat uczynili ten skrawek Ziemi bajkowym rajem, rosły tu na skale pokrytej grubą warstwą humusu przedziwne drzewa, sprowadzone także z innych epok, a Donat posadził tu dla siebie drzewa i krzewy owocowe cywilizacji przyszłości, oraz inne, które w ciągu wielu lat rozrosły się i utworzyły bogate w owoce lasy, będące małą dżunglą. Sprowadził tu także niewystępujące już nigdzie na Ziemi ptactwo.

To wybrane miejsce na Ziemi, odległe o osiem tysięcy lat od czasów współczesnych, było na szczęście niezamieszkane - chociaż ludzie na terenie Indii żyją już od paleolitu - przez co czuł się on jego jedynym właścicielem, a także panem rozciągających się poniżej terenów. Rozległe dżungle, rozpościerające się wokół płaskowyżu, zamieszkiwały licznie w owym czasie słonie indyjskie, antylopy, wilki, tygrysy, bawoły arni, nosorożce, tapiry, niedźwiedzie, pantery i szereg innych zwierząt. Na północy, w porośniętych lasami kotlinach Himalajów i na wyżynach śródgórskich, ukrywały się gayale, gaury, woły mongolskie, kozy kaszmirskie i piżmowce. W południowo-zachodniej Azji i na zachodnich obrzeżach Dekanu w owych czasach występowały jeszcze lwy i tury, ale tam też pojawili się już liczniej pierwsi cywilizowani ludzie, toteż Donat nieczęsto w tych okolicach bywał. Dla zaspokojenia ciekawości docierał do istniejącego jeszcze w tym czasie na miejscu obecnego Morza Czarnego słodkowodnego jeziora, odkrył też tajemnicę yeti i w archiwum Zielonego Psa znalazło się sporo materiałów na ten temat.

W późniejszych latach na tym przyjaznym dla siebie skrawku Ziemi Donat osadził dwa pitekantropy (*Homo erectus*); kiedyś, bardzo dawno, w czasie pliocenских wędrówek po afrykańskiej sawannie ocalił je przed lampartem, który zabił ich rodziców. Od tego czasu starannie wychowywał małe istotki, na pokładzie czasolotu ich edukacją zajęły się także droidy, a kiedy wreszcie urosły, towarzyszyły mu wiernie w różnych eskapadach. Były bardzo posłuszne i inteligentne, i niosły mu nieocenioną pomoc. W późniejszym czasie na

płaskowyż sprowadził ludzi z różnych epok - byli to przeważnie życiowi rozbitkowie, którym spotkanie z Donatem uratowało bądź odmieniło dotychczasowe życie. Chciał on w tym przyjaznym dla człowieka środowisku stworzyć nową społeczność, która miałaby stać się przykładem dla powstających cywilizacji. Przy pomocy tych ludzi i androidów zbudował na płaskowyżu kamienne miasto, z którego podziemnym korytarzem można było zejść na poziom otaczającej wyniesienie dżungli. Jako nauczycieli pozostawił temu nowemu społeczeństwu kilka droidów wraz z zapleczem naukowym, technicznym i medycznym.

W następnych latach Donat odwiedzał to miejsce wielokrotnie, sprawdzając, jak rozwija się i koegzystuje ta niezwykła cywilizacja, złożona z ludzi pochodzących z różnych warstw społecznych, przeniesionych z różnych czasów i kontynentów. Rządziła się ona swoimi prawami, z których najważniejszymi były gwarancje wolności i równości jednostek, czyli system spotykany we wcześniejszych demokracjach królestw indiańskich ze wschodnich wybrzeży Ameryki Północnej.

Do współczesnego świata Donat powracał tylko czasami, a ostatnim razem pojawił się tam w roku dwa tysiące dwudziestym dziewiątym, kiedy miał już dość zamierzchłych epok i chciał porozmawiać w ojczystym języku. Donat nie zmienił się wcale przez te wszystkie lata, nadal wyglądał młodo, jakby upływ czasu nie miał na niego wpływu. Stwierdził jednak, że świat, który zastał, zmienił się już bardzo - przybyło na Ziemi ludzi, toczyły się nowe wojny, jeszcze większej degradacji uległo środowisko, brakowało surowców. Donat wybrał jednak ten czas, ponieważ miał w nim pewną misję do spełnienia.

Beata miała już ukończone dwadzieścia trzy lata. Tego roku była ze swoją starszą już mamą i młodą przyjaciółką z lat dziecięcych na wakacjach w Unieściu. Lubiała to miejsce i powracała tu każdego roku, ponieważ tutaj właśnie spotkało ją wielkie szczęście i ciągle miała nadzieję, że uda się jej rozwikłać niezwykłą zagadkę cudownego uzdrowienia. Miejsce to miało dla niej niezwykłą, magiczną moc.

Był właśnie czternasty lipca dwa tysiące dwudziestego dziewiątego roku, kiedy Beata siedziała nad porcją lodów w małej kawiarni w Mielnie, stojącej na urwistym brzegu Bałtyku. Prowadziła ożywioną rozmowę ze swoją przyjaciółką; mimo czarnych, przeciwsłonecznych okularów rzucało się w oczy, że była ona niewidoma. Obie dziewczyny były niebywale piękne, ich twarze były ożywione i zarumienione, na rękę Beaty błyszcząca przepiękna

bransoleta. Wyglądały na szczęśliwe, chociaż przez twarz upośledzonej dziewczyny przemykała nieraz jakaś smuga smutku i cierpienia, co dodawało jej tylko uroku.

Donat zajął miejsce przy stoliku obok i przysłuchiwał się rozmowie sąsiadek, dla siebie zamówił szarlotkę na gorąco i herbatę. Jego Zielony Pies spoczywał ukryty na dnie Morza Bałtyckiego, Donat wydostał się z niego przy pomocy samochodu, dostosowanego wymogami technicznymi do tej epoki, i podążył do Unieścia, kierując się sygnałem nadanym po aktywacji przez bransoletę dziewczyny. W kolejnych dniach odszukał i śledził Beatę przez dłuższy czas, szukając okazji, aby z nią porozmawiać; dostrzegł, że właśnie nadeszła taka chwila.

Beata opowiadała coś szczególnego przyjaciółce, kiedy nagle obok niej rozległ się głos:

- Ma pani niezwykle piękną bransoletę, czy mogę ją obejrzeć?

Dziewczyna obrzuciła niechętnym wzrokiem nieznajomego, który się do niej zwrócił, jej przyjaciółka zamilkła speszona.

- Ta rzecz ma dla mnie szczególne znaczenie i nie jest do pokazywania - odparła.

Siedzący przy sąsiednim stoliku mężczyzna wyglądał młodo, był przystojny i pięknie opalony. Poza tym było w nim coś urzekającego i tajemniczego, jego postać emanowała ukrytą siłą.

- Tak, oczywiście, jest niezwykle piękna, dlatego chciałbym tylko wiedzieć, gdzie ją pani kupiła?

- Nie kupowałam jej, dostałam ją w podarunku i nie oddam jej ani nie sprzedam nikomu - odparła dziewczyna.

- Tak, rozumiem, ale ja mam dla pani przyjaciółki okulary. - Po tych słowach Donat wyjął je z torby.

- Czy mogłaby je pani przymierzyć? - zwrócił się do drugiej dziewczyny.

- Nie, nie są nam potrzebne - zakomunikowała oschłym tonem Beata. - Pan jest komiwojażerem?

- Nie, nie jestem, ale bardzo chciałbym, aby pani koleżanka je przymierzyła.

- Po co, i tak nie kupimy tych okularów. Szuka pan damskiego towarzystwa?

- Szukam pewnej dziewczyny, dlatego bardzo mi zależy, aby pani koleżanka założyła te okulary.

Beata wzruszyła ramionami, pomyślała sobie bowiem, że kolejny natręt przyczepił się do niej. Już chciała odmówić, kiedy jej przyjaciółka się odezwała.

- To coś ładnego?

- Może nie ładnego, lecz niezwykłego, ta rzecz może uszczęśliwić niejedną dziewczynę - odparł Donat.

- Ale później da nam pan już spokój? - zapytała Beata, wręczając okulary przyjaciółce.

- Oczywiście, jeśli pani tego zapragnie, sądzę jednak, że później to pani będzie chciała ze mną rozmawiać - kpiącym głosem rzucił Donat, uśmiechając się do niej przymilnie.

- Niech pan nie robi sobie nadziei - zaproponowała zaczepnie.

Niewidoma dziewczyna zdjęła swoje ciemne okulary i założyła na nos te podane przez Beatę. Nagle znieruchomiała, na jej twarzy rozlał się wyraz niedowierzania i niezmiernego zdziwienia.

Donat uśmiechnął się do siebie - wiedział, że widziała ona teraz wszystko dookoła, Beatę, kawiarnię, morze i jego, i to w kolorach. Okulary skonstruowane przez naukowców przyszłości były niezwykle, miały wmontowane w oprawę miniaturowe i niezwykle

precyzyjne urządzenie, które poprzez oddziaływanie na odpowiedzialne za widzenie ośrodki w mózgu pozwalało niewidomej osobie normalnie widzieć.

Patrzył teraz na dziewczynę, która kurczowo ścisnęła okulary i rozglądała się z niezwykłą energią dookoła, na jej twarzy wyraz niedowierzania przeplatał się teraz ze wzruszeniem.

- No co tam, Agatko, wyglądasz w nich dobrze, ale lepiej by było, aby były bardziej ciemne - Beata zwróciła się do przyjaciółki. - Oddaj je panu.

- Proszę pana, czy chce mi pan te okulary sprzedać? - niepewnym, drżącym głosem zapytała Agata.

- To zależy od pani przyjaciółki - odparł - jeśli będzie tylko chciała ze mną rozmawiać.

- Co się stało, dlaczego chcesz mieć te okulary? - zwróciła się do dziewczyny zdziwiona jej zachowaniem Beata.

- Ja przez nie widzę - odparła Agata, kierując twarz w stronę Donata.

Beatę coś tknęło, wpatrywała się w skupieniu w twarz swojej przyjaciółki, widziała teraz, że malował się na niej obok radości i wzruszenia także wyraz niezwykłego skupienia. Odwróciła się do Donata, wpatrując się w niego rozszerzonymi oczami.

- Czy to możliwe? Kim pan jest?

- Na imię mam Donat, a jestem kimś, kto wie, że ma pani na ramieniu wytatuowanego śmiejącego się zielonego psa.

- Tak, to prawda, widział mnie pan już na plaży?

- Tak, widziałem, ale to nie ma żadnego znaczenia, wiedziałem o tym znacznie wcześniej. Czy pani wie, co oznacza ten symbol?



Milcząco, wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, czyżby ziściły się jej oczekiwania?

- Czy chce mi pan coś więcej na ten temat powiedzieć? - zwróciła się do mężczyzny drżącym głosem, czując narastające dławienie w gardle.

- Owszem, jeśli znajdą panie dla mnie trochę czasu, dlatego proponuję mały spacer w miejscu, w którym nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Obie dziewczyny bez wahania wyraziły zgodę na tę propozycję.

Podczas spaceru po odległej, pustej ścieżce, ciągnącej się wzdłuż lasu, Donat opowiedział Beacie jej historię, wyjaśnił, co go tak bardzo urzekło w małej dziewczynce, że postanowił jej pomóc. Dziewczyna była wzruszona i wpatrywała się w niego z ciekawością i rosnącym uwielbieniem. To, o czym mówił, brzmiało tak niewiarygodnie, ale przecież odzyskała wzrok, a jej przyjaciółka otrzymała także niezwykley dar. To musiała być zatem prawda. Agata także była wzruszona, lecz nie wtrącała się do rozmowy, pilnie słuchając. Widziany świat nabrał dla niej kolorów i to uczucie było dominujące i fascynujące.

Po długiej rozmowie Donat wyjaśnił ostatecznie Beacie, dlaczego ją odszukał. Przeszli na ty.

- Wiem, że jesteś niezwykle zdolną dziewczyną, skończyłaś okulistykę i chcesz się kształcić dalej i pomagać ludziom chorym. Chcę ci pomóc w tym powołaniu, obarczając cię zadaniem stworzenia specjalnego instytutu, skupiającego najlepszych lekarzy w tym kraju i na całym świecie. Ty będziesz kierowała tym przedsięwzięciem, a pomocni ci będą inni ludzie spod znaku Zielonego Psa, których uleczyłem tak samo jak ciebie. Ty byłaś jednak pierwsza. Nie musisz się martwić o pieniądze, to dla mnie sprawa banalna, bez najmniejszego dla mnie uszczerbku mógłbym spłacić wszystkie długi Polski. Zarówno ty, jak i instytut, który powstanie, będziecie pod opieką Zielonego Psa, a zapewniam cię, że nie ma większej siły w tym i innych światach od niego. Teraz zabiorę was obie na pokład pojazdu, noszącego nazwę tego mitycznego stworzenia, na którym odbędziecie podróż dookoła światów, ale przed zagłębieniem się w czas, uzdrowię twoją przyjaciółkę. Później wrócimy w ten sam czas

i miejsce.

Czy zgadzasz się na moją propozycję? Ty także? - Donat zwrócił się z tym pytaniem do Agaty.

Obie dziewczyny bez wahania zgodziły się na tę niezwykłą przygodę.

Do Mielna wróciły starsze o trzy lata, ale w tym samym dniu tygodnia, miesiącu i roku, w którym wyruszyły w niezwykłą podróż w czasie. Obie budziły zachwyt swoją urodą, były pięknie opalone oraz gustownie ubrane. Na lewym ręku każdej z nich błyszczała platynowa bransoleta, zachwycająca niezwykłą precyzją i kunsztem wykonania, na gołych ramionach widniał dyskretny, lecz zauważalny dla bystrego obserwatora wytatuowany znak śmiejącego się zielonego psa. Z obu postaci emanowała siła i pewność siebie, zdobyte codziennymi ćwiczeniami fizycznymi, co jednak nie miało wpływu na to, że poruszały się dystygownie, jak księżniczki. Jednak największe wrażenie czyniły na postronnych obserwatorach ich oczy - błyszczały jak gwiazdy i promieniały szczęściem. Przecież w swoich najśmielszych marzeniach dziewczyny nie oczekiwały takiej odmiany losu i niezwykłych wakacji.

W ciągu kilku następnych lat powstał na terenie Polski instytut medyczny, połączony z dużym obiektem szpitalnym, w którym przyjmowano pacjentów z beznadziejnymi do wyleczenia schorzeniami. Kierowała nim Beata wraz z Agatą, ściągając zewsząd najlepszych medycznych specjalistów, przez co szpital zyskał światową renomę. Dzięki pomocy Donata nie miał kłopotów finansowych, datki na konto instytutu napływały z całego świata, inne problemy natury urzędniczej były załatwiane w miarę konieczności w niekonwencjonalny sposób przez wysłane roboty, które ingerowały w psychikę niechętnych przedsięwzięciu ludzi.

Obie dziewczyny wybrały samotność. Rodzice nie ingerowali w ich życie, widząc, że są szczęśliwe i otacza je tajemnica, a kiedy się zestarzały i w ich pracy mogli zastąpić je inni, Donat zabrał je na pokład Zielonego Psa i przywrócił im młodość. Od tej pory stale towarzyszyły mu w wyprawach czasowych i kosmicznych, bądź udzielały się w stworzonej przez niego społeczności.

A Donat nadal buszował w czasie, stało się to jego niepoahamowaną pasją, a kiedy miał już dosyć przebywania na Ziemi, rozpoczął podróże kosmiczne do odległych zakątków Układu Słonecznego. W podróżach tych towarzyszyła mu załoga, rekrutująca się ze stworzonej przez niego społeczności, która się coraz bardziej rozrastała. Zaistniała jeszcze jedna ważna okoliczność, otóż droidom naukowym udało się wreszcie odczytać i wykorzystać informacje zawarte w kryształach wydobytych ze szczątków kosmicznego statku, znalezioneego w pierwszej wyprawie do epoki późnej kredy na Antarktydzie. Miały one wpływ na dalsze wyprawy kosmiczne Zielonego Psa, dzięki tym danym możliwe stało się dotarcie do odległej galaktyki, do której przypuszczalnie zawitają kosmiczne miasta Ziemi z przyszłości.

Mimo możliwości poruszania się Zielonego Psa z szybkościami nadświatłymi czas lotu był i tak długi, toteż Donat miał okazję do zastosowania w podróżach kosmicznych urządzeń technicznych ludzi przyszłości. Na pokładzie znajdowały się bowiem specjalne portale pamięciowe, tak zwane inkubatory informacji żywej, w których możliwe było przechowywanie nie żywego człowieka, lecz informacji o nim, zapisanej podczas jego teleportacji. W takim bezzałogowym locie statkiem kosmicznym dowodziłyby maszyny, ewentualnie grupa zmieniających się pilotów, a po dotarciu do celu z zapisanych w inkubatorze informacji odtwarzano by całą załogę, a na miejscu całą zapisaną w pamięci portalu zbiorowość przesiedleńców.

Na wybranej planecie, odpowiadającej warunkom ziemskim, w bogato zaopatrzonej bazie Donat pozostawił małą ludzką społeczność, wyposażoną w urządzenia ludzi przyszłości, które skonstruowały i wytworzyły automaty Zielonego Psa. We właściwym czasie w to miejsce zapewne dotrą kosmiczne ziemskie miasta ludzi przyszłości i nastąpi powitanie przez rozwiniętą już nową cywilizację kosmiczną uciekinierów z planety Ziemia. Donat bardzo chciałby zobaczyć takie spotkanie, co mógłby mu bez problemu ułatwić wehikuł czasu.

Wraz z upływem lat Donat zaczął się zastanawiać, komu pozostawi Zielonego Psa, gdy przyjdzie kres jego życia. Być może pójdzie drogą pradawnych cesarzy chińskich, którzy w obliczu nadchodzącej śmierci wybierali się w przebraniu w podróż po swoim państwie w poszukiwaniu prawego i mądrego człowieka, który mógłby zająć ich miejsce. Były to jednak trudne poszukiwania, gdyż takich ludzi było niewielu. Donat miał jednak przed sobą jeszcze dużo, bardzo dużo czasu.

## Bibliografia

Adamus Simon, Rzymianie, Wydawnictwo Arkady sp. z o.o.

Atlas Historii Świata, READER&#x2019;S DIGEST, 2004.

Augusta Józef, Z pradziejów życia, Wydawnictwa Geologiczne, Warszawa 1959.

Davidson Susanna, Turnbull Stephanie i Firth Rachel, Atlas Świata Dinozaurów, przeł. Monika Wiśniewska-Wyrwas, Firma Księgarska: Jacek i Krzysztof Olesiejuk - Inwestycje Sp. z o.o.

Flenley John, Bahn Paul, Tajemnice Wyspy Wielkanocnej - Nieznana historia wyspy na końcu świata, wydanie I, Wydawnictwo Amber Sp. z o.o., Warszawa 2003.

ILUSTROWANY ATLAS ŚWIATA, Przegląd READER&#x2019;S DIGEST, wydanie I, 1997.

Streeter Michael, Śródziemnomorska kolebka kultury europejskiej, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2007.

Sujkowski Bogusław, Miasto przebudzone, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1964.

Trepka Andrzej, Król tasmańskich stepów i inne opowiesci ze świata ludzi i zwierząt, Wydawnictwo „Śląskie”, 1982.

Zaginione cywilizacje, READER&#x2019;S DIGEST, 2003.

<http://pl.wikipedia.org/wiki/Mars>

Polecamy także:

Marek Pełka

Świat gorącego słońca

wydawnictwo My Book, 2010

Tematem tej książki są dokonania zwykłego człowieka, któremu po perypetiach życiowych los daje niezwykłą szansę zbudowania wehikułu czasu i przeniesienia się w nim

do prehistorycznego świata z przełomu miocenu i pliocenu. Aby przeżyć w tym świecie i korzystać z jego bogactw, zmuszony jest do sprowadzenia swoich wypróbowanych przyjaciół i założenia małej samowystarczalnej kolonii. Koloniści zagospodarowują teren i budują bazę, z której prowadzą wyprawy poznawcze do nieistniejących już puszczy, sawann, jezior i mórz. Dysponując dostępną im techniką i wykorzystując możliwości, jakie daje wehikuł czasu, żyją w dwóch światach, tzn. mieszkając już w nowym - korzystają ze zdobyczy starego w możliwy dla nich sposób. W tym nowym świecie człowiek jest wolny, na jego los nie mają wpływu organa państwowe, dysponuje wszelkimi dobrami tego świata i może go kształtować w dowolny sposób.

Autor nawiązuje w książce także do innych źródeł pisanych, podając niektóre szczegóły dotyczące życia zwierząt, rozwoju człowieka i inne. Walerów książki dodają opisy krajobrazów, zwierząt i roślinności omawianych epok, na jej końcu znajduje się aneks, w którym są wymienione zwierzęta trzeciorzędu, żyjące w tym okresie w Europie.

## Przypisy

1 [www.e-numizmatyka.pl/portal/strona-glowna/zloto/lista-artykulow/najwieksze-bryly-zlota.html](http://www.e-numizmatyka.pl/portal/strona-glowna/zloto/lista-artykulow/najwieksze-bryly-zlota.html)

2 František Běhounek, Akcja „L”, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1962; tenże, Na dwóch planetach, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1967.

3 Więcej na ten temat czytelnik dowie się z książki Jerzego Pertka Dzieje ORP „ORZEŁ”, Wydawnictwa Morskie, wydanie I, Gdynia 1961.

4 Więcej na ten temat czytelnik dowie się z książki Bernarda Heuvelmansa, Na tropie nieznanych zwierząt, Wiedza Powszechna. Warszawa 1969.

5 Zecharia Sitchin, Zaginione królestwa. Księga czwarta kronik Ziemi, Wydawnictwo

PROKOP, wydanie I, Warszawa 2007.

6Erich von Däniken, Z powrotem do gwiazd, Wydawnictwo PROKOP, wydanie I, Warszawa 1993; tenże, Podróż do Kiribati, Wydawnictwo PROKOP, wydanie I, Warszawa 1995.

7Gavin Menzies, 1421 - rok, w którym Chińczycy odkryli Amerykę i opłynęli świat, Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o., Warszawa 2008; tenże, 1434 rok, w którym wspaniała chińska flota pożegłowała do Włoch i zapoczątkowała renesans, Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o., Warszawa 2002.

8Charles C. Mann, 1491 Ameryka przed Kolumbem, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2007.